

MISTRZOWIE  LITERATURY

IRIS
MURDOCH



DZWON



Iris Murdoch

Dzwon



Przełożyła
Krystyna Tarnowska



1972
Państwowy Instytut Wydawniczy

ROZDZIAŁ I

Dora Greenfield rzuciła męża, ponieważ się go bała. W sześć miesięcy później postanowiła wrócić do niego z tego samego powodu. Nieobecny Paweł, prześladowający ją listami, dzwonekami telefonu i wymaginowanymi krokami na schodach, stał się jeszcze większą udręką. Dora czuła się winna, a poczuciu winy towarzyszy strach. Doszła w końcu do wniosku, że woli tortury jego obecności od tortur jego nieobecności.

Dora była wciąż bardzo młoda, chociaż myślała o sobie niejasno jako o kobiecie mającej już najlepsze lata życia poza sobą. Pochodziła z Londynu, z drobnomieszczkańskiej rodziny. Jej ojciec zmarł, kiedy miała dziewięć lat, a matka, z którą nie żyła za dobrze, wyszła powtórnie za mąż. W osiemnastym roku życia Dora otrzymała stypendium w szkole sztuk pięknych Slade'a, gdzie po dwóch latach poznała Pawła. Rola studentki szkoły artystycznej bardzo jej odpowiadała. Prawdę mówiąc, tylko tę jedną jedyną rolę w życiu mogła grać z prawdziwym przekonaniem. Była brzydka i nieszczęśliwą pensjonarką. W latach studenckich przytyła i nabrała brzoskwiniowej cery; miała też do wydania trochę pieniędzy, za które kupowała szerokie, wielobarwne spódnice, płyty jazzowe i sandały. W tym okresie, od którego minęły zaledwie trzy lata, ale który wydawał się jej niewiarygodnie odległy, Dora czuła się szczęśliwa. A ponieważ dopiero niedawno odkryła w sobie talent do szczęścia, tym większa była jej konsternacja, kiedy się okazało, że nie może być szczęśliwa ani z mężem, ani bez niego.

Paweł Greenfield, starszy od żony o trzynaście lat, był historykiem sztuki związanym z Instytutem Courtauld. Pochodził ze starej rodziny niemieckich bankierów i miał pieniądze. Urodził się w Anglii, uczęszczał do angielskiej ekskluzywnej szkoły i wolał nie pamiętać o odmienności swoich przodków. Chociaż jego aktywa nigdy nie próżnowały, nie wspominał o papierach wartościowych czy akcjach. Poznali się z Dorą, kiedy rozpoczął w szkole Slade'a wykłady o średniowiecznej rzeźbie.

Dora zgodziła się wyjść za niego za mąż bez wahania i z bardzo rozmaitych względów. Wyszła za niego dla jego dobrego smaku i mieszkania na Knightsbridge. Wyszła za niego dla pewnej szlachetności i prawości charakteru. Wyszła za niego, ponieważ był w taki cudowny sposób doroślejszy od jej chudych, neurotycznych kolegów ze szkoły. Wyszła za niego troszkę dla pieniędzy. Podziwiała go, była dumna, że okazuje jej względy. Miała nadzieję, że robiąc tę „dobrą partię” (jak to nazwała jej matka, która pękała z zazdrości) wejdzie do towarzystwa i nauczy się dobrych manier; chociaż był to cel, z którego w owym czasie nie bardzo zdawała sobie sprawę. Wreszcie wyszła za Pawła, ponieważ pragnął jej z tak demoniczną intensywnością. Był namiętnym i poetycznym wielbicielem i coś egzotycznego w jego naturze podziało na jej wyobraźnię, wyjąłowioną w czasie skąpej edukacji i nadal drzemającą pośród dość dziecinnych i prowincjonalnych rozrywek życia studenckiego. Chociaż Dora była typem za mało refleksyjnym, by cierpieć na ostre kompleksy niższości, nie miała o sobie wysokiego mniemania. Była zdumiona, że Paweł ją w ogóle zauważył, ale bardzo szybko to jej zdumienie zmieniło się w zbyt kowną przyjemność, że może tak łatwo uszczęśliwiać tego subtelnego i doświadczonego człowieka. Ani przez chwilę nie wątpiła, że jest zakochana.

Po ślubie i po zainstalowaniu się w apartamencie na Knightsbridge, wśród wspaniałej kolekcji średniowiecznych cacek z kości słoniowej, Dora postanowiła sobie, że będzie szczęśliwa, co jej się początkowo udawało. Ale przekonała się z biegiem czasu, że wcale nie jest tak łatwo stać się żoną Pawła. Skusiła ją wizja Dory-kobiety kulturalnej; ale już po roku uznała swój ideał za nazbyt trudny do osiągnięcia, a nawet zaczęła się odnosić do niego niechętnie. Paweł przyjął za

pewnik, że Dora zechce zrezygnować ze studiów, co też z pewnym żalem uczyniła. Że jednak była leniwa i nie zdradzała specjalnych znamion talentu, odczuła jednocześnie ulgę. Paweł, którego zabiegi o Dorę wytrąciły z normalnego rytmu pracy, podjął teraz studia z ową pasją, którą Dora tak podziwiała. A gdy on spędzał długie godziny w Instytucie Courtauld lub w British Museum, ona nie miała co robić z czasem. Starła się utrzymać skrupulatną czystość w mieszkaniu, w którym za nic nie zmieniłaby położenia najmniejszego choćby przedmiotu. Robiła długie przygotowania do kolacji, na które Paweł zapraszał przyjaciół; on też zajmował się zwykle stroną kucharską. Lubiła te przyjęcia, chociaż czuła, że nie jest to coś, co naprawdę ma ochotę robić. Ulatniało się po trochu dumne uczucie pewności siebie, którym obdarzała ją początkowo miłość Pawła. Odnosiła teraz wrażenie, że Paweł przynagla ją, żeby dorosła, ale jednocześnie nie pozostawia jej na to miejsca. Chciał ją wszystkiego uczyć sam, nie miał na to jednak ani czasu, ani cierpliwości. Chociaż Dora była namiętną pozeraczką magazynów kobiecych i niez mordowaną wypróbowywaczką „akcesoriów”, nie wiedziała już nawet, jak się ubierać. Zrezygnowała z szerokich spódnic i sandałków. Ale popełniwszy kilka omyłek, które zirytowały Pawła, kupiła sobie dwa czy trzy kosztowne i bezpieczne komplety, jej zdaniem przeraźliwie nudne, i w końcu w ogóle przestała kupować garderobę. A ponieważ była tak bardzo niepewna swego smaku, miała trudności z wydawaniem pieniędzy na cokolwiek innego. Zaczęła podejrzewać, że Paweł uważa ją za osobę odrobiną wulgarną.

Lubiła przyjaciół Pawła, ale ją przerażali. Byli wszyscy bardzo inteligentni i dużo od niej starsi, i mieli inteligentne żony, które przerażały ją jeszcze bardziej. Odnosili się do niej z żartobliwą protekcyjnością. Przekonała się, że kilka z tych osób pozostawało pod wrażeniem, że była baletnicą, co wydało jej się bardzo znamienne. Bywała u nich z Pawłem, ale się z nimi nie zaprzyjaźniła. Kiedy pewien skrzypek okazał Dorze bardziej osobiste zainteresowanie i uszczęśliwił ją pytaniami o jej dzieciństwo, Paweł był bardzo zazdrosny i niemiły, a z tamtym już się więcej nie spotkali. Przed ślubem Paweł ostrzegał Dorę, że będą się kłócili; dodał jednak, że kiedy jest się naprawdę zakochanym, nieporozumienia są połową przyjemności małżeńskiego życia. Kłótnie zaczęły się bardzo prędko i nie sprawiały Dorze najmniejszej przyjemności. Upokarzały ją i męczyły.

Zaczęła częściej widywać się z dawnymi przyjaciółmi, zwłaszcza z Sally, dziewczyną trochę od niej młodszą i nadal uczęszczającą do szkoły artystycznej. Stwierdziła, na pół usprawiedliwiająco i na pół wyzywająco, że jest jeszcze bardzo młoda. Dawniej była zachwycona, kiedy jej koledzy mówili o Pawle „pan profesor”; teraz ją to irytowało. Sally zaprosiła Dorę na szkolną potańcówkę. Paweł nie cierpiał tańców. Namawiała go trochę, wreszcie poszła sama i wróciła o szóstej rano. Dora nie potrafiła być punktualna czy w jakimkolwiek sensie obowiązkowa. Paweł przywitał żonę awanturą, której gwałtowność ją przeraziła. Od tego czasu zaczęła się go bać. Ale go przy tym nie osądzała. Pewna niemożność „umiejscowienia” bliźnich zastępowała jej w tym przypadku cnotę. Teraz albo mu się przymilała, albo stawiała milczący opór, myśląc tylko o sobie, a chociaż jej brak samowiedzy aż się rzucał w oczy, w zetknięciu z tą groźną indywidualnością zaczęła uświadamiać sobie coraz wyraźniej, że istnieje.

Paweł pragnął dzieci, a przynajmniej dziecka, w ów stanowczy, zaborczy sposób, w jaki pragnął wszystkich rzeczy, które wciągał w orbitę swojego życia. Miał silnie rozwinięty instynkt rodzinny i zachował po przodkach nostalgiczną tęsknotę za godnością i ceremoniałem pokrewieństwa. Marzył o synu, o małym Pawle, którego mógłby instruować i zachęcać do pracy i z którym mógłby w końcu dyskutować jak z równym, a nawet radzić się go jak współrzednego intelektu. Ale Dorę przerażała myśl o dzieciach; nie czuła się pod żadnym względem przygotowana do macierzyństwa, chociaż – co było typowe dla paraliżu obezwładniającego ją w

stosunkach z Pawłem – nie czyniła nic, żeby zapobiec ciąży. Gdyby umiała bardziej obiektywnie zastanowić się nad swoim losem, doszłaby może do wniosku, że dziecko dałby jej w środowisku Pawła niezależność i pozycję, których teraz niestety nie posiadała. Miała w sobie zadatki na energiczną i upartą matkę, której ulegałby nawet Paweł. Jako młodzianka żona drażniła go bezustannie swoją żywością, dla której się z nią ożenił; macierzyństwo przydałoby jej niewątpliwie bardziej bezosobowego znaczenia, zaczerpniętego z przeszłości. Ale Dory nie pociągały genealogiczne zaszczyty, a wyrachowane przyjmowanie na siebie tego rodzaju zobowiązań nie leżało w jej naturze. Chociaż Paweł miał nad nią tak wielką władzę, Dora ufała – jak jakieś nie protestujące, lecz szczególnie ruchliwe stworzenie – swojej gotowości do natychmiastowej ucieczki. Stać się dwiema osobami i tym samym zrezygnować z tej zwierzęcej gotowości – nie, takiemu niebezpieczeństwu Dora nie mogła spojrzeć w oczy. Nawet nie próbowała. Chociaż ku zmartwieniu Pawła i jego przyjaciół nabyte w latach studenckich wyrażenie „spójrzmy prawdzie w oczy” nadal dość często pojawiała się na jej wargach, Dora w istocie nie potrafiła, przynajmniej chwilowo, spojrzeć prawdzie w oczy i zastanowić się nad swoją sytuacją.

Wiedziała od samego początku, że Paweł jest człowiekiem gwałtownym. Prawdę mówiąc, była to jedna z cech, które ją w nim pociągały. Miał w sobie męską władczość, której nie mogli posiadać jej smarkaczowaci koledzy. Nie był właściwie przystojny, ale miał twarz wyrazistą, sypkie, prawie czarne włosy i ciemne, opadające wąsy; zdaniem Dory te wąsy nadawały mu wygląd południowca. Nos miał za duży i w ustach coś cierpkiego, ale oczy były bardzo jasne, trochę jak ślepie węża, i wprawiały w drżenie inne studenckie serca prócz serca Dory. Lubiała widzieć w nim pewne napięcie i odrobinę bezwzględności, zwłaszcza kiedy go miała u swych stóp. Rola przekomarżającej się, a jednak uległej kochanki bardzo jej odpowiadała; a Paweł wprawił ją w zachwyt odkrywając przed nią wyrafinowaną zmysłowość i gwałtowną namiętność, przy których jej uczelniane romanse wydawały się mdłe i bezbarwne. Teraz jednak siła Pawła zaczęła się jej przedstawiać inaczej. Zaniepokoili ją w końcu brutalne, drapieżne gesty, którymi naruszał rytm jej samopoddania. Coś łagodnego i beztroskiego uleciało z jej życia.

Po jakimś czasie Dora przestała mówić Pawłowi o wszystkim, co robiła w ciągu dnia. Widywała się z przyjaciółmi, których Paweł na pewno by nie lubił, między innymi z Noelem Spensem, młodym reporterem, zresztą dalekim znajomym Pawła; Noel po mistrzowsku przedrzeźniał Pawła, co Dora kwitowała gwałtownymi protestami, wiedząc jednocześnie, że robi jej się przez to trochę lżej na sercu. Dora nie pochwałała swojego zachowania. Ale pokusa, żeby uciec z eleganckiego i nietykalnego mieszkania Pawła i pójść napić się czegoś z Sally czy Noelem, była zbyt silna. Dora piła teraz więcej i znajdowała w tym przyjemność. A ponieważ była zbyt niedbała, żeby oszukiwać umiejętnie, Paweł zaczął wkrótce coś podejrzewać. Zastawiał na nią sidła, w które wpadała, po czym wybuchały awantury. Wytrącony z równowagi, oscylował między brutalnością a ckliwością, co Dorze wydawało się przerażające i dość obrzydliwe. Dora wstydziła się swojego pomyłonego zachowania i obiecywała poprawę. Ale pociąg do towarzystwa, w którym – jak to odczuwała – mogła być sobą, stał się zbyt silny. Niekonsekwentna i niezdolna do wyrachowania, otwarcie i ze skrucą przerzucała się od jednej taktyki do drugiej i wracała znów do tej pierwszej.

Coraz częściej widywała się z Noelem Spensem i jego niefrasobliwymi, ostro pijącymi przyjaciółmi. Zaczęła nabierać, chociaż w sensie zupełnie innym, niż kiedyś było to jej zamiarem, pewnego poloru. W domu Paweł zasypywał ją wyrzutami, o których wiedziała, że są słuszne. Usiłowała mu wytłumaczyć, dlaczego jest nieszczęśliwa, ale mówiła chaotycznie, a on się denerwował. Paweł wiedział doskonale, czego chce. Wytłumaczył jej: „Chcę zajmować się moją pracą i być twoim mężem. Chcę wypełniać ci życie, jak ty mi je wypełniasz.” Czuła się

zmiażdżona siłą jego dążeń, upokorzona, bo nie chciał zrozumieć jej żalów. A ponieważ nie przywykła do precyzyjnego osądzania ludzi i analizowania ich w myślach, nie potrafiła ani zadowolić Pawła, ani obronić się przed nim. W końcu, posłuszna owej koncepcji fatalizmu, która zastępowała jej etykę, odeszła od niego.

Zamieszkała najpierw u matki, z którą się bardzo prędko pokłóciła. Kiedy się Paweł upewnił, że go naprawdę rzuciła, napisał do niej drobiazgowy i charakterystyczny list. „Zdajesz sobie sprawę, że nie mam wobec Ciebie żadnych zobowiązań prawnych. Zleciłem jednak, żeby wpłacano na Twój rachunek w banku sumę czterdziestu funtów miesięcznie aż do czasu, kiedy się opamiętasz i wrócisz do mnie. Nie chcę, żebyś żyła w niedostatku. Z drugiej strony nie spodziewasz się chyba, że będę dla Ciebie hojny, skoro żyjesz w zdeprawowanej i zezwierzęconej rozwiązłości, która niebawem doprowadzi Cię zapewne do wiarołomstwa. Na szczęście dla Ciebie mogę Ci zakomunikować, że moja miłość pozostaje niezmienną.” Dora postanowiła odesłać mu pieniądze, ale je przyjęła. Zamieszkała w Chelsea. Bardzo niedługo nawiązała romans z Noelem Spensem.

Zaraz po ucieczce z Knightsbridge, od rutyny cowieczornych kłótni z Pawłem, Dora poczuła ogromną ulgę. Ale przekonała się niebawem, że nie ma innego życia, w które mogłaby się schronić. Stała się w jakiś nieuchwytny sposób zależna od Noela, który okazał się człowiekiem delikatnym i uważającym. Noel powiedział: „Pójdź, miła, ze mną żyć w miłości – ale pod jednym warunkiem. Nie zapominaj, że jestem najbardziej lekkomyślnym człowiekiem na świecie.”

Dora wiedziała, że chodzi mu tylko o to, żeby ją uspokoić, była mu jednak wdzięczna – i uspokoiła się. Żyła w atmosferze sztucznej i trochę wymuszonej frywolności i była we własnych oczach nieodpowiedzialnym członkiem bohemy. Usiłowała nie pamiętać, że zraniła boleśnie Pawła. Pamięć była czymś, z czego Dora robiła niewielki użytek. Ale obecna sytuacja musiała budzić w osobie tak konwencjonalnej jak ona poczucie winy i zakłopotania. Starła się odzyskać dawną wesołość. Ogarniał ją lęk, że Paweł przyjdzie i zabierze ją siłą albo zrobi scenę Noelowi. W rzeczywistości Paweł jej nie prześladował, pisał jednak do niej regularnie raz na tydzień listy z wyrzutami. Wyczuwała w tych listach, bliska rozpacz, demoniczną siłę woli człowieka zawsze jej pożądanego. Wiedziała, że nigdy z niej nie zrezygnuje. Spędziła to lato pijąc, tańcząc, romansując i wydając pieniądze od Pawła na wielobarwne spódnice, sandały i płyty jazzowe., A potem, na początku września, postanowiła do niego wrócić.

Paweł od lipca siedział na wsi. Pracował, o czym zawiadomił ją w jednym z listów, na które nie odpowiadała, nad niezwykle interesującym czternastowiecznym manuskrypcem należącym do klasztoru anglikańskiego w Gloucestershire. Przebywał w gościnie u jakiegoś świeckiego bractwa, które miało siedzibę Obok klasztoru. Było tam bardzo pięknie. Chociaż Dorę wzruszały te dowody wierności, przebiegała tylko wzrokiem listy Pawła szukając w nich ewentualnych pogroźek, a potem, żeby nie widzieć jego pisma, natychmiast je darła, toteż prócz nazwy wiedziała niewiele o miejscu jego pobytu. Klasztor nazywał się Imber Abbey, a dom nazywał się Imber Court. Na ten więc adres Dora wysłała swoją mozolną epistołę, na pół skruszoną i na pół żalobną, zawierającą propozycję powrotu.

Odwrotną pocztą dostała od Pawła oziębły i rzeczowy list z wiadomością, że spodziewa się jej we wtorek, że powinna wsiąść do pociągu odjeżdżającego z dworca Paddington o 4.56 i że w Pendelcote będzie na nią czekał samochód. Załączył klucz do mieszkania, na wypadek gdyby się okazało, że swój zgubiła. Niech będzie tak uprzejma i przywiezie jego włoski kapelusz od słońca i ciemne okulary, a także niebieski notes, który znajdzie w górnej szufladzie biurka. Dora, która wzruszyła się własnym listem, doszła do wniosku, że to trochę za mało jak na taką okazję. Spodziewała się, że Paweł przygna do Londynu, żeby tu na nią czekać. Nie spodziewała się, że

zostanie tak obcesowo wezwana na wieś. Zaniepokoiła ją też myśl, że ma się spotkać z Pawłem w tym dziwnym otoczeniu. Co to w ogóle jest świeckie bractwo? Ignorancja Dory w sprawach religijnych, jak zresztą w większości spraw, była naprawdę ogromna. Właściwie nigdy nie umiała odróżnić religii od zabobonu, a zaprzestała praktyk religijnych przekonawszy się, że potrafi odmówić Ojciec Nasz szybko, a nie potrafi powoli. Straciła tę odrobinę wiary, jaką posiadała, zupełnie bezboleśnie i jakoś nigdy nie miała okazji rozpatrzeć sprawy od nowa. Zastanawiała się teraz, czy Paweł uczestniczy w praktykach religijnych tam na wsi. Ślub wzięli w kościele, bardzo uroczysty mimo ironicznych spojrzeń rzucanych Pawłowi przez niektórych jego przyjaciół. Bo Paweł, idąc śladem swojego ojca i dziadka, pragnął zanglicyzować się jak najdokładniej we wszystkim, co dotyczyło klasy społecznej i religii. Dora nieprędko zdała sobie z tego sprawę, ale gdy to zrozumiała, ich wzajemny stosunek wydał jej się bardziej nierealny. Co więcej, pogarda Pawła jako chrześcijanina była trudniejsza do zniesienia niż pogarda Pawła jako uczonego, ponieważ ten aspekt jego osobowości był dla biednej Dory jeszcze mniej zrozumiały. Czy Paweł wierzy w Boga? Dora nie wiedziała. I gdy teraz jej myśli wskrzesiły Pawła w jego realnej postaci, i gdy w końcu jej wyobraźnię poruszyła świadomość, że Paweł naprawdę istniał przez cały ten dziwny okres i nadal żyje, myśląc o niej i osądzając ją, serce w niej zamarło. Postanowiła nie jechać.

Zmieniła zdanie po rozmowach z Sally, która nie lubiła Noela i zawsze, jak Dora posądzała, podkochiwała się w Pawle, i po rozmowach z Noelem, który martwił się teraz poważnie stanem nerwów Dory i nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Dora zabrała drobiazgi z mieszkania na Knightsbridge; serce biło jej gwałtownie, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła znajome, oskarżające wnętrza, przeładowane ozdobami, i gdyby nie kurz i woń nieobecności, zupełnie niezmienione. Przy okazji wzięła też trochę swoich rzeczy. Jej ucieczka nie była dokonana tak zupełnie bez premedytacji, była jednak całkowicie nieorganizowana. Gdy nadszedł wtorek, strach przed zobaczeniem Pawła stłumił wszystkie inne uczucia. Przepląkała w samochodzie Noela całą drogę na dworzec Paddington.

Dzień był potwornie gorący. Przyjechali dość wcześnie, ale pociąg stał już i był dość zatłoczony. Noel znalazł miejsce w rogu, po stronie korytarza, i umieścił jej dużą walizę na siatce, a na walizie położył papierową torbę z włoskim kapeluszem słomkowym Pawła. Dora rzuciła mniejszą torbę płócienną na siedzenie i wyszła z Noelem na peron. Spojrzeli na siebie.

– Nie czekaj – powiedziała Dora.

– Zęby ci szcękają – zauważył Noel. – A przynajmniej tak mi się zdaje. Nigdy dotąd nie widziałem tego zjawiska.

– Przestań! – rzuciła Dora.

– Głowa do góry, kochanie – rzekł Noel. – Wyglądasz jak obraz nieszczęścia. Ostatecznie jak ci tam będzie źle, wrócisz. Została ci wolność działania.

– Na pewno? – zachnęła się Dora. – No już dobrze, dobrze, mam chusteczkę. A teraz idź.

Stali trzymając się za ręce. Noel był bardzo wysoki, miał bladą, nie poznaczoną bruzdami twarz i płowe, bezbarwne włosy. Ze swoją łagodną, jakby zakłopotaną, dobrotliwą słodyczą w wyrazie oczu przypominał dużego misia. Uśmiechnął się do niej, chciał okazać współczucie bez wpadania w jej nastrój.

– Pisz do wujaszka Noela, dobrze?

– Jeżeli mi dadzą – wybuchnęła Dora.

– Dora, kochanie – powiedział Noel. – Nie bądź taka tragiczna. A przede wszystkim nie pozwól, żeby ci ludzie obudzili w tobie poczucie winy. To nigdy nie wychodzi na dobre. – Wziął ją pod łokcie i podniósł na chwilę do góry. Pocałowali się. – Serdecznie uściskaj Pawła.

– Akurat! Pa, kochanie!

Dora weszła do pociągu. Było teraz naprawdę bardzo ciasno, w przedziałach na każdej ławce siedziały po cztery osoby. Zanim usiadła, przejrzała się szybko w lustrze. Mimo strasznych przeżyć wyglądała ładnie. Miała okrągłą, kształtną twarz i duże usta, które chętnie się uśmiechały. Jej oczy były ciemnoniebieskie, szarawe, podłużne i duże. Sztuka przyciemniła, ale nie zmieniła linii mocno zarysowanych, trójkątnych brwi. Złotobrązowe włosy zwisały płaskimi, długimi pasmami po bokach głowy, jak paproć puszczająca pędy w dół skały. Wyglądało to bardzo ładnie. Figury nie miała już takiej jak kiedyś.

Podeszła do swojego miejsca. Tęga starszawa pani odsunęła się trochę i Dora wcisnęła się na ławkę; było jej gorąco i ciasno w eleganckim, pozbawionym charakteru kostiumie, którego nie miała na sobie od wiosny. Nienawidziła takiej bliskości obcego człowieka przyciśniętego do jej boku. Spódnica była za obcisła. W butach na wysokich obcasach też jej było ciasno. Czuła na ciele wilgoć potu i zaczęła odróżniać zapach potu współpasażerów. Dzień był piekielnie gorący. Udało mi się, że mam miejsce, pomyślała i nie bez pewnej satysfakcji zaczęła obserwować tłoczących się na korytarzu ludzi, którzy nie mieli gdzie siedzieć.

Inna starsza pani przecisnęła się przez tłum, stanęła w drzwiach przedziału i zwróciła się do sąsiadki Dory:

– Ach, tu jesteś, kochanie! Myślałam, że siedzisz dalej na przedzie. – Wymieniły dość posępne spojrzenia, nowo przybyła pochylała się oparta o drzwi, nogi miała uwięzione w stosie walizek. Zaczęły przekonywać się nawzajem, że pociąg chyba jeszcze nigdy nie był tak zatłoczony.

Dora przestała słuchać, bo nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Powinna ustąpić miejsca. Odegnęła ją od siebie, ale myśl zaraz wróciła. Nie było co do tego wątpliwości. Starsza pani stojąca w drzwiach wydawała się bardzo wątpią i Dora, zdrowa i młoda, powinna jej ustąpić miejsca; staruszka siedziałaby wtedy obok swojej przyjaciółki. Dora czuła, jak krew napływa jej do twarzy.

Siedziała bez ruchu zastanawiając się nad tą sprawą. Nie ma sensu działać pochopnie. Mogło być oczywiście tak, że przyznając wyraźnie, iż powinna ustąpić miejsca, nie zrobi tego po prostu z czystego egoizmu. Byłaby to w pewnym sensie sytuacja lepsza, niż gdyby w ogóle nie przyszło jej do głowy, że powinna ustąpić miejsca. Po drugiej stronie siedzącej obok niej starszej pani siedział mężczyzna. Czytał gazetę i chyba w ogóle nie myślał o swoim obowiązku. Może jeśli Dora zaczeka, przyjdzie mu do głowy, żeby ustąpić miejsca stojącej staruszce? Mało prawdopodobne. Dora przyjrzała się pozostałym podróżnym. Nie wydawali się w najmniejszym stopniu zakłopotani. Ich twarze, jeśli nie były jeszcze pochylone nad książkami, wyrażały egoistyczną uciechę, malującą się też pewnie na jej twarzy, gdy patrzyła przed chwilą na zatłoczony korytarz. Ale sprawa miała jeszcze inny aspekt. Dora zadała sobie trud, żeby być na dworcu wcześniej, i to z pewnością powinno być nagrodzone. Ale może te dwie starsze panie nie mogły przyjść wcześniej? Nie sposób wiedzieć. W każdym razie zgodnie z zasadami elementarnej sprawiedliwości osoby, które wcześniej przyjeżdżają, powinny mieć miejsca siedzące. Starszej pani będzie doskonale na korytarzu. Korytarz jest pełen starszych pań i chyba nikt poza nią tym się nie przejmuje, a już najmniej starsze panie! Dora nie cierpiała bezsensownych poświęceń. Ostatnie przeżycia wyczerpały ją i należało jej się trochę odpoczynku. Zresztą nie powinna przyjeżdżać zmęczona do celu podróży. Uznała swoją rozterkę za objaw hysterii. Postanowiła, że nie ustąpi miejsca.

Wstała i powiedziała do starszej pani w drzwiach:

– Proszę, niech pani usiądzie. Nie jadę daleko, a zresztą i tak wolę stać.

– Jak to uprzejmie z pani strony! – ucieszyła się stojąca pani. – Będę mogła teraz siedzieć obok mojej, przyjaciółki. Wie pani, mam miejsce trochę dalej na przedzie, może mogłybyśmy się

zamienić? Pomogę pani przenieść walizki.

Dora była zachwycona. Cóż może być słodsze od nieoczekiwanej nagrody za cnotę?

Zacząła się przepychać przez korytarz dźwigając dużą walizę, gdy tymczasem starsza pani niosła torbę płócienną i kapelusz Pawła. Trudno było się posuwać w tłoku i kapelusz Pawła nie wychodził na tym najlepiej. Pociąg ruszył z dworca.

Gdy dotarły do drugiego wagonu, okazało się, że starsza pani ma miejsce przy oknie. Szczęście Dory było teraz pełne. Starsza pani odeszła ze swoim niewielkim bagażem i Dora natychmiast zaczęła się instalować.

– Pomogę pani – zwrócił się do niej wysoki, opalony mężczyzna siedzący po drugiej stronie. Podniósł lekko dużą walizę i umieścił ją na siatce, a Dora rzuciła na wierzch kapelusz Pawła. Mężczyzna uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Usiedli. Wszyscy w tym przedziale byli szczuplejsi.

Dora zamknęła oczy i natychmiast przypomniała sobie o swoim przerażeniu. Wraca z własnej woli we władzę człowieka, który stworzył sobie koncepcję jej życia odrzucając lub potępiając jej najgłębsze popędy i który ma teraz mnóstwo powodów, żeby ją uznać za osobę zepsutą. Na tym polega małżeństwo, pomyślała Dora; że jest się uwięzionym w dążeniach drugiego człowieka. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że posiada władzę nad Pawłem. W każdym razie małżeństwo z nim to był fakt, jeden z nielicznych pewnych faktów w jej chaotycznej egzystencji. Była bliska łez i usiłowała myśleć o czymś innym.

Pociąg toczył się z łoskotem przez Maidenhead. Dora żałowała, że zanim pociąg ruszył, nie wyjęła książki z walizki. Była zbyt nieśmiała, żeby fatygować teraz swojego sąsiada. Zresztą książka znajdowała się na samym dnie, a na wierzchu leżały butelki whisky, więc lepiej dać spokój. Zaczęła się przyglądać pasażerom w przedziale. Jakieś bezbarwne siwe panie, starszy pan i naprzeciwko niej dwaj młodszy mężczyźni. A raczej mężczyzna i chłopiec. Chłopiec siedzący przy oknie miał z osiemnaście lat, a mężczyzna, który przed chwilą pomógł jej umieścić walizkę na siatce, ze czterdzieści. Jechali chyba razem. Obaj przystojni. Mężczyzna był wysoki i szeroki w ramionach, ale jego twarz pod opalenizną wydawała się jakby wymizerowana i ściągnięta. Miał otwarte, przyjazne spojrzenie, szerokie czoło przecięte rzędami równoległych zmarszczek i gęste, ciemnobrązowe, kręcone włosy, miejscami siwiejące. Trzymał dłonie o nabrzmiałych żyłach lekko splecione na kolanach i swobodnie przesuwając wzrok po współpodróżnych siedzących na przeciwległej ławce, szacując ich bez najmniejszego zakłopotania. Miał tego rodzaju twarz, która nawet nie uśmiechnięta emanuje życzliwością, i tego rodzaju oczy, które podchwytywają i nawet przetrzymują spojrzenie ludzi obcych, a przy tym nie wydają się agresywne czy uwodzicielskie, czy choćby ciekawe. Mimo upału był ubrany w sportowe ubranie z grubego tweedu. Ocierał spocone czoło czystą chusteczką. Dora zdołała zsunąć żakiet z ramion i ukradkiem wsunęła rękę za bluzkę, żeby wytrzeć pot zbierający się jej między piersiami. Skierowała uwagę na chłopca.

Chłopiec siedział w pozie pełnej wdzięku, może odrobinę świadomego wdzięku, z jedną długą nogą wyciągniętą i prawie dotykającą nogi Dory. Był ubrany w ciemnoszare flanelowe ubranie i białą koszulę odpiętą przy szyi. Marynarkę zdjął, leżała na siatce, a rękawy koszuli miał podwinięte i trzymał obnażone ramię na zakurzonej półeczce pod oknem, gdzie padało słońce. Był mniej ogorzały od swojego towarzysza, ale niedawne słońce przypaliło mu policzki na kolor śniadoczerwony. Miał doskonale okrągłą głowę, ciemnobrązowe oczy i sypkie, ciemnokasztanowe włosy, dość długie, opadające miękkim łukiem, jak łuk muszli, i przycięte równo na karku. Był bardzo smukły i miał zdziwione, zuchwałe spojrzenie człowieka szczęśliwego.

Obserwując chłopca – taki był ufny, nie naznaczony, tryskający zdrowiem, posiadający

jeszcze wszystkie swoje bogactwa – Dora rozpoznała ten wyraz, znała go z własnej przeszłości. Młodość to wspaniała szata. Jak zbędne jest współczucie okazywane młodym! Istnieje wiek trudniejszy, który przychodzi trochę później, kiedy marny mniej przed sobą i mniejszą zdolność zmiany, kiedy kości zostały już rzucone i musimy wrosnąć w raz obrane życie bez pociechy, jaką daje przyzwyczajenie, i bez mądrości wieku dojrzałego, kiedy – jak w jej przypadku – nie jesteśmy już *une jeune filie un peu folie* i stajemy się tylko kobietą, co gorsza, żoną. Bardzo młodzi mają swoje troski, ale mają też przynajmniej swoją rolę do odegrania, rolę istot bardzo młodych.

Mężczyzna i chłopiec naprzeciwko rozmawiali i Dora przysłuchiwała się leniwie ich pogawędce.

– Naturalnie musisz pośleścić trochę nad książkami – mówił mężczyzna. – Nie powinieneś zaniedbywać matematyki przed październikiem.

– Będę się starał – powiedział chłopiec. W jego stosunku do towarzysza podróży było pewne onieśmienie. Dora zastanawiała się, czy jest to ojciec i syn, i uznała, że są raczej uczniem i nauczycielem. Starszy mężczyzna miał w sobie coś z pedagoga.

– Studia w Oksfordzie, co to za przygoda dla was młodych – powiedział mężczyzna. – Bardzo jesteś przejęty?

– O, tak, bardzo – odparł chłopiec. Mówił cicho, krępowała go trochę ta rozmowa w miejscu publicznym. Jego towarzysz miał donośny, grzmiący głos, a nikt inny w przedziale nie mówił.

– Nie ukrywam, Toby, że ci zazdroszczę – ciągnął mężczyzna. – Nie wykorzystałem tej szansy i będę tego żałował do końca życia. W twoim wieku interesowałem się tylko żaglówkami!

Toby, pomyślała Dora. Toby Okrągłogłowy.

– Jak cudownie – wymamrotał chłopiec.

Toby usiłuje się przypodobać swojemu nauczycielowi, pomyślała Dora. Wyjęła z paczki ostatniego papierosa i sprawdzwszy kilka razy, czy nic w środku nie zostało, po chwili wahania wyrzuciła paczkę za okno i zaraz spostrzegła dezaprobatę, natychmiast stłumioną, w oczach mężczyzny naprzeciwko. Speszona zaczęła wsuwać bluzkę za pasek spódnicy. Popołudnie robiło się coraz gorętsze.

– I co za wspaniały przedmiot! – ciągnął mężczyzna. – Inżynier zdobywa uczciwy fach i może go wykonywać wszędzie na świecie. Przekleństwem nowoczesnego życia jest to, że ludzie nie mają już prawdziwych fachów. Sam człowiek jest swoim warsztatem pracy. Dawniej wszyscy byliśmy rzeźnikami, piekarzami i złotnikami. Nie uważasz?

– Tak – powiedział Toby. Już od jakiegoś czasu wiedział, że Dora go obserwuje. Niespokojny uśmiech pojawił się na jego wydatnych wargach i zniknął; zachwycająco czerwonych wargach, pomyślała Dora. Poruszył nerwowo nogą i jego stopa dotknęła jej stopy. Cofnął gwałtownie nogę i wsunął pod ławkę. Rozbawiło ją to.

– Oto jeden z celów, jakie postawiliśmy przed sobą – ciągnął mężczyzna. – Chcemy poprzez pracę przywrócić życiu sens i godność. Zbyt wielu ludzi nienawidzi teraz swojej pracy. Dlatego sztuka i rzemiosło są tak ważne. Nawet hobby ludzkie są ważne. Masz jakieś hobby?

Chłopiec milczał powściągliwie.

Dora zauważyła dzieci stojące obok nasypu i machające rękami. Pokiwała do nich uśmiechając się bezwiednie. Pochwyciła spojrzenie Toby'ego; też się zaczął uśmiechać, ale prędko odwrócił wzrok. Widziała rumieniec wpływający mu na twarz. Była zachwycona.

– Jest to problem stojący przed całym naszym społeczeństwem – mówił mężczyzna. – Ale każdy z nas ma swoje indywidualne życie, prawda? I biada liberalizmowi, jeżeli zniknie kiedykolwiek ta świadomość indywidualnego powołania. Ostatecznie możemy dać przykład, możemy niejako symbolicznie utrzymywać ten problem przed oczami ludzi. Zgadzasz się ze

mną?

Toby się zgodził.

Pociąg zaczął zwalniać.

– Ależ to Oksford! – zawołał mężczyzna. – Spójrz, Toby, twoje miasto!

Wskazał ręką i wszyscy w przedziale obrócili się i spojrzeli na kontury wież wysrebrzonych upałem na tle nieba bladego od światła. Dora przypomniała sobie nagle swoją jazdę z Pawłem przez Włochy. Chciał sprawdzić coś w jakimś rękopisie i Dora towarzyszyła mu w odbywanej jednym tchem podróży. Paweł nie cierpiał pobytów za granicą. To samo dałoby się wtedy powiedzieć o Dorze. Jałowa ziemia niewidoczna w oślepiającym słońcu i nieszczęsne, wygłodniałe koty odpędzane serwetkami przez kelnerów w drogich restauracjach. Przypominały jej się wieże miast widzianych zawsze z dworców kolejowych, miast z ich pięknymi nazwami – Perugia, Parma, Piacenza. Szarpnął nią dziwny, nostalgiczny ból. Oksford w letniej mgiełce wydawał jej się niemniej obcy. Nigdy tu nie była. Paweł studiował w Cambridge.

Pociąg zatrzymał się teraz, ale mężczyzna i chłopiec nie wysiedli.

– Tak, symbole są ważne – powiedział mężczyzna. – Czy przyszło ci kiedyś na myśl, że wszystkie symbole mają swój aspekt sakralny? Nie żyjemy samym Chlebem. Pamiętasz, co ci mówiłem o dzwonie?

– Tak – odparł Toby z pewnym zainteresowaniem. – Czy przyślą go, zanim wyjadę?

– Ależ na pewno – powiedział mężczyzna. – Dzwon powinien być na miejscu za dwa tygodnie. Projektujemy małą ceremonię, coś w rodzaju chrztu, wszystko bardzo malownicze i tradycyjne. Biskup zgodził się łaskawie przyjechać. A ty będziesz jednym z naszych eksponatów... rozumiesz, pierwszym z niewielu, a raczej pierwszym z wielu. Bo mamy nadzieję, że wy młodzi będziecie coraz liczniej odwiedzać Imber.

Dora wstała raptownie i potykając się wyszła na korytarz. Policzki jej pały, więc się zasłoniła ręką. Upuściła papierosa na podłogę, ale go nie podniosła. Pociąg ruszył.

Nie mogła się przesłyszeć. Ci dwaj też jadą do Imber, muszą być członkami tego tajemniczego bractwa, o którym wspominał Paweł. Dora oparła się o poręcz w korytarzu. Wsunęła rękę do torebki szukając papierosów, okazało się jednak, że zostawiła paczkę w kieszeni żakietu. Nie może teraz wracać do przedziału. Za plecami słyszała wciąż głosy Toby'ego i jego mentora i nagle wydało jej się, że mówią o niej. Przez kilka chwil istnieli dla jej rozrywki – teraz zasiądą przed nią jako sędziowie. Znajomość z nimi w przedziale pociągu była czymś błahym i kruchym, lecz przynajmniej niewinnym. Dora ceniła sobie urok takich przelotnych kontaktów. Ale teraz było to jedynie preludium posępniejszej wiedzy. Zaczęła się zastanawiać, ile im Paweł o niej powiedział i co powiedział. Jej wyobraźnia, wciąż podniecona nagłym zrozumieniem, że Paweł istniał przez wszystkie miesiące ich separacji, teraz zaczęła się borykać ze świadomością, że nie istniał sam. Może ci ludzie wiedzieli, że ona dzisiaj przyjeżdża? Może ten opalony mężczyzna, który teraz nagle zdawał się mieć w sobie coś z duchownego, szukał kobiety wyglądającej jak żona Pawła? Może spostrzegł, że ona usiłowała pochwycić spojrzenie Toby'ego? W jaki sposób Paweł ją opisał?

Dora miała bardzo żywą wyobraźnię, przynajmniej w odniesieniu do własnej osoby. Dawno już uznała tę swoją wyobraźnię za niebezpieczną i nauczyła się ją usypiać, podobnie jak usypiała pamięć. Teraz rozbudzona wyobraźnia zaczęła dręczyć Dorę obrazami. Rzeczywistość sytuacji, w której miała się niedługo znaleźć, ukazała jej się w rzędach twarzy przygotowanych do ferowania wyroków; i przyszło jej na myśl, że teraz wszyscy członkowie tego już znieawidzonego bractwa wystąpią przeciwko niej z oskarżeniem, które gotowa była przyjąć od Pawła. Zaciśnęła powieki w nagłym przypływie gniewu i rozpacz. Dlaczego o tym nie pomyślała? Jest głupia i dostrzega tylko jedną rzecz naraz. Paweł się utysiąckrocił.

Spojrząwszy na zegarek uprzytomniła sobie z przerażeniem, że pociąg powinien być w Pendelcote za niecałe dwadzieścia minut. Serce zaczęło jej bić mocniej z bólu i radości na myśl o zobaczeniu Pawła. Musi koniecznie wrócić do przedziału. Upudrowała nos, wepchnęła wygniecioną bluzkę w spódnicę, poprawiła kołnierzyk i wsunęła się do przedziału trzymając głowę nisko pochyloną. Toby i jego towarzysz nadal rozmawiali, ale Dora obrzucała się w duchu przekleństwami, żeby nie słyszeć ich słów.

Spojrzała odważnie na podłogę i zobaczyła parę ciężkich trzewików i nogi Toby'ego w sandałach. Minęło kilka chwil i ból w jej sercu stał się jeszcze dokuczliwszy.

Nagle spostrzegła, że pod ławką naprzeciwko spaceruje po zakurzonej podłodze motyl, czerwony admirał. Wszystkie inne myśli zniknęły. Przyglądała się niespokojnie motylowi. Zatrzepotał skrzydełkami i zaczął się posuwać w kierunku okna, niebezpiecznie blisko nóg pasażerów. Dora wstrzymała oddech. Powinna coś zrobić. Ale co? Zaczerwieniła się niezdecydowana i zakłopotana. Nie mogła schylić się na oczach wszystkich i wziąć motyla do ręki. Pomyśleliby, że jest głupia, to było wykluczone. Opalony mężczyzna zauważył widocznie napięcie w spojrzeniu Dory, bo schylił się i zaczął poprawiać sznurowadła. Oba były porządnie zawiązane. Przesunął nogi o mało nie nadepnąwszy na motyla, który wychodził teraz na otwartą przestrzeń między ławkami.

– Przepraszam – powiedziała Dora. Uklękła, delikatnie zgarnęła motyla w dłoń i przykryła go drugą dłonią. Czuła, jak się trzepocze w środku. Wszyscy wytrzeszczali na nią oczy. Zaczerwieniła się gwałtownie. Toby i jego przyjaciel patrzyli na nią z przyjaznym zdziwieniem. Co ona ma teraz zrobić? Jeżeli wypuści motyla za okno, wciągnie go i zabije pęd powietrza. Nie mogła jednak trzymać go dalej w rękach, wyglądałoby to okropnie idiotycznie. Schyliła głowę niby to przyglądając się swojemu jeńcowi.

Pociąg zwalniał. Dora uprzytomniła sobie ze zgrozą, że musi to być Pendelcote. Toby i jego towarzysz zbierali bagaże. Już widać było stację. Szli do drzwi, gdy pociąg szarpnęła i zatrzymał się. Dora wstała z rękami wciąż złożonymi. Musi się wydostać z pociągu. Szybko przesunęła dłoń przez rączki torebki i płóciennego worka i natychmiast ją zamknęła nad nieruchomym teraz motylem. Potykając się wyszła na korytarz. Nowi pasażerowie wsiadali już do pociągu. Dora szła tyłem, przepychając się energicznie, trzymając motyla w złożonych dłoniach przyciśniętych bezpiecznie do piersi. Zdołała zejść z wysokiego stopnia na peron i nie upaść, chociaż pięty niewygodnych pantofli wygięły jej się na zewnątrz. Złapała równowagę i zaczęła się rozglądać. Stała na nie osłoniętej części peronu i słońce odbijające się od roziskrzonego betonu oślepiło ją. Przez chwilę nic nie widziała. Pociąg ruszył powoli.

Nagle z głębokim wstrząsem zobaczyła idącego ku niej Pawła. Jego fizyczna obecność jakby się żarzyła, szarpnęła ją znowu za serce i Dora jednocześnie odczuła lęk i radość, że go widzi. Zmienił się trochę, był szczuplejszy i opalony, a jaskrawe światło popołudnia ukazało Dorze całą wspaniałość jego urody południowca, jego trochę edwardiańskiej elegancji. Nie uśmiechał się do niej, tylko patrzył na nią w napięciu, wzrokiem badawczym i pełnym niespokojnej podejrzliwości. Opadające, ciemne wąsy podkreślały cierpką linię ust. Przez sekundę Dora czuła się szczęśliwa, że uczyniła przynajmniej jedno, żeby mu sprawić przyjemność. Ale już w następnej chwili, gdy podszedł bliżej, odczuwała tylko niepokój i strach.

Tuż za Pawłem szedł Toby i jego towarzysz, widocznie spotkał się z nimi gdzieś dalej na peronie. Uśmiechali się do Dory zza pleców Pawła. Obróciła się do niego.

– Jesteś, Dora... – zaczął Paweł.

– Dzień dobry – powiedziała Dora.

Towarzysz Toby'ego zawołał:

– Co za spotkanie! Żałuję, że nie wiedzieliśmy, kim pani jest. Przykro mi, że nie

próbowaliśmy wciągnąć pani do rozmowy. Jechaliśmy z twoją żoną, ale nie mieliśmy pojęcia, że to ona.

– Pozwól, Dora, że ci przedstawię pana Jamesa Taypera Pace – zwrócił się do niej Paweł. – A to jest Toby Gashe. Chyba nie przekreśliłem twojego nazwiska? Moja żona.

Stali razem w słońcu, ich cienie zlewały się ze sobą. Inni pasażerowie odeszli.

– Bardzo mi miło panią poznać! – zahuczał James Tayper Pace.

– Mnie też – wybąkała Dora.

– Gdzie twój bagaż? – spytał Paweł.

– Mój Boże! – jęknęła Dora. Szczeka jej opadła. Walizka została w pociągu.

– Zostawiłaś w pociągu?

Dora skinęła głową.

– Typowe, moja droga – stwierdził Paweł. – Chodźmy do samochodu. – Zatrzymał się. – Czy mój notes jest w walizce?

– Tak – odparła Dora. – Strasznie mi przykro.

– Odzyskacie ją państwo – zapewnił ich James. – Ludzie są uczciwi.

– Doświadczenie uczy mnie czegoś innego – powiedział Paweł. Twarz miał zamkniętą, surową. – Chodźmy. Dlaczego trzymasz ręce złożone? Modlisz się?

Dora zapomniała o motyłu. Otworzyła ręce, trzymała przeguby złączone i rozchyliła dłonie jak kielich kwiatu. Wyfrunął z nich barwny motyl. Jakiś czas zataczał kręgi, a potem przeleciał nad zalany słońcem peronem i zniknął w oddali. Przez chwilę trwało pełne zdumienia milczenie.

– Zaskakujesz mnie oryginalnością pomysłów – oznajmił Paweł. Poszli za nim w kierunku wyjścia.

ROZDZIAŁ II

Land-Rover, prowadzony przez Pawła z dużą szybkością, mknął po zielonej drodze. Żywopłot, zaokrąglony wał pokrytego kurzem listowia, wybrzuszał się nad krawędzią drogi i ocierał o samochód.

– Mam nadzieję, że siedzi się pani wygodnie tam na przedzie – powiedział James Tayper Pace. – Bo to niestety nie jest nasz najwygodniejszy samochód.

– Dziękuję, jest mi doskonale – odparła Dora. Obejrzała się i zobaczyła uśmiech na twarzy Jamesa, przygarbionego i ogromnego na tylnym siedzeniu. Toby’ego nie widziała, bo siedział w prostej linii za nią. Była wciąż ogłuszona historią z bagażem. Zostawiła notes Pawła w pociągu. I jego specjalny włoski kapelusz od słońca. Bała się na niego spojrzeć.

– Chciałem wziąć Hillmana – oznajmił Paweł. – Ale jego wysokość jeszcze nie raczył go naprawić.

Zapadło milczenie.

– Przynajmniej raz pociąg się nie spóźnił – powiedział James. – Chyba zdążymy na kompletę.

Cień objął już drogę i przedwieczne słońce zaledwie dotykało potężnych, złotożółtych koron wiązów pozostawiając resztę w ciemnozielonym mroku. Dora otrząsnęła się z odrętwienia, spojrzała na okolicę. Ogarnęło ją zdumienie przysięgłego mieszczucha, dla którego krajobraz wiejski zawsze jest trochę nierzeczywisty, Zbyt bujny i zbyt rzeźbiarski, i zbyt zielony. Pomyślała o dalekim Londynie, o przyjaznym brudzie i hałasie King’s Road w letni wieczór, kiedy drzwi barów są szeroko otwarte. Zadygotała i podciągnęła nogi na siedzenie. Niedługo będzie musiała stanąć twarzą w twarz z tymi obcymi ludźmi; a potem będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Pawłem. Pragnęła, żeby nigdy nie zajechali na miejsce.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – odezwał się James. – Zbliżamy się do ogrodzenia posiadłości. Zanim dotrzemy do bramy, będziemy blisko milę jechali wzdłuż muru.

Ogromny mur wyrósł po prawej stronie. Dora spojrzała w lewo. Żywopłot urwał się i zobaczyła złociste ściernisko, a za nim puszysty zagajnik. Jeszcze dalej ciągnęła się falista, błękitna linia odległych wzgórz. Dora miała uczucie, że po raz ostatni patrzy na świat zewnętrzny.

– Jak skęcimy, będziemy mieli piękny widok na dom – powiedział James. – Toby, widzisz dobrze ze swojego miejsca?

– Doskonale, dziękuję – usłyszała Dora tuż za sobą głos Toby’ego.

Samochód zaczął zwalniać.

– Brama jest chyba zamknięta – powiedział Paweł. – Zostawiłem ją otwartą, ale ktoś był łaskaw zamknąć. – Zatrzymał samochód tuż pod murem, kołami w wysokiej trawie, i dwa razy nacisnął klakson. Dora zobaczyła trochę dalej w murze dwa ogromne filary zwieńczone kulami i wysoką żelazną bramę.

– Nie trąb – zwrócił się James do Pawła. – Toby otworzy.

– Naturalnie! – zawołał Toby; poderwał się natychmiast i wysiadł z samochodu.

Kiedy otwierał bramę, podnosząc i wyjmując ogromną zatyczkę z dziury w betonie, wiatr przywiał z podjazdu dwie płachty gazety; jedna owinęła mu się dokoła nogi, druga podskakując i okręcając się wyfrunęła na drogę. Paweł, który patrzył surowo przed siebie, ani razu nie obracając się do Dory, powiedział:

– Warto by namówić brata Nicka, żeby się postarał nie robić z tego miejsca slumsów!

James milczał. Toby wrócił i wskoczył na swoje miejsce. Paweł zjechał na drogę i zatoczywszy szeroki łuk skręcił pod prostym kątem na podjazd. Za bramą Dora zobaczyła po lewej mały murowany domek dozorczy. Drzwi były otwarte i trzecia płachta gazety wydostawała się właśnie na zewnątrz. Gdzieś w środku zaczął szczekać pies. Dostrzegła kątem oka jakieś poruszenie i obróciwszy się zobaczyła krępego mężczyznę o długich, nieporządnym ciemnych włosach, który wyszedł przed drzwi i odprowadzał wzrokiem oddalający się samochód. James też się obejrzał. Paweł mruknął patrząc w lusterko:

– No, no!

Dora spojrzała znów przed siebie i na sekundę zdumienie zaparło jej oddech. W znacznej odległości, na końcu alei wysadzonej drzewami, ukazał się duży dom. W alei było mroczno, ale dom stał poza nią, oświetlony ukośnymi promieniami zachodzącego słońca. Fasada była perłowszara i na tle bladego nieba w przedwieczornym świetle miała w sobie wyblakłą świetlistość sztychu. Pośrodku fasady, wsparty na czterech kolumnach, wznosił się ponad linię dachu wysoki szczyt. Nad nim wyrastała zielona miedziana kopuła. Na wysokości pierwszego piętra kolumny kończyły się balustradą, z której dwoma szerokimi łukami prowadziły w dół kamienne schody.

– Oto Imber Court – powiedział James. – Piękny, prawda? Widzisz coś ze swojego miejsca, Toby?

– Palladiański – rzekł Paweł.

– Tak – przyznała Dora. Pierwszy raz od spotkania na dworcu wymienili uwagi.

– Tu mieszkamy – ciągnął James. – My tutaj, a zakonnice bardziej na lewo. Naturalnie podjazd nie prowadzi do samego domu. Oddziela nas jezioro. Zaraz je zobaczymy. Tam z lewej pokaże się mur Opactwa. Samo Opactwo jest ukryte za drzewami. Z naszego brzegu jeziora widać wieżę, ale stąd jest widoczna tylko zima.

Dora i Toby spojrzeli w lewo i dostrzegli między pniami drzew mur identyczny z tym, wzdłuż którego prowadziła droga. Gdy patrzyli odwrócen, samochód skręcił podjazdem w prawo i ukazała się tafla wody.

– Nie przypuszczałem, że Opactwo jest tak blisko – powiedział Toby. – Och, jesteśmy nad jeziorem! Czy można w nim pływać?

– Można, jeżeli komuś nie przeszkadza szlam – zaśmiał się James. – Zresztą tyle w nim wodorostów, że miejscami nie jest bezpiecznie. Lepiej porozmawiaj z Michałem, to nasz ekspert od jeziora.

Samochód toczył się teraz tuż nad krawędzią wody, która poza błotnistym pasem sitowia była gładka i szklista, uszlachetniała ostatnie barwy dnia przetapiając je w bladą emalię. Jezioro było ogromne. Obejrząwszy się Dora dostrzegła niewyraźnie na jego odległym brzegu coś, co było chyba murem Opactwa. Pałac zniknął teraz za drzewami. Jezioro zwężało się tworząc przesmyk i samochód zaczął skręcać w lewo. Paweł zwolnił i ostrożnie, krok za krokiem, przejechał przez drewniany most, który klekotał głośno pod kołami.

– Do jeziora wpadają z tej strony trzy rzeczulki – objaśniał James. – Jest jeszcze jedna rzeka, wypływająca z jeziora na drugim końcu. Och, trudno ją nazwać rzeką, raczej struga ciekąca leniwie przez bagniska.

Samochód przejeżdżał z łoskotem, bardzo powoli, przez drugi most. Dora spojrzała w dół i zobaczyła w szparze między deskami wodę, zieloną, połyskującą, gęstą od wodorostów.

– Stąd nie widać tamtego końca jeziora – ciągnął James – ponieważ skręca za dom. Jezioro ma kształt litery L, patrząc z tego miejsca, odwróconej litery L, i dom stoi w jej załamaniu.

Przejechali przez trzeci most. Samochód znowu skręcił w lewo i Dora zaczęła wypatrywać domu. Wyłonił się przed nimi prawie natychmiast, zobaczyli go z boku – szary kamienny

prostokąt przecięty trzema rzędami okien. Poniżej, nie przy samym podjeździe, były zabudowania gospodarskie, nad którymi wznosiła się wytworna wieża zegarowa.

– A tu jest nasze gospodarstwo ogrodnicze – powiedział James wskazując w prawo.

Dora zobaczyła grzędy warzyw i szklarnie. Dalej rozpościerał się park, nad którym górowały tu i ówdzie ogromne drzewa. Powietrze było duszne i mroczne. Dalekie trawniki ociekały ostatnimi promieniami światła, już płowiejącego i przymglonego.

Samochód wjechał na żwir i zatrzymał się. Stanęli przed frontem domu. Dora miała gardło ściśnięte ze zdenerwowania, czuła, jak krew napływa jej do twarzy. Sztywno zaczęła wysiadać z samochodu. James wyskoczył tylnymi drzwiami i ofiarował pomoc. Jej pantofle na wysokich obcasach zachrzęściły na żwirze. Zrobiła krok do tyłu i spojrzała na dom.

Stąd nie wydawał się tak ogromny, jak kiedy patrzyła na niego z daleka. Korynckie kolumny podtrzymywały szeroki portyk nad balkonem, za którym w głębi były pokoje pierwszego piętra. Na obu końcach wypływały z balkonu schody zachodzące na boczne skrzydła domu i wracające znów na front, by dotknąć ziemi niedaleko siebie i blisko środka fasady. Kamienne lwy, przycupnięte w kocim samozadowoleniu, zdobiły końce Obu kamiennych balustrad, a między nimi widać było rząd drzwi balkonowych, które umieściła tu jakaś bezbożna ręka w końcu dziewiętnastego stulecia, drzwi prowadzących do dużej sali na parterze. Kunsztowny kamienny medalion nad tymi drzwiami głosił: „*Amor via mea.*” Podobny medalion wieńczył wysokie drzwi w górze na balkonie, a od medalionu wstęga rzeźbionych girland wiodła oko wyżej ku kamiennym kwiatom pod dachem portyku, połyskującym niewyraźnie w ostatnich smugach światła odbijającego się od jeziora. Obróciwszy się Dora zobaczyła, że żwirowany podjazd jest właściwie tarasem zakończonym kamienną balustradą ozdobioną urnami, z którego prowadziły w dół szerokie i płytkie stopnie, popękane i trochę zarośnięte mchem i trawą. Łagodny, trawiasty stok schodził ku jezioru, leżącemu bardzo blisko domu, a od kamiennych stopni wiodła nad brzeg wody trawiasta ścieżka obramowana dwoma rzędami niebezpiecznie pochylonych cisów.

– Jakie to cudowne – powiedziała Dora.

– Zupełnie niezły okaz tego rodzaju architektury – przyznał Paweł.

Dora wiedziała z doświadczenia, że Pawłowi najszybciej wraca humor, kiedy może jej coś pokazać. Patrzył na dom z satysfakcją, jakby go sam zbudował.

– Uczeń Inigo Jonesa – dodał.

– Jeżeli chcecie zdążyć na kompletę, musicie się pośpieszyć – wtrącił James. – Strasznie mi przykro. – Zaczął wchodzić na schody prowadzące na balkon. Tamci poszli za nim.

James zatrzymał się, spojrzał na nich w dół.

– Sądzę, że nowo przybyli mają ochotę przyłączyć się do nas? – spytał.

– Tak, bardzo chętnie – powiedział Toby. Była to chyba właściwa odpowiedź.

Dora domyślała się, że komplety są czymś w rodzaju nabożeństwa. Opóźni to przynajmniej moment, w którym będzie musiała zetknąć się z tymi wszystkimi ludźmi, i jeszcze gorszą chwilę, gdy zostanie sama z Pawłem. Skinęła głową.

Paweł nic nie powiedział, szedł za nią milczący i zamyślony.

Dora wchodziła na schody ciągnąc dłoń po szerokiej kamiennej balustradzie. Kamień był nagrany od słońca. Zadrżała lekko dotknąwszy ściany domu. W chwilę później znalazła się na szerokim, wykładanym płytami balkonie pod portykiem. Wysokie drzwi przed nią prowadziły do obszernej sali. Nie zapalono jeszcze świateł, więc w środku było ciemnawo. Przekroczywszy próg za Jamesem i Tobym Dora zobaczyła ogromne schody i ludzi śpieszących przez salę, znikających w drzwiach na drugim jej końcu. Unosił się tu zapach stęchlizny, jak zapach czerstwego chleba, woń instytucji dobroczynnej.

Jakaś kobieta odłączyła się od grupki idących śpiesznie postaci i podeszła do nich.

– Bardzo się cieszę, że przyjechaliście na czas – powiedziała. – Witajcie w Imber, Toby i Doro. My tu wszyscy mówimy sobie po imieniu. Mam uczucie, że znam was oboje od dawna, tak dużo o was słyszałam.

Kobieta, którą Dora widziała teraz w mrocznym świetle sali, była osobą w średnim wieku, krępa, o okrągłej, piegowatej, dziewczęcej twarzy porośniętej jasnym puszkciem, co nadawało jej wygląd przyjaznego lwa. Miała sympatyczne niebieskie oczy i bardzo długie płowe włosy zaplecione starannie w warkocze i upięte dokoła głowy.

– Pozwólcie, to jest żona Marka Strafforda. Nazywamy ją wszyscy panią Markową – powiedział James.

– Czy chciałabyś może pójść do łazienki? – zwróciła się pani Markowa do Dory.

– Nie, dziękuję – odparła Dora.

W tym momencie Dora zobaczyła ponad ramieniem pani Markowej dziewczynę, chyba piękną dziewczynę, która śpieszyła za innymi w kierunku drzwi. Była bardzo smukła, miała pociągłą, smutną, bladą twarz, podłużne, ciężkie powieki i masę ciemnych włosów upiętych nisko na karku. Opadające, małe kosmyki włosów zwijały się tworząc krótką, nierówną grzywkę nad jej wysokim czołem. Zanim dziewczyna zniknęła w drzwiach, odwróciła nieznacznie głowę i uśmiechnęła się do Dory.

Dora poczuła natychmiast ukłucie niezadowolenia. Zakładała, że skoro ma ozdabiać tak niesympatyczną scenę, będzie przynajmniej jedyną ładną na niej dziewczyną. Kobieta o wyglądzie pani Markowej wydawała się tu zupełnie na miejscu. Ale postać, którą przed chwilą zobaczyła, była niepokojąca, jak zapowiedź czegoś złego, niemal groźna. Dora uprzytomniła sobie, że nie odpowiedziała dziewczynie uśmiechem. Uśmiech pojawił się na jej wargach w sekundę po tym, jak dziewczyna zniknęła za drzwiami.

– Pójdziemy? – spytała pani Markowa.

Ruszyła przodem. Dora i Paweł szli za nią, Toby i James zamykali pochód. James przyspieszył kroku i otworzył przed nimi drzwi; wyszli wszyscy na szeroki korytarz. Paweł ujął rękę Dory, ścisnął ją mocno i nie puszczał. Nie była pewna, czy oznacza to pogroźkę, czy też chęć dodania jej otuchy. Trzymała dłoń bezwładnie, pełna urazy o ten uścisk, przygnębiona.

W chwilę później wchodzili cicho do dużego, długiego pokoju, w którym paliło się już światło. Przez trzy nie zasłonięte, wysokie, łukowato sklepione okna na przeciwległej ścianie widać było park, teraz przez kontrast z jaskrawym, ostrym światłem wnętrza tonący w mglistym półmroku. Pokój był wysoki i wykładany kunsztowną boazerią. Białoróżowe barwy ścian spłwiałały, a ich przykurzona bladość wydawała się jeszcze bielsza w przykrym, ostrym świetle. Był to, jak domyślała się Dora, wielki salon Imber Court albo sala biesiadna, teraz zamieniona na kaplicę. Ścianę w głębi po jej prawej zasłaniała kotara z ciemnoniebieskiej juty, do której przymocowano na samym środku prosty dębowy krzyż. Poniżej stał na podwyższeniu ołtarz przykryty białym koronkowym obrusem, na nim zaś mosiężny krucyfiks. Z boku umieszczony był ozdobny metalowy stojak na nuty, służący za pulpit do odczytywania lekcji. Poza tym sala była pozbawiona mebli, jeśli nie liczyć kilku rzędów drewnianych krzeseł i rozstawionych tu i ówdzie klęczników. Parę osób klęczało już, a głęboka cisza, która z uwagi na dziwaczność otoczenia wydała się Dorze trochę dramatyczna, kazała jej wstrzymać oddech.

James Tayper Pace przeżegnał się i ukląkł tuż przy drzwiach. Toby ukląkł obok niego.

– Usadowimy cię na końcu – wyszeptła pani Markowa wskazując Dorze i Pawłowi ostatni rząd krzeseł. Następnie przemknęła się na swoje zwykłe miejsce w pierwszych rzędach. Dora i Paweł podeszli do wyznaczonych im miejsc stąpając ostrożnie po nie przykrytej dywanem posadzce. Wróciła cisza.

Po chwili wahania Dora ukląkla obok Pawła. Usłyszała w ciszy, jak głośno bije jej serce.

Przechodząc przez drzwi uwolniła dłoń z uścisku Pawła i teraz ruchem stanowczym złożyła obie ręce i przytknęła je do piersi. Opierając się pobożnej atmosferze odchyliła głowę do tyłu i rozejrzała się po sali. Zobaczyła, że sufit wznosi się ku okrągłemu świetlikowi, będącemu zapewne wnętrzem kopuły, którą widziała z podjazdu. Od środka kopuła wydawała się niewielka. Spojrzenie Dory wędrowało przez chwilę wśród kremowych fryzów, różowych wolut i stiukowych girland, zanim wróciło do poważnej sceny w dole.

Zobaczyła klęczącą w pierwszym rzędzie postać mężczyzny w czarnej sutannie, zapewne duchownego, a obok dostrzegła z przykrym zdziwieniem bezkształtną kupę przykucniętego czarnego sukna, pod którym domyśliła się zakonnicy. Za nimi, tworząc jakby jedną grupę z Jamesem i Tobym, było trzech czy czterech mężczyzn. Pani Markowa klęczała sztywno wyprostowana, z głową przykrytą kraciatą, zmiętą chusteczką; pewnie ją wyciągnęła z kieszeni wchodząc do kaplicy. Ciemnowłosa dziewczyna, którą Dora widziała przelotnie w hallu, klęczała w dalszych rzędach, z głową nisko pochyloną i twarzą ukrytą w dłoniach. Zarzuciła na głowę czarny koronkowy szal, spod którego widać było czarny węzeł włosów błyszczących w jaskrawym świetle. Poza nimi nie było tu innych kobiet.

Ktoś zaczął mówić i Dora podskoczyła zmieszana. Słuchała, ale nie rozumiała ani słowa. Mówcą okazał się duchowny klęczący w pierwszym rzędzie. Dora przysłuchiwała się jeszcze chwilę i w końcu doszła do wniosku, że jest to łacina. Była skonsternowana i głęboko wstrząśnięta. Straciła wiarę, ale zachowała przesady. Nagle otoczył ją ze wszystkich stron szmer głosów i rozpoczął się dialog między kapłanem a kongregacją. Dora odważyła się spojrzeć na Pawła. Klęczał z ramionami wyprostowanymi i rękami założonymi do tyłu, patrząc przed siebie i lekko w górę, na krzyż wiszący w głębi sali. Miał namaszczone i trochę jakby uduchowione minę, którą często przybierał myśląc o swojej pracy, ale nie wtedy, gdy myślał o swojej żonie. Dora zastanawiała się, czy myśli jego ulatywały błogo ku wzniosłym sprawom, czy też ten religijny nastrój dokonał jakiejś przemiany w jego uczuciach. Musi go koniecznie spytać – kiedyś, gdy będzie w dobrym humorze – czy wierzy w Boga. To po prostu śmieszne, żeby nie wiedziała.

Nagle spostrzegła, że zakonnica klęcząca w pierwszym rzędzie ogląda się i patrzy na nią. Była dość młoda i miała szeroką, rumianą twarz i badawcze, intensywne spojrzenie. Wyłączywszy się z nabożnego nastroju, co ludziom modlącym się zawodowo przychodzi bez większego trudu, badała wzrokiem Dorę z pozbawioną uśmiechu bezstronnością. Potem odwróciła się i wyszeptala coś przez ramię do pani Markowej, klęczącej tuż za nią. Teraz pani Markowa spojrzała na Dorę. Zaniepokojona Dora czuła, jak się czerwieni. Dostrzegła jakąś oschłą, dobrze znaną nieuchronność w tych ich spojrzeniach. Z rezygnacją osoby, której nic w życiu nie uchodzi na sucho, przyglądała się pani Markowej, gdy ta wstawiała i obchodziła na palcach krzesła, żeby pochylić się od tyłu nad jej ramieniem. Obróciła głowę, starając się usłyszeć, co pani Markowa szepce jej do ucha.

– Tak, proszę pani? – spytała głośniejszym głosem, niż miała zamiar.

– Siostra Urszula prosi, żebyś przykryła głowę. U nas jest taki zwyczaj.

– Kiedy nie mam czym! – powiedziała Dora, bliska łez ze zdenerwowania i zakłopotania.

– Może być chusteczka – wyszeptala pani Markowa dodając jej odwagi uśmiechem.

Dora wyciągnęła z kieszeni małą, nie bardzo czystą chusteczkę i położyła ją sobie na głowie. Pani Markowa wróciła cicho na swoje miejsce i zakonnica obejrzała się na Dorę z przyjaznym zadowoleniem.

Czerwona na twarzy Dora patrzyła prosto przed siebie. Spostrzegła zmianę na twarzy Pawła, ale nie miała odwagi obrócić głowy. Zaciśnęła dłonie na oparciu stojącego przed nią krzesła. Głosy mamroczące po łacinie nie milkły. Dora uświadomiła sobie, że jej spódnica jest nieznośnie

ciasna i że puściło jej oczko w pończosze i pełźnie w dół nogi. Bolały ją stopy i zrozumiała nagle, jak niewygodnie jest klęczeć w pantoflach na wysokich obcasach. Zaczęła w roztargnieniu rozglądać się po sali. To wnętrze nie było dla niej kaplicą. Było zaniedbanym, obdrapanym, żalonym salonem, w którym odprawiano obce obrządki, na pół złowieszcze i na pół komiczne. Dora odetchnęła głęboko i wstała. Zerwała z głowy idiotyczną chusteczkę i podeszła cicho do drzwi.

Znalazła się w nieznanym korytarzu, ale uchylwszy kilkoro drzwi zdołała wrócić do hallu wykładanego kamiennymi płytami, wychodzącego na balkon. Nasłuchiwała odgłosów pościgu, jednakże nic nie usłyszała. Hall był obszerny i pozbawiony wszelkich ozdób – żadnych kwiatów, obrazów. Kominiek o rzeźbionym kamiennym okapie był starannie wymieciony, na palenisku leżał stos brązowych szyszek świerkowych. Przyczepione do obitej zielonym sukniem tablicy wisiały zawiadomienia o porach posiłków i nabożeństw, a także kartka zapowiadająca wkrótce recital Bacha z płyt. Dora przyspieszyła kroku i wyszła przez wysokie drzwi na balkon.

Oparta o balustradę między kolumnami spojrzała ponad tarasem na jezioro. Słońce zaszło, ale niebo na zachodzie, po jej prawej, żarzyło się mroczno pomarańczową łuną połyskującą kilkoma puchatymi kłębami białych chmur, na których tle rysowała się wyraźnie czarna, poszarpana linia drzew. Zobaczyła sylwetę wieży, należącej zapewne do Opactwa. Jezioro też się leciutko jarzyło, u brzegu tak pociemniało, że niemal czarne, ale tu i ówdzie pokryte cieniutką powłoką niemal fosforyzującego światła. Dora zeszła ze Schodów.

Przebiegła taras i zaczęła schodzić po niskich stopniach. Bolały ją nogi, więc się zatrzymała, zdjęła pantofel i roztarła stopę. Ulga była tak wielka, że natychmiast zrzuciła drugi pantofel. Upadł w wysoką trawę. Cisnęła za nim ten pierwszy zdjęty z nogi i zbiegła nad jezioro. Stopnie były suche i nagrzane. Trawiasta ścieżka między cisami wydawała się już wilgotna od rosy.

Na porośłym sitowiem brzegu jeziora był niewielki drewniany pomost i przy nim mała łódź. Łódź, jak to często małe łodzie, miała w sobie coś przymilnego i kuszącego. Na dnie leżało wiosło. Dora przepadała za łodziami, ale nie umiała pływać, więc wprawiały ją zawsze w zdenerwowanie. Oparła się pokusie, żeby wsiąść do łódki i wypłynąć na czarną, szklaną tafłę jeziora. Zaczęła iść brzegiem, stąpając przez wysoką trawę, która szarpała, czepiała się jej spódnicy. Grunt pod stopami był coraz wilgotniejszy, błotnisty. Jezioro zaczęło skręcać pod ostrym kątem w prawo i Dora zobaczyła, że no drugiej stronie domu ciągnie się następny pas wody, oddzielający dom od Opactwa. Wpatrzona w ciemność uprzytomniła sobie, że jest to jej pierwsza spokojna chwila w tym dniu. Stała tak wsłuchana w ciszę.

Nagle odezwał się po tamtej stronie ostry i wyraźny dźwięk ręcznego dzwonka. Potrząsany z energią dzwonek terkotał natrętnie około minuty. Potem znów zapadła cisza. Wydawało się, że osoba dzwoniąca musi stać na samym brzegu jeziora, tak wyraźnie docierał do uszu Dory ów ostry, nagły dźwięk. Odwróciła się i pobiegła szybko w kierunku ścieżki wysadzanej cisami. Dzwonek ją przestraszył. Dysząc wbiegła na stok, a gdy stanęła na pierwszym stopniu, przypomniała sobie o pantoflach. Zaczęła przeszukiwać wysoką trawę obok stopni. Przeklętych pantofli nigdzie nie było. Zadarła głową i spojrzała na dom, majaczący nad nią niewyraźnie na tle ciemnego nieba. Pochyliła się i znowu zaczęła grzebać bezradnie w trawie. Było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. W domu zabłysło światło, chyba gdzieś w okolicy balkonu. Dora zrezygnowała z poszukiwań i powlokła się przez taras w kierunku schodów. Ostre kamienie raniły jej stopy.

Pokój, w którym zapaliło się światło, wychodził na prawą stronę balkonu; prowadziło do niego dwoje podwójnych oszklonych drzwi, wybitych chyba niedawno i najprawdopodobniej przez tego samego wandalę, który dał się poznać ze swojej działalności na dole. Dora zobaczyła, że w oświetlonym pokoju zbiera się coraz więcej osób. Nie pozwoliła sobie na choćby chwilę

wahania i weszła szybko do środka, osłaniając oczy ręką.

Ktoś chwycił ją za ramię i wciągnął głębiej do pokoju. Była to pani Markowa.

– Biedna Dora, tak mi przykro, żeśmy cię odstraszyli – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie zbłądziłaś w ogrodzie?

– Nie... ale zgubiłam pantofle – odparła Dora. Stopy miała teraz przemoczone i bardzo zmarznięte. Bezwiednie zrobiła kilka kroków i przysiadła na brzegu stołu. Otoczono ją kołem.

– Zgubiłaś pantofle? – W głosie Pawła brzmiała nagana. Zbliżył się i stanął przed nią.

– Zrzuciłam je gdzieś przy samych stopniach, tych prowadzących do ścieżki – wyjaśniła Dora – i potem nie mogłam ich odszukać. – Znalazła dziwną pociechę w prostocie tego wyjaśnienia.

Zbliżył się James Tayper Pace i powiedział:

– Zorganizujemy wyprawę ratunkową! Będzie się składała z Toby’ego i ze mnie, ponieważ zawarliśmy już z panią Greenfield znajomość. Między członków wyprawy zostaną rozdzielone latarki. A tymczasem pani Markowa dokona prezentacji.

– Ja też idę – oznajmił Paweł. Uważał, o czym Dora wiedziała, że potrafi znaleźć każdą zgubioną przez nią rzecz.

Miała nadzieję, że to on znajdzie jej pantofle. Zaraz poprawiłby mu się humor.

Wymachując przemarzniętymi, wilgotnymi nogami w podartych i zabłoconych pończochach Dora przywarła wzrokiem do jedynej teraz znajomej twarzy w pokoju, do twarzy pani Markowej. Stało przed nią i przyglądało jej się mnóstwo osób. Nie śmiała na nie spojrzeć; zresztą sytuacja była już teraz tak straszna, że właściwie było jej wszystko jedno, co kto zobaczy czy co sobie pomyśli.

– Chciałabym ci przedstawić naszą gromadkę – powiedziała pani Markowa. – Toby’ego już znasz.

Dora nie odrywała oczu od pani Markowej; zauważyła, że jej rumiana twarz bez śladu szminki jest w jakiś niepojęty sposób jednocześnie błyszcząca i pokryta meszkiem, i pomyślała, jak niezmiernie długie muszą być jej upięte w koronę płowe warkocze. Pani Markowa miała na sobie niebieską bluzkę otwartą przy szyi i bawełnianą brązową spódnicę, spod której widać było jej gołe włochate nogi w płóciennych pantoflach.

– To jest Piotr Topglass – oznajmiła pani Markowa. Wysoki, łysawy mężczyzna w okularach skłonił się przed Dorą.

– A to jest Michał Meade, nasz przywódca – ciągnęła pani Markowa. Długonosy mężczyzna o miękkich, jasnobrązowych włosach i niebieskich, blisko osadzonych oczach uśmiechnął się do niej jakby zmęczonym, zatroskanym uśmiechem.

– A to jest Marek Stratford, ten brodac. – Silnie zbudowany mężczyzna o gęstych włosach i rudej brodzie, z odrobiną sarkastycznym wyrazem twarzy, podszedł do Dory i złożył przed nią ukłon. Zalaatywało od niego środkami dezynfekującymi.

– A to jest Patchway, podpora naszego gospodarstwa ogrodniczego. – Niechlujny mężczyzna w sfatygowanym kapeluszu, wyglądający tak, jakby nie należał do tego grona i jakby mu to było najzupełniej obojętne, spojrzał ponuro na Dorę.

– A to jest ojciec Bob Joyce, nasz spowiednik. Wchodzący właśnie do pokoju duchowny w sutannie zbliżył się szybkim krokiem do Dory i uściśnął jej rękę. Miał obrzękłą twarz i oczy, w których błyszczało przekonanie. Uśmiechnął się ukazując czarną jamę ustną pełną plombowanych zębów, a potem rzucił jej przenikliwe spojrzenie, pod którym Dora poczuła się niepewnie.

– A to jest siostra Urszula, nasza łączniczka z Opactwem.

Siostra Urszula uśmiechnęła się do niej promiennie. Miała ciemne, wysoko zarysowane brwi i władczy wyraz twarzy. Dora czuła, że nie wybaczy jej nigdy tego incydentu z chusteczką.

– Bardzo jesteśmy radzi, że przyjechałaś – powiedziała siostra Urszula. – Modliliśmy się za ciebie.

Po twarzy Dory przemknął rumieniec gniewu i zakłopotania. Zmusiła się do uśmiechu.

– A to – powiedziała pani Markowa – jest Katarzyna Fawley, nasza mała święta, którą na pewno pokochasz, jak my wszyscy.

Dora obróciła się, żeby spojrzeć na piękną dziewczynę o pociągłej twarzy.

– Dobry wieczór – powiedziała Dora.

– Dobry wieczór – rzekła Katarzyna Fawley.

Może ona jednak nie jest piękna, pomyślała Dora z ulgą. Miała w twarzy coś bojaźliwego i zamkniętego, co sprawiało, że jej uroda nie była olśniewająca. Uśmiech miała ciepły, ale jakby skryty. Jej ogromne oczy o zimnej barwie szarego morza nie przytrzymały spojrzenia Dory. Katarzyna nadal wydawała się Dorze, w jakiś nieokreślony sposób, trochę groźna.

– Zjadłabyś może jajka na miękko czy coś takiego? – spytała pani Markowa.

– Kolacje jemy zwykle o szóstej, a po komplecie podajemy tylko mleko i biszkopty. – Wskazała stojący pod ścianą stół; stały na nim dzbanki i duża puszka, z której Piotr Topglass wyławiał biszkopty.

Grupa wokół Dory rozproszyła się. Michał Meade rozmawiał z Markiem Straffordem odsłaniając w nerwowym uśmiechu nieregularne zęby, wyrzucając długie ręce na boki w staroegipskich gestach.

– Nie ma już Petit Beurre’ów – mówił do siebie w zadumie stojący za nimi Piotr Topglass.

– Nie, dziękuję – odparła Dora. – Jadłam w pociągu.

– Może trochę mleka?

– Dziękuję za wszystko – powiedziała Dora myśląc o butelkach whisky. Zajechały już pewnie do południowej Walii.

James Tayper Pace wpadł do pokoju wołając:

– Eureka! Toby jest szczęśliwym znalazcą!

Toby Gashe wszedł za nim trzymając pantofle Dory za obcasy, po jednym w każdej ręce. Zbliżając się do Dory spuścił oczy, a jego śniadoczerwone policzki pociemniały w odrobinę głębszym rumieńcu. Wręczając Dorze pantofle złożył przed nią mały, zażenowany ukłon, przy którym pokazał jej czubek swojej okrągłej głowy.

– Och, Toby, strasznie ci dziękuję! – powiedziała.

Wszedł Paweł z twarzą zmarszczoną z irytacji.

– Dobrzeście się sprawili, moi kochani! – zawołał ojciec Bob Joyce. – Więcej jest radości z tego, co zginęło i zostało odnalezione, niż z tego, co nigdy się nie zgubiło.

– Skoro pantofle pani Greenfield się znalazły – oznajmił James – możemy wszyscy pójść spać.

ROZDZIAŁ III

Paweł i Dora zostali sami.

– Ten notes jest niezastąpiony – stwierdził Paweł. – Zawarte są w nim lata pracy. Głupio zrobiłem prosząc cię, żebyś go przywiozła.

– Strasznie mi przykro – powiedziała Dora. – Na pewno się znajdzie. Pójdę jutro rano na stację.

– Powinienem być natychmiast zatelefonować – ciągnął Paweł – ale zapomniałem przez te twoje błazeństwa. Co ci przyszło do głowy, żeby zdejmować buty?

– Bolały mnie nogi – odparła Dora. – Mówiłam ci.

Spojrzeni na siebie w surowym świetle nie osłoniętej, silnej żarówki. Pokój Pawła znajdował się na pierwszym piętrze i miał dwa duże okna wychodzące na Opactwo. Była to niegdyś wspaniała sypialnia wykładana zieloną boazerią, z ogromnym lustrem wpuszczonym w ścianę. Teraz stały tu dwa żelazne łóżka, dwa niewyściełane krzesła, duży stół na kozłach, na którym Paweł rozłożył swoje książki i papiery, oraz niewielki, ładny stolik mahoniowy, zapewne relikwyt lepszej przeszłości. Walizka Pawła, otwarta i częściowo wypakowana, stała w rogu. Na gołej podłodze leżały tylko dwie nowe, ale tanie maty. Gdy mówili, ich głosy odbijały się echem.

Paweł stał wpatrując się w nią, z ręką na biodrze. Mógł ją tak badać wzrokiem bardzo długo, ze zmarszczonymi lekko brwiami, co zawsze budziło w niej lęk. Jednocześnie wiedziała, że tak objawia się jego miłość, owa niezmordowana, nieustępliwa miłość, którą Paweł wciąż ją obdarzał, a która ją gniewała, fascynowała i budziła w niej nieskończoną wdzięczność. Odpowiedziała mu spojrzeniem, zaniepokojona, ale zarazem podziwiająca solidność tego człowieka, tak całkowicie wypełnionego swoją miłością, pracą, swoją pewnością życia. W porównaniu z nim czuła się krucha, efemeryczna, jak gdyby była tylko myślą w jego mózgu.

Nie wytrzymując dłużej tego spojrzenia podeszła do niego i potrząsnęła go delikatnie za ramiona.

– Paweł, nie gniewaj się.

Paweł odsunął się, obojętny na jej dotknięcie.

– Tylko ty – powiedział – możesz być tak nieskończenie naiwna, żeby po tym, coś mi zrobiła, czepiać się mnie rękami i mówić: „Nie gniewaj się!” – Przedrzeźniając ją odegrał małą pantomimę, a następnie podeszedł do walizki i wyjął swój elegancki, biało-czarny woreczek z przyborami toaletowymi.

– A co innego mogę powiedzieć? – spytała Dora. – W każdym razie przyjechałam.

– Nie podzielam też poglądu wygłoszonego dopiero co przez ojca Boba, że większa jest radość z owieczki zbłąkanej. Jeżeli spodziewasz się po mnie radości, będziesz rozczarowana. Twoje eskapady pogrążyły cię w moich oczach na zawsze. – Wyszedł z pokoju.

Przygnębiona Dora otworzyła swoją płócienną torbę. Jej pidżama znajdowała się w walizce, ale tu miała przynajmniej szczoteczkę do zębów. Słowa Pawła zraniły ją boleśnie. Jak on może tak ją potępiać z powodu czegoś, co się zdarzyło w przeszłości? Przeszłość nigdy nie była dla Dory czymś rzeczywistym. Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, że Paweł może wciąż wskrzeszać jej przeszłość, żeby ją w ten sposób dręczyć. W obawie, że się rozplacze, odegnęła od siebie tę myśl i otworzyła oba wysokie okna najszerzej, jak się dało. W oknach nie było zasłon. Noc była gorąca i rozjarzona gwiazdami. Jezioro zdawało się podchodzić pod sam dom – czarne, ale mimo to widoczne w rozproszonym blasku gwiazd i księżyca, który jeszcze nie wzeszedł.

Dalej majaczyły jakieś inne kształty.

Paweł wszedł do pokoju.

– Nie mam pidżamy – zwróciła się do niego Dora. – Była w walizce.

– Mogę ci dać którąś z moich koszul – powiedział Paweł. – Weź tę, i tak miałem ją dać do prania.

– Czy powiedziałeś o mnie wszystko tym zakonnicom? – spytała.

– Nic nie mówiłem tym zakonnicom – odparł. – Musiałem powiedzieć coś niecoś innym członkom bractwa, a jeśli były to rzeczy niepochlebne, nie moja wina.

– Pewnie im się zdaje, że sprowadziły mnie tu ich idiotyczne modlitwy...

– Szanuję to miejsce – oznajmił Paweł – i tobie też je radzę szanować.

Dora pomyślała, że mogłaby go teraz spytać, czy wierzy w Boga, ale dała spokój. Najwyraźniej wierzył. Zamiast tego powiedziała:

– Na przeszłość nic już nie poradzę.

Spojrzał na nią surowo.

– Możesz się postarać, żeby twój stosunek do niej był trochę mniej frywolny. W twoim przypadku nie będę wspominał o skrusze, ponieważ nie sędzę, żebyś była zdolna do uczuć tak poważnych.

Z tamtego brzegu jeziora przyplłynął ponad wodą ostry dźwięk ręcznego dzwonka. Dora podskoczyła.

– Znowu dzwonią – powiedziała. – Co to jest?

– Dzwonek w Opactwie wzywający na kolejne nabożeństwa – wyjaśnił Paweł. – Teraz dzwonią na jutrznię. Jeżeli obudzisz się bardzo wczesnie rano, usłyszysz dzwonek na laudy i primę. Niedługo dostaną duży dzwon – dodał.

Zaczęli się rozbierać.

– Istnieje legenda o dzwonie Opactwa – ciągnął Paweł. – Natrafiłem na nią w jednym z rękopisów. Powinna ci się spodobać.

– Opowiedz – poprosiła Dora.

– Klasztor jest bardzo starą fundacją – zaczął Paweł. – Od dwunastego wieku rezydował tu z przerwami zakon benedyktynek. Obecny zakon jest naturalnie anglikański, ale dalej św. Benedykta. Tak czy inaczej, legenda głosi, że gdzieś w czternastym wieku, to znaczy jeszcze przed kasatą zakonów, jedna z zakonnice miała kochankę. Nie było to wówczas czymś tak niezwykłym, uważam, ale w tym zakonie obowiązywał widocznie wysoki poziom moralny. Nikt się nie domyślał, która to zakonnica. Widziano kilkakrotnie młodego mężczyznę wdrapującego się na mur, aż w końcu spadł i skręcił sobie kark. Mur, który zresztą stoi do dziś, jest bardzo wysoki.

Przeorysza wezwała winną, żeby wyznała swój grzech, ale na próżno. Wtedy sprowadzono biskupa. Biskup, człowiek szczególnie świątobliwy i bogobojny, też zażądał, żeby grzesznica przyznała się do winy. Gdy również jego żądanie pozostało bez odpowiedzi, rzucił na klasztor klątwę, po czym, jak to Opisuje współczesny kronikarz, „Ogromny dzwon wyfrunął niby ptak z wieży i spadł do jeziora”.

– Boże miłosierny! – zawołała Dora.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Paweł. – Ten objaw gniewu Bożego tak przeraził grzeszną zakonnice, że natychmiast wybiegła za bramy Opactwa i rzuciła się do jeziora.

– Och, biedactwo – wyszeptała Dora.

– Ty naturalnie utożsamiasz się z kobietą wiarołomną – powiedział Paweł.

– Na pewno ją zmuszono, żeby wstąpiła do klasztoru – zaprotestowała Dora. – Wtedy często tak się zdarzało.

– Złamała śluby – powiedział Paweł.

– Czy ta historia jest prawdziwa? – spytała.

– W takich legendach zawsze kryje się źdźbło prawdy – odparł. – Tutejsze kroniki wspominają o słynnym dzwonie, ale nikt nie wie, co się z nim stało. Był dziełem wielkiego ludwisarza z Gloucester, Hugh'a Belleyetere, i słynął z pięknego tonu, a ponadto odpędzał zarazę i złe duchy. Jego powierzchnię zdobiły płaskorzeźby przedstawiające sceny z życia Chrystusa, co jest wielką rzadkością. Gdyby go kiedyś odnaleziono, wzbudziłby ogromne zainteresowanie. Możliwe, że został wrzucony do jeziora w czasach kasaty zakonów albo przez ludzi plądrujących Opactwo, albo – co jest prawdopodobniejsze – przez same zakonnice, które chciały go zabezpieczyć przed grabieżą. Dzwony były odlewane z bardzo kosztownego metalu. Zdaje się, że ktoś kazał kiedyś bagrować jezioro, ale nic nie znaleziono. Dzwon był ochrzczony imieniem Gabriel.

– Miał imię! – zawołała Dora. – Jakie to śliczne. Ale tak mi żal tej zakonnicy. Czy jej duch się pokazuje?

– O tym kroniki nie wspominają – odparł Paweł. – Za to jest wzmianka, że dzwon bije czasem na dnie jeziora i że jeśli się go usłyszy, jest to zapowiedź śmierci.

Dora zadygotała. Była już rozebrana i wciągała przez głowę koszulę Pawła.

– Opowiedziałeś tę historię tamtym? – spytała.

– Nikomu jej nie opowiadałem – odparł. – Ach tak, zdaje się, że opowiedziałem ją Katarzynie.
– Wszedł do łóżka.

Dora poczuła ukłucie niezadowolenia. Podeszła do okna i wyjrzała. Księżyc wyszedł już na niebo i jezioro było teraz doskonale widoczne, srebrzyło się maleńkimi falami, które wzbijał może wiatr, a może jakieś zwierzęta nocne. Do pokoju wpłynęło powietrze przepojone aromatem nocy. Dora widziała teraz wyraźniej rozpościerającą się przed nią przestrzeń, posępną fasadę muru Opactwa zmarszczoną światłem i cieniem, dalej drzewa, których zaokrąglone czuby chwytały bladą poświatę, i długie, dziwaczne cienie drzew i krzewów na szerokich trawnikach tuż pod oknami. Odrobinę w lewo dostrzegła coś, co wyglądało jak niska grobla na wielu lukach, biegnąca ponad bliższą odnogą jeziora w kierunku muru. I nagle zobaczyła z przerażeniem ciemną, nieruchomą postać stojącą całkiem blisko, nad samą krawędzią wody.

Serce zaczęło jej bić gwałtownie, z trudem powstrzymała okrzyk. I nagle postać poruszyła się i Dora rozpoznała w niej Toby'ego Gashe, wędrującego brzegiem jeziora. Szedł sam tnąc butami długą trawę, słyszała wyraźnie świst przy każdym jego kroku. Odsunęła się trochę od okna, ale nie odrywając wzroku od chłopca. Żeby Paweł nie pomyślał, że się czemuś przygląda, spytała:

– Będą miały nowy dzwon?

– Tak – odparł. – Zamówiły dzwon tenorowy na wieżę. Powinien tu być, zanim wyjedziemy. Moja praca potrwa jeszcze ze dwa tygodnie.

Dora zobaczyła, że chłopiec odwraca się i spogląda na jezioro. Nagle wyciągnął obie ręce i podniósł je wysoko nad głowę. Był teraz dla Dory uosobieniem wolności. Nie mogła znieść dłużej tego widoku i odwróciła się od okna.

Paweł patrzył na nią. Siedział w łóżku trzymając książkę. Dora rzuciła mu wrogie spojrzenie.

– To przerażająca historia. Lubisz mi opowiadać takie nieprzyjemne rzeczy. Jak to ohydne opowiadanie Maupassanta... to o psach, które kazałeś mi kiedyś przeczytać na głos.

Paweł nie przestawał się w nią wpatrywać. Dora uświadomiła sobie niejasno, że opowiadając jej tę historię wyzwolił w sobie pożądanie, które przedtem drzemało. Dzika furia legendy była w nim teraz i pragnął jej miłości. Spojrzała na niego jednocześnie z podnieceniem i odrazą.

– Chodź, Dora – powiedział.

– Za chwilę – odparła. Odwróciwszy się od niego zobaczyła swoje odbicie w długim lustrze.

Była bosa i miała na sobie tylko koszulę Pawła, z rękawami podwiniętymi, otwartą na piersiach. Koszula sięgała zaledwie ud i odsłaniała całe jej długie, mocne nogi. Dora przyglądała się ze zdumieniem osobie, która stała przed nią. Zachwyciła ją żywość opalanej szyi i płaskie kosmyki włosów jak jęzory ognia liżące kark. Odchyliła głowę i zajrzała w zuchwałe oczy. Wyczytała w nich pewną i dodającą odwagi odpowiedź. Wpatrywała się dalej w tę osobę, nie znaną Pawłowi. A więc istnieje, mimo wszystko; ona, Dora, i nie da się nikomu zniszczyć.

– Chodź, Dora – powtórzył Paweł.

– Tak – powiedziała. Zgasiła światło i zaczęła iść w kierunku łóżka.

ROZDZIAŁ IV

Księżyc wschodził, Toby Gashe stał z nogami prawie w wodzie i patrzył ponad jeziorem na mur Opactwa. Za nim światła zapalały się w dużym domu. Czekał, aż go ktoś zaprowadzi na miejsce noclegu. Był trochę rozczarowany, kiedy mu powiedziano, że nie będzie mieszkał w Imber Court, tylko w domku dozorczy, z innym członkiem bractwa, którego jeszcze nie znał. Wolałby, żeby go ulokowano w pięknym domu, wraz z innymi. Onieśmiała go myśl o jeszcze jednym spotkaniu i był trochę zaniepokojony, że będzie mieszkał jakby w izolacji, z jednym tylko człowiekiem.

Toby, którego rodzice mieszkali w północnej części Londynu, chodził do zwykłej szkoły i nigdy nie był w internacie, co wyrobiło w nim nieznaczące poczucie niższości, a jednocześnie pomogło sformułować najzupełniej romantyczny pogląd na życie zbiorowe. Kiedy James Tayper Pace, przyjaciel jednego z profesorów Toby'ego, przemawiał zaproszony w kaplicy szkolnej i wspominał o Imber, Toby zapragnął tam pojechać. Od czasu swojej niedawnej confirmacji był żarliwym i praktykującym chrześcijaninem, którego przepeśniało nie sprecyzowane jak dotąd pragnienie poświęcenia się wierze. Pociągała go myśl, by żyć i pracować chociaż jakiś czas u boku świątobliwych ludzi, którzy wyrzekli się świata. Świeckie bractwo w Imber, powstałe niedawno i znajdujące się wciąż w stadium eksperymentalnym, prowadziło gospodarstwo ogrodnicze na potrzeby Opactwa, a nadwyżkę produktów sprzedawało na rynek. Coś czystego, prostego i żywotnego w całej tej koncepcji bardzo głęboko zapadło Toby'emu w duszę. Wiedział niewiele o sprawach Kościoła i dramatyczna myśl o życiu klasztornej rozpałała jego wyobraźnię. Silne wrażenie zrobiła też na nim osobowość Jamesa Taypera Pace, łączącego męski wigor z chrześcijańską otwartością.

Wniósł prośbę o pozwolenie odwiedzenia Imber. Ku swojej wielkiej radości dowiedział się, że może tam pojechać i pracować przez miesiąc podczas letnich wakacji, zanim w październiku nie rozpocznie studiów na wydziale inżynierskim w Oksfordzie. Jego wyobraźnia wyprzedziła fakty powołując do życia jakieś niezwykle ściśle zespolone bractwo, zespół ludzi, do którego on się z łatwością przystosuje – pokorny i pracowity, wzmocniony moralnie i przygotowany do oczekującego go życia dzięki towarzystwu i budującemu przykładowi świątobliwych osób. Był więc trochę zmartwiony, kiedy się dowiedział, że mimo wszystko ma mieszkać oddzielnie; natychmiast jednak postanowił zwalczyć rozczarowanie żarliwą pogodą ducha. Przyszło mu to bez większego trudu. Był w tym okresie życia przepełniony wesołością, energią, nadzieją.

Za kilka minut wróci do domu. Michał Meade prosił go, żeby zaczekał, aż ktoś będzie miał czas i zaprowadzi go na miejsce. Rozejrzał się w księżycowym krajobrazie usiłując zorientować się w topografii terenu. Tam po drugiej stronie domu musi być gospodarstwo ogrodnicze. Toby był chłopcem wychowanym w mieście i wszystko, co dotyczyło wsi, miało dla niego głęboką, niemal duchową wymowę. Czuł, że nigdy nie będzie miał dość słońca i wiatru, ciężkiej pracy fizycznej i ludzkiej bliskości. Gdy mu dadzą łopatę i każą przekopać całe pole, będzie się czuł jak w niebie. Podniósł obie ręce nad głowę i naprężył mięśnie, sprawdzając ich elastyczność. Powiedziano mu kiedyś, że młodzi nigdy nie potrafią w pełni docenić, jak cudowna jest młodość. Nie sprawdzało się to w jego przypadku. Miał szczęście być świadomym swojej młodości i radować się nią w tysiącu aktualnych chwil wypełnionych po brzegi intensywnymi przeżyciami.

Spojrzał w przeciwną stronę, na drugi brzeg jeziora. Przesunął wzrok po murze Opactwa w prawo, gdzie mur się kończył czy też skręcał między drzewa. Po lewej widział starą groblę z

cegieł prowadzącą na drugi brzeg i ciemną jamę bramy Opactwa zwieńczoną ogromnym lukiem. W blasku księżyca wysoki mur zdawał się eteryczny, a jednocześnie jakby żywy, była w nim owa szczególna czujność opuszczonych ludzkich budowli nocą. Toby mieszkał w Londynie i rzadko widywał blask księżyca, więc zdumiewało go to światło, które nie jest światłem, które wyczarowuje kształty podobne zjawom i którego siłę zdradza tylko ostrość rzucanego cienia. Wpatrywał się chwilę w mur Opactwa. Panowała tam cisza, ale Toby wiedział, że Opactwo wiecznie czuwa. Zastanawiał się, jakie stosunki łączą Opactwo z Imber Court. Wywnioskował, że jest to zakon o ścisłej regule i że zakonnice mają bardzo ograniczony kontakt ze światem zewnętrznym; ale chociaż paliła go ciekawość, nie pytał o więcej, żeby się nie zdradzić ze swoją ignorancją.

Powinien już wejść do domu; na tę myśl wróciło mu onieśmienie. Zrobił w myślach przegląd dnia. Początkowo był trochę przestraszony, że będzie jechał sam z Jamesem Tayperem Pace, ale poradził sobie chyba zupełnie dobrze. James jest człowiekiem tak prostym i wesołym, tak łatwym w rozmowie. Utwierdził się w swoim podziwieniu dla niego. Toby był w wieku, w którym podziwianie drugiego człowieka stanowi wewnętrzną potrzebę, a podziw jest absolutny. Nie miał jeszcze pewności co do Michała Meade, chociaż tak bardzo pragnął go poznać. Rozczarowała go trochę powierzchowność Michała. Miał w sobie coś znużonego i cherlawego, co było przeciwieństwem rzucającej się w oczy męskości Jamesa, i wcale nie wyglądał na przywódcę. Toby doznał też pewnego zawodu, że do bractwa należą kobiety. To jakoś nie było w porządku. Jednakże wszyscy okazali się szalenie mili z wyjątkiem doktora Greenfielda, który wydawał się trochę abominacyjny. (Słowa tego Toby nauczył się niedawno w szkole i teraz w żaden sposób nie umiałby się bez niego obejść.) Dziwne, że siedzieli w pociągu naprzeciwko jego żony. Jego żona nie miała wspaniałej urody Katarzyny Fawley, ale była śliczna i miała w sobie coś psotnego. Na wspomnienie podróży pociągiem Toby zmieszał się trochę, częściowo z powodu pani Greenfield, częściowo z powodu siebie samego. Doktor Greenfield chyba nie bardzo się ucieszył na widok żony. No, ale pary małżeńskie zachowują się w tak niewytłumaczony sposób. W przeciwieństwie do tego, co stwierdza Tołstoj w pierwszym zdaniu *Anny Kareniny*, nie wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne. Toby zdał sobie z tego niejasno sprawę dopiero w ostatnim czasie i czuł się dzięki tej nowej wiedzy człowiekiem życiowo doświadczonego. Obrócił się i spojrzął na dom.

Dostał się nad jezioro drzwiami frontowymi, po schodach i przez taras, i posuwając się brzegiem zaszedł na miejsce, gdzie odnoga jeziora oddzielała dom od Opactwa. Mając teraz przed sobą boczną ścianę domu, zobaczył na parterze duże oświetlone okno. W ścianie był tu uskok, oddzielający okno od frontu domu, i gdy Toby podszedł bliżej, zobaczył prostokątną, brukowaną przestrzeń i boczne drzwi. Muszą to być dawne pomieszczenia dla służby, doszedł do wniosku, a ten oświetlony pokój to z pewnością kuchnia. Toby lubił zawsze rekonesanse i zwiady i teraz wiedziony instynktem szedł cicho, stawiał stopy ostrożnie na okrągłych kocich łbach i trzymał się w cieniu. Miał słuszość, była to kuchnia, ogromna stara kuchnia o chropowatych, poczerniałych ścianach, z nieprawdopodobnie dużym kominem, w którym stała teraz kuchenka elektryczna. Kuchenka była chyba włączona, bo przez otwarte okno szedł gorący podmuch, wyczuwalny mimo ciepła panującego na dworze.

Postać mężczyzny ukazała się w polu widzenia. Michał Meade przepasany fartuchem w białe i niebieskie paski. Toby był wstrząśnięty widokiem tego fartucha, ale jednocześnie zawstydzził się, kiedy zobaczył, że Michał układa filiżanki i spodki na wysokim drewnianym stojaku. Powinien był zaproponować, że pozmywa. W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące w głąb domu i do kuchni wszedł James Tayper Pace.

– Gdzie jest chłopiec? – spytał Michał.

– Na balkonie – odparł James.

Toby wstrzymał oddech.

– Zaprowadzisz go? – spytał Michał.

– Wolałbym, żebyś ty to zrobił – powiedział James. – Wiesz, co myślę o tym projekcie.

– Bardzo mi przykro, James, powinienem cię był spytać o zdanie. Ale zeszły tydzień był obłąkany a zupełnie mi to wypadło z pamięci. W każdym razie dalej uważam, że warto spróbować. Wyolbrzymianie tej sprawy nie ma sensu. Jeżeli chłopcu się tam nie spodoba albo Nick będzie dla niego nieprzyjemny, przeniesiemy go do domu. Ale jestem pewien, że wszystko się ułoży. I będę spokojniejszy, jak ktoś zamieszka z Nickiem.

– Dlaczego jeden z nas nie miałby tam nocować i mieć go na oku? – spytał James.

– Właśnie dlatego – odparł Michał. – Nick wiedziałby, że go pilnujemy. Jak pošlemy chłopca, będzie się czuł za niego odpowiedzialny.

– Masz za dobre wyobrażenie o Nicku, w tym cała rzecz – zachnął się James. – Gdybyś się stykał tak często jak ja z tego rodzaju ludźmi, byłbyś podejrzliwszy.

– Wcale nie mam o nim za dobrego wyobrażenia – oznajmił Michał. – Wręcz przeciwnie. I znam go dużo lepiej niż ty. Uważam, że biedak jest wykolejony. Ale boję się tej jego melancholii. To wszystko.

– Ja się nie boję jego melancholii – stwierdził James. – Boję się jego zdolności do robienia głupstw. Im więcej o tym myślę, tym głębiej jestem przekonany, że popełniliśmy błąd przyjmując go do Imber. Wiem, co człowiek odczuwa w zetknięciu z takim przypadkiem, i chyba przyznałem ci wtedy słuszność, a w każdym razie dałem się przekonać. Przyznaję też, że niewiele wiem o jego przeszłości. Ale sprawa jest najwyraźniej mocno skomplikowana i gdzieś tam musi tkwić jakieś zło. Wątpię, żebyśmy mu mogli pomóc, natomiast on może nam wyrządzić wiele szkody.

– Tak czy inaczej, mamy go tu w Imber, na dobre czy złe, i nie możemy go wyrzucić. Zwłaszcza teraz, z uwagi na Katarzynę.

– Wiem, wiem – powiedział James. – To się bardzo pechowo składa. Niemniej chciałbym posiadać twoją wiarę. Wiem, że wiara w ludzi, albo raczej w i a r a z a l u d z i, działa cuda. A tutaj potrzebny jest naprawdę cud. Mimo to, biorąc rzecz na zdrowy rozum, wolałbym trzymać tego chłopca w domu. Pamiętaj, że za niego też jesteśmy odpowiedzialni.

– Nie stanie mu się żadna krzywda – zapewnił Michał Jamesa. – Ma głowę na karku. Zresztą muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się spodobał. Miałeś rację. Ten rodzaj młodzieńczej prawości zabezpiecza przed wszelkimi infekcjami. Tak czy inaczej, czeka go ciężka praca i będzie spędzał w stróżówce niewiele czasu... a możemy dzięki niemu nawiązać kontakt z Nickiem, czego sami nie potrafiliśmy dotąd zrobić.

Toby zaczął się wycofywać bardzo cicho. Kiedy zszedł z kocich łbów na trawę, puścił się biegiem w kierunku głównego wejścia. Trawa była dość wysoka i musiał biec susami. Miał nadzieję, że nie robi zbyt wiele hałasu. Na tarasie zwolnił, żeby złapać oddech, i wszedł po schodach na balkon. W hallu i dużej sali paliło się jeszcze światło i drzwi były otwarte, ale wszyscy się już rozeszli. Toby stał nieruchomo na balkonie, z nerwami napiętymi, niezdecydowany. Wytrąciły go z równowagi słowa, które usłyszał – i sam fakt, że je słyszał. Zniknęła nagle cała prostota i ów szczególnie niewinny czar tego miejsca. Poczuł dręczący niepokój na myśl, że ma mieszkać w domku dozorczy. Z drugiej strony pochlebilo mu i zdumiało go okazane mu zaufanie, podniecała perspektywa przygody. Czuł zamęt w głowie.

Ale nie miał czasu na dalsze refleksje, bo od drzwi prowadzących do hallu padł cień i Michał Meade ukazał się na balkonie. Toby wyszedł na oświetloną przestrzeń.

– Ach, jesteś – powiedział Michał. – Przykro mi, że kazaliśmy ci czekać. Pójdziemy teraz do

domku dozorczy. Gdzie twoja torba?

– Jest tutaj. – Toby sięgnął po torbę stojącą za drzwiami.

– Dasz radę? – spytał Michał. – Pozwól, będę niósł razem z tobą.

Zeszli schodami na taras i dalej w dół ścieżką między dwoma rzędami cisów. Michał szedł lekko pochylony, rzucając od czasu do czasu spojrzenia na swego towarzysza.

– Przeprowimy się na drugą stronę łodzią – powiedział. – Groblą chodzimy tylko do Opactwa.

Wyszli na drewniany pomost, ich kroki dudniły głuchym echem w płytkiej przestrzeni między deskami i chlupoczącą wodą. Michał postawił torbę Toby'ego w łodzi. Księżyc nadal był czysty.

– Jak łódź wraca, kiedy się ktoś przeprowi na drugi brzeg? – spytał Toby. Mówiąc zniżył bezwiednie głos.

– Ma na obu końcach cumę przywiązaną do brzegów – wyjaśnił Michał – więc można ją przeciągnąć na tę czy na tamtą stronę. Potrzymam, a ty wejdź.

Toby postawił stopy na rozkołysanym, uginającym się dnie łodzi i natychmiast usiadł. Pragnął gorąco, żeby mu Michał pozwolił wiosłować, ale milczał. Ogromne, czarne niebo pełne gwiazd, plamy cienia i blask księżyca, wysoki dom majaczący za nimi, plusk wody pod łodzią – wszystko to wprawiało go w zapierające dech, nieme podniecenie.

Michał stanął w łodzi i odepchnął ją energicznie od pomostu. Wziął pojedyncze wiosło leżące w poprzek siedzeń, wsunął je do dulki na rufie i zręcznie nim manipulując odgarniał wodę. Łódź skręciła spokojnie i trochę rozkołysana zaczęła sunąć po jeziorze, którego powierzchnia pozostała gładka, prawie nie zmarszczona, czarna i lśniąca promieniście. Toby zanurzył rękę w wodzie. Była ciepła.

– W porządku, Toby? – spytał Michał.

– O tak! – zawołał Toby odpowiadając na niezbyt jasne pytanie z nagłym i niezrozumiałym entuzjazmem. Zobaczył, że Michał mu się przygląda, i dostrzegł błysk jego uśmiechu. Nagle Michał wyszarpnął wiosło z dulki, zanurzył je w wodzie i gładkim ruchem przeciągnął wzdłuż burty. Łódź przybiła lekko drugą burtą do pomostu. Toby wyskoczył i wziął torbę. Michał wysiadł za nim, a łódź odpłynęła kawałek od brzegu, podskakiwała na wodzie.

Trawiasta ścieżka biegła prosto od tego miejsca i na jej końcu Toby dostrzegał niewyraźnie aleję wysadzaną drzewami. Ptak zaśpiewał chrapliwie nad jeziorem. Nie był to słowik.

– Mam nadzieję, że nie macz przeciwko zamieszkaniu w domku dozorczy – powiedział Michał. – Będiesz z nami jadał, pracował i tak dalej. James pewnie ci wszystko wytłumaczył. Chodzi tylko o spanie.

– Naprawdę nic mi to nie przeszkadza – odparł Toby. Zaczął się zastanawiać w udreće, czy nie wyznać Michałowi, że słyszał ich rozmowę. Może jeśli będzie milczał, postąpi nieuczciwie. Nie mógł się zdecydować.

– Jestem pewien – ciągnął Michał – że zżyjesz się z Nickiem Fawleyem. Nick może ci się wydać czasem ponury. Miał trudne życie. W twoim towarzystwie trochę się rozrusza, wciągnie w nasze sprawy.

– Nick Fawley? – spytał zdumiony Toby.

– Tak, jest bratem Katarzyny, bratem bliźniakiem. James ci tego nie powiedział? Strasznie mi przykro, zachowujemy się jak ostatni bałaganiarze. Na pewno sobie pomyślisz, że jesteśmy bandą oderwanych od świata pomyleńców!

Toby nie bardzo wiedział dlaczego, ale wiadomość, że mieszkaniec domku jest bratem Katarzyny, wyprowadziła go z równowagi. Zerknął na Michała, nie mógł jednak dojrzeć jego twarzy. Michał wydawał się zaniepokojony i speszony. Prawdopodobnie jest człowiekiem nieporadnym i nie tak łatwym w obcowaniu jak James. Toby nie wiedział, co o tym myśleć. Zniknęła radość oczekującej go przygody i pozostał tylko niepokój. Potykając się wyszedł z

trawy na kamienną nawierzchnię podjazdu.

– Jesteśmy już na podjeździe – oznajmił Michał. – Pewnie sobie to wszystko przypominasz z dzisiejszego popołudnia. Aleja prowadząca od bramy kończy się tutaj... jej drzewa są jakby obramowaniem domu widzianego od strony szosy... ale podjazd skręca dokoła odnogi jeziora. Tamtędy jest do domu spory kawałek, ponad mila.

Szli dalej w milczeniu. Toby zobaczył światło w jednym z okien domku dozorczy. Usłyszeli szczekanie psa.

– To Murphy, pies Nicka – wyjaśnił Michał Meade. – Pies z charakterem. – Michał wydawał się zdenerwowany.

– Uwielbiam psy – powiedział Toby głupkowato. Też był zdenerwowany.

– Nick jest specjalistą od aerodynamiki – ciągnął Michał. – Zna się na silnikach. Jest czymś w rodzaju naszego kierownika transportu. Będiesz jego zastępcą. Mam nadzieję, że ci się tu spodoba – dodał obracając się i patrząc na chłopca, gdy byli już prawie na miejscu.

Stanęli na ganku. Przy wejściu nie było kołatki, ale Michał zastukał mocno pięścią w drzwi; łomotanie rozległo się nagłym echem. W środku pies szczekał ze zdwojoną zajadłością. Michał powoli otworzył drzwi i przekroczył próg. Toby wszedł za nim.

Oślonił oczy ręką. Światło wszystkich żarówek w Imber było tak jaskrawe. Drzwi prowadziły prosto do pomieszczenia będącego chyba pokojem mieszkalnym. Krótkim, oślepieniem spojrzeniem Toby dostrzegł duży piec pod ścianą, dwa powypychane fotele koszykowe, ogromny sosnowy stół, radio i mnóstwo gazet rozwieszonych po podłodze. W powietrzu unosił się niemiły zapach stęchłego jedzenia. Pies szczekał i podskakiwał. Siedzący za stołem mężczyzna wstał i przez moment przyglądał się Michałowi.

– Wielki człowiek we własnej osobie! – powiedział Nick Fawley. – Nie spodziewałem się ciebie. Takie odwiedziny są rzadkością. Czuję się zaszczycony.

– Przyproważyłem Toby'ego – powiedział Michał wśród nie milknącego jazgotu.

– Cicho, Murphy! – zawołał Nick. – Cicho!

Murphy był rdzawobrazowym psem bliżej nie określonej rasy terierów. Miał białą bródkę, inteligentny mały pyszczek i długi, lśniący ogon koloru gliny, który zwisał mu z zadu oklapnięty, jakby go tam ktoś przyczepił dopiero po namyśle. Umilkł i stał teraz obok Toby'ego, na sztywnych łapach i trochę zjeżony, i przyglądał mu się z nieprzeniknioną wrogością. Długi, lśniący kiel marszczył mu niedbale delikatną, ciemną skórę dolnej wargi. Toby zerkał na niego niespokojnie.

– A więc przyproważyłeś Toby'ego – powiedział Nick. – Bardzo to ładnie z twojej strony.

Toby spojrział ukradkiem na Nicka. Uderzyło go natychmiast niezwykle podobieństwo do Katarzyny. Ta sama pociągła, odrobinę ciężka twarz, te same senne, ociężałe powieki, te same ciemne, wijące się włosy nad wysokim czołem, duże oczy i coś tajemniczego w ich wyrazie. Tyle tylko, że Nick miał zmarszczki dokoła oczu, obwiedzionych czerwonymi obwódkami i zażawionych, jakby się za dużo śmiał, a to – wraz z trochę obwisłymi policzkami – nadawało mu wygląd ogara. Nos miał duży i poznaczony małą czerwonymi żyłkami. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że jest jakiś oślizły i że ma za dużo włosów. Był jednak na swój sposób przystojny, a nawet miał w twarzy jakby cień owej subtelności, którą promieniowała z takim chłodem i słodyczą uroda jego siostry.

Nick był młodszy, niż się Toby tego spodziewał, ale wyraźnie zużyty. Toby, któremu postać Nicka rozpałała wyobraźnię, natychmiast wysnuł domysł, że jest pijakiem. Tłumaczyłoby to złowrogi ton podsłuchanej rozmowy. Toby wiedział, bo dyktowało mu to jego nowo nabyte doświadczenie życiowe, że można być pijakiem na wiele rozmaitych sposobów. Istnieli dobrzy pijacy. Doszedł do wniosku, że Nick jest prawdopodobnie jednym z nich, i postanowił go

polubić. Jednocześnie zauważył butelkę whisky na stole, co potwierdziło jego przypuszczenia.

Nick i Michał patrzyli na siebie. Michał nadal wydawał się zmieszany.

– Mam nadzieję – powiedział – że odżywasz się tu jak należy. Wolałbym, żebyś wpadał do nas czasem na posiłki. – Zlustrował spojrzeniem stół. Na drugim końcu stał nieapetycznie wyglądający talerz mięsa.

– To kolacja Murphy’ego – wyjaśnił Nick. – Miałem go właśnie nakarmić. Piesku, nadeszła twoja chwila! – Zsunął mięso z talerza na podłogę. Wylądowało z chlupnięciem na jednej z gazet. Najwidoczniej inne gazety służyły podobnemu celowi. Murphy przerwał kontemplację Toby’ego i zabrał się hałaśliwie do jedzenia.

– Jak pani Markowa to zobaczyła, dostała chyba ataku – rzekł Michał.

– Nie szczędziła krytycznych uwag, jak to kobiety – przyznał Nick. Patrzyli na siebie zakłopotani.

– Przygotowała pokój Toby’ego? – spytał Michał.

– Robiła coś na górze, co, jak sądzę, było sprzątaniem – odparł Nick. – Siedziała tu niewiarygodnie długo. Napijesz się? – Sięgnął po butelkę whisky.

– Nie, dziękuję. Pójdę już chyba. Przyprowadziłem Toby’ego.

– W takim razie nie pij i w takim razie idź – powiedział Nick.

Michał Meade ociągał się z odejściem. Jego spojrzenie wędrowało po pokoju. Miał taką minę, jakby czuł, że to spotkanie nie wypadło mu dobrze.

– Jak się miewa moja świątobliwa siostra? – spytał Nick, który też chyba chciał przedłużyć rozmowę.

– Doskonale. Jest bardzo szczęśliwa – odparł Michał.

– Kiedy się dowiaduję, że ktoś jest szczęśliwy – powiedział Nick – wiem, że nie jest. O ludziach naprawdę szczęśliwych nigdy, się tego nie mówi. Mam rację, Toby?

Toby drgnął nerwowo. Przywykł do roli widza.

– Nie wiem – wyjąkał.

– Toby nie wie – oznajmił Nick. – Grzeszna żona zjawiała się w Imber?

– Pani Greenfield przyjechała – odparł Michał. – Mam nadzieję, że będziemy cię częściej widywali w domu. Muszę już iść.

– Ciągłe to powtarzasz – stwierdził Nick.

– Opiekuj się Tobym – poprosił go Michał.

Nick roześmiał się, przez co jego twarz wydała się sympatyczniejsza, i ruchem bardzo ceremonialnym otworzył przed Michałem drzwi. Machnąwszy niezdarnie ręką na pożegnanie Michał wyszedł.

– Nieudolność – powiedział Nick Fawley patrząc za nim w mrok. – Co za nieudolność. Ach, Boże. – Obrócił się do Toby’ego. – Myślę, młody człowieku, że chcesz iść spać. Kazali ci pewnie wstać o jakiejś skandalicznej porze. A zawarcie znajomości, i to w ciągu jednego dnia, z taką bandą pomyleńców musiało być dla kogoś w twoim wieku bardzo męczące.

– Tak, jestem zmęczony – przyznał Toby. – Pójdę chyba na górę. – Spojrzał Nickowi prosto w twarz, z mocnym postanowieniem, że nie pokaże, jak bardzo jest zdenerwowany.

– Tak, na górę – powiedział Nick. Obrócił się do psa, który skończył kolację i stał teraz pograżony w zadumie. – Skacz! – rozkazał.

Murphy wykonał błyskawiczny obrót i wzbił się w powietrze. Nick chwycił go w ramiona i przytulił do piersi. Łapy psa i roześmiana mordka ukazały się nad jego ramieniem.

– Najwspanialsza rzecz u psów – ciągnął Nick – to że można je nauczyć kochać. – Pochylił się nad stołem, sięgnął po butelkę, wyszedł powoli z pokoju i wciąż tuląc psa do piersi zaczął wstępować ciężko na schody. Toby szedł za nim. Stanęli na małym podeście, gdzie było troje

drzwi.

– To jest łazienka – powiedział Nick. – Mój pokój, twój pokój. – Pchnął nogą drzwi i łokciem zapalił światło.

Toby zobaczył czysty, schludny pokój, żelazne łóżko przykryte białą kapą, maty na podłodze, pomalowaną na biało komodę, otwarte okno. Gdy weszli do pokoju, wionęło na nich nocne powietrze, cieplejsze i pachnące kwiatami.

– Przyjemnie tu, prawda? – powiedział Nick zagrzebując twarz w sierści Murphy’ego.

Toby speszył się. Powiedział:

– Strasznie panu dziękuję. Będzie mi tu bardzo wygodnie.

– Napijesz się? – spytał Nick. – Odrobina whisky z wodą przed snem?

– Dziękuję panu, ale nie piję – odparł Toby.

– No cóż – ciągnął Nick. – Byłbym rad, gdybym mógł powiedzieć, że zanim stąd wyjedziesz, nauczymy cię pić dużymi haustami. Być może ze źródła duchowego. – Postawił psa na podłodze. Murphy zaczął podskakiwać, czepiać się łapami jego spodni, żądać, żeby go pan znów wziął na rękę.

– Zostawię ci chyba Murphy’ego – powiedział Nick. – Mamy trochę mało koców. Rozgrzeje ci nad ranem nogi. Nic nie zastąpi dodatkowego psa na łóżku. Zostajesz tutaj! – rozkazał psu wskazując na łóżko.

– Bardzo dziękuję – bąknął Toby. Dałby sobie doskonale radę bez Murphy’ego, który wydawał się psem dość abominacyjnym. – Będzie mi tu doskonale. – Usiadł na łóżku. Był zmordowany i rozpaczliwie pragnął zostać sam.

Nick stał w drzwiach i przyglądał się Toby’emu.

– Zanim pójdę, powiem ci coś śmiesznego – oznajmił. – Umieszczono cię tutaj, żebyś mnie pilnował. – Uśmiechnął się i znowu był jakby sympatyczniejszy i młodszy.

Toby nie wiedział, co powiedzieć, więc też się uśmiechnął.

– No więc musimy się nawzajem pilnować, nie uważasz? – ciągnął Nick. – Nie zamykaj drzwi, bo może Murphy będzie chciał wyjść w nocy. Spij dobrze. – Zniknął zostawiając drzwi szeroko otwarte.

Toby był za bardzo zmęczony, żeby się dziwić czy snuć domysły. Poszedł na chwilę do łazienki, a wróciwszy zobaczył, że Murphy siedzi przy łóżku. Małą inteligencją jego mordki była denerwująca, przyglądał się Toby’emu w znieruchomiałym napięciu, które zdawało się zapowiadać atak. Toby doszedł do wniosku, że powinien określić w jakiś sposób ich wzajemne stosunki, więc powiedział: – Murphy dobry piesek – i wyciągnął rękę pojednawczym gestem. Murphy zastanawiał się chwilę nad tą propozycją, a potem zaczął lizać z namysłem wyciągniętą dłoń, patrząc na chłopca spod rzęs, które wydały się Toby’emu niesłychanie długie jak na psa. To mu przypomniało, że Nick ma niesłychanie długie rzęsy jak na mężczyznę.

Toby spojrzał na uchylone drzwi. Na podeście było ciemno, w domu panowała cisza. Chciał teraz zmówić pacierz. Ukląkł zerkając niespokojnie na drzwi, ale nie mógł się skupić. Wstał i przeszedł przez pokój. Na drzwiach był od wewnątrz rygiel. Bardzo cicho zamknął drzwi i zasunął rygiel. Rygiel nie zazgrzytał. Wrócił i po raz drugi ukląkł przy łóżku, z zamkniętymi oczami. Natychmiast rozległo się drapanie. Murphy stał przy drzwiach skrobiąc tępymi, twardymi pazurami po szparze. Toby zerwał się i otworzył drzwi, ale pies nie chciał wyjść. Stał patrząc na niego z wyrazem denerwującej życzliwości, a gdy Toby ukląkł po raz trzeci, Murphy podszedł i stanął tuż obok z idiotycznym ugrzecznieniem, owiewając mu kark oddechem. Toby poddał się. Zanim zmęczony na jakiegokolwiek dalsze próby, zgasił światło i zostawiwszy drzwi otwarte wpełzł do łóżka. Poczul szarpnięcie, gdy Murphy wskoczył za nim, i zaraz potem ciepły ciężar ułożył mu się na nogach. Przepojone nocnymi aromatami powietrze płynęło łagodnie od

okna ku półotwartym drzwiom. W chwilę później chłopiec i pies spali kamiennym snem.

ROZDZIAŁ V

Był następny ranek. Tuż po szóstej zbudziło domowników dzwonienie, Dora wiedziała jednak, że dotyczy tylko tych, którzy idą na mszę. Paweł wstał wcześniej, ale nie po to, żeby się modlić, tylko żeby pracować. Dora udawała, że śpi, i przyglądała mu się, gdy pisał przy stole przysuniętym do samego okna. Białe słoneczne światło wczesnego poranka letniego wypełniło pokój i Dora dostrzegła z łóżka bezchmurne niebo, prawie pozbawione koloru i zapowiadające następny upalny dzień. Przypomniała sobie zmartwiona, że jej letnie sukienki zginęły wraz z walizką i że będzie musiała znowu włożyć gruby kostium.

Ponaglana przez Pawła wstała wreszcie i zaledwie zdążyła na śniadanie podawane o pół do ósmej. Refektarzem bractwa była duża sala na parterze pomiędzy dwoma skrzydłami kamiennych schodów, której drzwi wychodziły na żwirowany taras. Posiłkom w Imber towarzyszyło milczenie. Podczas obiadu i kolacji któryś z braci czytał na głos, ale zwyczaj ten nie obowiązywał przy śniadaniu. Dorze podobała się ta cisza, bo dzięki niej nie musiała się wysilać, a w każdym razie mogła ograniczyć swoje wysiłki do gestów i uśmiechów, których się nie wystrzegano, a które inicjowała przeważnie pani Markowa albo James. Pijąc herbatę i jedząc grzanki spoglądała ponad żwirem rozprążonego już tarasu na jezioro, lśniące w słońcu ostrym blaskiem.

Po śniadaniu pani Markowa zawiadomiła Dorę, że postara się znaleźć rano chwilę czasu i oprowadzi ją po domu i posiadłości. Wpadnie po nią do pokoju o dziesiątej. Paweł, który tymczasem telefonował, wrócił z dobrą nowiną, że walizka znalazła się i ma być odesłana na stację. Ktoś w przedziale spostrzegł, że ją Dora zostawiła. Natomiast kapelusz słomkowy przepadł. Dora obiecała, że pójdzie przed obiadem na dworzec i przyniesie walizkę. Takie załatwienie sprawy wydało się Pawłowi właściwe, oddalił się więc w kierunku Opactwa, żeby podjąć pracę nad manuskrypcją. Powiedział Dorze, że w czasie obchodu pani Markowa na pewno ją do niego przyprowadzi. Paweł był tego ranka łagodny i Dora jeszcze mocniej utwierdziła się w przekonaniu, że jej powrót bardzo go ucieszył. Natychmiast i w sposób najprostszy w świecie zrobiło jej się przyjemnie, że mu zrobiła przyjemność, a to, wraz ze słońcem i pewną niepokonaną żywotnością jej natury, sprawiło, że poczuła się prawie wesoła. Zerwała kilka polnych kwiatków nad brzegiem jeziora i poszła do swojego pokoju, żeby tam czekać na panią Markową.

Rozglądając się po pokoju pomyślała, jak przyjemnie jest mieszkać znów w zamkniętej przestrzeni, którą można urządzić po swojemu, skromnymi środkami. Widok pustego wnętrza zbudził w niej tęskne wspomnienia pokoi, w których mieszkała w Londynie przed ślubem, ubogich kawalerek na Bayswater, w Pimlico, Notting Hill; jakże ona je lubiła ozdabiać afiszami i innymi mniej lub bardziej zwariowanymi dekoracjami, wykonywanymi za grosze przez nią czy przez jej przyjaciół. Mieszkanie Pawła na Knightsbridge, które tak ją początkowo oszołomiło, później przez kontrast wydawało jej się pozbawione życia, jak muzeum. Ale na tym pokoju w Imber Paweł nie wycisnął piętna. Przestrzegł ją, że wszystkie pomieszczenia muszą być codziennie sprzątane, i scedował na nią tę funkcję. Znalazła już schowek na podeście, gdzie trzymano szczotki, i bardzo skrupulatnie zamiotła pokój. Pościeliła łóżko i zrobiła porządek w rzeczach Pawła, ułożyła je z uwagą w równiutkie stosy. Zrobiła z polnych kwiatów starannie przemyślany bukiet i wstawiła je do kubka buchniętego z łazienki. Wyglądały ślicznie. Zastanawiała się, co by jeszcze zrobić, żeby pokój wyglądał ładniej.

Rozległo się pukanie i weszła pani Markowa. Dora tak zupełnie o niej zapomniała, że teraz podskoczyła na jej widok.

– Przykro mi, że czekałaś – powiedziała pani Markowa. – Możemy iść na nasz mały obchód?

– O tak, z wielką chęcią! – odparła Dora chwytając żakiet i narzucając go sobie na ramiona.

– Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jak ci powiem – ciągnęła pani Markowa – że my nie trzymamy kwiatów w domu. – Spojrzała krytycznie na bukiet Dory. – Urządzamy nasze wnętrza możliwie najprościej. Ćwiczymy się w pewnej surowości.

– Och! – wybąkała Dora czerwieniąc się. – Zaraz je wyrzucę. Nie wiedziałam.

– Nie trzeba – powiedziała wspaniałomyślnie pani Markowa. – Zatrzymaj ten bukiet. Wolałam cię jednak uprzedzić na przyszłość. Na pewno wolisz, żebyśmy cię traktowali jak jedną z nas. Nie chcesz łamać regulaminu obowiązującego w domu, prawda? Imber Court nie jest hotelem i oczekujemy po naszych gościach, że będą się starali przystosować... jestem pewna, że im to też najbardziej odpowiada.

– Naturalnie! – przytaknęła Dora, wciąż przeraźliwie speszona. – Tak mi przykro!

– I dlatego – ciągnęła pani Markowa – nie pozwalamy umieszczać w pokojach żadnych drobiazgów dekoracyjnych. Staramy się pod pewnymi względami naśladować możliwie najwierniej życie klasztorne. Uważamy, że jest to zdrowa dyscyplina, kiedy się rezygnuje z tego właśnie środka wyrażania własnej osobowości. Ostatecznie wyrzeczenie nie jest wielkie, prawda?

– Ależ naturalnie! – przyznała Dora.

– Bardzo prędko przywykniesz do naszych zwyczajów – dodała pani Markowa. – Chciałabym, żeby ci było u nas dobrze. Paweł tak się łatwo przystosował... wszyscy go naprawdę kochamy. Możemy już iść? Mam niewiele czasu.

Pierwsza wyszła za drzwi.

– Pewnie orientujesz się już z grubsza w topografii domu – zaczęła. – Członkowie bractwa mieszkają na najwyższym piętrze tego skrzydła, w dawnych pokojach służbowych. Główne pokoje na tym piętrze są przeznaczone dla gości. Prowadzimy, rozumiesz, coś w rodzaju nieoficjalnej gospody dla osób odwiedzających Opactwo. Chcielibyśmy w przyszłości rozszerzyć tę naszą działalność. Chwilowo jest jeszcze sporo pokoi, których nie mogliśmy nawet umeblować. Tamto skrzydło stoi zupełnie puste. Bezpośrednio pod nami na parterze, na tyłach domu, są pomieszczenia kuchenne, a w dużym narożnym pokoju od frontu jest biuro zarządu posiadłości. Dalej, jak już wiesz, na samym środku domu, pod balkonem, znajduje się refektarz i nad nim, w głębi portyku, dwa małe pokoje, w których James i Michał urządzili sobie pracownię. Za refektarzem, na tyłach domu, jest historyczna Długa Sala, wielka osobliwość Imber Court, wysoka na dwa piętra. Przeznaczylismy ją na kaplicę.

Mówiąc to pani Markowa prowadziła Dorę korytarzem, obok ciemnej studni bocznych schodów i dalej na szerszy korytarz, gdzie otworzyła wysokie drzwi. Weszły do kaplicy, tym razem od strony naprzeciw ołtarza. W jasnym świetle dziennym sala była, zdaniem Dory, jeszcze bardziej zaniedbana; mogło się zdawać, że skończono tu niedawno amatorskie przedstawienie teatralne. Wydawała się skrupulatnie czysta, a jednak pokryta pyłem, jakby się ściany kruszyły i rozsypywały. Kotara z juty przypominała Dorze szkołę.

– Naturalnie nie jest to prawdziwa kaplica – wyjaśniła pani Markowa. – To znaczy, nie jest poświęcona. Ale odprawiamy tu regularnie nasze wspólne modły. Na mszę chodzimy do kaplicy Opactwa, a ci z nas, którzy sobie tego życzą, mają tam prawo wstępu również o innych określonych porach. W niedziele odprawiamy tu w kaplicy specjalne poranne nabożeństwa, na których przemawia zawsze jeden z członków bractwa.

Wyszły drugimi drzwiami i po chwili znalazły się w wykładanym kamiennymi płytami

głównym hallu. Pani Markowa otworzyła drzwi pokoju rekreacyjnego. Dora zobaczyła ustawione równiutko półkolem nowoczesne, wyściełane fotele o poręczach z jasnego, lakierowanego drzewa, mocno nie pasujące do ciemnej boazerii.

– Jest to właściwie nasz jedyny umeblowany pokój – wyjaśniała pani Markowa. – Przychodzimy tu w czasie wolnym od zajęć, a lubimy, żeby nam było wygodnie. Ta dębowa boazeria nie jest oczywiście oryginalna. Pochodzi z końca dziewiętnastego wieku, kiedy ten pokój był palarnią.

Wyszły na balkon i zaczęły zstępować schodami po prawej stronie.

– Tutaj mieści się nasze główne biuro – powiedziała pani Markowa wskazując na okna dużego narożnego pokoju. – Zaraz zobaczysz mojego męża przy pracy.

Zatrzymały się przy jednym z okien i zajrzały do jasnego pokoju, umeblowanego stołami na kozłach i szafami z surowej sosny, pełnego starannie poukładanych papierów. Za bliższym stołem siedział z głową pochyloną Marek Strafford.

– Prowadzi nasze książki – wyjaśniła jego żona. Przyglądała mu się chwilę z czymś w rodzaju zaciekawienia, które wydało się Dorze pozbawione czułości. Odwróciła się nie zastukawszy w okno.

– Teraz pójdziemy do Opactwa i odwiedzimy Pawła.

Patrząc na panią Markową, gdy przyglądała się mężowi, i patrząc na nią teraz – tęgawą i spoconą w spłowielej, dziewczęcej sukience – Dora poczuła pierwsze drgnienie sympatii i zainteresowania. Spytała:

– Co robiliście państwo przed przyjazdem do Imber? – Dora, kiedy się tak nad tym zastanowiła, nie miała nic przeciwko zadawaniu pytań.

– Pomyślisz, że jestem strasznie zasadnicza – odparła pani Markowa – ale wiesz, my tu nigdy nie mówimy ze sobą o naszej przeszłości. Jest to jeszcze jedna klasztorna reguła, której staramy się trzymać. Żadnych plotek. Bo chyba przyznasz, że motywy ludzi wypytyujących się nawzajem o swoją przeszłość rzadko bywają czyste? Jestem pewna, że moje nie są! Próżna ciekawość szybko wyrodnieje i prowadzi do zjadliwości. Na pewno to zrozumiesz. Uważaj na stopnie, są trochę zarośnięte.

Przeszły na stronę tarasu bliższą Opactwa i zaczęły zstępować po kamiennych stopniach, mocno zarośniętych suchą, długą trawą, w dół na ścieżkę biegnącą ku grobli. Wyprowadzona z równowagi Dora milczała.

Woda w jeziorze była bardzo spokojna, pośrodku o barwie świetlistego, Lśniącego błękitu, a przy brzegach zmacona nieruchomymi refleksami. Dora spojrzała na ogromny mur i na zasłonę wiązów poza nim. Nad koronami drzew górowała wieża Opactwa, która teraz w świetle dziennym ukazała się jej oczom w całej swojej surowości prostokątnej normañskiej baszty. Była to wspaniała bryła, bez pinakli czy blanek, wybudowana z ciosów szarego i żółtawego kamienia i ozdobiona na każdej z płaszczyzn dwoma okrągłolukowymi, dwudzielnymi oknami, umieszczonymi nad sobą; obramowania okien były rzeźbione w zygzaki, co z daleka robiło wrażenie tkaniny haftowanej perłami, a oddzielał je od siebie szereg przeplatających się łuków.

– Bardzo piękny przykład architektury normañskiej – powiedziała pani Markowa idąc za spojrzeniem Dory.

Ruszyły w kierunku grobli. Grobla przecinała jezioro szeregiem niskich łuków zbudowanych z cegły, która z wiekiem nabrała głębokiej, czarnoczerwonej barwy. Każdy łuk tworzył ze swoim odbiciem ciemną elipsę. Dora zobaczyła, że pośrodku grobla jest zapadnięta i połączona drewnianym pomostem na słupach.

– Były tu zamieszki w okresie kasaty... kasaty klasztorów – wyjaśniła pani Markowa – i same zakonnice kazały zburzyć tę część grobli. Ale niewiele im to pomogło. Pożar zniszczył prawie

całe zabudowania klasztorne. Po reformacji Opactwo opustoszało, więc kiedy wybudowano Imber Court, było rozpadającą się ruiną, czymś w rodzaju romantycznej osobliwości na terenie majątku. Potem, w końcu dziewiętnastego wieku, w następstwie ruchu oksfordzkiego, anglikańskie benedyktynki przejęły pozakonną własność – dawniej, naturalnie, było to opactwo benedyktynek – i odbudowały ją około roku 1900. Mniej więcej w tym samym czasie nabyły rękopisy, którymi interesuje się twój mąż. Z dawnych budynków pozostało bardzo niewiele... tylko refektarz, brama i naturalnie wieża.

Weszły na groblę. Dora poczuła dreszczyk podniecenia.

– Czy będziemy mogły wejść na wieżę? – spytała.

– Och, my przecież nie wejdziemy do środka – odparła pani Markowa. – W tym zakonie obowiązuje ścisła klauzura. Nikomu nie wolno wchodzić tam ani stamtąd wychodzić.

Dora była ogłuszona tą informacją.

– Chce pani powiedzieć, że one są tam uwięzione?

Pani Markowa roześmiała się.

– Nie uwięzione, moja droga. Są tutaj z własnej i nieprzymuszonej woli. To nie jest więzienie. Bardzo trudno jest się dostać do Imber Abbey, a dostępują tego zaszczytu tylko jednostki najsilniejsze duchem. Jak Maria w przypowieści, obierają lepszą część. – Ruszyły znów przed siebie.

– Czy one nigdy nie wychodzą? – spytała Dora.

– Nigdy. Jako benedyktynki ślubują stałość, to znaczy, pozostają do końca życia w tym klasztorze, w którym złożyły śluby. Tu umierają i są grzebane na cmentarzu wewnątrz murów.

– Jakże to okropne! – wybuchnęła Dora.

– Ciszej, bardzo proszę – skarciła ją pani Markowa zniżając głos. Były już na końcu grobli.

Dora zobaczyła teraz, że wysoki mur, który zdawał się wyrastać z jeziora, jest w rzeczywistości cofnięty o ponad pięćdziesiąt jardów od brzegów wody. Z grobli biegły dwie ścieżki brukowane nierównymi kamieniami, jedna prosto do wysokiej bramy, której ogromne drewniane odrzwia były zamknięte, a druga w lewo, wzdłuż muru klasztornego.

– Te drzwi są zawsze zamknięte – wyjaśniła pani Markowa wskazując na bramę i nadal mówiąc zniżonym głosem. – Otwierają je tylko na przyjęcie nowej postulantki, co ma miejsce zawsze wcześniej rano i jest naprawdę imponującą ceremonią. Och, naturalnie, drzwi otworzą się za tydzień czy dwa. Nowy dzwon zostanie wprowadzony do Opactwa tą drogą, jak gdyby był postulantom.

Skręciły teraz w lewo i szły ścieżką biegnącą mniej więcej pośrodku między murem a brzegiem wody. Dora zobaczyła długi, prostokątny budynek z czerwonej cegły, o płaskim dachu, sterczący na zewnątrz muru jak narośl.

– Nie jest to niestety piękna budowla – powiedziała pani Markowa. – Mieści się tu kilka rozmównic, w których zakonnice spotykają się czasem z osobami z zewnątrz. A na końcu jest kaplica dla gości, gdzie wolno nam uczestniczyć w życiu religijnym Opactwa. Kaplica zakonnica, znacznie większa, jest dokładnie w tym miejscu, po drugiej stronie muru. Widać kawałek dachu... o tam, między drzewami.

Weszły w zielone drzwi na końcu murowanego budynku. Dora zobaczyła długi korytarz i rząd drzwi po jego jednej stronie.

– Pokażę ci, jak wygląda rozmównica. – Zniżyła teraz głos prawie do szeptu. – Do twojego męża pójdziemy za chwilę. Jest tam na drugim końcu korytarza.

Otworzyła pierwsze drzwi. Dora znalazła się w małym kwadratowym pokoiku, w którym nie było żadnych sprzętów, nic prócz dwóch krzeseł i błyszczącego linoleum na podłodze. Krzesła stały w głębi, pod dużym ekranem z białej gazy, który zakrywał górną połowę przeciwległej

ściany.

– Druga połowa pokoju, za ścianą – wyjaśniła pani Markowa – znajduje się już w obrębie klauzury. – Szarpnęła drewnianą ramę ekranu, który otworzył się jak drzwi, ukazując kratę z prętów żelaznych osadzonych w odstępach dziewięciu cali. Tuż za kratą był drugi ekran z białej gazy, zasłaniający tę część rozmównicy.

– Zakonnica otwiera ekran po drugiej stronie – ciągnęła pani Markowa – i wtedy możesz z nią mówić przez kratę. – Zamknęła ekran. Wszystko to wydało się Dorze niewiarygodne i niesamowite.

– A może miałabyś ochotę porozmawiać z którąś z zakonnice? – spytała pani Markowa. – Przeorysza jest pewnie zbyt zajęta. Nawet James i Michał widują ją bardzo rzadko. Ale matka Klara byłaby rada zobaczyć się z tobą i chwilę porozmawiać.

Dora czuła, jak się cała jeży ze strachu i gniewu.

– Nie wydaje mi się, żebym miała o czym mówić z tymi zakonicami – powiedziała usiłując stłumić zaczepność tonu.

– Wiesz – ciągnęła pani Markowa – pomyślałam sobie, że może dobrze by ci zrobiło, gdybyś porozmawiała o pewnych sprawach. Zakonnice są mądrymi kobietami i nie uwierzyłybyś, ile wiedzą o świecie. Nic ich nie gorszy. Ludzie często tu przychodzą, żeby wyświadczyć się ze swoich kłopotów i odnaleźć właściwą drogę.

– Nie mam żadnych kłopotów, o których chciałabym z kimkolwiek mówić – oznajmiła Dora. Zmroziło ją uczucie wrogości, dygotała przy każdym słowie wypowiedzanym przez tamtą. Prędzej piekło pochłonie całe to miejsce, niż ona pozwoli zakonnicy wtrącać się do swoich myśli, swoich uczuć.

– W każdym razie zastanów się nad tym – powiedziała pani Markowa. – Może to jest myśl, do której trzeba przywyknąć. Teraz pójdziemy do Pawła. Pracuje w rozmównicy na końcu korytarza.

Zastukała i otworzyła drzwi. Dora zobaczyła pokój podobny do tego pierwszego, tylko z ustawionym na środku stołem, przy którym siedział Paweł. Ekran z białej gazy był zamknięty.

Dora i Paweł ucieszyli się na swój widok. Paweł podniósł głowę znad stołu i rozpromieniony spojrzał na żonę. Jego rozradowanie, ilekroć zastawała go przy pracy, zawsze wydawało się Dorze dziecinne i wzruszające. Było jej przyjemnie, że widzi go pochłoniętego ważnymi studiami, i natychmiast przeniknęło ją uczucie dumy, ujrzała go znów jako człowieka wybitnego, tak wyraźnie w jej mniemaniu przewyższającego Marka Strafforda i tych innych ponuraków. Chociaż zdolność zapominania i życia aktualną chwilą często narażała Dorę na poważne kłopoty, to jednak pozwalała jej też reagować bezinteresownie na powracającą ciepłą falę życzliwości. Brak pamięci czynił ją wspaniałomyślną. Nie była mściwa i nie zachowywała w sercu urazy; i gdy szła teraz przez pokój, mogło się zdawać, że nie dzieliły ich nigdy żadne nieporozumienia.

– To jest część rękopisów, nad którymi pracuję – tłumaczył jej Paweł cichym głosem. – Są bardzo cenne i nie wolno mi ich stąd wynosić. – Pochylony nad stołem otwierał kolejno ogromne, oprawne w skórę foliały i pokazywał Dorze ich grube, barwnie iluminowane stronicę. – Tutaj masz najwcześniejsze kroniki zakonu. Są swego rodzaju unikatami. Ta tutaj, nazywana „chartularium”, zawiera kopie przywilejów i innych dokumentów prawnych. A to jest słynny Psalterz z Opactwa Imber. Widzisz te fantastyczne inicjały... te zwierzątka na marginesie stronicy? A tak wyglądało Opactwo w roku 1400!

Dora zobaczyła kompleks białych budynków o murach zakończonych blankami, na tle bardzo gęstych i zielonych drzew i błękitnego nieba.

– Pewnie w rzeczywistości nie były takie białe – powiedziała. – Wygląda to bardziej na Włochy niż na Anglię. Ale w jaki sposób to złoto dotąd się trzyma? Ach, i jest stara wieża!

– Pss! – szepnął Paweł. – Tak, to jest wieża, która stoi do dzisiaj. Naturalnie jest to obraz bardzo sformalizowany. A tu masz biskupa, który był założycielem klasztoru, trzyma w ręce model Opactwa. Z tego lepiej można się zorientować w ogólnym układzie. Nowe Opactwo wznosi się na planie starego, chociaż przy odbudowie nie usiłowano naturalnie zrekonstruować średniowiecznych budynków. Ta część dochowała się do dzisiaj, podobnie jak wieża. W tej starej Księdze Świadectw...

– Nie powinniśmy ci zajmować tyle czasu – przerwała mu pani Markowa. – Zresztą chcę jeszcze pokazać Dorze kaplicę i chociaż przebiec z nią przez ogród, a muszę wracać do moich zajęć.

Paweł był rozczarowany.

– Jutro pokażę ci więcej – powiedział i gdy Dora odchodziła, uszczypnął ją w ramię.

Dora wolałaby zostać, więc uśmiechnęła się do niego żałośnie za oddalającymi się plecami pani Markowej. Wiedziała już, w jaki sposób będzie przedrzeźniała tę paniusię, kiedy zostaną z Pawłem sami. Przedrzeźnianie nie przychodziło Dorze łatwo i musiała wszystko obmyślać z góry. Jej żarty cudzym kosztem były często trochę przyciężkie. Szła za panią Markową uśmiechając się do siebie, rozweselona też łatwością, z jaką nawiązała z Pawłem porozumienie.

Pani Markowa przebyła ostatni odcinek korytarza i weszła do małego przedsionka, skąd jedne drzwi prowadziły na dwór, a drugie do kaplicy. Otworzyła drzwi wewnętrzne i pchnęła przez nie Dorę w prawie zupełną ciemność. Wytężając wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć, Dora słyszała tylko, jak pani Markowa pada energicznie na kolana. Potem zorientowała się z wolna, że jest w małym, pudełkowatym pomieszczeniu o wybłyszczonej posadzce i z świętymi obrazami na ścianach i że stoi tu pewna ilość krzesel i klęczników. W powietrzu unosił się silny zapach kadzidła. Naprzeciwko drzwi była ogromna krata, rozpościerająca się od podłogi do sufitu przez całą szerokość pomieszczenia. Część prętów została odpiłowana i w otworze osadzono drzwi, teraz zamknięte. W odległości kilku stóp od kraty biegła niska balustrada. Przez kratę widać było niewyraźnie ołtarz, ustawiony na podwyższeniu, bokiem do drzwi. Dwie długie białe zasłony, teraz rozsunięte, zwisały z mosiężnego karnisza umieszczonego w poprzek kraty. W pobliżu ołtarza paliło się czerwone światło. Płynęła stamtąd unicestwiająca cisza.

– Jesteśmy w kaplicy goście – powiedziała pani Markowa szeptem tak cichym, że Dora zaledwie mogła ją zrozumieć. – Przez kratę widać główny ołtarz kaplicy klasztornej. Kaplica jest zwrócona nawą do ołtarza i dlatego stąd niewidoczna. Dzięki temu układowi możemy uczestniczyć w nabożeństwach nie patrząc na zakonnice, bo to naturalnie jest zakazane. Codziennie o siódmej rano goście mogą tu przychodzić na mszę. Przez tamte drzwi kapłan wychodzi i udziela komunii zebranim tu w kaplicy. Kiedy zakonnice przystępują do komunii, zaszuwa się zasłonę i odcina w ten sposób główną kaplicę od naszej. Tutaj ludzie z zewnątrz, tacy jak my, uczestniczą w życiu duchowym Opactwa.

Cichy szelest przypłynął z oddali, z jakiegoś miejsca poza kratą, a potem odgłos kroków.

– Czy ktoś?... – wyszeptała Dora.

– W kaplicy zawsze jest zakonnica – odparła szeptem pani Markowa. – Jest to miejsce bezustannych modłów.

Dorze zrobiło się duszno i nagle ogarnęła ją groza; zaczęła się cofać do drzwi. Ciężka, egzotyczna woń kadzidła zbudziła w jej protestanckiej duszy odziedziczony po przodkach lęk. Pani Markowa przyklękła, przeżegnała się i podążyła za nią. W chwilę później stanęły w jaskrawym blasku słońca. Wysoka trawa zmieszana z trzcina nad brzegiem wody falowała, a jezioro połyskiwało spokojnie w promieniach słońca. Pod bezchmurnym niebem roztaczał się przed nimi rozległy krajobraz – widziany z ukosa Imber Court i daleka, przymglona perspektywa parku ze strzelistymi wiązami. Było coś wręcz nieprawdopodobnego w bliskości tej czarnej nory

i tej ciszy. Dora potrząsnęła gwałtownie głową.

– Tak, to robi wrażenie, prawda? – powiedziała pani Markowa. – Życie duchowe Opactwa jest czymś naprawdę cudownym. Nie można się nie wzruszyć.

Wyszły znów na groblę.

– Pójdziemy tą wąską ścieżką w lewo i dostaniemy się skrótem na tyłach domu prosto na farmę ogrodniczą.

Zeszły z grobli na ścieżkę, która biegła najpierw nad samym brzegiem jeziora, a potem skręcała w prawo wzdłuż krawędzi gęstego lasu. W oddali zamigotały szyby cieplarni. Gdy pozostawiając za sobą jezioro skręciły pod samym lasem, przypłynęło do nich nad wodą cieniutkie brzęczenie ręcznego dzwonka.

Dora wybuchnęła:

– To straszne, jak się pomyśli, że one są tak zamknięte za murami!

– Przyszły – powiedziała pani Markowa – że te kobiety zdobywają się na wyrzeczenia, przed którymi my obie cofnęłybyśmy się ze zgrozą. Ale podobnie jak grzesznik wydaje nam się lepszy, niż jest w rzeczywistości, ponieważ sądzimy, że cierpienie go uszlachetnia, tak też nie oddajemy pełnej sprawiedliwości świętemu uważając, że umartwienia są dla niego tak bolesne, jak byłyby dla nas. Tu chyba musimy iść gęsiego.

Pani Markowa szła pierwsza wąską ścieżką, zaledwie widoczną w gęstwinie trawy, wysokiej i płowożółtej. Długie pierzaste kity, ostre i wysuszone, pochylały się z obu stron i dotykały ramion idących kobiet. Wciąż poruszona i przejęta niedawnym przeżyciem Dora szła potykając się w niewygodnych pantoflach, patrząc pod nogi i widząc przed sobą migające w gęstym poszyciu tęgie łydki pani Markowej, lśniące zdrowym połyskiem, opalone na rozjarzony złoty brąz. Po prawej ukazały się tyły Imber Court, długa, prosta fasada z kolumnami, które wpuszczone w mur stanowiły obramowanie okien Długiej Sali, imponujących, zamkniętych okrągłymi lukami. Kobiety wyszły teraz na otwartą przestrzeń, gdzie trawa była skoszona i ustawiona w kopcach. Siad ścieżki zgubił się tutaj i wysokie obcasy Dory grzęzły w ostrym ściernisku.

– W tym miejscu zaczyna się nasze gospodarstwo ogrodnicze – wyjaśniła pani Markowa. – Niestety jest jeszcze bardzo małe. Ta część bliżej nas była kiedyś ogrodem kwiatowym pałacu. Uprawiamy warzywa w grzędach, przeważnie sałatę, trochę marchwi i cebuli, i młodych porów. Dalej jest dawny sad majątku, otoczony ze wszystkich stron tym wysokim murem, który widzisz przed sobą. Zostawiliśmy go prawie bez zmian, mamy tam dużo jabłoni i grusz i mnóstwo truskawek, malin i tak dalej. W sadzie są też cieplarnie, ale zbudowaliśmy kilka nowocześniejszych, które widzisz tu po lewej. Teraz mamy tam same pomidory. Ta historia z siatki obok szklarni to kurnik. Nic wielkiego, na kilka sztuk drobiu. Ostatnio wzięliśmy pod uprawę kawałek pastwiska za tym niskim murkiem. Mamy tam kapustę, spore poletko kartofli i brukselkę. Chwilowo uprawiamy tylko bezpieczniejsze warzywa, musimy zdobyć trochę więcej doświadczenia. Na jesieni przekopimy jeszcze kawałek pastwiska.

Wyszły na betonowy chodnik biegnący między rzędami okien inspektowych w kierunku ogrodzonego sadu. Ukazały się jakieś postacie. W pewnej odległości od chodnika James Tayper Pace uczył Toby'ego okopywać rośliny na grzędach.

– Okopywanie to takie nieromantyczne zajęcie – powiedziała pani Markowa z pewną satysfakcją – ale jest chlebem powszednim we wszystkich gospodarstwach ogrodniczych.

Patchway zbliżał się do nich z naprzeciwka, pchał przed sobą taczki. Jego kapelusz wyglądał tak, jakby go Patchway nie zdejmował od wczorajszego wieczora.

– No i ciągle nie ma deszczu – powiedziała pani Markowa.

– Jak nie lunie porządnie – oznajmił Patchway – te pory nie ruszą się do jesieni.

Usunęły się, żeby go przepuścić.

– Jedzie po sałatę – wyjaśniła pani Markowa. – Taki porządny, prosty człowiek. Na prawo masz teraz tyły stajni, zaprojektowanej podobno przez Kenta. Częściowo zniszczył ją pożar, mniej więcej pięćdziesiąt lat temu, ale jak widzisz, jest nadal bardzo piękna. Można ją zobaczyć na wielu starych sztychach. Niektóre boksy zamieniliśmy na garaże, inne na magazyny, w których ważymy i pakujemy nasz towar przed wysłaniem do Pendelcote i Cirencester. Doglądam tych czynności, a poza tym zajmuję się domem i aprowizacją. Uważamy, że kobieta powinna się trzymać swoich tradycyjnych zajęć. Nie ma sensu wprowadzać zmian w imię samych zmian, mam chyba rację? Będziemy bardzo radzi, jeżeli przyjdzie ci kiedykolwiek ochota przyłączyć się do nas. Pewnie umiesz się posługiwać igłą?

Dora, która nie umiała, była już udręczona słońcem. Żar i światło odbijające się od betonowego chodnika i okien inspektowych przyprawiły ją o ból głowy. Podniosła rękę do czoła.

– Biedactwo! – zawołała pani Markowa. – Tak cię przegoniłam, że lecisz z nóg. Zajrzymy jeszcze tylko do sadu, a potem pójdziesz do siebie na górę i odpoczniesz, a ja wrócę do moich zajęć. – Pchnęła ciężką drewnianą furtkę w murze.

Stary mur kamienny, wysuszony i kruszący się po długim lecie, zrosnięty łamliwym rozchodnikiem i wyblakłą walerianą, opasywał sporą przestrzeń, na której tłoczyły się splątane krzewy owocowe. Przeciwny róg był odgradzony drucianą siatką, z daleka połyskiwało szkło. Mgiełka wisiała nad tym bujnym zakątkiem i panował tu chyba jeszcze większy upał. Szczepione drzewka owocowe były rozpięte wzdłuż całego muru, ich liście zwiły się z gorąca. Pani Markowa i Dora weszły na ścieżkę, kolczaste palce malin czepiały się ich odzienia.

– O, jest Katarzyna – powiedziała pani Markowa. – Zrywa morele.

Poszły w jej kierunku. Dla ochrony owoców przed ptakami narzucono na mur gęstą sznurkową siatkę. Za siatką była Katarzyna, prawie niewidoczna w gęstym listowiu wrzucała złote owoce do stojącego u jej stóp koszyka. Na głowie miała biały kapelusz z opadającym rondem, spod którego wymykały się jej ciemne włosy, związane w długi węzeł, otoczony mgiełką luźnych pasemek i kosmyków, zwisający aż na plecy. Była pochłonięta pracą i nie zauważyła Dory i pani Markowej, dopóki do niej nie podeszły. Jej ciemna głowa, przechylona do tyłu i opromieniona sypkim blaskiem wiszących moreli, wydała się Dorze znowu piękna, bardzo hiszpańska. Odwrócona twarz dziewczyny, pozbawiona nerwowego, samoobronnego wyrazu, jaki pojawiał się na niej przy ludziach, była silniejsza, szlachetniejsza i smutniejsza. I na ten widok znowu ogarnęło Dorę niepojęte uczucie lęku.

– Katarzyno! – zawołała pani Markowa. – Przyprowadziłam Dorę.

Katarzyna drgnęła i obróciła się, wyraźnie zaskoczona. Co za nerwowe stworzenie, pomyślała Dora. Uśmiechnęła się do niej i Katarzyna odpowiedziała jej spoza siatki uśmiechem.

– Musi ci być chyba strasznie gorąco przy tej pracy – powiedziała Dora.

Katarzyna była ubrana w wyciętą przy szyi letnią sukienkę w wyblakłe, sprane kwiaty. Szyję miała opaloną na ciemny brąz, ale pewna ziemistość jej cery jakby się opierała promieniom słońca i stąd ta bladość, którą Dora zauważyła poprzedniego wieczoru. Rozmawiając z Dorą zsunęła kapelusz do tyłu, aż oparł się, przytrzymywany tasiemkami, na ciężkim węźle włosów opadającym jej na plecy, i zgarnęła z czoła nierówną ciemną grzywkę. Wycierając o suknię brązową dłoń wilgotną od potu zamieniła z nimi kilka uwag na temat pogody. Pani Markowa i Dora odeszły.

– Katarzyna, kochane dziecko, jest strasznie przejęta swoim wstąpieniem – powiedziała pani Markowa. – To dla niej taki podniecający okres.

– Wstąpieniem? – zdziwiła się Dora.

– Och, to ty nie wiedziałaś? – Pani Markowa zawróciła do furtki. – Katarzyna wstępuje do klasztoru. Rozpoczyna nowicjat w październiku.

Były już przy furtce. Dora obróciła się, by spojrzeć jeszcze raz na postać za siatką. Nowina, którą przed chwilą usłyszała, napęliła ją pełnym zgrozy zdumieniem, dziwacznym uczuciem ulgi i jakimś nieokreślonym bólem, składającym się może z litości i przerażenia, jak gdyby zagłada groziła czemuś w jej wnętrzu.

* * *

– Proszę pani, zamykamy – powiedział barman.

Dora zerwała się zmieszana i oddała szklanekę. Była ostatnim gościem wyłożonego ciemną boazerią baru gospody „Biały Lew”. Wyszła na słońce i usłyszała za sobą smutny odgłos zatraskiwanych drzwi i rygła zasuwanego w zamku. Było wpół do trzeciej.

Rozstawszy się rano z panią Markową Dora odpoczęła około dwudziestu minut, a następnie powędrowała do miasteczka ścieżką wskazaną jej przez panią Markową, żeby spytać na dworcu o walizkę. Droga trwała dłużej, niż się Dora tego spodziewała, ale gdy w końcu spocona i zmordowana dotarła na miejsce, powiedziano jej, że walizka jedzie pociągiem, który powinien być za pół godziny. Wróciwszy do miasteczka Dora nie posiadała się z radości, kiedy się okazało, że bary są otwarte. Była kolejno klientką „Białego Lwa” i „Ochotnika”, gdzie siedziała rozmarzona w mrocznym wnętrzu i rozkoszowała się ową atmosferą spokojnego baru, która we wspomnieniach kojarzyła jej się z miłszymi momentami pobytu w kościele. Wróciła na dworzec i dowiedziała się, że pociąg ma opóźnienie. W końcu przyjechał i Dora odzyskała walizkę. Natychmiast zaniósła ją do poczekalni dla pań i przebrała się w letnią sukienkę i sandaalki. W znacznie teraz lepszym nastroju wyszła i obładowana miała już rozpocząć drogę powrotną do Imber, która mogła się okazać szczególnie uciążliwa (co nie przyszło do głowy ani Pawłowi, ani jej), gdy zerknęła na zegarek. Było piętnaście po pierwszej. Uprzytomniła sobie nagle, że obiad w Imber jest podawany o wpół do pierwszej. Wtedy to weszła po raz drugi do „Białego Lwa”.

Wyeksmitowana powlokła się uliczkami do przełazu w żywopłocie i odnalazła wąską ścieżkę prowadzącą przez pola pszenicy i las do głównej drogi. Dojrzała, niemal brązowa pszenica była już zżęta i ustawiona w schludnych kopcach i tylko przy samej ścieżce majaczyły jak duchy pojedyncze maki. Dora dotarła do drogi, szła kawałek wzdłuż muru posiadłości i przez małą furtkę weszła na jej teren. Z tego miejsca ścieżka prowadziła ukośnie przez dwa strumienie wpadające do jeziora i w pobliżu trzeciego mostu łączyła się z podjazdem. Był to bardzo piękny fragment przechadzki, prawie cały czas w cieniu, i chociaż Dora odczuwała przykry głód i denerwowała się, że jest późno, zachwyciło ją łagodne powietrze i zielone sklepienie lasu. Dotarła do drewnianego mostku nad pierwszym strumieniem. Cień ją ochłodził, a głód napęlił energią.

Posiadłość w tym miejscu była gęsto zalesiona i strumień płynął liściastym tunelem wydrążonym w krzewach czarnego bzu i młodych pędach jesionów, pod wyższym sklepieniem lasu. Opadające na wodę źdźbła trawy rozciągały się długimi pasemkami jaskrawej zieleni, ale w środku strumień był przezroczysty, płynął po piasku i kamykach. Dora zatrzymała się wpatrzona w drżącą, pocętkowaną wodę i nagle zaczęła myśleć o Katarzynie. Wyobraziła ją sobie w stroju panny młodej, jak w październiku wchodzi w ogromną bramę Opactwa, żeby już nigdy nie wyjść. Potem zobaczyła w wyobraźni siebie idącą po grobli, z oczami nieruchomo utkwionymi w otwierającej się bramie. Oprzytomniała, wzdrygnęła się i zbiegłszy szybko obok mostu weszła w sandałach do strumienia. Bogu dzięki, nie jest Katarzyną.

Podrapana i ociekająca wodą wyszła na brzeg po drugiej stronie i ruszyła znów przed siebie. W kilka minut później dwie myśli uderzyły ją prawie jednocześnie. Pierwsza, że musiała zabłądzić, bo dotarła już do drugiego strumienia, szerszego i o brzegach zarośniętych jeżynami,

ale nie znalazła mostku i szła teraz ścieżką w górę zbocza, równoległą do strumienia. Druga myśl, to że zostawiła walizkę w barze „Biały Lew”. Tej drugiej myśli towarzyszył jęk rozpaczny. Samo spóźnienie się na obiad było czymś dostatecznie okropnym. Ten drugi dowód głupoty rozwścieczy Pawła na wiele dni, nawet jeżeli walizka nie zostanie tymczasem skradziona. Zawróciła, żeby pobiec do miasteczka i natychmiast ją odzyskać. Ale była tak zmęczona i głodna, i tak zgrzana, i do miasteczka było tak daleko, i nagle wszędzie dokoła było tyle pokrzyw... a zresztą i tak zmyliła drogę. Co za idiotka ze mnie, pomyślała Dora.

Nagle usłyszała szelest liści dalej na ścieżce, w tej stronie, z której przyszła, i mężczyzna wyłonił się z lasu, rozsuwając przed sobą splątane gałęzie. Był to Michał Meade.

Obecność Dory w tym miejscu najwyraźniej go zdziwiła, szedł uśmiechając się do niej i patrząc pytająco.

– Och, pan Meade – wyjąkała Dora, – Chyba zabłądziłam. – Czuła się onieśmielona w towarzystwie przywódcy bractwa.

– Pani kolorowa sukienka mignęła mi między drzewami – powiedział Michał – i nie mogłem zrozumieć, co to jest. W pierwszej chwili myślałem, że to jeden z rzadkich ptaków Piotra! Tak, jeżeli pani wraca do domu, wyszła pani na niewłaściwą ścieżkę. Przyszedłem tu sprawdzić grędy rzeżuchy. Hodujemy rzeżuchę na kawałku tamtego strumienia. Teraz naturalnie nie sezon, ale trzeba ją od czasu do czasu wypielić. Ładnie tu, prawda?

– Cudownie! – powiedziała Dora i nagle zorientowała się z przerażeniem, że zaczyna płakać. Było jej trochę słabo z głodu i gorąca i bardzo duszno pod baldachimem lasu.

– Wie pani, to upał. Broszę usiąść na tym pniu. Proszę spuścić nisko głowę. Zaraz będzie lepiej. – Dotknął ręką jej karku.

– To nie dlatego – wyjąkała Dora. Przekonawszy się, że nie ma chusteczki, otarła łzy brzegiem sukienki, a potem przejechała wierzchem zabłoconej i spoconej dłoni po twarzy. – Poszłam po walizkę, wie pan, tę, którą zostawiłam w pociągu, i dali mi ją, a teraz się okazało, że ją znowu zostawiłam... W „Białym Lwie”! – Głos załamał jej się w szlochu.

Michał patrzył na nią chwilę w milczeniu. I nagle roześmiał się dość melancholijnie.

– Strasznie przepraszam – powiedział – ale pani słowa zabrzmiały jakoś tak komicznie! Głowa do góry, nie ma tragedii. Jadę dziś pod wieczór samochodem do miasteczka i przywiozę pani zgubę. Jest w „Białym Lwie” zupełnie bezpieczna. Ale czy jadła pani obiad? Dziwiliśmy się, że pani nie ma.

– Nnnie... – odparła Dora. – Wypiłam coś. Ale nie mieli kanapek.

– Idziemy prosto do domu – oznajmił Michał – i pani Markowa da pani coś do zjedzenia. A potem trzeba się położyć. Miała pani męczący ranek. Wejdziemy tą ścieżką na stok i przedostaniemy się przez strumień po kamieniach. Jest to stąd taka sama odległość i cały czas w cieniu. Proszę wstać i iść za mną, nie będę szedł prędko.

Pomógł jej się podnieść. Uśmiechnęła się do niego odgarniając mokre włosy z czoła, trochę już raźniejsza, i zaczęła iść za nim po ścieżce. Zniknął jej niepokój o walizkę, jak gdyby wszystko stało się proste i łatwe tylko dzięki temu, że Michał się roześmiał. Była mu za to wdzięczna. Wczoraj wieczorem był po prostu chudym i bladym mężczyzną, przepracowanym i nie zwracającym na nią uwagi. Dzisiaj wydawał jej się człowiekiem stanowczym i jednocześnie łagodnym, a nawet jego wąska twarz była jakby brązowsza, a włosy złocistsze. Oczy tak blisko osadzone musiały nadawać twarzy zatroskany wyraz, ale jak bardzo błękitne były te oczy!

Tak więc przez kilka chwil Dora szła za Michałem, znowu spokojna, wpatrzona w jego opalony, kościsty kark, sterczący ze sflaczałego kołnierzyka dość brudnej białej koszuli. Nagle zobaczyła, że Michał zatrzymał się raptownie i patrzy na coś. Nie odzywając się podeszła do niego cicho i spojrzała ponad jego ramieniem.

W lesie była polanka i strumień rozlał się tu tworząc małe jezioro obrzeżone pokrytymi mchem kamieniami i gęstą trawą. Pośrodku jezioro wydawało się głębokie, a woda miała barwę chłodno brązową. Dora patrzyła i w pierwszej chwili nie zauważyła nic prócz kręgu wody i w głębi za nią ruchomej szachownicy listowia, przez które nierówno przebijało się słońce. Potem dojrzała białą postać stojącą nieruchomo na tamtym brzegu jeziora. Dopiero po chwili, gdy minęło pierwsze zdumienie, zorientowała się kto to. Był to Toby w kapeluszu od słońca i z długim kijem w ręce, którym poruszał muł na dnie jeziora. Dora zobaczyła natychmiast, zobaczyła, jeszcze zanim go poznała, że nie licząc kapelusza na głowie Toby jest zupełnie nagi. Słońce i cień, pieściły jego smukłe ciało, gdy wierzba, pod którą stał, kołysała się w łagodnym wietrzyku. Pochylił się nad kijem, wpatrzony uważnie w wodę, nieświadomy, że go ktoś obserwuje, i w tym momencie sprawiał wrażenie człowieka, dla którego nagość jest czymś zwyczajnym; poruszał się z trochę kanciastym i kościstym, odrobinę niezdarnym wdziękiem. Jego widok przeniknął Dorę dreszczem zachwytu i nagle ożyło w niej wspomnienie z podróży do Włoch – młody Dawid Donatella, niedbały, silny, cudownie nagi i czarująco niedojrzały.

Gdyby Dora była sama, zawołałaby Toby'ego, tak mało ją ten widok krępował, a tak bawił i tyle dawał przyjemności. Ale powstrzymała ją bliskość tego obcego człowieka, o którym na chwilę zapomniała; obróciła się do niego z uczuciem zakłopotania, nie tyle z powodu jego obecności, tyle z a niego, ponieważ mógł sobie ewentualnie pomyśleć, że jest skrępowana. I rzeczywiście Michał patrzył na chłopca z wyrazem troski. Potem obrócił się cicho, dotknął ramienia Dory i poprowadził ją z powrotem ścieżką, którą przyszli. Spokój Toby'ego nie został zakłócony. Wszystko to wydało się Dorze przesadną delikatnością, szła jednak ostrożnie stawiając stopy.

Kiedy odeszli kawałek, Michał powiedział:

– Daliśmy mu wolne popołudnie. Zastanawiałem się, gdzie zniknął. Niech się wykąpie w spokoju. Pójdziemy tamtą ścieżką.

– Naturalnie – zgodziła się Dora. Spojrzała śmiało na Michała, z uczuciem, że są współnikami, ponieważ razem sycili oczy tą pasterską wizją. Michał wydał jej się nagle czarująco nieśmiały. Przypomniała sobie dotknięcie jego ręki na karku. Ich dziwne wspólne przeżycie wyczarowało między nimi drżący promień fizycznego pożądania. Przyjęła ten tajemny hołd z wdzięcznością i czułością i gdy szli razem, uśmiechała się do siebie na myśl o swojej teorii, wyczuwając w Michale nową świadomość jej osoby, jako żywej, z krwi i kości, potencjalnie pożądanej, potencjalnie nagiej kobiety, idącej tuż obok niego w ciepłe popołudnie.

ROZDZIAŁ VI

Michała Meade'a obudził dziwny, głuchy, dudniący odgłos, który zdawał się płynąć od strony jeziora. Leżał chwilę zeszywniały, wsłuchując się z niepokojem w ciszę, która potem nastąpiła, a w końcu wstał i podszedł do otwartego okna.

Jego pokój wychodził na Opactwo. Noc była bezchmurna, księżycowa, i gdy wyjrzał, napięty i zdenerwowany, zobaczył ogromną taflę jeziora i mur Opactwa naprzeciwko, doskonale widoczne w buchającej blaskiem wspaniałości księżyca, który wypłynął już wysoko i był teraz nad ogrodem warzywnym. Wszystko wydawało się znajome i jednocześnie tajemnicze. Jego wzrok przesunął się wzdłuż muru aż do miejsca, gdzie mur się kończył i tereny Opactwa schodziły nie ogrodzone nad samą wodę, na szeroki, kamienisty brzeg jeziora. Zdumiony Michał zobaczył tam z niezwykłą wyrazistością kilka postaci. Gromadka zakonnice stała na samej krawędzi jeziora. Dostrzegał kołyszące się przy każdym ruchu czarne, bezkształtne habity i ostry zarys niebieskich cieni, jakie postacie rzucały w blasku księżyca, i było to chyba złudzenie optyczne, ale zdawały się dziwnie blisko. Pochylone wydobywały teraz coś z wody. Było to coś dużego i ciężkiego, co kilka z nich niezdarnie chwyciło i ciągnęło. Michał miał wrażenie, że słyszy, jak ta rzecz szoruje po kamieniach. Nagle zorientował się z dreszczem zgrozy, że ten długi, bezwładny przedmiot, który zakonnice wyciągają na brzeg, jest ciałem ludzkim. Wydobywały z wody trupa. Michał stał zmrożony i sparaliżowany, nie wiedział, co robić, i zastanawiał się, jakiej to strasznej katastrofy akt ostatni rozgrywa się na jego oczach. Kim jest topielec, który leży nieruchomo na tamtym brzegu? Nagle przyszła mu do głowy obłąkana myśl, że jest to ktoś, kogo zakonnice zamordowały. Widok był tak złowieszczy i tak niesamowity, że zdjęty dławiającym strachem Michał zaczął szarpać kołnierz pidżamy. Okrzyk przerażenia uwiązał mu w krtani.

Obrócił się na bok i przekonał, że leży wciąż w łóżku. Przez okno sączyło się wczesne poranne światło. Usiadł w pościeli, serce waliło mu głośno, ręka nadal szarpała kołnierz pidżamy. Miał sen; ale było to doznanie tak potężne, że siedział chwilę oszołomiony, niepewny, czy się naprawdę obudził, wstrząśnięty okropnością oglądanego widoku. Był to znowu ten sam przerażający sen. Po raz trzeci śniło mu się mniej więcej to samo – noc i zakonnice wyciągające z wody topielca, i jednocześnie dręczące go przekonanie, że to ich ofiara leży przed nimi na brzegu. Za każdym razem koszarowi sennemu towarzyszyło druzgocące uczucie, że dzieje się coś strasznego; i za każdym razem Michał odnosił dziwaczne wrażenie, że głuchy dźwięk poprzedzający sen nie był dźwiękiem z marzenia sennego, tylko dźwiękiem, który on naprawdę usłyszał przez sen i który go obudził.

Spojrzał na zegarek, była za dwadzieścia szósta. Wstał i podszedł do okna spodziewając się niemal, że zobaczy coś dziwnego. Wszystko było po dawnemu, tylko krajobraz wczesnego poranka wydawał się opustoszały, wyludniony. Na przystrzyżonym trawniku tuż przed domem biegały kosy, pochłonięte tajemniczymi czynnościami ptaków niedawno zbudzonych ze snu. Poza tym nic się nie ruszało. Jezioro było spokojne i gładkie, promieniowało bladym, rozproszonym światłem słońca wstającego za gęstą mgłą. Zapowiadał się jeszcze jeden upalny dzień. Spojrzenie Michała powędrowało ku miejscu, gdzie kończył się mur Opactwa i woda pluskała w sitowiu porastającym brzeg. Nie było kamienistej plaży, nie było stojących na niej postaci. Michał zastanawiał się, jakie znaczenie może mieć ten jego sen i co to jest, co ukryte w zakamarkach mózgu każe mu przypisywać czyn tak straszliwy niewinnym i świętobliwym

zakonnicom. Myśli tej towarzyszyła niejasna świadomość nie tyle jakichś ciemnych mocy napierających na niego, ile istnienia w nim samym czynnego źródła zła. Potrząsnął głową i ukląkł przy otwartym oknie, wciąż wpatrzony w widownię swojej mary sennej, i zaczął się modlić bezgłośnie. Rozprężyły się napięte mięśnie ciała. Jego modlitwa nie była walką, była poddaniem się, wraz z całym złem w nim zawartym, fundamentowi jego istnienia. Stopniowo wróciła mu pogoda i towarzysząca jej spokojna radość, odrodziła się pewność, że naprawdę istnieje żywy Bóg, w którym uśmierzone zostaje wszelkie cierpienie i w końcu przewyciężone wszelkie zło.

Było już za późno, żeby wrócić do łóżka, więc Michał usiadł na chwilę pochylony nad Biblią. A potem zajął się sprawami dnia. Przypomniał sobie z pewną troską, że jest to sobota i że rano odbędzie się cotygodniowe zebranie bractwa. W tym tygodniu porządek dzienny przewidywał sporo spraw. Zebrania miały charakter bardzo nieformalny i Michał w ostatniej chwili przygotowywał zwykle spis spraw do przedyskutowania, ale naturalnie członkowie bractwa też mogli poruszać interesujące ich problemy. Zanotował na kartce: kultywator mechaniczny, apel o pomoc finansową, wiewiórki i inne, przygotowania do dzwonu. Ręka mu znieruchomiała, siedział zadumany nad listą. Spojrzał na zegarek. Dopiero za dwadzieścia minut będzie czas pójść na mszę.

Bractwo osiadłe w Imber Court istniało w swoim obecnym kształcie niespełna rok. Jego powstanie, w którym Michał odegrał decydującą rolę, miało charakter przypadkowy, a przyszłość była niepewna. Imber Court należało od kilku pokoleń do rodziny Michała, lecz on sam nigdy tu nie mieszkał; pałac, z uwagi na koszty utrzymania, przeważnie wynajmowano, a podczas wojny i przez kilka powojennych lat mieściły się tu biura jednego z ministerstw. Potem opustoszał i wyłoniła się kwestia sprzedaży. Michał, głęboko przywiązany do tej rodowej siedziby, właśnie z tego względu jej unikał. Prawie nigdy tu nie przyjeżdżał, posiadał więc tylko mgliste wyobrażenie o domu i majątku. W młodości chciał zostać duchownym, ale mu się to nie udało i przez kilka lat był nauczycielem. Chociaż pozostała mu świadomość powołania religijnego, dopiero bardzo niedawno odwiedził po raz pierwszy Opactwo; tabu, jakie sobie uczynił z pałacem, obejmowało też Opactwo. Teraz, gdy spoglądał w przeszłość, dochodził do przekonania, że wstęp do tego uświęconego miejsca był mu wzbroniony aż do chwili, w której miało się stać widownią zasadniczej zmiany w jego życiu. Przyjechał do Imber w interesach, kiedy wyłoniła się kwestia sprzedaży majątku, a ponieważ wydawało mu się, że tak należy, wyraził pragnienie złożenia przeoryszy wizyty. Naturalnie przyszłość pałacu musiała ją jak najżywiej interesować. Zresztą zbudziła się w Michale ciekawość, a skoro był tak blisko, również gorące pragnienie zawarcia znajomości z zakonem benedyktynek, o których świątobliwości tak wiele słyszał.

Spotkanie z przeoryszą zmieniło całe jego życie i wszystkie plany życiowe. Ze swobodą, która go początkowo zdziwiła, a potem wydała mu się częścią nieuniknionego planu, przeorysza zakomunikowała Michałowi swój pomysł uczynienia z Imber Court siedziby stałego bractwa świeckiego, związanego z Opactwem – „państwa buforowego”, jak to określiła, między Opactwem a światem, odbicia, dobrotliwego i użytecznego pasożyta, pośredniej formy życia. Istnieje wielu ludzi, zapewniła go, i Michał był aż nadto skory przyznać jej słusność, bo wiedział, że sam do nich należy, którzy nie mogą żyć ani na świecie, ani poza światem. Są to ludzie jakby chorzy, bo tęsknota do Boga czyni ich nie przystosowanymi uczestnikami zwykłego życia, ale z drugiej strony siła czy temperament nie pozwalają im całkowicie wyrzec się świata; a dzisiejsze społeczeństwo z jego szybkim tempem oraz mechaniczną i techniczną strukturą nie ofiarowuje tym nieszczęśliwcom schronienia. Praca w obecnej formie, dowodziła przeorysza z realizmem, który wtedy zaskoczył Michała, rzadko daje satysfakcję ludziom skłonny do kontemplacji. Pozostały tylko nieliczne zawody, jak nauczanie i pielęgniarstwo, którym można bez trudu nadać sens duchowy. A chociaż jest to możliwe, a nawet chociaż żąda się od nas, aby

każdej absolutnie pracy nadawać godność sakramentu, stało się to teraz dla większości ludzi nazbyt trudne; i takim ludziom, „niespokojnym i ściganym przez Boga”, jak to określiła, którzy nie mogą w zwykłym świecie znaleźć zadowolenia w pracy, potrzebne jest życie na pół samotnicze i praca, która odzyska w świątobliwym otoczeniu prostotę i sens. Naszym obowiązkiem nie jest bynajmniej, ciągnęła przeorysza, dążenie do najwznioślejszego w oderwaniu od rzeczywistości naszego duchowego życia, tylko wyszukanie takiego miejsca, takiego zadania, takich ludzi, którzy będą trwale rozwijali i wzbogacali nasze życie duchowe; a w tych poszukiwaniach musimy się posłużyć zręcznością Bożą. „Przebiegli jak wąż i łagodni jak gołębica.”

Michał, który bezbłędnie rozpoznawał autorytet duchowy, wsłuchiwał się gorliwie w wypowiedzane przez przeoryszę słowa, wracał dzień po dniu do rozmównicy, by siedzieć na krześle pochylonym do przodu, z dłońmi zaciśniętymi na prętach kraty, by patrzeć na tę starą, bladą twarz, żółtawą jak kość słoniowa w cieniu białego kornetu, zniszczoną przez dawno zapomniane ofiary i rozświetloną radościami, których się nawet nie domyślał. Było to częścią wiary Michała w Boga, częścią, której nigdy nie mógł tak zupełnie odrzucić, chociaż rozumiał jej niebezpieczeństwo, że oczekiwał pojawienia się w swoim życiu wzorców i znaków. Uważał się zawsze za człowieka o określonym przeznaczeniu, który czeka na wezwanie. Tym boleśniejszy był zawód, jakiego doznał w związku z zamierzonym kapłaństwem. Kiedy teraz przeorysza mówiła słowami, które (choć on nie wyznał niczego) zdawały się być tak precyzyjną diagnozą jego stanu, uznał natychmiast jej wypowiedź za rozkaz. Orientował się, jak jałowe było jego życie w ostatnich latach, zżerane przez nudę, którą usiłował sobie przedstawić jako nienasycone pragnienie czynienia dobra. Ale teraz w końcu objawił się wzorzec, przyszło wezwanie.

Michałowi było trochę smutno, że z chwilą gdy plany zostały ostatecznie omówione i przygotowania puszczane w ruch, przeorysza przestała go do siebie wzywać. Nigdy nie pytała go o dawne życie i Michał przez cały emocjonujący okres realizowania nowego projektu wyczekiwał chwili, w której będzie mógł zdać jej dokładną relację – jej pierwszej na świecie – ze swojego jak dotąd nieproduktywnego i chaotycznego życia. Miał powody przypuszczać, że znała z innych źródeł najważniejsze fakty. Ale zrzuciłby ciężar z serca, gdyby sam mógł jej wszystko powiedzieć. Jednakże przeorysza w swej nieodgadnionej mądrości nie prosiła o spowiedź, tak cisnącą mu się na usta, i po jakimś czasie Michał niechętnie uznał to narzucone sobie milczenie za coś, co należało złożyć w cichej ofierze – skoro taka była wola owej niezwyklej kobiety, która niewątpliwie wiedziała, jak bardzo on pragnie mówić, a także, co jej ma do powiedzenia, a nawet jeszcze więcej. Odkąd bractwo powstało, Michał widział przeoryszę tylko trzy razy; wzywała go, żeby przedyskutować z nim ogólną linię postępowania. Wszystkie inne drobne sprawy dotyczące Opactwa omawiał z mająką Klarą lub za pośrednictwem siostry Urszuli.

Pomysł założenia gospodarstwa ogrodniczego zrodził się w sposób dość oczywisty. Dokoła pałacu rozpościerała się doskonała ziemia i uprawianie jej mogło stać się bardzo odpowiednią i podstawową działalnością mieszkańców domu. Rozpoczęte na niewielką skalę ogrodnictwo rozwijałoby się w miarę przybywania nowych członków bractwa. Później można by ewentualnie wprowadzać inne rodzaje pracy. Chwilowo nie sposób było przewidzieć, jak się sprawy ułożą, niepożądane też wydawało się planowanie czegokolwiek na jakąś dalszą przyszłość. Michał i Piotr Topglass tworzyli zaczątek bractwa. Piotr, przyjaciel Michała jeszcze z czasów szkolnych i z wykształcenia przyrodnik, był człowiekiem cichej i nie rzucającej się w oczy pobożności. Przyjechał w przerwie między dwiema posadami, żeby pomóc Michałowi w jego nowym przedsięwzięciu. Natychmiast włączył się w nurt życia i wykonywał więcej ciężkiej pracy, niż na niego przypadało, instalując jednocześnie w parku sprzęt do swoich studiów nad ptakami i zwierzętami. Ku wielkiej radości Michała postanowił zostać trochę dłużej. Następnie zjawili się

Straffordowie, których małżeństwo groziło rozpadem. Przysłani przez przeoryszę zabrali się do pracy z determinacją. Następna zjawiała się Katarzyna, a trochę później jej brat. Katarzyna była od kilku lat adherentką Opactwa, a od niedawna przyszłą nowicjuską; przeorysza uznała, że będzie to z korzyścią zarówno dla bractwa, jak i dla samej dziewczyny, jeśli przed wstąpieniem do zakonu będzie przebywała jakiś czas w Imber Court. Przybycie Patchwaya było nieprzewidziane, ale okazało się dla bractwa niezwykle korzystne. Był robotnikiem rolnym z sąsiedztwa, który wkrótce po zainstalowaniu się Michała w pałacu przyszedł i oznajmił, że będzie „robił w ogrodzie”. Michał nie miał początkowo pewności, czy Patchway nie tłumaczy sobie opacznie jego powrotu do Imber Court. Ojciec Patchwaya, okazało się, był jako młody chłopiec ogrodnikiem pałacowym, w dawnych i zgoła innych czasach. Jednakże wyjaśnienia nie odstraszyły go ani być może nie zdziwiły i Patchway został; pracował jak wół i miał do dyspozycji wprost bezcenną rezerwę kobiecej siły roboczej wynajmowanej na dniówki w okolicznych wioskach. Zjawiał się nawet od czasu do czasu na mszy. Matka Klara śmiała się, kiedy jej Michał o nim opowiedział, i oznajmiła, że może w najprawdziwszym sensie tych słów Patchway „spadł z nieba” i jako taki powinien zostać. Najnowszym i najważniejszym nabytkiem bractwa był James Tayper Pace.

James należał do starej rodziny, której członkowie poświęcali się karierze, wojskowej. Wyższe wykształcenie zdobył na polowaniach, po czym zyskał sławę doskonałego żeglarza, a podczas wojny służył chwalebnie w pułku gwardii. Od dzieciństwa posiadał głęboką i prostą wiarę anglikańską. Obyczaj, dzięki któremu w pewnych rodzinach wiara przetrwała jako cząstka życia ziemianina, wiara mocno związana ze wszystkimi rytuałami egzystencji, nie był dla Jamesa jedynie pustą formą. Był źródłem głębokiego, nie nękanego wątpliwościami życia duchowego, które sprawiało, że w wieku bardziej dojrzałym James poświęcił się – bez jakichś nagłych kryzysów czy emocjonalnego potępienia dawniejszych zainteresowań – życiu religijnemu. Zaczął przygotowywać się do pracy misyjnej, ale rozmaite kontakty i nowe doświadczenia przekonały go, że powinien pracować w kraju. Zamieszkał w londyńskim East End, gdzie po jakimś czasie zarządzał wzorowo zorganizowanym osiedlem i kilkoma klubami dla chłopców. Nagła choroba w następstwie przepracowania położyła kres tej świetnej imprezie. Lekarz doradzał mu, a biskup nalegał, żeby znalazł sobie zajęcie na wsi, jeśli to możliwe, na świeżym powietrzu; niedługo po tym przeorysza, która dowiedziała się od swojej służby informacyjnej o sytuacji Jamesa, wezwała go do Imber.

Michał natychmiast i serdecznie go polubił. Prawdę mówiąc, trzeba by nie lada pomysłowości, żeby go nie lubić, gdyż był człowiekiem o tak rzucającej się w oczy łagodności. Michał był też świadomy, co go bardziej niepokoiło, pewnego kastowego pokrewieństwa z Jamesem, czegoś nostalgicznego, krystalizującego się na poziomie moralnym niższym niż ten, na którym pragnął żyć obecnie, co miało tendencję do wyłączenia innych członków bractwa. Jego stosunki z Jamesem cechowała swoboda i lakoniczność i Michał robił, co mógł, żeby nie znajdować w nich przyjemności z niewłaściwych powodów. Jednakże Jamesa nie prześladowały żadne tego rodzaju atawistyczne wspomnienia i jego prostota, szczerść w obejściu uczyniły wkrótce problem Michała nieistotnym. Przybycie Jamesa postawiło też Michała wobec zagadnienia przywództwa w Imber. Kiedy James przyjechał, grupa osób tu zamieszkałych przekształciła się natychmiast w zorganizowany zespół. Przedtem było to zbiorowisko jednostek, nad którymi Michał z natury rzeczy sprawował taką władzę, jaka wynikała z jego szczególnej pozycji w tym domu i pierwszeństwa przybycia na miejsce. Michał natychmiast rozpoznał w Jamesie człowieka, który przewyższał go niemal pod każdym istotnym względem, i z największą radością zgodziłby się grać drugie skrzypce obok takich pierwszych. James odmówił jednak tłumacząc się złym stanem zdrowia, a poparła go nieoczekiwanie przeorysza, która nie pozwoliła

Michałowi zrezygnować ze stanowiska nieoficjalnego przywódcy; Michał z pewnym niepokojem przyjął tę rolę.

Ci, którzy mają nadzieję, że separując się od świata zasłużą na urlop od ludzkich słabostek, swoich własnych i cudzych, zwykle doznają rozczarowania. Michał nie robił sobie w tym względzie zbyt dużych nadziei; żałował jednak, że tak prędko znalazł się w sytuacji człowieka, który z uwagi na to, kim jest, przewodzi trudnemu zespołowi ludzi. Michał zawsze wyznawał pogląd, że człowiek dobry nie posiada władzy. Trzymał się tego poglądu namiętnie, chociaż nie bardzo wiedział, co znaczy, i tylko w ograniczonym stopniu – albo wcale – mógł go powiązać ze swoimi codziennymi uczynkami. W tym właśnie sensie rozumiał – kiedy rozumiał – swoje powołanie kapłańskie. Bo dla człowieka jego pokroju służba Boża musi oznaczać utratę indywidualności, jaką osiąga się być może poprzez bezwzględne oddanie sługi lub przez kapitulację woli, w bezwzględnym posłuszeństwie. Jednakże te ideały, tak silnie do niego przemawiające, nadal były mu obce i trudne do zinterpretowania. I chociaż wydawało się to paradoksalne, jedna z najlepszych osób, jaką znał, posiadała ogromną władzę. Przeorysza. Brak mu jeszcze było wnikliwości, która pozwoliłaby zrozumieć, na czym dokładnie polega różnica między sprawowaniem władzy przez nią i przez niego. Czuł się zmuszony pozostawać w sferze, w której władza była rzeczą złą i w której nie mógł bez ujmy dla siebie znaleźć sposobu ostatecznego się jej pozbycia. Przypadła mu natomiast w udziale walka wewnętrzna, codzienny wysiłek, by zachować bezstronność i sprawiedliwość sądu, bezustanne omyłki i badanie sumienia. Może mimo wszystko była to jego droga; z pewnością była to jakaś droga. Drażniło go jednak uczucie, że rola, w jakiej występuje, jest niepełna i nieokreślona. Coraz częściej wracał do myśli o kapłaństwie.

Nie znaczy to bynajmniej, że społeczność Imber Court w tej swojej embrionalnej fazie stwarzała jakieś szczególnie trudne problemy. Pozornie była zgodna i pracowała dość wydajnie. Istniały jednak pewne napięcia, których Michał był bezustannie świadomy, nie zdradzając przy tym – miał nadzieję – swojej irytacji. James i Margaret Stratford pracowali za dużo, Marek Stratford za mało. Utrzymywało się też, acz stonowane, pewne stałe napięcie między Markiem i jego żoną. Marek był sarkastyczny, nerwowy i skłonny do wyolbrzymiania wszystkich trudności. Michał, który nie zgadzał się z Kantem, że uczucia miłości nie można żądać od nas jako obowiązku, robił, co mógł, żeby polubić Marka, jak dotąd bez wyraźnego powodzenia. Brodata i ostentacyjnie męska postać jego kolegi była dla Michała źródłem bezustannej irytacji. Chociaż James Tayper Pace wcale tego nie pragnął, stał się w sposób nieuchronny drugim ośrodkiem władzy i Michał dostrzegł w obojgu Stratfordach pewną skłonność do przyjmowania poleceń bezpośrednio od Jamesa, z pominięciem jego osoby. James, który uważał, że władza powinna przechodzić stopniowo w miłość braterską, co niewątpliwie zdarzyłoby się w społeczności złożonej z osób podobnych do niego, nie zwracał na te sprawy uwagi. Prowadziło to do pewnego bałaganu. Nie poprawiała sytuacji ślepa i niekiedy agresywna lojalność Piotra Topglassa wobec Michała. Zarysował się niewyraźnie podział na dwa obozy.

Michał uważał, że James jest niewrażliwy na subtelniejsze zagadnienia organizacyjne, a jednocześnie zdawał sobie sprawę z istniejących między nimi poważnych różnic w postawach moralnych, jak dotąd prawie się nie ujawniających. Wiara Jamesa była pewniejsza, a jego koncepcje moralne bardziej ortodoksyjne i surowsze. Michał właściwie nie wiedział, jak dalece te rzeczy łączyły się w nim i czy powinny się gdziekolwiek łączyć; podejrzewał jednak, że James, który nie był głupcem i umiał nie tylko kochać, lecz również sądzić bliźnich, widział swojego przywódcę jako człowieka „posiadającego ideały, lecz nie posiadającego zasad”. Obecność Katarzyny z całą jej wrażliwością i uduchowieniem oraz zbliżająca się chwila jej odejścia były inspiracją dla wszystkich; ale były też niewątpliwie źródłem niesprecyzowanych

napięć uczuciowych i Michał miał nadzieję, że jego pragnienie, by ją jak najprędzej zobaczyć bezpiecznie ulokowaną „za murami”, nie dowodziło braku miłosierdzia. I wreszcie pozostawał, przygnębiający zwłaszcza dla Michała, problem jej brata bliźniaka.

Dzwonek wzywający na mszę wyrwał Michała z tych rozmyślań. Po śniadaniu poszedł jak zwykle do biura przejrzeć korespondencję. Lubił tę część poranka, bo właśnie wtedy widział, aby tak rzec, obracające się kółka swojej małej imprezy i podejmował mniej ważne decyzje, dzięki którym gospodarstwo ogrodnicze nabierało z dnia na dzień coraz większego rozmachu. Chociaż z innych i może szlachetniejszych przyczyn pragnął ustąpić miejsca Jamesowi, był jednak rad, że w sferze pracy ściśle związanej z interesami okazał się człowiekiem naprawdę kompetentnym. Kreślił plan swojej rozrastającej się placówki ostrożnie, z miłością, jak operację wojskową, i dziwił się odkrywając w sobie, po latach bezbarwnej kariery nauczycielskiej, tak wielki talent w tej dziedzinie. Drobiazgowy harmonogram, uważne operowanie siłą roboczą, szybka zmiana planów – wszystko to było konieczne, jeżeli ogród uprawiany przez nieliczny i w większości niewykwalifikowany personel miał dawać możliwie najlepsze plony; i Michał doświadczał znów owego uczucia dziwacznej satysfakcji, jaką dawało mu tego rodzaju planowanie, kiedy służył w wojsku podczas wojny. Na stanowisku dowódcy plutonu, a później dowódcy kompanii w miejscowym pułku był skrupulatny, a nawet, co go zdumiewało, pełen entuzjazmu i osiągał całkiem niezłe wyniki. Bardzo żałował, że go nie wysłano na front. Żołnierskie *métier* z jego bezwzględnyymi nakazami oraz ideałami dokładności i poświęcenia porwało jego wyobraźnię; na ćwiczeniach z niemal chłopięcą uciechą wysyłał swoich podkomendnych na wygodne kwatery do najbliższej wioski, a sam zostawał w gęstniejącym zmroku przy drodze, by ślęczyć nad mapą w świetle latarki i spędzić noc w śpiworze pod samochodem ciężarowym.

Zanim Michał przeczytał korespondencję, załatwił kilka telefonów z klientami w Pendelcote i rozmówił się z Markiem Stratfordem, który był jego sekretarzem i księgowym, zrobiła się prawie dziesiąta i pozostało tylko kilka minut, do cotygodniowego zebrania. Michał nie miał już czasu rozmyślać dłużej nad porządkiem dziennym i nie bez uczucia winy zaczął szukać w kieszeni kartki, na której zapisał poszczególne punkty. Zaczął się zastanawiać, kto będzie dzisiaj obecny. Uważał zawsze, że zebrania są przykrą koniecznością, że powinny być krótkie i rzeczowe i że uczestniczyć w nich mają prawo tylko członkowie bractwa. Natomiast zdaniem Jamesa zebrania powinny być otwarte i dostępne dla wszystkich gości, którzy znajdują się aktualnie w Imber Court, a chcieliby zobaczyć braci i siostry przy pracy. Michał oznajmił, że nie pociąga go publiczne pranie brudów, nawet w takiej prawdopodobnie życzliwej atmosferze. James odparł, że bractwo nie będzie chyba miało brudów do prania, a gdyby przypadkiem miało, powinno je prać publicznie. James, jak się niekiedy Michałowi zdawało, uważał, że prawdomówność polega na mówieniu wszystkiego wszystkim, czy ich ta sprawa dotyczy, czy nie, i niezależnie od tego, czy chcą, czy nie chcą słuchać. W tym stanowisku była jednak pewna siła moralna. Mając przeciwko sobie większość Michał nie chciał dowodzić swoich bardziej skomplikowanych racji i ustąpił. Został przyjęty dość irytujący kompromis, mianowicie postanowiono zawiadamiać gości, jak dotąd nielicznych, że mogą uczestniczyć w zebraniach, ale jednocześnie nie dawać im żadnych wyraźnych wskazówek co do tego, czy będą, czy nie będą mile widziani.

Wychodząc z biura Michał zastanawiał się, czy przypadkiem Pawłowi Greenfieldowi i jego żonie nie przyjdzie do głowy wziąć udział w zebraniu. Było kilka spraw dość delikatnych i Michał miał nadzieję, że będzie je mógł przedyskutować w gronie swoich braci. Zresztą dość lubił Pawła Greenfielda. Był on o rok czy dwa młodszy i Michał pamiętał go z Cambridge, gdzie jego połączenie estetyzmu ze snobizmem wydawało mu się absolutnie obrzydliwe; gdy więc dziwny przypadek sprawił, że Paweł idąc tropem rękopisów przyjechał do Imber, Michał bynajmniej się nie ucieszył i żałował, że jego dawny znajomy nie wybrał na odwiedziny jakiejś

mniej krytycznej pory. Uznał jednak, że Paweł zmienił się bardzo na korzyść czy też on stał się mniej purytański; być może jedno i drugie. Paweł, którego zapewne spotkała podobnie miła niespodzianka, był skłonny wywnętrzać się Michałowi ze swoich kłopotów małżeńskich. Ale z braku czasu skończyło się na kilku krótkich *tête-à-tête* i Michał wyrobił sobie bardzo niejasny obraz sytuacji. Ucieszył się szczerze, kiedy pani Greenfield niespodziewanie zapowiedziała swój przyjazd; i zdumiał się na jej widok, tak mato uwagi zwracał na opisy Pawła i tak był nieprzygotowany. Nie potrafił dotąd zrozumieć, chociaż go to ciekawiło, jak Paweł mógł się zdecydować na małżeństwo z kobietą, która w tak oczywisty sposób nie była damą.

Wchodząc do pokoju rekreacyjnego usłyszał z ulgą, jak Margaret Strafford wyjaśnia Piotrowi, że namówiła Pawła i Dorę na spacer. Doradziła im trasę nie za bardzo męczącą dla pani Greenfield. Dlaczego, ciągnęła Margaret, ta młoda kobieta nie przywiozła ani jednej pary solidnych pantofli? Takie śliczne sandały rozpadną się po kilku dniach.

Michał wybrał fotel obok kominka, będący tradycyjnym miejscem przewodniczącego, i gdy tamci siadali na swoich miejscach, obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Ani śladu Nicka. Michał łudził się co tydzień, że przyjdzie, ale Nick nie przychodził. Wszyscy inni byli obecni. Toby wsunął się przez drzwi i rozglądał nieśmiało za miejscem. Michał uśmiechnął się do niego i wskazał mu fotel. Obszedłby się doskonale bez Toby'ego; a jednak, pomyślał patrząc na chłopięcą twarz, napiętą i zdziwioną w wyrazie jakby życzliwej gorliwości, lekko uśmiechniętą, gdy Toby rozglądał się po swoich towarzyszach, dlaczego obecność takiego świadka miałyby być szkodliwa czy pesząca? Może jednak jest coś w teorii Jamesa, że tajność prowadzi do korupcji. Patrzył, jak chłopiec siada, jak wsuwa długie nogi pod fotel. Zauważył jego wdzięk.

– Wszyscy są chyba obecni, jak zwykle z jednym wyjątkiem – zaczął energicznie James.

Członkowie bractwa usadowili się półkolem, zwróceniem twarzami do Michała; fotel Jamesa był wysunięty do przodu. Straffordowie zajęli miejsca obok niego. Piotr i Patchway byli w drugim rzędzie, obok nich Toby. Katarzyna siedziała we wnęce okna, zwrócona bokiem, żeby wyglądać; rękoma obejmowała kolana, cienką bawełnianą spódnicę zsunęła prawie do kostek. Siostra Urszula, uczestnicząca zawsze w zebraniach jako łącznik, siedziała przy drzwiach; jej solidnie obute stopy sterczały równo spod habitu, jej żywe, krytyczne oczy wpatrywały się w Michała. Uśmiechnął się do nich wszystkich, nagle swobodny i zadowolony ze swojej załogi.

– Jak zwykle zrobiłem spis – oznajmił. Procedura była bardzo nieformalna. – Zaraz... co by tu wziąć na pierwszy ogień?

– Może coś przyjemnego i łatwego – wtrącił James.

– Nie ma rzeczy łatwych w tym tygodniu, za to jest niestety kilka takich, które od dawna się za nami ciągną – wyjaśnił Michał. – Na przykład sprawa kultywatora mechanicznego.

Rozległ się ogólny jęk.

Piotr powiedział:

– Uważam, że nie ma sensu wracać do tej dyskusji. Wiemy, co każdy z nas myśli. Proponuję przegłosować tę sprawę.

– Jestem przeciwny głosowaniu jako zasadzie naszego postępowania – oznajmił Michał – ale może w tym jednym wypadku należałoby zrobić wyjątek. Czy zanim oddamy głosy, ktoś chciałby jeszcze coś powiedzieć?

Już od jakiegoś czasu Michał był za kupieniem kultywatora, uniwersalnej maszyny o niewielkim napędzie, którą można by używać do spulchniania ziemi, a także, po założeniu dodatkowych przyrządów, do gracowania, strzyżenia i rozpylania. Zakup takiej maszyny, lekkiej i łatwej w obsłudze nawet dla niewykwalifikowanego pracownika, wydawał mu się oczywistym następnym krokiem, jeżeli gospodarstwo ogrodnicze miało się rozwijać. Był zdumiony, kiedy James i Straffordowie wyrazili sprzeciw z dość dziwnych względów zasadniczych.

Utrzymywali, że bractwo, które odseparowało się od świata, żeby uprawiać rolę wzorem praojca Adama, powinno korzystać tylko z narzędzi najprostszych i nadrabiać straty wynikłe z dobrowolnego wyrzeczenia się mechanizacji uczciwą i pełną poświęcenia pracą. Michał powiedział, że uważa ten pogląd za absurdalnie romantyczny. Ostatecznie zajmują się pewną określoną pracą i powinni ją wykonać, na chwałę Bożą, możliwie najlepiej, jak na to pozwalają zdobycze epoki. Usłyszał w odpowiedzi, że odseparowali się przecież od świata, by prowadzić życie, które według zwykłych kryteriów nie jest w żadnym przypadku „normalne”. Muszą określić własną koncepcję tej „normalności”. Nie są spółką nastawioną na robienie pieniędzy, więc czemu wydajność pracy miałaby być ich głównym celem? Liczyła się wartość pracy, nie jej rezultaty. Ponieważ w ich odejściu od świata jest coś symbolicznego, nawet sakramentalnego, tak też ich praca powinna mieć podobny charakter. Godziwe łopaty mogą być dozwolone, nawet pług. Ale żadnej z tych nowomodnych, oszczędzających pracę maszyn.

– Mój Boże! – zawołał Michał – niedługo zaczniemy tkąć na krosnach materiały na nasze odzienie! – czym śmiertelnie obraził Margaret Stratford, jako że jej umiłowany projekt urządzenia w Imber ośrodka rękodzielniczego przewidywał też tkactwo. Było to niewątpliwie zagadnienie o wielu różnych aspektach.

Michał uważał, że te argumenty brzmią szczególnie niewłaściwie w ustach Marka Strafforda, który miał zawsze pilną pracę w biurze, ilekroć ogród czekał na przekopanie; ale uznawał ich siłę, ponieważ było w nich coś więcej niż zwykły romantyczny urok. Wyszli poza granice normalnych konwencji, nie przyjęli jednak żadnego określonego, tradycyjnego stylu życia. Muszą sobie wypracować własne normy. Michał miał pewność, że jego poglądy są słuszne; tak daleko posunięty eklektyzm w wyborze metod pracy wydawał mu się bezsensownym estetyzowaniem. Nie umiał jednak przeprowadzić swojej argumentacji w sposób jasny i było mu przykro, że tak szybko daje się ponieść uczuciom. Tamci też dawali się ponieść uczuciom i doprawdy podniecenie utrzymywało się już zbyt długo. Michał rozumiał doskonale, że poddając sprawę pod głosowanie, zamiast spokojnie z niej zrezygnować, usiłuje innym narzucić swoją koncepcję kierunków rozwoju społeczności. Uznał, że jest rzeczą ważną, aby od początku kłaść tamę tego rodzaju nonsensom; ale uznał swoją rolę w tym za obrzydliwą.

Wezwanie Michała do dyskusji przyjęto milczeniem. Był to temat, na który zainteresowani wypowiedzieli się aż nadto wyczerpująco. James potrząsnął głową i spuścił wzrok dając do zrozumienia, że nie będzie więcej zabierał głosu.

Patchway oznajmił tonem ni to stwierdzającym, ni to pytającym:

– Jak się rozchodzi o pług, to to jest bez różnicy. – Patchway należał do grupy zwalczającej ideę kultywatora, ale jego motywy były inne. Uważał, że jest to zabawka dobra dla amatorów.

– Ależ naturalnie – przyznał Michał. – Kultywator nie zastąpi pługa. Pług będzie nam potrzebny do ciężkiej roboty, jak przeoranie tego kawałka łąki na jesieni. – Mieli stałą umowę na wypożyczenie pługa od farmera w sąsiedztwie.

Znowu zapadło milczenie i Michał wezwał zebranych do głosowania. Za kultywatorem opowiedzieli się: Michał, Piotr, Katarzyna, Patchway i siostra Urszula. Przeciwno – James i Marek. Margaret Stratford wstrzymała się od głosu.

– Myślę, że skoro, uzyskaliśmy większość, można zacząć działać – powiedział Michał usiłując stłumić zadowolenie w głosie. – Czy otrzymam pełnomocnictwo do dokonania zakupu? – Szmer głosów udzielił mu pełnomocnictwa. Michał pomyślał, że jednak stanowisko przywódcy ma swoje dobre strony.

Margaret Stratford przemówiła wysokim, zdenerwowanym głosem. Peszyło ją przemawianie nawet na takim nieformalnym zebraniu.

– To chyba nie jest odpowiedni moment, żeby poruszać sprawę garncarstwa. Ale chciałabym,

żebyśmy o tym pamiętali. Wróć do niej za jakiś czas. – Skoro mechanizacja miała zatryumfować na froncie ogrodniczym, Margaret pragnęła, żeby Życie Proste stało się dostępne w innych formach.

– Dziękuję, Margaret – powiedział Michał. – Rozumiesz, że problem rzemiosła artystycznego będzie musiał poczekać do chwili, gdy nasza społeczność się powiększy i gdy przezwyciężymy trudności finansowe. Ale na pewno o nim nie zapomnimy. A to mi ułatwia przejście do następnego punktu, to znaczy do sprawy apelu o pomoc finansową. Marku, może ty zechcesz zabrać głos?

– Tę sprawę też chyba wszyscy znają – zaczął Marek. – Chodzi o to, że jest nam potrzebny kapitał. Żyjemy dotąd z dnia na dzień i trochę za długo korzystamy z hojności kilku osób. Zwrócenie się o pomoc do pewnego ograniczonego grona ludzi, którzy interesują się naszymi planami, wydaje mi się rzeczą ze wszech miar słuszną i właściwą.

Jedyne kwestie do ustalenia to dokładna treść apelu, lista naszych klientów – czy raczej powinienem rzec ofiar – i harmonogram.

– Dzwon! – zawołał James.

– Właśnie – przyznał Marek. – Nie stanie się nic złego, jeżeli zsynchronizujemy apel z wprowadzeniem nowego dzwonu i zyskamy w ten sposób trochę niewinnej reklamy.

– Proponuję, żebyśmy wyłonili komisję, która zajmie się szczegółami – ciągnął Michał. – Powstała komisja w składzie: Michał, James i Marek.

– Czy mogę teraz przejść do sprawy dzwonu? – spytał James. – Jest chyba umieszczona na porządku dziennym. Jak wiecie, drodzy przyjaciele, Opactwo od czasu swojego ponownego ufundowania nie posiadało dzwonu. Teraz nareszcie, *Deo gratias*, go otrzyma. Dzwon jest już gotowy i będzie dostarczony w końcu miesiąca, mniej więcej za dwa tygodnie. Przeorysza wyraziła życzenie... droga siostra Urszula zechce mnie poprawić, jeżeli się mylę... żeby wszystko odbyło się spokojnie i bez zbędnej pompy. Skoro jednak przypadła nam w udziale uprzywilejowana rola przyjaciół Opactwa, byłoby moim zdaniem właściwe, żebyśmy uczcili wprowadzenie nowego dzwonu w mury klasztorne odrobiną wesołości. A jak przed chwilą wspomniałem, troszkę reklamy mogłoby się przydać z innych i bardziej przyziemnych powodów.

– Boję się reklamy – oznajmił Michał. – Prasa bardzo łatwo mogłaby ośmieszyć naszą organizację. Proponuję, żebyśmy potraktowali życzenie przeoryszy dosłownie. A co o tym myśli siostra Urszula?

– Uważam, że odrobina wesołości byłaby na miejscu – odparła zapytana uśmiechając się do Jamesa. – Jak wiecie, przyjeżdża biskup, który nie lubi wielkopostnych nastrojów.

– Gilbert White powiada – wtrącił Piotr – że kiedy w Selborne ufundowano nowe kuranty na wieżę, mieszkańcy postawili dzwon sopranowy na błoniach wiejskich, jak ogromny kielich, i napełnili go ponczem. Byli pijani przez kilka dni!

– Nie sądzę, żebyśmy mogli współzawodniczyć z Selborne – powiedział James – ale nie musimy też chyba rywalizować ze starcem z Termopil, który nic nigdy nie zrobił w należyty sposób. Możemy urządzić mały festyn i postarać się o taką reklamę, na jakiej nam zależy. Podobno biskup chce wskrzesić starodawny zwyczaj i ochrzcić dzwon. Mogłoby się to odbyć w taki sposób, że wieczorem w dniu jego przybycia bylibyśmy obecni tylko my, a nazajutrz urządzilibyśmy małą procesję z udziałem mieszkańców wsi. Wieś jest podobno bardzo przejęta tą sprawą. Jak chyba wszyscy wiecie, przeorysza wpadła na poetyczny pomysł, żeby dzwon wkroczył do Opactwa wcześniej rano i przez wielką bramę, jakby był postulatem zakonu. – Spojrzał na Katarzynę.

– Dobrze – zgodził się Michał. – Poproszę o wyłonienie następnej komisji. Może w przyszłym tygodniu moglibyśmy otrzymać konkretny już plan. I naturalnie trzeba się będzie poradzić ojca

Boba co do muzyki.

– Ojciec Bob ma już pewną koncepcję – stwierdził James. – Powiedział, że zgadza się na wszystko z wyjątkiem *Wzniescie z wolna dzwon na wieży!*

Powołano komisję do sprawy dzwonu, w której skład weszli James, Margaret Stratford, Katarzyna i siostra Urszula. Ojciec Bob miał być dokooptowany później.

Michał spojrział na swoją agendę. Wiewiórki itd. Serce mu zamarło i miał nieprzepartą ochotę pominąć ten punkt. Rzucił prędko:

– Następną sprawą... a myślę, że dyskusji nad nią nie możemy już dłużej odkładać, to sprawa strzelania do wiewiórek i gołębi.

Wszyscy mieli teraz ponure miny i unikali nawzajem swojego wzroku. Ten problem wyłonił się na samym początku i dotąd nie został rozwiązany. Niedługo po przyjeździe do Imber James Tayper Pace wyjął ze swoich bagaży dubeltówkę i zaczął odbywać regularne wypady przeciwko okolicznym gołębiom, wronom i wiewiórkom. Było to dla niego zarówno normalne zajęcie człowieka zamieszkałego na wsi, jak i obowiązek ciążyący na każdym farmerze; a trzeba przyznać, że zwłaszcza gołębie bardzo zagrażały zbiorom. Zachęcony jego przykładem Patchway też zaczął się włóczyć po majątku ze strzelbą i wykazał szczególne zdolności w mordowaniu zajęcy, które – jak podejrzewano – ozdabiały później stoły mieszkańców wioski. Potem przyjechał Nick Fawley ze swoją strzelbą kaliber 22 i przyłączył się do nich, a była to właściwie jedyna praca dla społeczności w Imber, którą zdawał się wykonywać z niejakim entuzjazmem.

Michał doznał pierwszego niemiłego wstrząsu na widok Jamesa uzbrojonego w dubeltówkę i w końcu doszedł do przekonania, że trzeba położyć kres tym praktykom. Znowu czuł się przygnębiony i nie umiał przedstawić swoich argumentów w sposób dostatecznie jasny. Uważał za rzecz niewłaściwą, żeby tego rodzaju społeczność zabijała zwierzęta. Troje jej członków, Katarzyna i Straffordowie, było wegetarianami z pobudek religijnych i mówiąc łagodnie, wydawało się rzeczą w złym guście, że kazano im wciąż patrzeć na mordowanie zwierząt. Michał wiedział, że wytrąca to z równowagi zwłaszcza Katarzynę, i kiedyś zobaczył, jak płacze nad trupkiem wiewiórki. Niezależnie od tego broń palna budziła w niej paniczne przerażenie. Z biegiem czasu Michał czuł się coraz mniej demokratą i wreszcie zakazał polowań na terenie posiadłości do czasu przeprowadzenia wszechstronnej dyskusji. Orientował się doskonale, że zostanie oskarżony o brak konsekwencji. Popierał mechanizację i uważał ją za coś naturalnego, ponieważ zwiększała wydajność, sprzeciwiał się jednak strzelaniu i uważał, że za coś niewłaściwego, chociaż też zwiększało wydajność. Ale w tym przypadku był jeszcze głębiej przekonany, że ma słusność.

– Przedstawię wam mój pogląd – powiedział James. – Nie możemy być sentymentalni, bo nas na to nie stać. Zwierzęta, które wyrządzają duże szkody, powinny być niszczone. Pozostaje do dyskusji, kiedy i co należy strzelać. Ale ostatecznie, o czym wspominał przed chwilą Michał, traktujemy nasz ogród warzywny jako poważne przedsięwzięcie handlowe. – Jak na Jamesa była to ostra uwaga, ostrzejszej chyba nigdy nie wypowiedział. Chcąc ją osłabić rzucił Michałowi łagodne, przeproszające spojrzenie.

– Dziki gołąb zżera co dzień tyle, ile sam waży – oznajmił Patchway.

– Myślę, że nie chodzi tu o wydajność – przemówił Piotr Topglass. – Zgodziliśmy się już co do tego. Po prostu zabijanie zwierząt rani uczucia niektórych spośród nas.

Marek S traf ford obejrzał się i powiedział:

– Gdybyśmy mieli zastanawiać się nad uczuciami zwierząt, zwróciłbym uwagę, że ptak bardziej cierpi, kiedy się go łapie w sidła i obrączkuje, niż kiedy się go zabija na miejscu. – Był to zbędny chwyt polemiczny, jako że Stratford też się przeciwstawiał strzelaniu.

– Nam chodzi przede wszystkim o uczucia ludzi – oznajmił Michał, zupełnie już teraz

wytrącony z równowagi.

– Nie bardzo wiem, dlaczego jedna strona miałaby mieć monopol na odwoływanie się do uczuć – powiedział Marek. – My z Jamesem odczuwaliśmy bardzo głęboko sprawę kultywatora.

Zapadło milczenie pełne dezaprobaty. James mruknął: – Och... – odcinając się w ten sposób od uwagi Marka.

Michał był już teraz tak zły, że bał się przedłużać dyskusję.

– Może mimo wszystko będzie lepiej, jeśli wrócimy do tej sprawy później. James przedstawił nam swój punkt widzenia. Moim zdaniem, skoro pewna liczba osób kierujących się względami religijnymi sądzi, że należy szanować życie zwierząt, powinniśmy jako społeczność religijna przyjąć ten punkt widzenia na niekorzyść zwykłych względów większej produktywności, nawet jeśli nie wszyscy z nas go podzielają. Chciałbym jeszcze tylko dodać, że w moim przekonaniu członkowie naszego bractwa w ogóle nie powinni posiadać broni palnej i gdyby to zależało ode mnie, skonfiskowałbym wszystkie strzelby!

– Bravo! – powiedziała Katarzyna czystym głosem, przemawiając po raz pierwszy.

Po chwili milczenia, podczas której Michał miał czas w pełni docenić poparcie udzielone mu przez Katarzynę i pożałować słowa „skonfiskowałbym”, odezwał się James.

– No cóż, może masz nawet rację. W każdym razie chciałbym się jeszcze zastanowić nad tą sprawą. Moglibyśmy ją przedyskutować ponownie za tydzień czy dwa. A tymczasem żadnego strzelania.

– Czy są jeszcze jakieś sprawy? – spytał Michał. Był zmęczony i bardzo z siebie niezadowolony. Podczas tego ostatniego wybuchu pochwycił spojrzenie Toby'ego. Zastanawiał się, co też chłopiec myśli o nich wszystkich. Jakie to nierozsądne ze strony Jamesa, że życzy sobie udziału obcych w tych zebraniach.

– Chciałabym przypomnieć, że w piątek wieczorem urządzamy recital Bacha z płyt – powiedziała Margaret Strafford. – Wywiesiłam zawiadomienie, ale obawiam się, że nie wszyscy z nas spoglądają na tablicę.

Po kilku dalszych błahych uwagach i upomnieniach zebranie zakończyło się. James podszedł do Michała i wypowiedział kilka pojednawczych uwag. Żałował już chyba swojego polemicznego odruchu. Michał czuł się duchowo wyczerpany. Poklepał Jamesa po plecach starając się go uspokoić. Kątem oka zauważył, że Piotr Topglass czatuje na niego. Atak Marka Strafforda na obrączkowanie ptaków wytrącił pewnie Piotra z równowagi. Był na tym punkcie przewrażliwiony. Pragnąc chwili samotności Michał uwolnił się od Jamesa, zamienił kilka słów z Piotrem i wyszedł na balkon.

Pogoda utrzymywała się. Jakże był rozległy i jakim tchnął spokojem roztaczający się przed nim widok. Michał z ulgą chłonał go oczami. Niebo równomiernie błękitne, bledsze ku widnokręgowi, a nad drzewami zasłaniającymi Opactwo rząd okrągłych chmurek. Jezioro miało lśniąca, lecz łagodną barwę, o której trudno było powiedzieć, czy jest jasnoniebieska, czy też świetlicie szara. Lekki, ciepły wietrzyk łagodził upał. Po lewej, brzegiem podjazdu wracali z przechadzki Paweł i Dora Greenfieldowie; suknia Dory czerwieniła się jaskrawo na tle trawnika. Pomachali do niego. Margaret Strafford stojąca z mężem na tarasie odwróciła się i wyszła im naprzeciw. Nie podnosząc głowy Marek Strafford oddalił się powoli w odwrotnym kierunku, do swojej kancelarii. Nagle zza pleców Michała wypadł z hallu Toby, wyminął go i zbiegł ze schodów w trzech susach. Popędził prosto przed siebie w stronę promu, potem zwolnił i szedł szybkim, wyciągniętym krokiem. Był prawdopodobnie zbyt nieśmiały, żeby marudzić.

Michał zszedł na dół. Chciał uniknąć spotkania z Greenfieldami, którzy zatrzymali się teraz i rozmawiali z Margaret Strafford. Zaczął iść za Tobym ścieżką w kierunku promu. Chłopiec posuwał się krokiem nierównomiernym, czasem dawał długiego susa, ręce dyndały mu beładnie

po bokach. Miał na sobie ciemnoszare spodnie flanelowe i koszulę rozpiętą przy szyi. Rękawy wysunęły się spod ciasnej gumki i łopotały wesoło wokół przegubów jego dłoni. Wydawał się Michałowi czarującym, bezmyślnym zwierzątkiem, nie posiadającym samo wiedzy, bezgrzesznym. Michał przyśpieszył trochę kroku w nadziei, że dogoni Toby'ego, zanim ten dotrze do promu; ale chłopiec miał nad nim dużą przewagę, wskoczył więc do łodzi i odepchnął ją gwałtownie wiosłem, zanim Michał przebył połowę drogi do jeziora. Michał zwolnił i szedł krokiem człowieka pogrążonego w zadumie, nie chciał, żeby Toby pomyślał, że mu zależy na rozmowie z nim, bo mu nie zależało, a podążył za chłopcem na pół instynktownie. Toby obrócił się teraz i poruszał energicznie wiosłem od strony rufy, a gdy zobaczył Michała, pomachał do niego. Michał odpowiedział mu gestem ręki, zeszedł na brzeg i stanął na małym drewnianym pomoście. U stóp Michała poruszała się łagodnie w wodzie cuma promu, zwisająca z żelaznego pierścienia. Tymczasem łódź przybiła raptownie do przeciwległego brzegu i Toby wyskoczył na pomost; na pożegnanie pchnął ją nogą, podskakiwała teraz na falach. Michał podniósł cumę i zaczął bez pośpiechu przeciągać łódź na swoją stronę.

Jakaś postać wyszła spomiędzy drzew i szła przez otwartą przestrzeń na spotkanie Toby'ego. Nawet z tej odległości nie można było nie rozpoznać Nicka Fawleya. Szedł charakterystycznym krokiem wyrażającym jakby bezcelową determinację, z ciemną głową wysuniętą do przodu. Michał zobaczył, że ma na ramieniu strzelbę. Z cienia pomiędzy drzewami wyskoczył Murphy i podbiegł do Toby'ego. Chłopiec nachylił się i przywitał psa, który podskakiwał wesoło, a potem zrobił kilka kroków i przywitał się z jego panem.

Podchodząc do chłopca Nick obejrzał się i zobaczył Michała obserwującego ich z przeciwległego brzegu. Było za daleko na rozmowę, nawet wołanie przyplęnęłoby zniekształcone. Twarz Nicka była zamazaną plamą. Michał i Nick patrzyli na siebie ponad wodą. Nagle Nick podniósł z wolna rękę w geście przywitania, uroczystym czy też ironicznym. Michał wypuścił cumę i pomachał do niego, ale Nick oddalał się już prowadząc chłopca. Łódź znieruchomiła leniwie na środku jeziora.

ROZDZIAŁ VII

Michał znał Nicka Fawleya od dawna. Ich znajomość była dziwaczna, a jej szczegóły nie znane członkom bractwa w Imber. Michał nie podzielał poglądu Jamesa, że *suppressio veri* jest równoznaczne z *suggestio falsi*. Poznał Nicka mniej więcej przed czternastu laty, kiedy chłopiec był czternastoletnim uczniem, a on dwudziestopięcioletnim nauczycielem zamierzającym przyjąć święcenia kapłańskie. W wieku lat dwudziestu pięciu Michał Meade wiedział już od jakiegoś czasu, że jest – jak to świat nazywa – zбочony. Uwiedziono go w internacie, kiedy był czternastoletnim chłopcem, i jeszcze w szkole miał dwie homoseksualne przygody, które należały do jego najintensywniejszych przeżyć. Po bardziej dojrzałych rozmyślaniach wyrobił sobie konwencjonalny pogląd na to zбочenie i wstąpiwszy na uniwersytet wykorzystywał każdą sposobność, żeby nawiązywać kontakty z przedstawicielkami płci odmiennej. Ale przekonał się wkrótce, że kobiety go nie pociągają; i w drugim roku studiów zaczął ciążyć w sposób bardziej naturalny ku tym, którzy mieli podobne jak on inklinacje. To, co w jego kółku było zwyczajem, bardzo prędko stało się dla Michała znów dopuszczalne.

W tym okresie pozostawał raczej emocjonalnym i nie praktykującym regularnie członkiem kościoła anglikańskiego, którym był od konfirmacji. Właściwie nie przychodziło mu do głowy, że wiara może kolidować z jego nawykami seksualnymi. Rzecz dziwna; ale jedno i drugie brało swój początek w tym samym głębokim źródle emocjonalnym i pewna niejasna świadomość tego stanu powstrzymywała go od bardziej dociekliwych refleksji. Jednakże pod koniec studiów, kiedy koncepcja przyjęcia święceń kapłańskich nabrała bardziej realnych kształtów, Michał zdał sobie sprawę z niekonsekwencji swojego stanowiska. Przystępował od czasu do czasu do komunii. Teraz wydało mu się wręcz fantastyczne, że mógł w tych okolicznościach zbliżyć się do Stołu Pańskiego. Nie zmieniał chwilowo charakteru swoich przyjaźni, ale zrezygnował z przyjmowania sakramentu i przeżywając okres głębokiej rozterki robił dalej z desperacją to, co teraz napawało go uczuciem najstraszniejszej winy. Nawet nieprzeparty urok, jaki miała dla niego religia, nawet jego miłość do Boga zdawały się obecnie skażone u samego źródła. Jednakże po pewnym czasie, w czym pomógł mu kapłan, któremu Michał zwierzył się ze swoich trudności, zwyciężyły silniejsze dążenia. Porzucił praktyki, które przywykł uważać za grzech, i wrócił do praktyk religijnych.

Z chwilą gdy podjął decyzję, cierpienia towarzyszące odmianie okazały się zaskakująco krótkotrwałe. Opuścił Cambridge oczyszczony moralnie i, jak miał nadzieję, wyleczony. Jednakowo odległe były teraz dni obojętności, jak i dni winy. Jego przygody miłosne wydawały mu się zwykłymi *étourderies* znacznie młodszego mężczyzny. Michał wyszedł z życia na spotkanie wiedząc, że prawie na pewno nie wyzbędzie się swoich upodobań, ale jednocześnie pewien, że nigdy więcej, w żaden sposób kolidujący z jego znacznie teraz surowszym poczuciem moralnym, nie będzie ich zaspokajał. Przeżył kryzys duchowy i wyszedł z niego zwycięsko. Kiedy teraz klękał do modlitwy, nie odczuwał już winy i strachu, które przedtem dławiły go i zmuszały do milczenia, obracając jego modlitwy w chaotyczne chwile wzruszeń. Patrzał teraz na siebie okiem racjonalniejszym: ufny w Mdłość, która tkwiła głębiej niż konwulsje jego samolubnej i nieoświeconej winy i która działała cierpliwie, żeby go wyzwolić. Spoglądał optymistycznie w przyszłość.

Po skończeniu uniwersytetu spędził rok za granicą, wykładał w szkole w Szwajcarii, a następnie wrócił i objął posadę wychowawcy najwyższej klasy w internacie. Praca ta dawała mu

zadowolenie i nieźle się z niej wywiązywał, ale po upływie jeszcze jednego roku powziął mocne postanowienie przyjęcia święceń kapłańskich. Radził się rozmaitych osób, między innymi biskupa, w którego diecezji teraz mieszkał, i w końcu zostało uzgodnione, że będzie uczył do końca następnego roku szkolnego, studiując jednocześnie w wolnych chwilach teologię, po czym wstąpi do seminarium. Michał nie posiadał się z radości.

Obecność Nicka Fawleya w szkole była czymś, co Michał od pierwszej chwili uświadamiał sobie z niezwykłą ostrością. Nick, wtedy czternastolatek, był dzieckiem naprawdę pięknym. Inteligentny, arogancki, stał się przedmiotem miłości i nienawiści swoich kolegów; wichryciel i jednocześnie coś w rodzaju gwiazdora. Jego bardzo ciemne kręcone włosy, które rosąc swobodnie nabrałyby granatowego odcienia, były starannie przycięte w taki sposób, że okalały długą twarz sztucznie niedbałymi kosmykami. Nos miał leciutko zadarty, cerę bladą i wspaniałe ciemnoszare oczy o długich rzęsach i ciężkich powiekach, oczy, które bezustannie mrużył – czy to żeby uwydatnić ich pozorną długość, czy to żeby spotęgować swoją pozorną przebiegłość, chociaż jedno i drugie było i tak już niemałe. Kształtne wargi wykrzywiał najczęściej w drwiącym uśmieszku lub odymał w groźnym wyrazie brutalności. Był mistrzem w sztuce mimicznej i traktował swoją twarz jak maskę – zatrważającą, rozśmieszającą, uwodzicielską. W klasie przybierał wyraz sardoniczny i ostentacyjnie zwieszał długie dłonie z krawędzi stolika. Nauczyciele przepadali za nim. Michał nie był wprawdzie ślepy na jego uroki, uważał jednak, że jest w gruncie głupcem. Tak było w pierwszym roku.

W drugim roku, na skutek zmiany planu zajęć, Michał widywał Nicka znacznie częściej. Zorientował się też wkrótce, że chłopiec okazuje mu dużo żywsze zainteresowanie, niż się to normalnie zdarza. Siedząc w klasie wpatrywał się w Michała z wyrazem zafascynowania tak zuchwałym i jawnym, że niemal wyzywającym. Ale jego odpowiedzi na zadawane pytania wskazywały, że słucha lekcji uważnie. Michał był zirytowany tym, co uznał za impertynenckie żarty. Później chłopiec zmienił taktykę – spuszczał oczy, wydawał się zmieszany, zastanawiał się nad odpowiedziami. Jego twarz wyrażała teraz większą szczerą i tym samym była bardziej pociągająca. Michał, wyraźnie już zainteresowany, doszedł do wniosku, że Nick zaczął może autentycznie odczuwać to, co przedtem udawał dla rozrywki swoich kolegów. Żał mu było chłopca, uważał, że staje się skromniejszy i że pod każdym względem robi postępy. Spotykał się z nim kilka razy sam na sam.

Michał rozumiał doskonale, że wdzięki Nicka działają na niego w bardziej niż przelotny sposób. Wiedział, że im ulega, ale ani przez sekundę nie czuł się zagrożony, taką ufność i takie szczęście czerpał ze swoich planów na przyszłość. Pewną rolę odegrało również to, że nie pociągał go dotąd nikt o tyle od niego młodszy; traktował swoje uczucie do Nicka jako coś może wyjątkowego, ale najzupełniej niegroźnego. Radość, jaką odczuwał w bliskości tego młodego stworzenia, nie budziła w nim poczucia winy ani go nie przerażała, a nawet gdy spostrzegł fizyczne objawy swojej inklinacji, bynajmniej nie wpadł w panikę, lecz nadal wesoły i pogodny widywał się z Nickiem, ilekroć dawał mu ku temu okazję normalny tok zajęć; gratulował też sobie nowo nabytej stałości i racjonalnego spokoju, przejawiających się w jego życiu duchowym. Podczas modlitwy imię chłopca w sposób naturalny pojawiało się na jego wargach wraz z innymi i Michał odczuwał bolesną radość dostrzegając w sobie tak ogromny zasób dobrej woli, która nie żądała zwykłego zadośćuczynienia.

Przypadek sprawił, że sypialnia Michała, będąca jednocześnie jego pokojem do pracy, znajdowała się w skrzydle budynków szkolnych zajętym głównie przez biura i pustoszejącym po godzinie piątej. Drzwi, z których Michał korzystał, wychodziły na paddock, teraz zarośnięty drzewkami i krzewami. Michał trzymał w swoim pokoju książki i chłopcy przychodzili czasem, żeby dokończyć jakiejś rozmowy rozpoczętej w klasie lub sprawdzić coś w encyklopedii czy

słowniku. Raz czy dwa po lekcji Nick odprowadził go, dyskutując czy zadając pytania, i zanim pobiegnął do swoich następnych zajęć, stał chwilę na progu. Jako uczeń starszych klas korzystał od niedawna z większej swobody i po lekcjach mógł się poruszać nieskrępowany po całym terenie szkolnym. Wieczorem któregoś dnia, na początku trimestru jesiennego, tuż przed siódmą, pracujący samotnie w swoim pokoju Michał usłyszał pukanie, a gdy otworzył drzwi, zobaczył Nicka. Chłopiec pierwszy raz zjawił się nie zaproszony. Przyszedł pożyczyć książkę i zaraz zniknął, ale Michałowi zdawało się później, że obu im było trudno ukryć wzruszenie i że od tej chwili wiedzieli, co się musi zdarzyć. Nick przyszedł znowu, tym razem po kolacji. Odniósł książkę, rozmawiali o niej dziesięć minut. Pożyczył inną. Stało się to zwyczajem, że wpadał od czasu do czasu między kolacją a porą spoczynku. W małym pokoju Michała szumiła na kominku gaz. Na dworze ciemniały wieczory październikowe. W szarzącym świetle paliła się już lampa.

Michał wiedział, co robi. Wiedział, że igra z ogniem. Ale wciąż mówił sobie, że ujdzie cało. Sytuacja, przynajmniej z pozoru, była nadal niewinna i miała w sobie jakąś tymczasowość, która zdawała się zmniejszać jej niebezpieczeństwo. Do połowy trimestru, do końca trimestru. W następnym trymestrze zostanie zmieniony plan lekcji, może Michał będzie się musiał przeprowadzić. Każde spotkanie było jakby pożegnaniem; a zresztą nic się nie działo. Chłopiec przychodził, rozmawiali o obojętnych sprawach, o jego nauce. Czytał pilnie książki pożyczone mu przez Michała i najwyraźniej korzystał z prowadzonych z nim rozmów. Nie siedział nigdy długo.

Któregoś dnia po jego przyjściu Michał nie zapalił lampy i mrok powoli gęstniał, wypełniał pokój. Światło gasło, a oni mówili dalej, nie orientując się chyba, że zapadła już ciemność. Tak silny był urok, że Michał nie śmiał wyciągnąć ręki do kontaktu. Siedział w swoim niskim fotelu, a chłopiec leżał na podłodze u jego stóp. Nick, który pierwszy raz został tak długo, przeciągnął się, ziewnął i powiedział, że musi już iść. Usiadł napomykając o jakiejś sprzeczce, którą mieli w klasie. A gdy mówił, położył rękę na kolanie Michała. Michał się nie poruszył. Odpowiedział chłopcu, który po chwili cofnął rękę, wstał i pożegnał się.

Po jego wyjściu Michał siedział dłuższy czas bez ruchu, w zupełnej ciemności. Zrozumiał w tym momencie, że jest stracony; dotyk ręki Nicka nappełnił go radością tak głęboką, chciałby móc powiedzieć, tak czystą, gdyby słowo to nie brzmiało trochę dziwnie w tym miejscu. Było to tego rodzaju doznanie, że wspominając je nawet po wielu latach drżał i odczuwał znowu, mimo wszystko, tę samą nieodpartą radość. Siedząc teraz w swoim pokoju, z oczami zamkniętymi i uczuciem bezwładu, zrozumiał, że nie leżało w jego naturze opierać się pokusom rozkoszy tak zachwycających. Co robi, czy też w jakim sensie postąpi źle – takich refleksji do siebie nie dopuszczał. Nie próbował rozproszyć mgiełki wzruszenia okrywającej przed nim decyzję, którą podejmował; którą właściwie, jak mu się zdawało, podjął już w tej chwili, gdy bez słowa czy ruchu pozwolił Nickowi położyć rękę na swoim kolanie. Wiedział, że jest zgubiony od dawna. Dzięki dialektyce dobrze znanej tym, którzy zwykli ulegać pokusom, przeszedł w ciągu sekundy ze stadium, w którym jest za wcześnie na walkę, do stadium, w którym jest za późno na walkę.

Nick przyszedł nazajutrz. Tymczasem obaj puścili wodze wyobraźni. Zabrnęli daleko. Michał nie wstał z fotela. Nick ukląkł przed nim. Wpatrywali się w siebie bez uśmiechu. Potem Nick podał mu obie dłonie. Michał trzymał je mocno, niemal z furią, jednocześnie bliżej przyciągając do siebie chłopca. Zesztywniał cały, tak bardzo starał się powstrzymać drżenie. Nick był blady, poważny, jego oczy wpijały się w Michała promieniejące pragnieniem, by zaklinać i dominować. Michał puścił go i opadł na oparcie fotela. Zdawało się, że minęła wieczność. Nick rozsiadł się swobodnie na podłodze, uśmiech, którego nie mógł powstrzymać, wypłynął mu na twarz. Zniknęła maska spalona wewnętrzną siłą. Michał też się uśmiechnął, czując w duszy dziwny spokój, jak gdyby dokonał jakiegoś wielkiego czynu. I potem zaczęli mówić.

Rozmowa kochanków, którzy dopiero co wyznali sobie miłość, należy do najcudowniejszych rozkoszy życia. Jedno współzawodniczy z drugim w pokorze, zdumione, że jest dla tego drugiego coś tak bardzo cennym. Badają przeszłość w poszukiwaniu pierwszych znaków i oboje w pośpiechu mówią wszystko, żeby uświęcające dotknięcie nie ominęło najmniejszej cząsteczki ich istnienia. Michał i Nick tak właśnie rozmawiali i Michał był zdumiony inteligencją i subtelnością chłopca, który przez cały czas umiejętnie utrzymywał inicjatywę, jednocześnie wydobywając ze swojej pozycji ucznia i wychowanka Michała całą słodycz, jaką w tych zmienionych okolicznościach mógł zawierać tego rodzaju stosunek. Mówili o swoich ambicjach, swoich rozczarowaniach, domach rodzinnych, dzieciństwie. Nick opowiedział Michałowi o siostrze bliźniaczce, którą kochał – gotów był na to przysiąc – z bajronowską namiętnością. Michał opowiedział Nickowi o swoich rodzicach, którzy od dawna nie żyli, o posępnym ojcu i sprytniej, eleganckiej matce; o swoim życiu w Cambridge i, z otwartością i nagłym brakiem skrupułów, co go później zdumiewało, o swoich nadziejach, bardzo odległych, jak to teraz określał, na przyjęcie święceń kapłańskich.

W ciągu tygodnia przeżyli całą wieczność namiętności, chociaż jak dotąd poprzestawali na trzymaniu się za ręce i wymianie najdelikatniejszych pieśczoł. Dla Michała był to okres pełnego i bezmyślnego szczęścia. Chociaż to dziwne, ale uspokajała go myśl, że trymestr dobiega końca. Ta cudowna rzecz nie może trwać; wobec tego nie miał zamiaru jej kończyć i żył w ponadczasowej chwili radości. Chętnie wziąłby Nicka do łóżka, ale nie zrobił tego częściowo z mglistych skrupułów, a częściowo dlatego, że ich stosunek był na razie tak doskonały i właściwie sama świadomość, że jeszcze tyle jest w rezerwie, stanowiła cząstkę jego doskonałości. Michał w tym okresie przemyślał, acz tylko pobieżnie i z ociąganiem, nad głębszymi implikacjami tego, co robi. Wstrzymał się od przystępowania do komunii. Rzecz dziwna, ale nie czuł winy, a tylko zacieklą determinację, by zachować przedmiot swojej miłości, zatrzymać go przed Bogiem, godząc się na każdą cenę, jaką mu przyjdzie zapłacić, i w końcu – jakoś – usprawiedliwiając swoją miłość. Myśl o odrzuceniu jej czy wyrzeczeniu się nie przyszła mu do głowy.

Zaczął rozmyślać mgliście o tym, co kiedyś odczuwał – że jego wiara i jego namiętności wpływają z tego samego źródła i że to plugawi jego wiarę. Wydawało mu się teraz, że może odwrócić ów argument: czemu ta bliskość nie miałaby oczyścić jego namiętności? Nie mógł uwierzyć, że jest coś immanentnie złego w wielkiej miłości, jaką obdarzał Nicka, ta miłość była tak silna, tak promienna, wpływała z takich głębi, że zdawała się być samą istotą dobroci. Niejasno Michał widział w wyobraźni siebie jako duchowego opiekuna chłopca, przy czym jego namiętność przeradzałaby się powoli w bardziej wzniosłe i bezinteresowne przywiązanie. Pod jego okiem Nick wyrośnie na mężczyznę, Michał będzie strzegł jego każdego kroku – zawsze obecny, lecz usuwający się w cień, co będzie najwyższym wyrazem miłości. Nick, który był jego kochankiem, zostanie jego synem; i doprawdy już teraz, z taktem i imaginacją, które usuwały z ich wzajemnego stosunku najmniejszy choćby cień wulgarności, chłopiec grał obie role. Pomyślawszy trochę nad sytuacją Michał poczuł się lepiej, jakby te śmiałe refleksje pomogły mu w pewnym stopniu odzyskać niewinność. Bardzo ostrożnie wrócił myślami do swojej wizji kapłaństwa. Ostatecznie będzie to możliwe. Wszystko zmieni się na dobre. W tym okresie modlił się bezustannie, czując, że dzięki tym właśnie sprzecznościom w jego naturze pogłębiła się jego wiara; odczuwał pełnię szczęścia, jaka dotąd nie była mu znana.

Michał nie miał nigdy wiedzieć, jak skończyłaby się idylla, gdyby on mógł nią pokierować. Inicjatywa została mu nagle odebrana. W ciągu trzech tygodni jego stosunki z Nickiem rozrosły się z cudowną prędkością, jak drzewo w bajce, i Michałowi zdawało się, że było im dane przeżywać w ciągu zaledwie dni kolejne fazy ewolucji, która w zwykłej miłości trwa latami. Może właśnie to było zgubne. Michał nigdy się nie dowiedział. Zdawało mu się, że zna Nicka

całe życie. Może Nick odczuwał to samo i znudził się Michałem po takim półwieczu znajomości. A może zbyt wielka intensywność ich uczucia w końcu mu je zbrzydziła? A może istniało jeszcze inne, głębsze wytłumaczenie, bardziej dla chłopca chlubne. Nie było im nigdy dane omawiać tej sprawy.

Pod koniec trymestru przyjechał do szkoły ewangelista. Był protestanckim kaznodzieją uczestniczącym w kampanii na rzecz odrodzenia religijnego prowadzonej przez wszystkie Kościoły, w ramach której przedstawiciele rozmaitych wyznań przemawiali do chłopców. Był człowiekiem uczuciowym, doskonałym mówcą. Michał wysiedział do końca dwóch jego oracji nie słuchając, myśląc o uściskach Nicka. Nickowi nasunęły się widocznie inne myśli. Nazajutrz nie przyszedł do Michała o umówionej porze. Poszedł za to do dyrektora szkoły i powiedział mu wszystko.

Kiedy Nick się nie zjawił, Michała ogarnął niepokój. Czekał długo, a potem zostawił kartkę i poszedł go szukać. Przecucie czegoś złego doprowadzało go teraz niemal do szaleństwa. Jeszcze podczas tych poszukiwań otrzymał polecenie, żeby się natychmiast stawił u dyrektora szkoły. Nie widział się już z Nickiem sam na sam. Ujawniona natychmiast zdrada czegoś dlań tak nieskończenie czystego i świętego wydała mu się zatrwajająca i Michał dopiero później zadał sobie trud rozważenia sprawy w kategoriach własnej zguby. Dopiero też później zrozumiał, przypominając sobie słowa dyrektora, że Nick nie przedstawił prawdziwego obrazu tego, co między nimi zaszło. Chłopiec zdołał wywołać wrażenie, że zdarzyło się znacznie więcej niż w rzeczywistości, i napomknął też chyba, że to Michał wciągnął go nieświadomego w przygodę, której nie rozumiał i od której cały czas bardzo pragnął uciec. Obraz, jaki ujrzął dyrektor szkoły i jaki Nick mu przedstawił, był po prostu dość odrażającym opisem uwiedzenia.

Trymestr dobiegał końca. Michał natychmiast rozstał się ze szkołą, bez jawnego skandalu. Bardzo oględnie sformułowany list dyrektora szkoły do biskupa przekreślił jego nadzieje na święcenia kapłańskie. Pojechał do Londynu i wziął tymczasową pracę wykładowcy na uniwersyteckich kursach przygotowawczych. Miał teraz mnóstwo czasu do rozmyślań. Powodzenie i szczęście nie dopuszczały do niego poczucia winy, ale klęska i rozpacz rozbudziły je niemal automatycznie; i Michał doszedł do wniosku, że mimo wszystko pogląd na sprawę przedstawiony dyrektorowi szkoły nie był nieprawdziwy. Obciążała go ta najcięższa zbrodnia, gorszenie maluczkich – zbrodnia tak ciężka, iż Chrystus sam powiedział, że „pożyteczniej by mu było, gdyby młyński kamień zawieszono na szyi jego i wrzucono w morze”. Michałowi bynajmniej nie zależało wtedy na dzieleniu winy z Nickiem; pragnął gorąco wziąć ją całą na siebie, a gdyby była większa, też by się nią obarczył.

Znacznie później, kiedy z dystansu wielu lat mógł spokojniej spojrzeć na tamte wydarzenia, zadawał sobie w duchu pytanie, czym kierował się Nick wyznając swoją winę, i dlaczego uczynił to w tak bałamutny sposób. Doszedł do wniosku, że kierowały chłopcem szczerze skrupuły religijne w połączeniu z może półświadomą urazą do niego; i że przedstawił fakty w taki sposób częściowo z powodu tej urazy, ale częściowo i bardziej kategorycznie w tym celu, żeby sytuacja wydała się jeszcze gorsza, skoro była już i tak niewybaczalnie zła. Michał wiedział, że jest to naturalna dyspozycja u tych, którzy wyznają winę, i miał wrażenie, że Nick przekształcił ich miłość w posępny epizod uwodzicielski bez jakichś świadomych złych zamiarów względem niego. Ale nie zdobył nigdy pewności.

Mijały lata. Michał wziął pracę w Londynie, w wydziale oświaty zarządu miasta. Potem znecierpliwiony wrócił do zawodu nauczycielskiego. Bez specjalnego wysiłku, chociaż niekiedy jego skłonności dawały mu się we znaki, unikał przygód miłosnych. Kiedy ucichło wzburzenie i rozpacz po epizodzie z Nickiem – a był to proces długotrwały – Michał zaczął znów poważnie myśleć o tym, co mu się wymknęło, o swoim właściwym miejscu w życiu, zadaniu, do którego

Bóg go stworzył. Bardzo odległe zamajaczyły mu znów na horyzoncie dawne nadzieje na kapłaństwo, ale uciekał od nich myślami. Niekiedy wydawało mu się, że katastrofa, która zniweczyła jego pierwsze usiłowania, była zamierzona celowo, żeby go upokorzyć; prawdziwa szansa jeszcze na niego czekała. Pracował spokojnie, choć bez satysfakcji, na rozmaitych posadach nauczycielskich. Potem przyszło wezwanie z Imber, pierwsza rozmowa z przeoryszą i podniecająca świadomość, że rozpoczyna się nowe życie, że wyłania się w końcu przed nim głęboki, przeznaczony mu do naśladowania wzór.

Bardzo niedługo po swojej pierwszej wizycie w Imber, gdy projekt założenia bractwa znajdował się w niesprecyzowanym stadium wstępnym, Michał wszedł do mieszkania jakichś przyjaciół przeoryszy w Londynie i ujrzał głowę Nicka osadzoną na tułowiu Katarzyny. Spotkanie było tak niespodziewane, a podobieństwo tak bliskie i uderzające, że Michał oniemiał i musiał usiąść symulując chwilowe omdlenie. W ciągu lat po ich nagłym rozstaniu Michał stracił Nicka z oczu, ale nie zabiegając o to miał o nim od czasu do czasu wiadomości: że studiował matematykę w Oksfordzie i chociaż był uważany za bardzo zdolnego, nie skończył uniwersytetu w grupie najlepszych studentów; że rozpoczął pracę naukową w instytucie aerodynamiki, ale wkrótce ją rzucił, bo odziedziczywszy jakieś pieniądze nabył udział w jednym z syndykatów Lloyda. Widywano go często w City, jak się Michał dowiadywał od swoich nielicznych znajomych ze sfer handlowych, w towarzystwie bardziej podejrzanych maklerów. Kroniki towarzyskie gazet wymieniały od czasu do czasu jego nazwisko obok nazwiska tej czy innej kobiety. Mówiono, że zaczął pić. Ktoś kiedyś powtórzył Michałowi zasłyszaną plotkę, że jest homoseksualistą.

Michał przyjął tę informację z zainteresowaniem i nie pytał o więcej. Wtłoczył ją do tej części mózgu, gdzie nadal przechowywał i pieścił obraz chłopca, i powierzał Miłości, rozumiejącej i przeobrażającej, dawną namiętność, która dzięki swemu natężeniu wydawała mu się tak czysta. Ale to było w głębokich pokładach świadomości, gdzie myślom Michała brakowało precyzji. Gdy mijały lata, tuż pod powierzchnią ugruntowała się w nim cicha niechęć do Nicka – za to, że tak skutecznie zmarnował mu życie; i myślał trzeźwo, że chociaż był trochę winny, z pewnością nie była to jego wyłączna wina, że Nick zszedł na złą drogę. Chłopiec był najwyraźniej nieodróżniony i nieodpowiedzialny, z czego Michał doskonale zdawał sobie sprawę, zanim się w nim zakochał. Nie chciał umniejszać swojej winy, wiedział jednak, że w pewnym punkcie dalsze rozmyślenia na ten temat zmieniają się w zwykłe pobłażanie samemu sobie. Uważał ten rozdział za zamknięty.

Spotkanie z Katarzyną Fawley wstrząsnęło nim. Nikt nie musiał mu mówić, że ta przystojna dziewczyna o szarych oczach i gęstych ciemnych włosach, której wąską dłoń trzymał po chwili miękko w swojej dłoni, jest siostrą Nicka Fawleya. Natychmiast zadał sobie w duchu pytanie, co ona wie o nim, czy patrzy na niego z wrogością i odrobiną pogardy, jako na nieznanego nauczyciela, którego wyrzucono ze szkoły za uwiedzenie jej brata. Wprawdzie trudno było się dopatrzeć pogardy w tym łagodnym i uciekającym spojrzeniu, Michał doszedł jednak błyskawicznie do przekonania, że jeśli stosunki Nicka z siostrą były tak bliskie, jak go o tym chłopiec zapewniał, a te zapewnienia brzmiały wtedy prawdziwie, musiał jej przedstawić jakąś swoją wersję, przypuszczalnie dość wierną, tego, co się zdarzyło. Być może dziewczyna nie pamiętała jego nazwiska. Ale pewne zmieszanie i zbyt rozmyślna życzliwość przekonały Michała podczas tego ich pierwszego spotkania, że Katarzyna doskonale wie, kim on jest.

Można by pomyśleć, że skoro natura przez dodawanie pozbawiła go Nicka, teraz przynajmniej przez odejmowanie ofiarowuje mu Katarzynę; ale Michałowi nie przyszło to na myśl, chyba tylko w teorii i jako coś, co ktoś inny mógłby odczuwać. Wiedział od pierwszej chwili, że Katarzyna ma wstąpić do klasztoru. Ale tak czy inaczej, było zdumiewające, jak mało wydała mu

się ponętna. Uważał, że jest ładna, spodobała mu się też pewna błagalna słodycz w jej obejściu, ale wysokie białe czoło i senne oczy, w tym przypadku ukształtowane według nieomylnie kobiecych wzorów, nie rozpały w nim namiętności. Wydawało się doprawdy dziwne, że Bóg mógł stworzyć dwie istoty w sposób najoczywistszy z tej samej materii, ale że stworzył je równocześnie tak do siebie podobne i tak się różniące. Twarz Katarzyny, gdy nieruchoma, była ładną podobną do twarzy Nicka, chociaż drobniejsza i delikatniejsza. Ale jej miny, uśmiechy tchnęły w ten sam kształt zupełnie inne życie; a gdy pochylała głowę, bo skromne spuszczenie oczu leżało w jej naturze, Michał był pewien, że pada ofiarą jakiejś przerażającej sztuczki magicznej. Wydała mu się – jak wszystkie kobiety – niepociągająca i odrobinę obsceniczna, tym bardziej że w tak podstępny sposób przypominała mu Nicka.

Ludzie, którzy go jej przedstawili i którym najwidoczniej nie były wiadome ich dawniejsze powiązania, tłumaczyli teraz Michałowi, trochę z pomocą Katarzyny, że zamierza wstąpić do klasztoru i ma nadzieję przed rozpoczęciem nowicjatu w Opactwie spędzić jakiś czas z bractwem organizującym się w Imber Court. Był to pomysł przeoryszy, która obiecała napisać do Michała; właściwie Michał powinien już mieć jej list. Michał powiedział, że był na wsi i nie otrzymywał korespondencji; list przeoryszy czeka na niego prawdopodobnie w domu. Był pewien, że jest to doskonały pomysł; zresztą życzenie przeoryszy jest dla niego rozkazem. Panna Fawley wstała. Obserwując ją, gdy zęgnęła się przy drzwiach, w szarym kostiumie przesadnie dobrze skrojonym i przesadnie skromnym, z gęstymi granatowymi włosami zwiniętymi w ciasny węzeł pod małym i niezaprzeczalnie szykownym kapeluszem, rozmyślał o niej i o dziwnym wyroku losu, który skrzyżował ich drogi i który, Michał nie wątpił ani przez sekundę, połączy go znów z Nickiem.

Doszło do tego nawet wcześniej, niż się spodziewał. Zastał w mieszkaniu list przeoryszy; polecała jego opiece Katarzynę, nazywała ją „szczególnie wyróżnionym dzieckiem”, osobą o wielkich potencjalnych talentach duchowych. Wyraziła nadzieję, że Michał przyjmie ją jako czasowego członka społeczności w Imber. Michał wyczuł z czegoś nieuchwytnego w tonie jej listu, że wie o Nicku. Katarzyna musiała jej chyba powiedzieć. Nie wyobrażał sobie, żeby to blade i łagodne stworzenie mogło ukryć cokolwiek przed osobą o indywidualności przeoryszy. Zresztą skłonność do spowiedzi była cechą rodzinną.

Katarzyna zjawiła się w Imber tuż po założeniu bractwa, kiedy w pustym domu mieszkali tylko Michał, Piotr i Straffordowie. Cicho, prawie nie otwierając ust, wykonywała w ciągu pierwszych tygodni niezliczone czynności spoczywające na barkach tej maleńkiej grupy osób. Pracowała do upadłego i w końcu Michał musiał ją powstrzymać. Na wsi wydawała się inną osobą. Zniknęła bez śladu jej elegancja. Katarzyna ubierała się w stare i dość bezkształtne suknie, związywała wijące się, prawie fioletowe włosy w niedbały węzeł albo opuszczała je luźno na plecy. Sprawiała wrażenie osoby trawionej pragnieniem usunięcia się w cień, niezwracania na siebie uwagi, mimo że była wszędzie obecna i pracowała ile sił. W tym okresie wydawała się Michałowi dość dziwną młodą kobietą, może niezrównoważoną i skłoną do przesady, chociaż, jak w przypadku jej brata, zapomniał wkrótce, że początkowo tak o niej myślał. Lubił tę dziewczynę z każdym dniem bardziej i szanował jej wysiłki; a od czasu do czasu patrzył na nią szukając innej twarzy i czuł na sobie niekiedy jej chłodne spojrzenie.

Przyjechał Patchway, przyjechał James. Bractwo zaczęło się organizować, w sposób bardzo jeszcze nieśmiały. Przekopano ziemię w ogrodzie, uroczyście zasiano pierwsze nasiona. I potem któregoś dnia Katarzyna zaczęła mówić z Michałem o swoim bracie. Ani wtedy, ani później nie zrobiła najmniejszej wzmianki o przeszłości, a tylko najwyraźniej zakładała, że Nick i Michał się znają. Jest bardzo niespokojna o brata. Nick prowadzi rozwiązłe życie – szczegółów nie podała – którym gardzi, ale z którego nie ma siły się wyrwać. Jest bardzo nieszczęśliwy, groził samobójstwem. Trzeba koniecznie coś dla niego zrobić – coś drastycznego, niebanalnego.

Katarzyna uważała za możliwe, że Nick przyjąłby zaproszenie do Imber. Na pewno znalazłaby się tu dla niego praca. Nawet gdyby przyjechał tylko na krótko, byłoby to zbawienne chociażby ze względu na jego zdrowie; a kto wie, czy z pomocą modlitw i z uwagi na bliskość tego ogromnego arsenału energii duchowej po drugiej stronie jeziora nie można by się łudzić nadzieją na więcej. Tak prosiła Katarzyna, przemawiając jak ktoś, kto boi się odmowy; siła pragnienia oblekła powagą jej bladą twarz, tak podobną do twarzy brata.

Prośba Katarzyny w najwyższym stopniu skonsternowała Michała. Odkąd się poznali, nurtowała go niejasna myśl, zaprawiona uczuciem melancholijnej przyjemności, że teraz prędzej czy później zobaczy Nicka; przelotnie, wyobrażał sobie, może w domu jakichś wspólnych znajomych w Londynie. Uśmiechną się do siebie zmieszani i znowu nie będą się widzieli przez długie lata. Ale obecność chłopca tutaj – wciąż myślał o Nicku jako o chłopcu – tutaj w Imber, w tak bogobojnym miejscu i czasie, wykraczała poza ramy pragnień czy planów Michała. Miał mnóstwo pracy, był bardzo przejęty swoim nabierającym rozmachu przedsięwzięciem. Niekiedy nawet prawie zapominał, kim jest Katarzyna; co może częściowo było jej sukcesem. Propozycja dziewczyny wydała mu się nie na czasie i piekielnie kłopotliwa, toteż w pierwszej chwili zareagował na nią niemal cynicznie. W przypadku ludzi takich jak Nick – z tego, co sobie o nim wyobrażał – bliskość arsenału energii duchowej mogła równie dobrze sprowokować nowe ekscesy, jak podzielać zbawienie. Siła duchowa istotnie jest jak elektryczność – w tym sensie, że jest bardzo niebezpieczna. Może być zbawienna w cudowny sposób – i może przynieść ruinę. Michał lękał się, że w Imber Nick przyczyni innym zmartwień i sam nic nie zyska. Co więcej, po prostu nie chciał mieć Nicka w Imber.

Nie powiedział jednak tego wszystkiego Katarzynie, a tylko wspomniał, że się zastanowi i poradzi przeoryszy i reszty bractwa. Wtedy usłyszał od Katarzyny, że omówiła już całą sprawę z przeoryszą, która jak najbardziej popiera projekt. Michał bardzo się zdziwił i pobiegł natychmiast do Opactwa; okazało się jednak, że trafił na okres, w którym wielka dama z sobie tylko znanych powodów nie chciała mu udzielić audiencji. Zawiadomiła go, że jeśli do niej napisze, otrzyma odpowiedź. Bardzo już teraz zdenerwowany Michał ułożył kilka listów, ale wszystkie podarł i w końcu napisał parę słów, w których wyraził przekonanie, że przeorysza zna istotne fakty, i prosił ją o sąd w tej sprawie. Odpowiedziała w sposób po kobiecemu mglisty, czym, o mało nie doprowadziła Michała do szaleństwa: że w zasadzie popiera ten projekt, ale ponieważ on wie, i musi wiedzieć, znacznie lepiej niż ona, jak się to wszystko może ułożyć, pozostawia ostateczną decyzję jego mądrości, do której, jak dodała, ma całkowite zaufanie. Michał miotał się po domu i w końcu poszedł do Jamesa. Jamesowi, który nigdy nie był ciekawy czy podejrzliwy i zawsze zdawał się wierzyć, że ludzie mówią mu całą prawdę, wspominał niejasno, że znał młodego Fawleya jako chłopca, ale stracił go potem z oczu. Powtórzył, co wiedział o jego charakterze i życiu. Co James o tym myśli?

Z gwałtownością, od której zrobiło się Michałowi ciepło na sercu, James powiedział, że uważa ten pomysł za idiotyczny. Nie mają w tej chwili miejsca dla takiego typka. Nikt nie będzie miał czasu na bawienie się w jego niańkę. Może będą mogli pomóc jakoś biednej, kochanej Katarzynie i umieścić jej godnego pożałowania brata (o którym James słyszał kilka dość obrzydliwych plotek) w jakimś bezpiecznym miejscu; ale, na miłość boską, nie tutaj! James trochę się zdenerwował, kiedy usłyszał, że przeorysza, acz z pewnymi zastrzeżeniami, popiera projekt, ale prosił Michała, żeby jej się stanowczo oparł. Ostatecznie przecież to on wie, jaka jest sytuacja w Imber; ona nie wie i przyznaje się do tego. Było to charakterystyczne dla silniejszej i nie tak emocjonalnej wiary Jamesa, że nie należał do osób, dla których słowo przeoryszy musiało nieodzownie być prawem. Michał obiecał mu, że nie ustąpi, i poszedł do łóżka w znacznie lepszym nastroju. W nocy przyśnił mu się Nick.

Nazajutrz wszystko wydawało się inne. Tuż po przebudzeniu Michał wiedział z niezachwianą pewnością, iż nie może pójść do Katarzyny i oznajmić, że nie przyjmie jej brata. Powiedzmy, że za miesiąc czy za rok Nick zrobi coś naprawdę skandalicznego, powiedzmy, że ściągnie na siebie jakieś poważne kłopoty (dość prawdopodobne, jeśli się weźmie pod uwagę szczegóły, którymi Michał uzupełnił obraz przedstawiony przez Katarzynę), powiedzmy, że odbierze sobie życie – jak Michał czułby się wtedy? Nie może odmówić temu petentowi, nie może zwłaszcza z uwagi na przeszłość. Modlił się długo, namiętnie polecając Bogu tę sprawę. Utwierdził się w swoim przekonaniu; a wraz z dochodzącą w nim do głosu dziwną radością dostrzegł w rozwoju wypadków pewien zamysł dobra. Nick został mu zwrócony z pewnością nie przez przypadek. Nie śmiał myśleć o sobie jako o instrumencie zbawienia chłopca; ale może będzie mu danym stać z boku – pokornie, jak ktoś, kto ma do odegrania małą rolę w jakiejś wielkiej ceremonii – gdy będzie się dokonywała przemiana? A więc jeśli idzie o Nicka, miał mimo wszystko otrzymać swoją drugą szansę. Z pewnością Bogu nie może chodzić o to, żeby ją odrzucił. Było to tak idealnie zharmonizowane z odejściem Katarzyny za mury klasztoru. Istota tak czysta, jak teraz, w momencie egzaltacji, widział ją Michał, mogła rzeczywiście stać się instrumentem zbawienia brata i w pewnym sensie zbawienia jego, Michała, a także w cudowny sposób instrumentem odkupienia przeszłości.

Ten radosny nastrój nie trwał długo; jednakże sama istota nadziei i wizja, którą przyniósł, pozostały i Michał tak był teraz zdeterminowany mieć Nicka w Imber, jak przedtem się temu opierał. Dość obłudnie powołując się na autorytet przeoryszy wyjednał zgodę tamtych, chociaż James do końca pozostał sceptyczny. Michał poprosił Katarzynę, żeby napisała do brata. Sam nie mógł się na to zdobyć. Otrzymała natychmiast odpowiedź, że Nick przyjedzie.

Rano pewnego dnia na początku sierpnia Michał, pod którym ugięły się kolana, pojechał na dworzec po Nicka Fawleya. Rozstał się z chłopcem; miał zobaczyć mężczyznę. Ale jak bywa w takich chwilach, odstęp czasu zniknął w wyobraźni i gdy Michał jechał na dworzec, stawał mu wciąż przed oczami Nick, jak go widział po raz ostatni, niemal wczoraj – przeraźliwie błady podczas szkolnej modlitwy, unikający jego wzroku. Katarzyna, która ubiegłej niedzieli pojechała do Londynu zobaczyć się z bratem, oznajmiła taktownie, że jest tego ranka zajęta i żadną miarą nie może przerwać pracy. Poza tym nikt inny nie interesował się Nickiem; ogród warzywny, dający pierwsze tego lata plony, za bardzo wszystkich absorbował. Tak więc Michał, zdziwiony, że tamci najwyraźniej nie zauważyli jego zdenerwowania, wymknął się z Imber i przyjechałszy na dworzec dużo za wcześnie stał na peronie nerwowo przyglądając kołnierzyk. Wysiłkiem woli powstrzymał się od zerknięcia w lustro poczekalni. Pomyślał ze zdziwieniem, że po raz pierwszy od lat jest w tak dojmujący sposób świadomy swojego wyglądu.

Gdy pociąg wjechał na stację, Michał ledwie się już trzymał na nogach. Zobaczył kilka wysiadających kobiet, a potem na końcu peronu mężczyznę z dubeltówką i sztucerem, i obok psa. Nie ulegało wątpliwości, że jest to Nick. Wydawał się być bardzo daleko, ale Michał widział go wyraźnie, jak postać ze snu. Zmusił nogi do ruchu i zaczął iść w jego stronę. Zapomniał o psie, chociaż go Katarzyna uprzedziła, i poczuł nagłą irytację, jakby to był niepotrzebny intruz. Nie mogąc wytrzymać wzroku Michała Nick pochylił się nad psem. Kiedy Michał był już zupełnie blisko, wyprostował się i nerwowe uśmiešky wypłynęły im bezwiednie na twarze. Michał zastanawiał się przedtem, czy zdoła nie uściskać Nicka. Ale było to zupełnie łatwe. Podali sobie ręce mamrocąc jakieś banalne uwagi, chociaż obaj nie potrafili ukryć wzruszenia. Pies dostarczał im wygodnego tematu do rozmowy. Michał wziął od Nicka dużą walizę, którą Nick oddał mu w oszołomieniu, zatrzymując przewieszane przez ramię obie strzelby. Poszli do samochodu. Michał prowadził, jakby był pijany. Tylko mgliście przypominał sobie później szczegóły tej drogi. Rozmowa była nie tyle trudna, ile obłąkana. Mówili bez ustanku, ale

zupełnie chaotycznie, czasem obaj jednocześnie zaczynali jakieś zdanie. Michał wypowiadał idiotyczne uwagi o psach. Nick zadawał banalne pytania o życie na wsi. W dwóch wypadkach zadał dwa razy to samo pytanie. Samochód zatrzymał się na żwirze przed domem.

Katarzyna czekała. Brat i siostra przywitani się bez słowa i z wystudiowaną obojętnością. Margaret Stratford podbiegła do nich zaferowana. Wprowadzono Nicka do domu. Michał poszedł do swojego gabinetu. Gdy został sam, położył głowę na biurku i zaczął dygotać; nie wiedział, czy się cieszy, czy martwi. Nick wydał mu się w pierwszej chwili przerażająco zmieniony. Jego twarz, tak kiedyś blada, była teraz czerwona, nalana; włosy nad wysokim czołem przeredziły się, a na karku rosły niechlujnie, mocno skrócone i raczej tłuste niż błyszczące. Ciężkie powieki zgrubiały i obwisły, oczy były bardziej wodniste, mniej magnetyczne. Był przystojnym mężczyzną, ale tęgawym, rumianym, niemal wulgarnym.

Michał szybko wziął się w garść i wrócił do pracy. Ogólnie rzecz biorąc, spotkanie było raniej denerwujące, niż się tego spodziewał, i poczuł raczej ulgę, że Nick stracił ów pełen napięcia bladawy wdzięk, który posiadał jako chłopiec, a który przetrwał, jakby senny, w jego siostrze. Michał postanowił już, że w czasie pobytu Nicka w Imber będzie się go starał jak najmniej widywać; teraz, kiedy minął pierwszy wstrząs, nie wydawało mu się to trudne. Na swoją stanowczą prośbę Nick otrzymał pokój poza obrębem pałacu. Michał nie był zadowolony, że Nick mieszka sam, ale okazało się, że nie jest łatwo znaleźć mu kogoś do towarzystwa. Katarzyna nie zaproponowała, że się przeniesie, Patchway odmówił, Straffordowie nie wchodzili w grę, bo w domku dozorca był tylko jeden mały pokój, egoistyczna delikatność nie pozwoliła Michałowi zwrócić się do Piotra (który nie znał dawnej historii), a James z miejsca powziął do nowo przybyłego antypatię. Tak więc przez trzy tygodnie do przyjazdu Toby'ego Gashe'a Nick mieszkał sam w domku dozorca.

Jeśli Michał w ogóle wierzył, że ktokolwiek w Imber poza Katarzyną może naprawdę pomóc Nickowi, wyobrażał sobie, że człowiekiem tym będzie James Tayper Pace. Reakcja Jamesa go rozczarowała. James zajął w stosunku do Nicka nieugięte konwencjonalne stanowisko.

– Wygląda mi na pedała – powiedział Michałowi wkrótce po przyjeździe Fawleya. – Nie chciałem przedtem tego wywlekać, ale mówiono mi to o nim w Londynie. A z nimi są zawsze kłopoty, możesz mi wierzyć. Widziałem mnóstwo takich typów. Jest w nich coś destruktywnego, jakby uraza do społeczeństwa. Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie, i tak dalej, ale powinniśmy się mieć na baczności! Kto by pomyślał, że toto jest bliźniakiem naszej Katarzyny?

Protestując bez przekonania Michał zastanawiał się jednocześnie, co by James pomyślał, gdyby wiedział trochę więcej o swoim rozmówcy; zdumiewała go również ta niepojęta naiwność u kogoś, kto ostatecznie widział w życiu niejedno. James z całą pewnością nie był koneserem zła; wynikało to może z jego niezwyklej czystości serca. Czy można rozpoznać subtelności dobra, jeśli jest się ślepym na subtelności zła, zadał sobie Michał pytanie. Doszedł chwilowo do wniosku, że wymaga się od człowieka, aby był dobry (zadanie z pozoru niezwykle proste, choć trudno wykonalne), a nie, żeby rozpoznawał subtelności dobra. I na tym poprzestał, nie miał bowiem czasu na filozoficzne rozważania.

W miarę jak płynęły dni, obecność Nicka zaczęła robić na Michale coraz mniejsze wrażenie. Nick otrzymał nominalnie stanowisko mechanika w Imber i od czasu do czasu rzeczywiście zajmował się samochodami albo rzucał okiem na instalację elektryczną i pompę wodną. Znał się chyba dobrze na wszelkiego rodzaju silnikach. Ale większość czasu spędzał na włączaniu się w towarzystwie Murphy'ego po terenie posiadłości i dopóki mu tego nie zabroniono, z godną podziwu precyzją zabijał wrony, wiewiórki, gołębie, których martwe ciała zostawiał tam, gdzie padły. Michał obserwował go z daleka, ale nie odczuwał potrzeby bliższego z nim kontaktu. Nie bez pewnego poczucia winy zaczął patrzeć na Nicka oczami Jamesa i Marka Strafforda; a raz w

rozmowie przyłapał się na tym, że nazwał go „biedaczyskiem”. Nick ze swej strony wydawał się bierny, chwilami niemal w stanie śpiączki. Kilkakrotnie, gdy nadarzyła się okazja, chciał chyba mówić z Michałem, ale Michał go nie zachęcał i ostatecznie nic nie wyszło z tych niezbyt wyraźnych gestów. Michał był ciekaw, jakie stosunki łączą Nicka z siostrą, ale nie zdołał zaspokoić swojej ciekawości. Spotykali się niezbyt często; Katarzyna pracowała jak dawniej, pozornie nie nękana bliskością ekscentrycznego brata. Jeśli idzie o przewody wysokiego napięcia z elektrowni po drugiej stronie jeziora, w których Katarzyna pokładała tak wielką wiarę, bombardowały one bez widocznego skutku grubszą skórę jej brata bliźniaka.

Michał nie wyrzekł się jeszcze wszystkich nadziei, że Imber zdołałby coś zrobić. Nie mógł jednak po jakimś czasie nie zobaczyć, częściowo ze smutkiem i częściowo z ulgą, że Nick ani nie znalazł tu natchnienia, ani nie jest niebezpieczny, tylko po prostu znudzony; i doprawdy, jak mógł uniknąć nudy, skoro z własnego wyboru prawie nie uczestniczył w otaczającym go życiu? Michał, zaabsorbowany innymi sprawami, nie widział chwilowo sposobu „wciągnięcia” Nicka w życie Imber; i gratulując sobie zdrowego rozsądku unikał spotkań sam na sam z dawnym przyjacielem. Nick wegetował, trochę teraz jakby zdrowszy, trochę opalony, szczuplejszy. Niewątpliwie pił mniej, ale na skutek odizolowania się w domku dozorczy, które wybrał z tą może myślą, trudno było mieć co do tego pewność. Michał przypuszczał, że Nick zostanie, traktując Imber jako tanią miejscowość wypoczynkową dopóty, dopóki Katarzyna nie zniknie za murami Opactwa. Potem wróci do Londynu i będzie żył jak dawniej. Wyglądało na to, że dziwna opowieść zakończy się mimo wszystko w dość nieciekawym, banalnym sposobie.

ROZDZIAŁ VIII

Był sobotni wieczór tego samego dnia, w którym rano odbyło się opisane wyżej zebranie; popołudniowy upał wcale chyba nie zelżał, utrzymywał się bardziej jeszcze lepki i nieruchomy. Niebo, bezchmurne teraz, osiągało maksymalne natężenie błękitu, który był niemal słyszalny. Wszyscy snuli się spoceni, narzekając, że jest im duszno.

Praca miała się skończyć, z uwzględnieniem pilniejszych sezonowych potrzeb ogrodu, o godzinie piątej w sobotę, a niedziela miała być przeznaczona na wypoczynek. W rzeczywistości praca przeciągała się dłużej; ale od sobotniego wieczoru panował nastrój zamierzonego odprężenia, szukano w sposób trochę jakby zażenowany rozrywki, co Michałowi wydawało się nużące. Zdołał wrócić dyskretnie do zajęć w swojej kancelarii, bo rzeczywiście te wolne godziny były mu bardzo potrzebne do odrobienia zaległości w papierkowej robocie z zeszłego tygodnia; musiał jednak w pewnej mierze utrzymywać fikcję odpoczynku. Zwłaszcza Straffordowie byli entuzjastami tej zasady, a Michał podejrzewał, że ich zdaniem czas wolny od zajęć powinien być przeznaczony na uprawianie swoich hobby. Michał nie miał hobby. Przekonał się, że nie interesują go żadne rozrywki; nie pociągało go teraz nawet czytanie książek, chociaż wypełniał systematycznie skromny program lektury religijnej. Zniecierpliwiony rwał się z powrotem do swojej pracy.

A poza tym te jego chwile wypoczynku bywały niekiedy wypełnione niepokojącymi myślami. Martwił się teraz o Nicka, obmyślał rozmaite plany akcji dla jego dobra, a od czasu do czasu nękało go pragnienie, które odrzucał jako pokusę, żeby pójść do dawnego przyjaciela na długą rozmowę. Nic dobrego by stąd nie wynikło dla nich obu. Michał szczyił się, że stracił przynajmniej część złudzeń; i czuł, że czerpie z tej trzeźwości zwiększone siły duchowe. Postanowił jednak rozmówić się serio z Katarzyną. Miał niewątpliwie słuszność, że przed podjęciem jakichś poważniejszych wysiłków czekał, aby się przekonać, czy Nick sam nie znajdzie sobie miejsca w ich życiu. Nie chciał uchodzić w oczach dawnego przyjaciela ani za krytyka, ani za dobroczyńcę, czy w ogóle sprawiać wrażenia, że jest nim nadmiernie przejęty. Wzdrygał się też przed poruszaniem tematów poważniejszych czy bardziej intymnych z Katarzyną, która w tym okresie wydawała się otoczona polem magnetycznym wzruszeń i niepokojów. Ale zbyt długo już sprawy były pozostawione własnemu biegowi.

Michał, jeśli starczało mu czasu na refleksje, odczuwał niepokój na myśl, jednocześnie zasmucającą d cudowną, że musi niedługo zacząć znów badać możliwości przyjęcia święceń kapłańskich. Miał wyraźne poczucie, że minął już właściwy czas. Jego przedwczesna próba została słusznie i dla niego owocnie odrzucona; i nie mógł oprzeć się przekonaniu, że Bóg przeznacza go do swoich celów, a chociaż cele te, aby go doświadczyć, były przed nim jakiś czas ukryte, teraz znowu stają się jasne i żądają spełnienia.

Przemyślał i przetrawił swoje dawne doświadczenia i liznął, że ocenia siebie w sposób dość trzeźwy. Jego skłonności nie budziły w nim teraz przesadnego czy oślepiającego poczucia winy, dowiódł też w ciągu wielu lat, że potrafi nad nimi skutecznie i bez większego trudu panować. Jest taki, jaki jest; i nadal czuł, że może być dobrym kapłanem.

Ale tego dnia żadne tak poważne myśli nie snuły mu się po głowie i gdy podniecenie wywołane zebraniem minęło, zresztą nadspodziewanie szybko, czuł się z niewiadomych powodów niemal radosny i naprawdę zadowolony, że ma trochę wolnego czasu. Weszło to już w zwyczaj, że po wczesnej kolacji w sobotę część małej gromadki towarzyszyła Piotrowi

Topglassowi w jego wieczornej inspekcji pułapek. Piotr zastawiał pułapki na ptaki w różnych miejscach i obrączkował je w celu badań naukowych. Chwila, gdy podchodzili do pułapek i sprawdzali, co jest w środku, zawsze miała w sobie coś podniecającego. Michał chętnie towarzyszył przyjacielowi, chodziły też z nimi zwykle kobiety, Katarzyna i Margaret. Katarzyna przyprowadziła kiedyś Nicka, ale miał niewiele do powiedzenia i wydawał się nie bardzo przytomny i mocno znudzony.

Tego dnia Katarzyna i Straffordowie zobowiązali się śpiewać madrygały z Jamesem i ojcem Bobom Joyce. Ojciec Bob, który sam śpiewał pięknym basem, traktował muzykę bardzo poważnie i przysięgał często, że jak będzie miał czas, weźmie sprawę śpiewów chóralnych bractwa w swoje ręce. "Wiązał nadzieje ze śpiewem gregoriańskim. Opactwo kultywowało śpiew gregoriański i zakonnice osiągnęły naprawdę wysoki poziom. Ku uldze Michała ojciec Bob dotąd nie miał czasu. James śpiewał trochę drżącym tenorem i Michał pokpiwał z niego mówiąc, że jest to tenor „neapolitański”. Marek Strafford wspierał chór dość głębokim barytonem, Katarzyna miała cieniutki, ale bardzo czysty sopran, a Margaret śpiewała energicznym i całkiem znośnym kontr altem.

Gdy Piotr i Michał wychodzili z domu, członkowie chóru stali już na balkonie wachlując się białymi kartkami partytury. Toby, który słyszał o pułapkach i badał je na własną rękę, rwał się teraz do pójścia, a Paweł i Dora też spytali, czy mogą im towarzyszyć. Toby oznajmił, że Nick Fawley pojechał do miasteczka. Przekomarzali się chwilę ze śpiewakami, a potem zeszli ze schodów i ruszyli w kierunku przystani.

Dora Greenfield, ubrana w efektowną wzorzystą suknię z ciemnego zachodnioindyjskiego kretonu, trzymała w jednej ręce białą papierową parasolkę, kupioną zapewne w miasteczku, a w drugiej, nie wiadomo dlaczego, duży hiszpański koszyk. Na nogach miała opłakiwane przez Margaret Strafford sandałki. Za radą Marka nasmarowała się olejkiem cytronelowym, co miało chronić przed komarami, i ten duszący, słodka wy zapach dodawał jej postaci uroku zarówno egzotycznego, jak i wulgarnego. Michał przyglądał jej się teraz z irytacją. Widział ją tego popołudnia identycznie odzianą i wyekwipowaną w ogrodzie warzywnym i jej obecność zdawała się zmieniać ich ciężką pracę w jakieś bezsensowne sielskie igraszki. Niemniej było coś wzruszającego w naiwnej witalności tej dziewczyny. Ramiona miała opalone, jarzyły się ciepłym złotem, i jak kucyk potrząsała ciężkimi kosmykami włosów. Michał rozumiał teraz mgliście, dlaczego Paweł jest w niej zakochany. Paweł był podniecony i rozgorączkowany i kręcił się nerwowo koło Dory, nie mogąc oderwać od niej oczu – i rąk. Pokpiwała z niego pobłaźliwie, ale i trochę zniecierpliwiona.

Weszli na pomost i zaczęli ładować się do łodzi, która, mocno przeciążona, zaledwie zdołała ich wszystkich pomieścić. Przytrzymywana przez Pawła Dora usadowiła się na dziobie popiskując z cicha, a gdy poprawiała suknię, zadziwiła swoich towarzyszy wyznaniem, że nie umie pływać. Leniwymi ruchami, bardzo wolno, Michał pchał obciążoną łódź po wodzie, która była ciepła i jakby oleista od letniej gnuśności. Dora trzymała rękę zanurzoną. Gdy byli już blisko brzegu, Toby wykrzyknął i wskazał na coś. Jakiś kształt płynął niedaleko łodzi. Był to Murphy. Wszyscy się obejrzel i łódź przechyliła się niebezpiecznie na jedną stronę. Było coś dziwnie podniecającego w widoku psa – trzymał suchy, kudłaty pyszczek wysoko nad wodą w pełnej przerażenia pozie pływającego zwierzęcia, oczy miał czujne i rozbłyszczone, łapkami zdawał się bić szaleńczo wodę.

– Czy jemu się nic nie stanie? – spytała zatroskana Dora.

– Och, nic mu się nie stanie – zapewnił ją autorytatywnie Toby. Michał spostrzegł, że chłopiec uważa się już trochę za współwłaściciela psa i jako taki czuje się odpowiedzialny za jego dziwactwa i bezpieczeństwo. – Bardzo często pływa w jeziorze, lubi to. Hej, Murphy, dobry

piesek!

Pies rzucił im krótkie spojrzenie i dalej przebiegał łapkami. Dopłynął do brzegu przed nimi, otrząsnął się energicznie i pobiegł w stronę domku dozorczy. Jego widok dziwnie ich wszystkich uradował.

Wysiadłszy z łodzi powlekli się w prawo przez trawnik i weszli na zalesiony teren rozpościerający się między jeziorem a główną drogą i zamknięty po drugiej stronie wysokim murem Opactwa, który załamywał się tam pod prostym kątem i oddalał od brzegu jeziora. Dora, częściowo chyba na złość Pawłowi, zaczęła monopolizować Piotra Topglassa, zarzucając go pytaniami o ptaki. Zdumiewała ją różnorodność stworzeń, które można było spotkać podczas najbardziej nawet przypadkowego spaceru w obrębie posiadłości. Odczuwała odrobinę zgorzone zdziwienie mieszczaucha, że wszystkie te zwierzęta są tutaj, pokazują się zupełnie darmo i żyją sobie niepomne na ludzką opiekę czy poparcie. Rano, podczas krótkiej przechadzki z Pawłem, zdenerwował ją widok sroki odlatującej znad jeziora z żabą w dziobie.

– Czy pan myśli, że ta żaba wiedziała, co się z nią dzieje? Czy pan myśli, że zwierzęta cierpią jak ludzie?

– Kto zdoła na to odpowiedzieć? – odparł Piotr. – Ja osobiście wierzę za Szekspirem, że „biedny chrabąszcz, nogą rozdeptany, cielesną mękę tak boleśnie czuje jak konający olbrzym”.

– Dlaczego zwierzęta nie mogą być dobre dla siebie i żyć w zgodzie? – spytała Dora okręcając parasolkę.

– Dlaczego nie mogą tego robić ludzie? – zwrócił się Michał do Toby’ego, który szedł obok.

Tamci troje wysunęli się naprzód. Piotr, w okularach połyskujących w słońcu, z lornetką i aparatem fotograficznym podskakującymi mu na plecach, szedł wesoło, narzucając teraz żywsze tempo marszu. Jego łysina lśniła, spieczona przez słońce na ognistą czerwień. Patrząc na niego serdecznie Michał myślał z podziwem o jego dystansie do spraw, o jego przejęciu się ukochanymi studiami, o braku ambitnej próżności. Piotr nie posiadał owej wielkości ducha, która Jamesa nakazywała zarówno bać się, jak kochać; ale niczym dobrotliwy rycerz Chaucera był człowiekiem słynącym z tego, że nikomu nie robi krzywdy.

Weszli do lasu. Dora szła krok w krok z Piotrem i oboje zajmowali wąską ścieżkę, więc Paweł, który uparcie zaciskał dłoń na jej ramieniu, musiał iść przez poszycie, potykając się, zaczepiając stopami o pędy jeżyn i kępki trawy.

Toby, zupełnie teraz swobodny i najwyraźniej w doskonałym humorze, podtrzymywał chaotyczną pogawędkę, milknąc od czasu do czasu i zostając w tyle, żeby obejrzeć z bliska jakiś polny kwiat, sprawdzić, co się kryje za jakimś podejrzanym, umykającym szelestem czy zajrzeć do wylotu tajemniczej jamy. Michał szedł krokiem miarowym, czując się w miły sposób starszy od chłopca i opiekuńczy, wyjątkowo pogodny. Zastanawiał się, czy zakwaterowanie Toby’ego z Nickiem da jakiś rezultat. Kiedy wpadł na ten pomysł, jeszcze przed poznaniem Toby’ego, dopatrzył się w nim błyskotliwej hipotezy. Prawdę mówiąc, Toby był jedyną osobą, jaką rozporządzał; Nick mieszkał już zbyt długo sam. Ale niezależnie od tego Michał uważał, że obecność kogoś młodszego może stać się dla Nicka czymś w rodzaju wyzwania, może go pobudzić do uczestnictwa w życiu Imber. W najgorszym przypadku Toby może mieć czarną owcę na oku, a kto wie, czy sama jego obecność nie ograniczy picia, które – Michał nie wątpił – nadal kwitło. James miał jednak rację; w obecnym układzie w Imber nie było po prostu miejsca dla człowieka chorego jak Nick. Żadne z nich nie mogło wziąć na siebie obowiązku pilnowania go. A jeśli szło o niego samego, Michał czuł, że wspomnianie z Nickiem dawnych czasów byłoby uleganiem słabości, czego stanowczo powinien unikać. Przypomniał sobie, jak kategorycznie przeorysza odmówiła wysłuchania historii jego życia. Nie, będzie polegał na Tobym i Katarzynie. Nie brał poważnie pod uwagę możliwości, że Nick wyrządzi Toby’emu

krzywdę. Michał nie mógł dopatrzeć się teraz w Nicku siły destruktywnej, o której tak dramatycznie mówił James. Określenie „biedaczysko” było chyba bliższe prawdy. Tygrys gotujący się do skoku nie miałby tej trochę błędnej, przygnębionej miny, wodnistych oczu, ospałości w zachowaniu. Co więcej, chociaż atmosfera Imber bynajmniej na niego nie podziałała, Nick okazywał jednak należny temu miejscu szacunek i Michał nie mógł sobie wyobrazić, żeby jego dawny przyjaciel odważył się na jakieś naprawdę skandaliczne zachowanie albo żeby chciał wyprowadzić chłopca z równowagi wulgarnością w mowie czy uczynku. Nick był już teraz za bardzo przygaszony na takie wysoki.

Odkąd Michał poznał Toby’ego, zrewidował swój pogląd na tę sprawę. Chodziło o to, że Toby był wyjątkowo przystojnym chłopcem. Uganiał się teraz po lesie w pobliżu ścieżki, podbiegał do Michała, znowu znikał – jak rozbrykany pies. W ruchach jego długich kończyn była wciąż pewna nieskoordynowana niezdarność młodości, ale w całej postawie miał coś czystego i schludnego, co wykluczało wszelką myśl o niechlujstwie. Michał spostrzegł, jak świeża jest jego odpięta przy szyi jasnoniebieska koszula, i pomyślał smętnie, że sam ma brudną. Należało przypuszczać, że na uniwersytecie chłopiec będzie czymś w rodzaju dandysa. Nad jego jędrnym i teraz opalonym karkiem ciemnobrązowe włosy kończyły się puszystą, równą linią i w podobny sposób okalały czoło – starannie przycięte, podkreślające kształtną okrągłość głowy. Policzki i wargi tryskały rumianym zdrowiem. Jego oczy zachowały dotąd nieśmiały, pytający wyraz młodego chłopca; nie stał się jeszcze ufnym we własne siły czy pewnym siebie młodym mężczyzną. Był jakby naelektryzowany niespożytą energią i nadzieją. Michał pomyślał, że Toby wydaje się o wiele mniej skomplikowaną istotą w wieku lat osiemnastu, niż Nick wydawał się jako piętnastoletni chłopiec. Swoją drogą trzeba przyznać, że ma mnóstwo wdzięku. Pamięć Michała odtworzyła z żywością niemal gwałtowną obraz białego ciała chłopca, gdy stał nagi nad jeziorkiem w lesie. Jakież to było zaskakujące i jednocześnie zachwycające. Michał zdenerwował się wtedy, że ten widok tak bardzo go poruszył. Teraz, spokojniej, odegnał od siebie wspomnienie. Może powinien zażądać, żeby obaj, Toby i Nick, zamieszkali w pałacu; trudno byłoby znaleźć pretekst do przeniesienia samego chłopca. Ale jakoś nie mógł pogodzić się z myślą, że Nick miałby mieszkać tak blisko niego. Chwilowo dał spokój tej sprawie i znów zaczął się rozkoszować wieczorem.

Nowy skandal wybuchł w grupce przed nimi; Michał półświadomie przysłuchiwał się ich rozmowie. Piotr pytał Dorę, czy ma zamiar malować w Imber jakieś pejzaże, a to pytanie ją zaskoczyło. Widocznie ani jej, ani Pawłowi, jak zauważył Michał, nie przyszło na myśl, że Dora mogłaby tu malować. Po wymianie kilku dalszych uwag o życiu na wsi i obserwacji na tematy przyrodnicze okazało się, że Dora nigdy nie słyszała kukułki. Piotrowi nie mieściło się to po prostu w głowie.

– Ale przecież jako dziecko, na wsi? – pytał. Wyobrażał sobie najwyraźniej, że wszystkie dzieci z natury rzeczy mieszkają na wsi.

– Jako dziecko nigdy nie byłam na wsi – powiedziała Dora ze śmiechem. – Jeździliśmy zawsze na wakacje do Bognor Regis. Właściwie niewiele pamiętam z dzieciństwa, ale na pewno nigdy nie słyszałam kukułki. Naturalnie słyszałam zegary z kukułką!

Toby i Michał dogonili ich, gdy wciąż rozmawiając zbliżali się do trawiastej polany, na której były rozstawione pułapki. Piotr uciszył ich gestem. Idąc ostrożnie zatrzymali się na końcu ścieżki, a Piotr poszedł sprawdzić swój połów. Nastawił trzy staroświeckie pułapki na wróble, drucziane konstrukcje w kształcie kopuły długości trzech stóp i wysokości osiemnastu cali, stojące wprost na trawie. Każda pułapka miała dwie przegrody. W jednej ścianie, opadającej ukośnie do wewnątrz, znajdował się równo z ziemią mały otwór obrzeżony sterzącymi drucikami, prowadzący do pierwszej przegrody. Podobny otwór, szerszy na początku i węższy na końcu,

prowadził trochę nad poziomem ziemi do następnej przegrody, gdzie na przeciwległej ścianie mieściła się kłapa, przez którą można było wsunąć rękę. Gdy Piotr podchodził, rozległo się wyraźne trzepotanie.

Chociaż Michał widział tę operację wielokrotnie, nie mógł nigdy opanować niemiłego podniecenia. A nawet raz czy dwa pod kierunkiem Piotra sam zajmował się ptakami; ale trzymanie w ręku tych niezmiernie lekkich, niezmiernie delikatnych i kruchych ciałek, w których serca biły szybkim, przerażonym rytmem, za bardzo go niepokoiło, budziło w nim zbyt wiele smutku i współczucia. Jedyny radosny moment, to gdy wypuszczał ptaka. Ale Michał bał się, że za mocno trzymany ptak skona mu w dłoni, co się czasem zdarzało. W końcu Piotr niechętnie uwolnił go od dalszych lekcji.

Piotr wracał przywołując ich ruchem ręki.

– Chodźcie zobaczyć – powiedział – tylko nie zbliżajcie się za bardzo. Jest jedna wspiana zdobycz. Małeńki mysikrólik w tamtej klatce. Widzicie go... mały, z czerwoną i żółtą pręgą na czubku głowy. Reszta to niestety wróble i sikorki. I jest jeszcze jeden bargiel kowalik, w tej ostatniej pułapce.

Towarzystwo obejrzało ptaki, gdy tymczasem Piotr fotografował mysikrólika przez siatkę.

– Dlaczego one w ogóle wchodzi? – spytała Dora ze zdziwieniem.

– Bo widzą jedzenie – wyjaśnił Piotr. – Kładę odrobinę chleba i orzechów na przynętę. Potem próbują wyjść, a ponieważ ta droga wydaje im się łatwiejsza, przefruwają do następnej przegrody, skąd ucieczka jest już prawie niemożliwa. Niektóre ptaki wchodzi nawet do pułapki, w której nie ma przynęty, z czystej ciekawości.

– Znowu jak ludzie – zauważył Michał.

– Nie będę dzisiaj zawracał sobie głowy sikorkami i wróblami – ciągnął Piotr. Podniósł jedną z klatek; w popłochu ptaki śmignęły spod siatki i odfrunęły. – Założę obrączki mysikrólikowi i kowalikowi. Michał, może zechciałbyś sfotografować mysikrólika, ja go potrzymam.

Michał wziął od niego aparat. Piotr ukląkł, otworzył kłapę na końcu klatki i wsunął rękę do środka. Ptaki w małej przegrodzie zaczęły bić szaleńczo skrzydełkami. Jego opalona ręka wydawała się przy nich ogromna. Rozcapierywszy palce zapędził ptaka do rogu. Jego dłoń zamknęła się łagodnie, przycisnęła trzepoczące dziko skrzydełko do tułowia. Wyciągnął rękę z klatki. Mały łepiek ze złotym paskiem na czubku pokazał się między kciukiem a palcem wskazującym Piotra. Z ust Dory wyrwał się okrzyk przestachu, żalu, podniecenia. Michał rozumiał, co ona czuje. Piotr wyjął z kieszeni lekki pasek metalu, tak wąziutki, że napis dałby się odczytać tylko przez szkło powiększające. Obracał ptaka ostrożnie w dłoni, dopóki jedna pokryta łuską i zakończona pazurkami małeńka noga nie pokazała się między jego czwartym a piątym palcem. Potem lewą ręką owinął elastyczny pasek dokoła nogi ptaka i podniósłszy do ust zręcznie zacisnął metal zębami. Widząc silne zęby Piotra zamykające się tak blisko cienkiej jak patyczek nogi Dora nie wytrzymała i odwróciła się. Michał zrobił dwa zdjęcia. Piotr błyskawicznym ruchem wyrzucił ptaka w powietrze i mysikrólik zniknął między drzewami, unosząc ze sobą już na zawsze i dla wszystkich zainteresowanych informację, że tej właśnie soboty przebywał w Imber. Następnie Piotr założył obrączkę bargielowi kowalikowi i wypuścił pozostałe ptaki. Wszystko to jednocześnie zadziwiło Dorę i zasmuciło, i Paweł śmiał się z niej teraz. Michał spojrzał na Toby'ego. Chłopiec miał oczy szeroko otwarte, wargi wilgotne i czerwone, tak mocno je zagryzał. Michał zaczął się teraz śmiać z Toby'ego. Zdumiewająca rzecz, jak ta historia działa na człowieka!

Gdy oglądali klatki z bliska, odwracając je dnem do góry, Piotr zniknął w lesie. Między drzewami światło blakło szybciej i gęste chmury komarów unosiły się nad polaną. Dora wymachiwała parasolką i narzekała, że mimo olejku, cytronelowego jest cała pogryziona. Nagle

zelektryzował wszystkich wyraźny i nieomylny głos kukułki, dochodzący gdzieś z bardzo bliska. Wyprostowali się i spojrzeli na siebie – i wybuchnęli śmiechem. Zawołano na Piotra, żeby wrócił.

– Och, Boże! – wybuchnęła Dora. – Byłam pewna, że to kukułka. Co za wstyd!

– Kukułka, mądry ptak, jest już niestety w Afryce – powiedział Piotr. Pokazał Dorze maleńki instrument, na którym naśladował krzyk ptaka. Potem wyjął z kieszeni inne wabiki, zrobione z drzewa i metalu, i odtworzył kolejno głos skowronka, kulika, pokrzewki świstunki, turkawki i słowika. Dora była zachwycona. Chciała wszystko obejrzeć i wypróbować, brała maleńkie przedmioty do rąk pokrzykując z cicha i szczebiocząc z kobiecą afektacją. Patrząc na nią Michał pomyślał, że przedstawia sobą wszystko, czego on nie znosi w kobietach; ale myślał to jakby z dystansem, bo jednocześnie ją lubił i był chwilowo w zbyt życzliwym nastroju, żeby żywić do kogokolwiek niechęć.

– To jest zupełnie jak prawdziwe! – zawołała Dora.

– Nic nie jest zupełnie takie jak prawdziwe – oznajmił Piotr. – Dziwna rzecz, ale nawet najdoskonalsza imitacja daje mniej zadowolenia, jeśli wiemy, że jest imitacją. Pamiętam, co mówi Kant ó rozczarowaniu gości, kiedy się przekonują, że śpiew słowika po wieczornej biesiadzie zawdzięczają małemu chłopcu, który stoi ukryty w lasku.

– Sprawa naturalnej atrakcyjności prawdy – powiedział Michał.

– Sypiesz dzisiaj nabożnymi uwagami jak z rękawa... nie uważacie? – stwierdził Piotr. – Wprawiasz się chyba przed jutrzejszym kazaniem.

– Jutro kolej na Jamesa, dzięki Bogu – powiedział Michał. – Ja będę w przyszłym tygodniu.

– Morał jest chyba taki, że nie należy dać się przyłapać. Nie sądzisz, Toby? – zaśmiał się Piotr.

Ruszyli w drogę powrotną do domu. Paweł spytał Piotra, czy zechciałby sfotografować Dorę. Piotr był zachwycony. Znalazł niezalesione miejsce i usadowił ją w wymyślnej pozie – na porośłym mchem kamieniu i bawiącą się kwiatem.

– Paweł nie wie, co go czeka – powiedział Michał do Toby'ego. – Jak się Piotr raz dorwie do ludzkiego modelu, obrabia go godzinami. To zemsta za frustrację, do której doprowadzają go ptaki.

Michał i Toby szli dalej sami. Z tyłu płynął za nimi śmiech tamtych trojga i protestujący głos Dory. Pawłowi wrócił już chyba dobry humor. Michał poczuł się nagle bardzo szczęśliwy – jakby to on dobrotliwie zgromadził wokół siebie wszystkich tych ludzi, jakby to jemu w jakimś sensie zawdzięczali ten piękny wieczór, wesołość i niewinność nastroju. Słowo „niewinność” przyszło mu do głowy w sposób naturalny i nie zastanawiał się nad jego treścią. Jak rzadko czuł się teraz w towarzystwie ludzi swobodny, nie zagoniony. Pomyślał o Nicku; ale smutek towarzyszący tej myśli był jakby oczyszczony i nawet błogi, nie zdołał zepsuć nastroju chwili. Cieszył się, że idzie z Tobym, że prowadzi z nim leniwą rozmowę o niczym, przerywaną okresami milczenia. Czuł się na wakacjach.

– Jest tu w lesie droga – powiedział – trochę dalej za tą polaną, na której byliśmy, gdzie można czasem zobaczyć kozodoja. Widziałeś kiedyś kozodoja?

– Nie... i strasznie bym chciał zobaczyć! – zawołał Toby. – Mógłby mi pan pokazać?

– Naturalnie – odparł Michał. – Pójdziemy któregoś wieczora w przyszłym tygodniu. To bardzo dziwne ptaki, właściwie trudno je nazwać ptakami. Patrząc na nie jest się gotowym uwierzyć w czarownice.

Wyszli niespodziewanie spomiędzy drzew na rozległy trawnik w pobliżu podjazdu. Znowu rozpostarła się przed nimi wspaniała sceneria, dobrze znana sceneria, oświetlona promieniami bardzo żółtego, zachodzącego słońca, pod spłowiałym już szaroseledynowym niebem. Patrzyli

stąd odrobinę w dół na jezioro i widzieli w nim, intensywnie zabarwione i nieruchome, odbicie przeciwległego stoku i domu, który w ukazującym go świetle był jasny, perłowszary, o detalach ostro zarysowanych, pozornie bliskich. Na łące za jeziorem, na tle bladej linii horyzontu, drzewa chwytały promienie zachodzącego słońca i jedno z nich, dąb o liściach już żółtawych, zdawało się płonąć.

Przystanęli obaj, zaczerpnęli tchu i patrzyli w milczeniu radując oczy rozległą przestrzenią, ciepłym obszarem powietrza i barwy. I nagle z drugiej strony jeziora przypląnęły wyraźne i delikatne głosy chóru śpiewającego madrygał. Głosy przeplatały się i wibrowały, podtrzymując się i odpowiadając sobie nawzajem z zachwycającą, odrobinę absurdalną precyzją madrygału. Najlepiej dał się słyszeć wysoki, tryumfujący sopran Katarzyny, utrzymujący i potwierdzający melodię. Było za daleko, żeby rozróżnić słowa, ale Michał znał je dobrze.

*Labędź, który za życia nie wydobyl głosu,
Rozwarł milczące gardło, gdy śmierć przyszła z kosą,
I pochylając pierś swą ku nadbrzeżnym trzciom
Zaspiewał, nim na zawsze zamilkł, pieśń jedyną.*

Pieśń umilkła. Toby i Michał uśmiechnęli się do siebie i zaczęli iść wolno w kierunku promu. W tak magicznej chwili nie należało się śpieszyć. A gdy byli już blisko jeziora, rozległ się inny dźwięk. W pierwszej chwili Michał nie wiedział co to; a potem zorientował się, że jest to rosnące crescendo odrzutowca. Z cichutkiego szmeru dźwięk wzmógł się w ciągu sekundy do ogłuszającego ryku, który rozdarł niebo. Spojrzeli w górę. Błyszczące jak anioły cztery samoloty odrzutowe wypłynęły znikąd i rycząc wspięły się na szczyt nieba nad Imber. Leciały w szyku i właśnie teraz, nadal idealnie obok siebie, obróciły się nagle ku górze i wdarły całkiem pionowo na niebo, przewaliły się ruchem prawie leniwym na grzbiety i wśród ryku zaczęły spadać robiąc pętlę tak precyzyjnie, jakby były związane niewidzialnymi drutami. Potem znowu zaczęły się wspinać na niebo, stały na ogonach absolutnie pionowo nad głowami patrzących. Wciąż rycząc wdarły się na jakiś daleki wierzchołek nieba i tam rozsypały się jak płatki kwiatu i odfrunęły w cztery różne strony świata. Po sekundzie już ich nie było, zostawiły tylko za sobą cztery smugi srebrzystego gazu i ogłuszający, milknący huk. Potem wróciła cisza. Wszystko to trwało bardzo krótko.

Michał zorientował się, że usta ma otwarte i głowę przechyloną do tyłu, że serce wali mu głośno. Hałas i szybkość, i piękno tego widoku o mało nie odebrały mu na chwilę przytomności. Toby spojrział na niego, nie mniej oszołomiony i podniecony. Michał spuścił wzrok i zobaczył, że zaciska obie dłonie na nagim ramieniu chłopca. Odsunęli się od siebie ze śmiechem.

ROZDZIAŁ IX

– Najważniejszym warunkiem dobrego życia – powiedział James Tayper Pace – jest żyć bez obrazu samego siebie. Przemawiam do was, kochani bracia i siostry, jako człowiek doskonale świadomy, że bynajmniej nie spełniam tego warunku.

Był to następny dzień, niedziela, i James stał na podium w Długiej Sali, z jedną ręką opartą lekko o pulpit do nut, wygłaszając cotygodniowe kazanie. Marszczył nerwowo brwi i kołysał się na boki, przy każdym ruchu przechylając pulpit.

– Badanie osobowości, właściwie cała koncepcja osobowości jest, według mnie, niebezpieczna dla dobroci serca. Mówiono nam w szkole, przynajmniej mnie mówiono w szkole, że powinniśmy mieć ideały. Jest to moim zdaniem bzdura. Ideały to marzenia. Stają między nami a rzeczywistością, a nam właśnie przede wszystkim jest potrzebne widzenie rzeczywistości. Natomiast rzeczywistość jest czymś poza nami. Gdzie jest doskonałość, tam jest rzeczywistość. A gdzie szukać doskonałości? Nie w jakiejś urojonej konkocji, sporządzonej z naszego wyobrażenia o własnym charakterze – tylko w czymś tak bardzo zewnętrznym i tak odległym, że jedynie od czasu do czasu udaje nam się to dostrzec w krótkim przeblýsku.

Teraz powiecie mi pewnie: kochany Jamesie, każesz nam szukać doskonałości, a potem mówisz, że jest tak odległa, iż możemy się jej tylko domyślać... więc co dalej? Otóż Bóg nie pozostawił nas bez wskazówek. Bo jakże inaczej mógłby nam rzucić najważniejszy rozkaz: Bądźcież wy tedy doskonali. Mateusz, rozdział V, werset 48. Wiemy w bardzo prosty sposób, w sposób tak prosty, że wydaje się nudny naszym subtelnym moralnym psychologom, co powinniśmy robić, a czego unikać. Z pewnością znamy dość, powiedziałbym aż nadto zasad, którymi powinniśmy się w życiu kierować; przyznaję, że mam bardzo mało cierpliwości dla człowieka, który uważa, że jego życie jest zbyt skomplikowane i zbyt wyjątkowe, żeby mogły się do niego stosować zwykłe normy. Co ty knujesz, przyjacielu, co ukrywasz? Rzekłbym temu człowiekowi: wiara w grzech pierworodny nie powinna nas zachęcać do grzebania Sie w nieczystościach naszej duszy ani do tego, żebyśmy się uważali za wyjątkowych i interesujących grzeszników. Jako grzesznicy wszyscy jesteśmy sobie podobni i nasz grzech jest nade wszystko czymś nudnym, czymś, czego się należy wystrzegać, a nie czymś, co należy badać. Raczej powinniśmy działać niejako od zewnątrz do wnętrza. Powinniśmy myśleć o naszych uczynkach i ufać Bogu i jego prawom. Powinniśmy zastanawiać się nie nad tym, co nas w sensie moralnym zachwyca czy oburza, lecz nad tym, co jest nakazane i co jest zakazane. A o tym wiemy, wiemy lepiej, niż często jesteśmy gotowi to przyznać. Wiemy to ze Słowa Bożego i z nauk Kościoła z pewnością tak niezachwianą, jak niezachwiana jest nasza wiara. Prawdomówność jest nakazana, niesienie ulgi w cierpieniu jest nakazane, wiarołomstwo jest zakazane, sodomia jest zakazana. A ja uważam, że powinniśmy myśleć o tym sprawach bardzo prosto i zwyczajnie: prawda nie jest chwalebna, jest po prostu nakazana; sodomia nie jest odrażająca, jest po prostu zakazana. Oto prawa, w oparciu o które powinniśmy sądzić samych siebie i naszych bliźnich. Wszystko inne jest próżnością i samooszukiwaniem się, i schlebieniem własnej namiętności. Ociągają się z wydawaniem sądów na swoich bliźnich przeważnie ci, którzy sami boją się być sądzeni. Możemy wspomnieć tu słowa świętego Pawła... Michał poprawi moją łacinę... *iustus ex fide vivit*. Sprawiedliwy z wiary żyje. List do Galatów, rozdział III, werset 11. Uważam, że powinniśmy rozumieć tę uwagę dosłownie. Sprawiedliwy człowiek robi to, co wydaje mu się słuszne, co nakazuje mu prawo, bez zastanawiania się nad konsekwencjami, bez kalkulowania, bez

wykrętów, wiedząc, że Bóg sprawi, aby wszystko obróciło się ku dobremu. Sprawiedliwy człowiek nie nagina praw do kryteriów tego świata. Nawet jeśli nie wie, jak się rzeczy ułożą, działa ufając Bogu. Robi to, co najlepsze, przedzierając się przez zawilości sytuacji, i wie, że Bóg uczyni z najlepszej rzeczy rzecz płodną. Natomiast człowiek nie posiadający wiary kalkuluje. Świat wydaje mu się zbyt skomplikowany dla rzeczy najlepszej, więc robi rzecz drugą pod względem doskonałości i łudzi się nadzieją, że ta z czasem wyda rzecz najlepszą. Ach, jakże niewielu z nas posiada wiarę, o której wspomina święty Paweł!

Dora zaczęła tracić zainteresowanie. Wszystko to było zbyt abstrakcyjne. Przyszła na to skromne nabożeństwo z ciekawości i wybrała miejsce na samym końcu, skąd mogła widzieć całą kongregację. Paweł siedział obok niej, co jej nie było na rękę. Chciałaby jego też obserwować. Bezustannie na nią zerkała, a w pewnej chwili przysunął stopę do jej stopy i dotknął wybłyszczonym butem jej sandałka. Widziała kątem oka miękka, niewyraźną kreskę jego wąsów, ptasie ruchy głowy. Patrzała Uparcie przed siebie.

Dora czuła się niespokojna i przygnębiona. Mimo pewnych chwil zadowolenia, gdy słoneczna pogoda i piękno krajobrazu pozwalały jej zapomnieć o troskach, nie potrafiła dotąd zadomowić się w Imber. Wciąż była nerwowa i onieśmielona i miała wrażenie, że gra jakąś rolę. Nie chodziło wcale o to, że kogoś nie lubiła, chociaż James i Michał, zwłaszcza James, mieli w sobie coś niepokojącego. Wszyscy byli dla niej bardzo mili, żyła sobie wygodnie, nie musiała nawet wstawać, jak to James mówił, o bladym świetle. Schodziła spokojnie na dół przed samym śniadaniem. Czasem rezygnując ze śniadania ściągała później jakiś kąsek ze spiżarni. Cały dzień nie robiła dosłownie nic, z czym było jej bardzo przyjemnie i o co nikt nie miał do niej pretensji. Nawet pani Markowa chyba o niej zapomniała i propozycja Dory, że zrobi to czy tamto, zawsze ją dziwiła. Jej jedynym stałym obowiązkiem, poza sprzątaniami pokoju, było zmywanie, co udawało jej się robić z pogodą i jakby we śnie. Dręczyło ją natomiast pewne nowe poczucie niższości; a także myśl o powrocie z Pawłem do domu, kiedy ten pobyt w Imber, acz denerwujący, dobiegnie końca. Poczucie niższości nie było dla Dory czymś tak zupełnie nowym. Traktowała świadomość niższości społecznej, przykry brak umiejętności w postępowaniu z ludźmi jako stan u siebie normalny. Ale to, co odczuwała w Imber, raniło boleśniej i w sposób, który ją niekiedy obrażał. Często wydawało jej się, że członkowie bractwa zbyt łatwo, nawet powierzchownie ją osądzają, umiejscawiają. Było to przykre. Jeszcze przykrzejsze było uczucie, że wydają sądy wcale o tym nie myśląc, że robią to automatycznie, niejako metodą zestawiania.

Z drugiej strony perspektywa ucieczki też nie była najróżowsza. Dora tęskniła do Londynu. Przekonała się ze zdziwieniem, że w Imber nie odczuwa potrzeby picia czy palenia. Na początku pobytu wymknęła się kilka razy do „Białego Lwa”; ale droga była daleka, a upał nieznośny. Popijała czasom w pokoju whisky ze szklaneczki do zębów. Ale te małe biesiady miały w sobie coś nieprzyjemnie ukradkowego, co ją prędko zniechęciło. Dora nie lubiła pić sama. Zauważyła z zadowoleniem, i było to jej jedyną pociechą, że dzięki tej abstynencji i umiarkowanej diecie trochę w Imber schudła. Zmartwienie polegało na tym, że powrót do Londynu nie będzie bynajmniej wesoły. Paweł zbliżał się już do końca swojej pracy. Wspominał o powrocie i aż biła od niego determinacja, że zabierze żonę i umieści ją w domu, jak umieszcza się dzieło sztuki, robiąc dla niego odpowiednie miejsce, zamykając drzwi na klucz. Jego wola rozpiniała się nad Dorą jak baldachim. Zresztą myśl o tym, że mogłaby nie pojechać z Pawłem do domu, w ogóle nie przychodziła Dorce do głowy. Przecież wróciła do niego, a choć ich pojednanie nie było takie bardzo udane, rachuby, które do niego doprowadziły, pozostawały w mocy. Po prostu nie mogła sobie wyobrazić siebie z Pawłem w Londynie. Widziała mieszkanie na Knightsbridge, skrupulatnie czyste, piękne, lśniące tapetami w paski, *toile de Jouy*, starymi mahoniami, bezcennymi bibelotami – absolutnie obce i absolutnie ponure. Nie widziała siebie w tym wnętrzu.

I wcale z tego nie wynikało, że miała jakieś zamiary. Po prostu nie wierzyła w tę przyszłość.

Ale chwilowo nie dręczyły Dory żadne tego rodzaju myśli. Przyglądając się mężczyznom w kaplicy usiłowała zdecydować, który z nich jest najprzystojniejszy. Tak, niewątpliwie James miał w sobie najwięcej z aktora filmowego – wysoki, kędzierzawa głowa, męska, otwarta twarz. Toby miał najładniejsze rysy i najwięcej wdzięku. W Marku Stratfordzie było coś imponującego, ale brodaci mężczyźni mają niesprawiedliwą przewagę. Michał miał bardzo sympatyczną twarz, jak zatroskany pies, ale było w nim jakby za mało godności, żeby można go nazwać przystojnym. W końcu doszła do wniosku, że Paweł jest z nich wszystkich najprzystojniejszy: dystyngowany, rasowy, wytworny. Tyle że jego twarz była pozbawiona pogody, pozbawiona blasku. Często była po prostu zła. No, ale jej mąż nie jest człowiekiem szczęśliwym, pomyślała ze smutkiem Dora.

Dora przeniosła uwagę na kobiety, ale nie posunęła się dalej niż Katarzyna. Katarzyna siedziała na przedzie, z boku, doskonale widoczna. Była ubrana odświętnie w ładną szarą sukienkę, elegancką, pomyślała Dora. Tego rodzaju suknię, którą nosi się z drogim kapeluszem idąc do wytwornej restauracji na obiad. Tylko że tutaj suknia wyglądała jakoś zwyczajnie. Katarzyna uczesała starannie włosy, co w sposób zaskakujący zmieniło jej powierzchowność. Kok, ciasno związany, był upięty nisko na karku, a włosy gładko przyczesane na skroniach lśniły, falowały, jak gdyby buntując się przeciwko nadmiernej skromności. Spoglądała w dół, powieki miała spuszczone; w tej jej zwykłej pozie było niekiedy coś skromnego, a niekiedy tajemniczego. Dora widziała wypukłość jej czoła, wysoko sklepioną kość policzkową, delikatną, a jednak stanowczą linię leciutko zadartego nosa. Naturalna bladość cery nie miała dzisiaj odcienia ziemistego, a raczej przypominała biel kości słoniowej. Dora patrzyła na Katarzynę z podziwem i satysfakcją, na które nie pozostawała bez wpływu świadomość, że ten piękny okaz kobiecej urody bardzo niedługo zostanie wycofany z obiegu.

Podświadoma warstwa umysłu Dory, nadal przysłuchująca się Jamesowi, zawiadomiła ją, że ten kawałek znowu robi się interesujący. Zaczęła słuchać uważnie.

– Nie zgadzam się z Miltonem – ciągnął James – kiedy odmawia pochwał cnotie zbiegłej z tego świata, zamkniętej w klasztorze. Cnota, niewinność powinny być cenione niezależnie od ich przeszłości. Cnota ma blask, który rozjaśnia i oczyszcza i którego nie zaćmią żadne niemądre wywody o wartości doświadczenia! Jak fałszywą rzeczą jest mówić naszym młodym, by szukali doświadczenia! Powinniśmy im raczej mówić, by cenili i zachowywali niewinność – oto wielkie zadanie, oto wielka przygoda! A jeśli zdołamy dostatecznie długo zachować naszą niewinność, wzbogaci się ona o dar rozumienia, głębszego i precyzyjniejszego rozumienia niż to, jakie zdobywamy tanimi metodami „doświadczeń”. Należy wysoko cenić niewinność w nas samych i w naszych bliźnich i biada temu, kto ją niszczy, jak powiedział Pan. Mateusz, rozdział XVIII, werset 6.

A jakie są znamiona niewinności? Szczerłość – piękne słowo – prawdomówność, prostota, najzupełniej bezwiedne dawanie świadectwa prawdzie. Obraz, jaki mi się tu nasuwa, jest dla nas aktualny – obraz dzwonu. Dzwon jest stworzony po to, by przemawiać. Jakąż wartość posiadałby dzwon, w który by nigdy nie bito? Dzwon ma głos czysty, daje świadectwo prawdzie; gdy przemawia, jest to jak wezwanie, jak orędzie. Wielkiego dzwonu nie da się uciszyć. Zastanówmy się nad jego prostotą. Nie ma w nim ukrytego mechanizmu. Wszystko jest proste, wszystko jest widoczne; a gdy się go poruszy, musi wydać głos.

Jeśli w tym miejscu pomyślimy, co jest naturalne, o naszym dzwonie, o wielkim dzwonie, który tak niedługo wkroczy tryumfalnie do Opactwa Imber, nasze myśli zwrócą się ku osobie z naszego grona, która też w niedługim czasie przeprawi się przez jezioro i wejdzie w tamtą bramę; ku osobie, która co prawda się teraz czerwieni, ale z pewnością mi wybaczy, a w której widzimy promieniejące tak wspaniałym blaskiem wartości chwilę temu przeze mnie wspomniane, ową

niewinność zachowaną dopóty, dopóki nie stała się wiedzą i mądrością. Katarzyna wyłaje mnie na pewno, że mówię o początku, jakby to był sam cel; i w rzeczy samej życie kontemplacyjne jest życiem tak nieskończenie przeobrażającym, że człowiek z zewnątrz nie powinien o nim chyba mówić; ten zaś, kto pragnie życia kontemplacyjnego, nie wie właściwie, czego pragnie. Ale nam, którzy jesteśmy, jeśli można tak powiedzieć, towarzyszami podróży i kibicami świętości, niech będą wybaczone nasze chwile entuzjazmu. W takich momentach naprawdę czujemy, że zamysły Boga są widoczne na ziemi. Może nawet czujemy, że nie skończyła się jeszcze era cudów. Niewątpliwie świadomość, że ktoś, kto tak bez reszty do nas należy, ktoś spośród nas, wybrał tę inną drogę, stanie się dla nas wszystkich niezmiernie istotnym, może nawet decydującym źródłem inspiracji. A chociaż może rzadko będziemy ją widywali, będziemy wiedzieli, że jest blisko nas i że za nas się modli. Ta osobista dygresja nie była moim zamiarem, ale jak mówiłem, Katarzyna mi z pewnością wybaczy. I nie stało się chyba nic złego, że powiedziałem na głos to, cośmy wszyscy myśleli. I na tym, przyjaciele, kończę swoje uwagi, które – obawiam się – były bardzo chaotyczne i przydługie.

James zszedł z podwyższenia; w momencie gdy ustał potok jego wymowy, wydał się onieśmielony i zakłopotany. Ojciec Bob Joyce zaczął nawoływać zebranych do modłów i wszyscy uklękli pośród szurgotu odsuwanych krzeseł. James natychmiast ukrył twarz w dużych dłoniach i bardzo nisko pochylił głowę. Katarzyna uklękła z oczami zamkniętymi i dłońmi splecionymi, twarz miała ściągniętą wzruszeniem, którego Dora nie potrafiła odczytać. „Michał przyłożył jedną rękę do czoła, rozcapierzywszy palce, oczy miał otwarte i pochylając głowę zmarszczył lekko brwi. Nagle Dora poczuła, że Paweł ją obserwuje, i też zamknęła oczy. Modlitwa skończyła się, nabożeństwo dobiegło końca i mała kongregacja zaczęła powoli opuszczać kaplicę.

Gdy wyszli do zalanego słońcem hallu, pani Markowa zatrzymała Pawła zwracając się do niego z jakimś pytaniem. Katarzyna, idąca tuż przed Dorą, uśmiechała się do Jamesa, który podkpiwał z niej w trochę przyciężki sposób, co niewątpliwie miało być jakąś formą przeprosin. Dora uważała, że naprawdę trochę przesadził w swoich pochwałach, ale z pewnością się nie mylił, że Katarzyna mu wybaczy. Szczerość Jamesa była kosmiczna i w świetle uwag, które wypowiadał, Dora była gotowa uznać jego *gaucherie* za objaw niezwyklej, spontanicznej otwartości. Wzruszył ją, więc była nawet gotowa wmówić sobie, że wierzy w miłość braterską. Uśmiechnęła się niewyraźnie w jego stronę i nagle zobaczyła, że James znika w pokoju rekreacyjnym, a ona razem z Katarzyną wychodzi na balkon. Reakcja Dory była natychmiastowa: James wyobraża sobie, że mała rozmowa z nią dobrze mi zrobi! Spojrzała jednak na Katarzynę z zainteresowaniem, nawet z sympatią.

– Ładne było to wasze nabożeństwo – powiedziała, żeby coś powiedzieć. Zaczęła schodzić powoli ze schodów, chciała pobyć trochę na słońcu. Katarzyna szła obok.

– Tak – przyznała Katarzyna. – Jest bardzo proste, ale nam odpowiada. Dla świeckiego bractwa sprawa nie była taka łatwa, nie mamy przecież żadnej liturgii. Wszystko trzeba stopniowo obmyślać.

Szły przez trawnik ścieżką prowadzącą ku grobli.

– Próbowaliście inaczej? – zadała Dora niezbyt precyzyjne pytanie.

– Ależ tak – odparła Katarzyna. – Początkowo każde z nas czytało codziennie brewiarz na osobności. Ale wysiłek był za duży.

Dora, która miała bardzo słabe pojęcie o tym, czym jest brewiarz, z całego serca przyznała jej rację. Brzmiało to okropnie.

Weszły na groblę. Ich cienie kładły się na wodzie. Od cegieł, obrośniętych mchem i małymi roślinkami, biło ciepło; przenikało przez cienkie podeszwy sandałów Dory. Tak wyraźnie

wyczuwała teraz nieśmiałość i nerwowość swojej towarzyszki, że sama poczuła się swobodniej. Nie bała się już Katarzyny, była zadowolona z jej towarzystwa.

– Jest tak gorąco – powiedziała – że miałoby się ochotę popływać. Nie umiem pływać... bardzo żałuję. Ty pewnie umiesz. Tylko ja jedna nie umiem.

– Nigdy nie wchodzę do wody – wyjaśniła Katarzyna. – Pływam, ale nie bardzo dobrze, i właściwie tego nie lubię. Boję się chyba wody. Często mam sen, że tonę. – Spojrzała jakoś posepnie w dół na jezioro; w cieniu rzucanym przez groblę było mroczno i zielono, woda wydawała się gęsta od wodorostów i śmieci.

– Naprawdę? Jakie to zabawne. Mnie się nigdy nic nie śni – powiedziała Dora. Obejrzała się na Katarzynę. Przyszło jej na myśl, że bardzo smutno wygląda; i puściwszy cugle fantazji zastanawiała się przez moment, czy to w ogóle możliwe, żeby Katarzyna chciała zostać zakonnica.

– To niemożliwe, żebyś chciała tam pójść! – wybuchnęła nagle Dora. – Zamykać się za murami, kiedy jesteś taka młoda i taka piękna! Nie gniewaj się... wiem, że to straszne chamstwo z mojej strony. Ale aż mi się kraje serce, jak pomyślę o tobie tam za murami!

Katarzyna podniosła głowę zdziwiona, a potem uśmiechnęła się serdecznie, po raz pierwszy patrząc Dorze prosto w oczy.

– Istnieją rzeczy, których się samemu nie wybiera – powiedziała. – To nie znaczy, że są w jakiś sposób narzucane. Ale się ich nie wybiera. Czasem są to najlepsze rzeczy.

Miała rację, pomyślała tryumfalnie Dora. Ona wcale nie chce zostać zakonnica. To jest jakiś spisek przeciwko niej. Wszyscy tak długo mówili, że idzie do klasztoru, i nazywali ją swoją małą świętą i tak dalej, że ona nie ma innego wyjścia. I te wszystkie rzeczy, które James mówił w kaplicy...

Już miała odpowiedzieć Katarzynie, gdy nagle zobaczyła z irytacją Pawła idącego w ich stronę przez trawnik. Nie mógł chociaż na pięć minut zostawić jej samej. Katarzyna też go spostrzegła i wyszeptawszy coś do Dory obróciła się z przeproszającym gestem i odeszła. Dora została sama.

Podszedł Paweł.

– Nie miałem pojęcia, gdzie się podziałaś.

– Mógłbyś mnie czasem zostawić na chwilę samą – powiedziała Dora. – Tak mi się ciekawie rozmawiało z Katarzyną.

– A co ty i Katarzyna możecie mieć sobie do powiedzenia? – zachnął się Paweł. – Macie chyba zupełnie różny zakres zainteresowań!

– Dlaczego nie miałabym rozmawiać z Katarzyną? – spytała. – Uważasz, że nie jestem jej godna... czy coś w tym rodzaju?

– Ja tego nie powiedziałem – stwierdził Paweł – ale ty chyba tak to odczuwasz! Jeśli chcesz znać moje zdanie, Katarzyna jest ideałem kobiety – czarująca, łagodna, skromna, czysta.

– Nie masz dla mnie szacunku – powiedziała Dora. Głos jej drżał.

– Naturalnie, że nie mam – przyznał Paweł. – Dlaczego miałbym mieć? Na moje nieszczęście jestem w tobie zakochany. To wszystko.

– Ja też mogę powiedzieć, że to jest na moje nieszczęście! – Dora rozplakała się.

– Och, przestań! – rzucił Paweł. – Przestań!

Katarzyna była już na drugim brzegu, szła wzdłuż muru Opactwa. Minęła pierwsze drzwi prowadzące do rozmównic i weszła w drzwi, za którymi była kaplica gości. Później Dorze wydawało się, że zamknęła je za sobą z trzaskiem.

ROZDZIAŁ X

Toby pchnął drzwi prowadzące do domku dozorczy. Między nabożeństwem a obiadem było mnóstwo czasu na kąpiel. Otworzył drzwi i przystanął na progu; jak zwykle zastanawiał się, gdzie jest Nick Fawley. Podszedł Murphy machając ogonem i podskoczył dość leniwie, wyciągnął przednie łapy, żeby je chłopiec przytrzymał. Toby tulił go do siebie przez chwilę, przyciskając twarz do miękkiej, ciepłej głowy, a potem się wyprostował. Ani śladu Nicka. Pewnie wyszedł. Z uczuciem ulgi Toby wbiegł głośno na schody i wpadł do pokoju po kostium kąpielowy. Upomniany przez Jamesa, kupił w miasteczku tanie slipy. Wziął ręcznik, dość już brudny i po licznych kąpielach noszący abominacyjne ślady błota, ale nadal spełniający swe zadanie.

Gdy wyszedł na podest, usłyszał głos Nicka wołający z drugiego pokoju. Podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Nick leżał w łóżku. Nie było w tym nic niezwykłego; powinien się być domyślić, że Nick jeszcze nie wstał.

- Kto dzisiaj recytował? – spytał Nick. Leżał podparty poduszkami i czytał kryminał.
- James – odparł Toby. Chciał jak najprędzej odejść.
- Możliwie? – spytał Nick.
- Tak, bardzo dobrze – stwierdził Toby. Krępowało go mówienie o tej sprawie z Nickiem.
- Jaki temat?
- Och, niewinność i tak dalej.

Nick, wciąż w pidżamie, z pulchną twarzą jakby jeszcze bardziej wyдутą na tle poduszek, z długimi, tłustymi włosami opadającymi na boki, wydał się nagle Toby'emu podobny do wilka z bajki, udającego, że jest babcią. Ta myśl rozśmieszyła go i poczuł się swobodniejszy.

– Wygłoszę ci kiedyś kazanie – powiedział Nick. – Nie prosili mnie nigdy, żebym u nich głądził, więc wygłoszę ci małe prywatne kazanko.

Toby nie wiedział, co powiedzieć. Szukał w myślach pretekstu do odejścia.

– Czy mam wziąć Murphy'ego, żeby popływał?

– Jeżeli Murphy będzie chciał pójść – powiedział Nick – pójdzie, nawet jak nie będziesz sobie tego życzył. A jeżeli nie będzie chciał pójść, nie pójdzie, nawet jakbyś go o to prosił.

Była to prawda. Toby powiedział: – Och, tak – i dość niezgrabnie podniósł rękę w geście jakby niezdecydowanego pożegnania. Nick nie odrywał od niego wzroku, póki chłopiec nie odwrócił się i nie wyszedł za drzwi. Trudno było nazwać tę rozmowę udaną.

Uwolniony Toby zbiegł ze schodów i wypadł na trawnik przywołując Murphy'ego, który aż się rwał do pójścia. Toby wziął swój ekwipunek do pływania pod wodą, w nadziei że może będzie miał okazję go użyć. Rozlewiska rzeki, w których pływał dotąd, były cudownie przezroczyste, ale dość płytkie. Dzisiaj postanowił pójść na drugi koniec jeziora, za Opactwo, na teren, którego jeszcze nie badał. Idąc groblą widział w oddali coś, co wyglądało jak piaszczysta plaża, po tej stronie jeziora, gdzie stał pałac. Może woda w tym miejscu będzie czystsza. Zdecydował, że przed obiadem wyprawi się tam na mały zwiad, a po południu wróci i zostanie dłużej. Zwlekał dotąd z tą ekspedycją. Nie chciał zbyt szybko wyczerpać skarbcza tajemnic Imber.

Przeprawił się na drugi brzeg promem. Murphy postanowił dziś skorzystać z łodzi i spacerował śmiało po dnie, opierając łapy o burłę, przez co łódź gwałtownie chybotwała się na boki. Wyszedłszy na brzeg Toby zaczął biec przez trawnik obok domu; minął wejście na groblę i skierował się na ścieżkę prowadzącą brzegiem jeziora w stronę lasu. Marzył o kąpielu i nie chciał,

żeby go zatrzymało jakieś niepożądane spotkanie. Kiedy był już blisko lasu, zobaczył doktora Greenfielda i jego żonę. Kłócili się chyba o coś i zobaczywszy go zawrócili i odeszli ścieżką biegnącą od jeziora w kierunku ogrodu warzywnego za domem. W lesie Toby zaczął biec jeszcze szybciej, ale teraz już z czystej radości, przeskakiwał przez długie pędy jeżyn i kępki trawy rosnące bujnie na czymś, co było kiedyś ścieżką. Najwidoczniej nikt tędy nie chodził.

Ścieżka szła wzdłuż brzegu, oddzielona od wody nieregularnym żywopłotem prowadziła przez tunel oznaczony kręgami słońca i ruchomymi, wodnistymi refleksami. Głębiej w lesie pies biegł równoległe do chłopca, słycać go było, jak się przedziera przez poszycie, jak szurgoce wśród zeschniętych liści. Toby zwolnił w końcu i szedł dysząc, usiłując się zorientować, gdzie jest. Przez krzaki tuż nad wodą widział przeciwległy brzeg jeziora, tę część, gdzie zabudowania klasztorne nie były zasłonięte murem. Przystanął i spojrział ponad wodą. Był tam las, bardzo podobny do tego. A jednak, pomyślał, jak zupełnie inne musi być wszystko na tamtym brzegu. Był ciekaw, czy w tamtym lesie są porządne, dobrze utrzymane ścieżki, po których chodzą zakonnice pogrążone w medytacjach, zamiatając habitami porośniętą trawą brzegi. I gdy tak stał, nagle dwie zakonnice pokazały się po drugiej stronie jeziora. Toby zdrętwiał i pomyślał niespokojnie, czy jest dobrze ukryty. Zakonnice szły ścieżką chyba szeroką, biegnącą niedaleko brzegu. Były częściowo zasłonięte przez krzaki i wysokie sitowie, ale od czasu do czasu wynurzały się na pełne słońce i wtedy Toby widział, gdy tak szły żwawym krokiem nad samą krawędzią wody, że ich spódniczki są trochę podkasane i że migają spod nich solidne czarne buciki. Obracały się do siebie, najwyraźniej rozmawiając. I nagle usłyszał śmiech jednej, wyraźny jak dźwięk dzwonka. Odwróciły się i zniknęły znów w mroku między drzewami.

Ten śmiech dziwnie Toby'ego poruszył. Oczywiście, dlaczego zakonnice nie miałyby się śmiać, chociaż normalnie nigdy ich sobie nie wyobrażał roześmianych. Ale taki śmiech, pomyślał, musi być czymś bardzo, bardzo dobrym, jedną z najlepszych rzeczy na świecie. Być dobrym i zarazem wesołym – tak, to niewątpliwie należy do najwyższych ludzkich osiągnięć. Te myśli przypomniały mu dzisiejsze poranne kazanie Jamesa. To, co James mówił o niewinności, było zapewne częściowo przeznaczone dla niego. Naturalnie nie mógł twierdzić, w przeciwieństwie do Katarzyny, że zachował i strzegł swoją niewinność. Jak fajnie stary James wyraził to, co wszyscy odczuwali w związku z Katarzyną, co ją czyniło kimś tak wyjątkowym: poczucie czegoś, co zostało zachowane. On sam nie przeszedł jeszcze przez próbę. Jak prawdziwe były słowa Jamesa o tym, że zachowanie niewinności jest dostatecznie trudnym zadaniem! A jednak, zastanawiał się Toby, czy byłoby ono naprawdę tak trudne dla kogoś, kto jest w pełni świadomy? Cały kłopot z dzisiejszą młodzieżą, to że tak wielu z nich nie posiada świadomości. Zdają się iść przez swoją młodość w oszołomieniu, we śnie. Toby był pewien, że jest w pełni obudzony. Dziwił się, gdy ludzie mówili, że młodość jest cudowna, tylko młodzi nie zdają sobie z tego sprawy. Toby zdawał sobie z tego sprawę, zdawał sobie sprawę w tym momencie, kiedy szedł tak blisko wody, w koszuli wilgotnej od potu, i czuł już chłodny oddech jeziora. Był rad, że przyjechał do Imber, rad, że jest wśród tych wszystkich dobrych ludzi. Przepełniała go wdzięczność do Boga, uczucie, że odnowił swoją wiarę. Opanowało go głębokie przeświadczenie o istniejącej w nim niemal bezosobowej sile jego własnych czystych intencji. Może to właśnie oznacza łaskę. Nie ja, tylko Chrystus we mnie. Przypomniawszy sobie nagle wesoły śmiech zakonnicy płynącej nad wodą poczuł radość, która była doznaniem zarówno fizycznym, jak psychicznym i która o mało nie kazała mu podskoczyć w powietrze. Nietrudno być dobrym komuś, kto jest obdarzony takimi łaskami.

Snując te rozmyślenia szedł powoli, a gdy spojrział teraz przed siebie, zorientował się, że dotarł już na miejsce. Natychmiast spostrzegł z zainteresowaniem, że to, co z daleka wydawało się piaszczystą plażą, jest szerokim kamiennym nabrzeżem schodzącym łagodnie do wody.

Zapomniawszy o wzniosłych myślach zaczął badać teren. Kilka zmurszałych pali sterczących z wody naprzeciwko nabrzeża wskazywało, że była tu kiedyś drewniana przystań; a las w niewielkim promieniu musiał być wykarczowany, chociaż teraz gęste krzaki i trawa zarastały całą przestrzeń. Widać jeszcze było ślady kamieni i żwiru, a pośrodku prowadziła w las szeroka dróżka. Toby rzucił swoje przybory pływackie na ziemię i zaczął iść dróżką. Zobaczył po chwili, że na jej końcu stoi jakiś budynek. Była to chyba bardzo stara i wałaca się stodoła. Dach, kiedyś pokryty łupkiem, zapadł się częściowo, odsłaniając w jednym miejscu krokwie świerkowe, z widoczną jeszcze korą i sękami, sterczące ku górze w posępnych, pustych lukach. Ściany były z grubego, nierówno ciosanego kamienia, układanego bez zaprawy murarskiej w zawile wzory. Toby uznał, że jest to średniowieczna stodoła. Podeszedł ostrożnie do ziejącego pustką otworu i zajrzał. Ogromne drzwi po drugiej stronie prowadziły na pastwiska, ale w środku panował półmrok. Prócz kilku butwiejących worków i skrzynek stodoła była pusta. Wnętrze rozbrzmiewało echem. Gliniane klepisko było twarde jak cement, ale tu i ówdzie, pod zawalonymi częściami dachu, popękało i ze szczelin wyrosły kępki trawy i osty. Spojrzawszy w górę Toby zobaczył długie belki poprzeczne, nieprawdopodobnie grube, każda wyciosana przed wiekami z potężnego pnia dębu. Ogromne pajęczyny rozpięły się między belkami tworząc sieć pod szczytem dachu. Coś, może nietoperz, ruszało się tam w podniebnej ciemności. Toby przeszedł szybko przez klepisko i wydostał się na drugą stronę.

Widział teraz między drzewami rozleglejszą jasność pastwiska. Szedł dalej. Na skraju łąki zobaczył betonową ścieżkę, może do przewozu pni, prowadzącą brzegiem lasu w kierunku Imber Court. Może kiedyś stodoła stała tuż przy pastwisku, ale las ją zagarnął i teraz była opuszczona i bezużyteczna. Podniecony swoim odkryciem Toby zawrócił i pobiegł długimi susami na brzeg jeziora, ku wesołemu słońcu, które widział na końcu ścieżki. Murphy siedział na kamieniach, strzegł jego rzeczy; długi jęzor zwisał mu z otwartego pyska, miał cierpliwą, uśmiechniętą minę zziąjanego psa.

W stodole było zimno. Słońce ogrzewało teraz Toby'ego z rozkoszną gorliwością. Spojrzał na wodę i nagle bardzo zapragnął się w niej zanurzyć. Przeniósłszy wzrok na drugą stronę jeziora zobaczył, że przeciwległy brzeg znajduje się tuż poza murem klauzury. Uprowadzono go, żeby się nigdy nie kąpał naprzeciwko klauzury. Postanowił trzymać się ściśle litery prawa i popływać tutaj, mimo że będzie widoczny spoza muru. Spodobało mu się to miejsce i nie miał ochoty chodzić dalej. Zresztą gdy powiódł wzrokiem wzdłuż brzegu jeziora, przekonał się, że im dalej, tym bardziej błotniste i zarośnięte jest zejście do wody, a samo jezioro kończy się dość abominacyjnym trzęsawiskiem. Toby rozebrał się prędko i zszedł na pochyłe kamienie, żeby poopalać się przed wejściem do wody. Ciepło słońca przeniknęło go do głębi.

Najpierw próbował położyć się płasko na brzuchu, z nogami w dół pochyłości. Ale ciało ludzkie nie jest tak zbudowane, żeby w tym układzie kark i głowa mogły wygodnie spoczywać na ziemi. Nasz niezdarny kościec nie pozwala nam przybrać swobodnej pozy leżącego psa. Głęboko o tym przekonany Toby obrócił się i podparł łokciem. Z tej bardziej zachęcającej pozycji skorzystał Murphy, który podeszedł do niego i położył mu łeb na ramieniu. Zachwycony, niemal w ekstazie fizycznej, Toby siadł i wziął kudłatą bestię w ramiona, przygarnął ją do siebie, jak to czasem robił Nick. Uczucie, jakiego doznał w kontakcie z ciepłym, miękkim, żywym futrem, było dziwne i podniecające. Chłopiec siedział chwilę bez ruchu, trzymając psa i patrząc w wodę. Jezioro przy pomoście było głębokie; i nagle jego oczy wypatrzyły dużą rybę, nieruchomą i wygrzewającą się tuż pod powierzchnią, gdzie słońce przenikało przez zielonkawą wodę. Poznał po wąskim, długim kształcie i groźnych szczękach, że jest to szczupak. Z głową kiwającą się leciutko ponad grzbietem Murphy'ego przyglądał się nieruchomemu szczupakowi. Potem oczy zaczęły mu się zamykać i tylko gorący połysk jeziora przenikał przez szczelinę pod

powiekami. Było mu tak dobrze, że niemal mógł umrzeć ze szczęścia, kuszony owym snem młodości, gdy fizyczne dobre samopoczucie i radość, i brak trosk kołyszą umysł do rozkosznej drzemki, tym bardziej kuszącej, że przebudzenie ma tyleż samo uroku, i dusza omdlewa na krótko, niemal w przesycie szczęścia.

Toby obudził się i odepchnął Murphy'ego. Naturalnie spał tylko chwilę, ale teraz była już pora na kąpiel; ciało miał tak spieczone, że chyba zacznie mu skwierczeć, kiedy zanurzy się w lśniącej wodzie. Szczupak zniknął. Gęsta woda ochlapywała leniwie nabrzeże i jasne kamienie pod powierzchnią nie były widoczne. Pływanie pod wodą nie miałoby tu wielkiego sensu; jest za mało przezroczysta, żeby dało się cokolwiek zobaczyć. Stał nieruchomo na samej krawędzi, spoglądał w dół. Środek jeziora lśnił, bezbarwnie rozbluszczony, ale wzdłuż krawędzi widać było refleksy zielonych brzegów i błękitnego nieba, o barwach czystych, lecz dziwnie przemienionych w barwy przymglonego i mroczniejszego świata: urok pływania w spokojnej wodzie, owo poczucie, że przechodzi się na drugą stronę zwierciadła, naruszając spokój, lecz zarazem wkraczając w tamten inny krajobraz, który wyrasta z korzeni tego nadziemnego. Toby zrobił krok i skoczył w wodę.

Przez chwilę pływał spokojnie i czekał, aż małe fale rozejdą się i powierzchnia wody znowu będzie gładko rozpiętą, jedwabistą płachtą dotykającą mu brody; i pływając rozkoszował się cudownym uczuciem, że ciało ma wciąż rozgrzane w chłodnej wodzie. Było tak, jakby go pokrywała srebrna błona pieszcząca mu ciało. Popłynął z powrotem i położył się na kamiennym nabrzeżu, jak ryba wyrzucona na brzeg, trzymając głowę i ramiona nad wodą; piekące słońce natychmiast osuszyło mu skórę. Maskę była w zasięgu jego ręki i nie ruszając się z miejsca wsunął ją na głowę; obrócił się i zaczął pełznąć w dół nabrzeża, czepiając się teraz jego krawędzi, z głową zanurzoną. Trudno było się utrzymać pod wodą, bo maska wypychała na powierzchnię, a kamienie nie zapewniały dobrego uchwytu. Widział niewiele, ale domyślał się, że rampa schodzi w dół na głębokość najmniej ośmiu stóp. Rzucił maskę na brzeg i znowu zanurzył się w wodzie. Tym razem próbował zejść w dół pochyłego nabrzeża, ale stracił grunt, zanim dotarł do końca. Murphy postanowił dotrzymać mu towarzystwa, pływał dokoła Toby'ego z wielką godnością i tak umiejętnie, że jego puchate baczki i prawie cała brązowa bródka nie zmoczone sterczały wysoko nad wodą.

Toby żałował, że w wodzie jest zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Postanowił mimo wszystko dać nurka i przekonać się, czy nabrzeże schodzi aż na dno. Nie wiedział, jak głębokie jest jezioro w tym miejscu. Toby był bardzo dobrym nurkiem. Stanąwszy w wodzie opuścił się pionowo w dół i gdy zaczął przechodzić do pozycji poziomej, namacał ręką kamienną pochyłość. Otworzył oczy i zobaczył mętną, zieloną, przenikniętą promieniami słońca wodę i jaśniejsze kamienie rampy, poznaczone cętkami ruchomego światła odbijanego przez małe fale na powierzchni. Po chwili nabrzeże skończyło się, znikło w mulistym dnie jeziora. Ręka Toby'ego zagłębiła się w szlamie. Wyciągnął ją prędko i wypłynął na powierzchnię. Więc jednak jezioro nie jest głębokie.

Odpłynął kawałek od brzegu i tym razem nurkował pionowo w dół do* miejsca, gdzie kończyła się pochyłość kamiennego nabrzeża, a potem płynął tuż nad miękkim dnem. Otworzył oczy, ale nie było widać nic prócz mrocznego, zielonkawego światła. Zafascynowany przejechał rękami przez bardzo miękkie szlam dna. Dno było tak miękkie, prawie tak miękkie i poddające się jak woda, a jednak miało w sobie coś złowrogiego. Powiedzmy, że znajdzie trupa czy coś w tym rodzaju, ludzki kształt na pół zagrzebany w tych pradawnych nawarstwionych złożach? Gdy ta myśl przemykała mu przez głowę, jego ręka natrafiła na coś twardego i chropowatego. Na pół przestraszony wypłynął na powierzchnię i dysząc zataczał małe kółka. Przebywał pod wodą stosunkowo długo. Po chwili wrócił mu oddech. Przedmiot, którego dotknął, był na pewno starą

puszką po konserwach; obejrzał rękę i sprawdził, czy nie jest skaleczona. Wiedział z doświadczenia, że pod wodą można się poważnie zranić wcale tego nie zauważywszy. Ale nie zobaczył żadnej rany. Już chyba pora wracać na obiad.

Postanowił, że jeszcze raz da nurka i sprawdzi, co to było. Poszedł prosto w dół, jak kamień, otwierając oczy i szeroko rozpościerając ręce nad dnem. Grzebał chwilę w szlamie, a potem natrafił na twardą powierzchnię czegoś sterczącego z dna. Wsunął palce pod spód i szarpnął. Przedmiot – cokolwiek to było – wydawał się bardzo duży i głęboko zaryty. Woda, jeszcze gęstsza teraz od poruszonego mułu, była zupełnie nieprzezroczysta. Toby, uczepony jedną ręką przedmiotu, drugą badał jego powierzchnię. Wymacał grubą krawędź w kształcie łuku, sterczącą ponad szlamem i zagrzebaną w nim oboma końcami. Wyglądało to na duży wazon; tylko że łuk był zbyt szeroki jak na wazon. Jest to chyba coś dużego, może stary kocioł. Bardzo ostrożnie zaczął obmacywać zewnętrzną powierzchnię przedmiotu, poza krawędzią. Zdawała się pełna dołków i wypukłości, może od rdzy czy jakichś wodorostów. Zabrakło mu tchu i znowu musiał wypłynąć na powierzchnię.

Utrzymując się w pozycji pionowej i oddychając spokojnie usłyszał rozbrzmiewający nad terenem Opactwa dźwięk ręcznego dzwonka wzywającego na Anioł Pański. Wynikało stąd, że jeśli nie chce odbyć całej drogi powrotnej biegiem, musi wracać niemal zaraz. Postanowił, że da jeszcze jednego nurka i spróbuje wykopać tajemniczy przedmiot. Zszedł na dno i tym razem znalazł go natychmiast, i uczepony jedną ręką grubej krawędzi zaczął odgarniać szlam. Górna część przedmiotu dała się oczyścić z błota bez większych trudności. Brzeg, którego się Toby uczepił, był najszerszą częścią i teraz, po dokładniejszym obmacaniu łuku, wydało mu się, że jego rozpiętość wynosi kilka stóp. A właściwie nie był to łuk, tylko koło, którego dolna część wciąż tkwiła w szlamie. W środku przedmiot wydawał się pusty, zwężający ku dołowi. Toby'emu przyszło na myśl, że jest to może duży dzwon. Ale tymczasem znowu zabrakło mu powietrza i musiał wrócić na powierzchnię.

Podpłynął do nabrzeża i chwilę odpoczywał. Wyprawa badawcza była dość męcząca. Sięgnął ociekającą ręką do ubrania i wyjął z kieszeni spodni zegarek. Boże, jak późno! Wylazł szybko na brzeg, otarł się byle jak ręcznikiem i zaczął wkładać ubranie. Była to naprawdę wspaniała wyprawa; wróci tu niedługo. Będzie miał mnóstwo frajdy badając tę rzecz w wodzie, chociaż na pewno nie jest to nic specjalnie ciekawego. Postanowił nie wspominać nikomu o tym ślicznym zakątku i zachować go wyłącznie dla siebie.

ROZDZIAŁ XI

To James Tayper Pace podsunął Michałowi myśl o zabraniu Toby'ego Land-Roverem. Michał jechał do Swindon kupić kultywator mechaniczny. Chociaż minęło już kilka dni od narady i Michał marzył o swojej zabawce, nie miał czasu wyprawić się do miasta. We wtorek postanowił, że niech się dzieje co chce – pojedzie późnym popołudniem! Zanim dotrze na miejsce, sklep będzie już zamknięty, ale załatwił wszystko przez telefon i obsługa sklepu, w którym sporo już kupował, zgodziła się, żeby odebrał swój sprawunek obojętnie o jakiej porze, byle przed godziną siódmą.

– Dlaczego nie miałbyś wziąć Toby'ego? – powiedział James. Wychodzili razem z kancelarii.
– Raptem zarwie pół godziny. Powinien zwiedzać trochę okolicę. Pracował jak Murzyn.

Michałowi nie przyszłoby to do głowy; ale uznał, że pomysł jest doskonały, i kiedy był już prawie gotów, poszedł odszukać Toby'ego w ogrodzie warzywnym za domem.

Zastał go okopującego brukselkę w towarzystwie Patchway a.

– Nie bądź z nimi taki delikatny – mówił Patchway. – Szturchnij je mocno raz i dwa. To im tylko wyjdzie na zdrowie.

Toby wyprostował się i przywitał z Michałem. Był już przybrązowiony i lśnił teraz od potu. Patchway, nagi do pasa, miał mimo to na głowie swój groźny kapelusz filcowy.

– Zastanawiałem się, czy Toby nie chciałby pojechać ze mną do Swindon, po prostu żeby się przewietrzyć – powiedział Michał do Patchway a. – Naturalnie jeśli nie jest wam specjalnie potrzebny.

Patchway mruknął coś i spojrzał na Toby'ego, który zawołał:

– Strasznie bym chciał pojechać... jeżeli to możliwe!

– Jak tam. gołębie, dotąd nam jakoś nie dokuczają? – spytał Michał Patchwaya.

– A niby po co by miały? – rzekł Patchway. – Gadzina ma co innego do żarcia. Ale niech pan poczeka, aż przyjdzie zimno!

Toby pobiegł się przebrać, a Michał stał chwilę z Patchwayem. Patchway posiadał godną pozazdroszczenia umiejętność wieśniaków, która dana jest też wielkim aktorom: stał i nic nie mówił, a jednak istniał – duży, obecny, swobodny.

Gdy skończyło się to milczące obcowanie, Michał poszedł na podwórze po samochód i podprowadził go przed dom. Półtoratonowa ciężarówka lepiej by się nadawała do tej podróży, bo kultywator z trudem zmieści się w Land-Roverze, ale ciężarówka miała jakiś nie rozpoznany dotąd defekt i Nick Fawley, dwukrotnie o to proszony, nie raczył jeszcze się nią zająć. Tego rodzaju bałagan wynikał z braku czasu, braku personelu. Michał wiedział doskonale, że powinien albo przypilnować, żeby Nick naprawił ciężarówkę, albo sprowadzić mechanika z miasteczka. Ale ciągle odkładał tę sprawę; i tymczasem Land-Rover, niebezpiecznie przeciążony, odwoził warzywa do Pendelcote.

Michał był w dobrym nastroju i czuł się przyjemnie podniecony. Pokładał w kultywatorze ogromne nadzieje; oszczędzi wiele ciężkiej pracy i jest tak lekki, że mogą go obsługiwać kobiety. Och, w każdym razie Margaret Stratford, bo Katarzyna niedługo od nich odejdzie, i inne kobiety, które przyłączą się z czasem do bractwa. Michał sposepniał trochę na myśl o przyjeździe innych kobiet, ale zaraz sobie powiedział, że przecież przywykł do tych dwóch, które mieszkały w Imber. Powiększenie społeczności było z każdego punktu widzenia rzeczą konieczną, a ostatecznie przykre uczucie towarzyszące rozpadnięciu się istniejącej grupy dość szybko mija. Z

większą ilością rąk do pracy i lepszą mechanizacją Imber przekształcił się w solidny zespół gospodarczy, dzięki czemu obecny system gospodarowania z dnia na dzień, denerwujący, choć nie pozbawiony uroku robinsonady, wreszcie się skończy. Michał cieszył się też na przejażdżkę do Swindon. Od wielu tygodni nie wyjeżdżał dalej niż do Cirencester i odczuwał dzieciinną radość na myśl o zobaczeniu dużego miasta. I jaka przyjemność, że pojedzie z nim Toby; tym większa, że nie on to zaproponował.

Jazda, w czasie której Toby pytał o okolicę, a Michał mu odpowiadał, trwała trochę ponad godzinę. Raz zatrzymali się na krótko w jakiejś wiosce, żeby spojrzeć na kościół. W Swindon pojechali prosto do sklepu i znaleźli kultywator na podwórku, zapakowany i gotowy do odebrania. Z pomocą sprzedawcy Toby i Michał umieścili cudowny przedmiot na tyle Land-Rovera i przywiązali sznurami, żeby się nie przesunął w drodze. Michał przyglądał mu się z miłością. Jego cztery koła z żółtymi gumowymi obręczami, jak koła dużej zabawki, sterczały na cztery strony, a czerwony i błyszczący kwadratowy kadłub wyglądał spod przedartego na rogach papieru pakowego. Wrażliwa, dwudzielna rączka wysuwała swoje rogi gazeli i dotykała dachu samochodu między siedzeniem kierowcy a pasażera. Załadowawszy bezpiecznie kultywator Michał przyglądał mu się z zachwytem. Trochę żałował, że Toby, którego ambicją obecnie było prowadzić traktor, zdawał się podzielać pogląd Patchwaya, że kultywator to babska zabawka.

– A teraz musimy coś zjeść – powiedział Michał. Wyjechali wcześniej i nie zdążyli zjeść kolacji. Kanapki w barze zdawały się najlepszym rozwiązaniem; a Michał przypomniał sobie sympatycznie wyglądającą wiejską oberżę tuż za miastem, przy drodze do Imber.

Gdy zajechali na miejsce, było już wpół do ósmej. Oberża okazała się lokalem wytworniejszym, niż Michał przypuszczał, weszli jednak do baru, w którym zachowały się stare boazerie z wielokrotnie szorowanego, poczerniałego dębu i drewniane ławy z wysokimi oparciami, obok pewnej ilości nowoczesnych fotelików krytych czerwoną skórą, wiktoriańskich sztychów o tematyce myśliwskiej i zasłon w deseń ułożony z kufli piwa i kieliszków cocktailowych. Butelki lśniły wesoło za barem, o który opierało się kilku ubranych w tweedy mężczyzn o pogodnych, rumianych twarzach; doprawdy trudno byłoby powiedzieć, czy są to farmerzy, czy też biznesmeni.

Michał usadowił Toby'ego, który był tym bardzo rozbawiony, na dużej, przytulnej ławie pod oknem, przez które widzieli podwórze i mogli pilnować Land-Rovera z jego bezcennym ładunkiem.

– Właściwie wprowadzając cię tutaj łamię przepisy – powiedział Michał. – Skończyłeś osiemnaście lat? Dopiero niedawno? No, Bogu dzięki. Czego się napijesz? Jakiś sok owocowy?

– Och, nie! – zaprotestował Toby, wyraźnie zgorzony. – Chciałbym spróbować trunku, jaki się pije w tej części kraju. Wie pan, co to jest?

– Przypuszczam, że jabłecznik pędzony w południowo-zachodnich hrabstwach. Widzę, że mają go tu w beczce. Jest dość mocny. Masz ochotę spróbować? Doskonale. Siedź, a ja przyniosę wszystko do stolika.

Kanapki były dobre: świeży biały chleb z chudym, kruchym rostbefem. Podano też pikle i musztardę, i frytki. Jabłecznik był złocisty, ostry, ale nie kwaśny, i bardzo mocny. Michał przełknął duży łyk tego dobrze znanego mu płynu; znał go od dzieciństwa. Był to napój podnoszący na duchu i przywodzący mnóstwo wspomnień, samych dobrych wspomnień.

– To przecież nie są hrabstwa południowo-zachodnie – powiedział Toby. – Zawsze mi się zdawało, że Swindon jest dość blisko Londynu. Ale może myślę Swindon ze Slough!

– Zachód tu się zaczyna – wyjaśnił Michał. – A w każdym razie całe życie tak sobie wyobrażałem. Jabłecznik jest tego dowodem. Sam pochodzę z tych stron. A ty gdzie się urodziłeś?

– W Londynie – odparł Toby. – Bardzo żałuję. Bardzo żałuję, że mnie nie posłali przynajmniej do jakiejś szkoły z internatem.

Rozmawiali chwilę o dzieciństwie Toby’ego. Michał poczuł się nagle tak szczęśliwy, że miał ochotę krzyknąć na głos. Upłynęło dużo czasu, odkąd ostatni raz siedział w barze; a siedzenie tutaj, rozmowa z tym chłopcem, picie tego jabłecznika wydawało się zajęciem tak skończeniem doskonałym, że nie pozostawiało miejsca na żadne inne pragnienia. Niejasno Michał pomyślał, że jest to u niego stan wyjątkowy; stan, którego braku nie odczuwał i do którego specjalnie nie tęsknił; jednakże po chwili, mimo że stan ów trwał nadal, Michał zdał sobie sprawę z rzeczy, których mu było brak w życiu, których się wyrzekł. W pewnym momencie, co miało jakiś z tym związek, stanęła mu przed oczami wizja, dawniej często go nawiedzająca, ale teraz rzadka, wizja Długiej Sali w Imber – wyłożonej dywanami, umeblowanej, o ścianach upiękuszonych lustrami w złożonych ramach i blaskiem starych obrazów, z fortepianem jak kiedyś stojącym w kącie, z zachęcającą tacą butelek na stoliku pod ścianą. Ale nawet to nie umniejszało jego radości: wiedzieć dokładnie, czego się wyrzekamy, co zyskujemy, i nie odczuwać żalu; odwiedzać ponownie i bez zazdrości widownię uciesh, których wyrzekliśmy się, i zakosztować ich znów przelotnie, z rozkoszą nie zmaconą przez świadomość, że są chwilowe – oto jest szczęście, oto na pewno jest wolność.

– Co masz zamiar robić po studiach? – spytał Michał.

– Nie wiem – odparł Toby. – Będą jakimś tam inżynierem. Ale jeszcze nie wiem, co chcę robić. Nie mam ochoty wyjeżdżać za granicę. Wie pan, tak naprawdę chciałbym robić to co pan.

Michał roześmiał się.

– Kochany chłopcze, przecież ja nic nie robię. Jestem uniwersalnym amatorem.

– Robi pan – oznajmił Toby. – Chcę przez to powiedzieć, że zrobił pan coś wspaniałego w Imber. Chciałbym móc zrobić coś takiego. To znaczy, nigdy nie uda mi się osiągnąć tego, co pan osiągnął, ale chciałbym być częścią jakiejś takiej rzeczy. Czegoś, co jest czyste, w izolacji od współczesnego świata.

Michał znowu się roześmiał i rozmawiali chwilę o izolowaniu się od świata. Nie okazując tego Michał bardzo się wzruszył i trochę posmutniał na widok podziwu tak jawnie okazywanego mu przez chłopca. Toby widział w nim przywódcę duchowego. Rozumiejąc, jak bardzo zniekształcony jest to obraz, Michał nie mógł jednocześnie nie zaczerpnąć z tej swojej przeobrażonej przez fantazję chłopca podobizny pewnego ożywczego poczucia możliwości. Nie jest jeszcze skończony, stanowczo nie jest! Przyjrzał się chłopcu: Toby włożył na drogę do miasta czystą koszulę i marynarkę, ale nie związał krawata. Marynarkę zostawił w samochodzie. Koszula, jeszcze sztywna po praniu, była odpięta i kołnierzyk sterczał mu równo pod brodą, a wąska szpara w tej płóciennej bieli ukazywała skórę spaloną na brąz. Michał zwrócił ponownie uwagę na prostą linię jego krótkiego nosa, długość rzęs i jakby oszołomiony, nieśmiały wyraz oczu, pytający, łagodny, nietknięty. W twarzy chłopca nie było ani śladu przebiegłości, tej raczej nerwowej bystrości, jaką spotyka się często u chłopców w jego wieku. Michał zapragnął, żeby ziściły się nadzieje Toby’ego, a to go napełniało radością, jaką odczuwamy pragnąc wielkodusznie, żeby ziściły się cudze nadzieje.

– Chyba będę musiał to zostawić – powiedział Toby. – Jest bardzo dobre, ale trochę dla mnie za mocne. Nie, dziękuję bardzo, już nic. Dopije pan za mnie? – Wlał resztę swojego jabłecznika do prawie pustej szklanki, która stała przed Michałem. Michał wypił i zamówił sobie jeszcze jedną szklankę. Na barze leżała czekolada, kupił Toby’emu tabliczkę. Wracając do ich kąta zauważył z pewnym zdziwieniem, że na dworze jest już prawie ciemno.

– Musimy niedługo wracać – powiedział. Pił szybkimi łykami jabłecznik, a tymczasem Toby jadł czekoladę. Jak szybko minął czas! Po chwili wstali od stolika.

Gdy wyszli na dwór, Michał miał nogi niczym z ołowiu. Postąpił idiotycznie, że wypił tę drugą szklanekę. Odwykł od jabłeczniaka i czuł się teraz naprawdę wstawiony. Ale wiedział, że gdy siądzie za kierownicą, poczuje się dobrze; prowadzenie go otrzeźwi. Wsiadł do furgonetki, Michał zapalił światła i wyruszył w drogę powrotną do domu; z tyłu za nim kultywator podskakiwał przyjemnie, jedna miękka gumowa rączka prawie dotykała jego głowy.

Droga nocą wyglądała inaczej – trawiaste pobocza zieleniły się jaskrawo, szarozłote domy o wysokich oknach wynurzały się szybko z mroku i znikwały, drzewa były stłoczone i tajemnicze poza zasięgiem reflektorów. Od czasu do czasu widzieli kota biegnącego przed samochodem lub gdzieś głębiej w poszyciu, o ślepiach rozjarzających się, gdy padł na nie snop światła.

– Twoja specjalność to nauki ścisłe – stwierdził Michał. – Dlaczego ludziom tak się oczy nie żarzą?

– A jest pan pewien, że się nie żarzą? – spytał Toby.

– Uważasz, że się żarzą? Nigdy nie widziałem, żeby się komuś oczy świeciły w ciemności.

– Może dlatego, że ludzie zawsze odwracają oczy – powiedział Toby. – Pamiętam, jak nas uczono w szkole, że kiedy Monmouth ukrywał się po buncie w jakimś parowie niedaleko Cranborne, został schwytany, bo oczy świeciły mu w blasku księżyca.

– Zgoda, ale na pewno nie takim jaskrawym światłem! – zaprotestował Michał. Jakieś nie zidentyfikowane zwierzę ukazało się przed nimi na drodze, dwa zielonkawe błyski – i znikło.

– Zdaje się, że jest to sprawa jakichś specjalnych komórek za okiem – wyjaśnił Toby. – Ale dalej nie jestem taki zupełnie pewny, że nasze oczy by się nie żarzyły, gdybyśmy spojrzeli prosto w reflektor. Spróbujmy! Wsiądę i będę siedział w pana stronę patrząc cały czas w światła, a pan się przekonaj, jak wyglądają moje oczy!

– Ale z ciebie naukowiec! – zaśmiał się Michał. – Wiesz, nie teraz. Poczekajmy, aż zajedziemy do domu. Zgoda? Wtedy przeprowadzisz swój eksperyment.

Toby umilkł i jechali jakiś czas w milczeniu. Michał słyszał jego ziewanie. W końcu Toby przemówił:

– Zrobiłem się jakiś senny po tym jabłeczniaku.

– To śpij – powiedział Michał.

– Ach, nie! – zaprotestował Toby. – Tak naprawdę wcale mi się nie chce spać. – Po chwili zasnął. Michał widział kątem oka, jak głowa opada mu na piersi. Długie dni ciężkiej fizycznej pracy i kilka łyków mocnego jabłeczniaka zwały go z nóg. Michał uśmiechnął się do siebie.

Land-Rover rozwijał mniejszą szybkość niż w drodze do miasta. Michał wciąż był odrobinę pijany, chociaż najzupełniej zdolny do prowadzenia. Egzaltacja i radość, jakie odczuwał w barze, zmieniły się teraz w ciche zadowolenie połączone z rozkosznym uczuciem ociężałości w całym ciele. Oparł się o kierownicę, obracając ją przedramieniem i podśpiewując cicho. Toby siedział pochylony do przodu, najwyraźniej spał. Potem na zakręcie osunął się powoli na bok i Michał poczuł na sobie ciężar jego ciała. Po chwili głowa chłopca opadła mu łagodnie na ramię.

Michał prowadził jak we śnie. Czuł na udzie dotyk kolana Toby'ego, ciepło bijące od smukłego ciała, włosy muskające mu policzek. Rozkosz tego niespodziewanego kontaktu była tak wielka, że Michał na sekundę zamknął oczy i nagle uprzytomnił sobie, że wciąż prowadzi. Starał się oddychać ciszej, żeby nie zbudzić chłopca, ale spostrzegł, że wciąga powietrze długimi, głębokimi haustami. Zwolnił trochę i uspokoił oddech. Czuł wyraźnie – jak gdyby nagle rozrosła mu się klatka piersiowa – podnoszenie się i opadanie żeber i zgodne z tym ruchy ciała Toby'ego. Bał się, że może go obudzić samym łomotaniem serca.

Jechał teraz wolno i utrzymywał równomierną szybkość. Jeżeli nic nie zmusi go do zatrzymania się, Toby może śmiało przespać całą drogę do Imber. Bardzo łagodnie brał zakręty. Na szczęście drogi były puste. Spokojny sen Toby'ego wydawał się najbardziej pożądaną rzeczą

na świecie. Serce przepełniło się Michałowi uniesieniem opiekuńczej radości; i na sekundę stanął mu przed oczami widziany kiedyś wysoko w Alpach obraz starego wieśniaka, który siedział na zielonym stoku i przyglądał się krowie skubiącej trawę. To idiotyczne porównanie zmusiło go do uśmiechu. Uśmiech pozostał mu na wargach.

Na prostym odcinku drogi odważył się spojrzeć na chłopca. Toby leżał skulony i oparty o niego, z nogami podkurczonymi, dłońmi wzruszająco splecionymi, głową wsuniętą teraz między plecy Michała a oparcie fotela. Białą wykrochmaloną koszulę miał Odpiętą prawie do pasa. Gdy Michał spojrział na chłopca i potem na drogę, zapragnął bardzo wyraźnie wsunąć mu rękę za koszulę. I jak gdyby ta myśl była iskrą, już w następnej sekundzie zobaczył z niezwykłą plastycznością siebie wprowadzającego samochód do rowu i namiętnie chwytającego chłopca w ramiona.

Potrząsnął głową, jakby chciał odegnać snującą się dokoła mgiełkę. Uprzytomnił sobie, że boli go głowa. Naprawdę musi powściągnąć wyobraźnię. Był zdziwiony, że może mu płatać takie figle. Posiadał naturalnie – co było jego błogosławieństwem czy też przekleństwem – bardzo dużą siłę wyobraźni, ale migawki, które mu ukazywała, nie były na ogół tak zaskakujące. Michał czuł się teraz poważny, odpowiedzialny, nadal opiekuńczy i nadal radosny, ale radością, która – odkąd zapanował nad sobą w sposób bardziej świadomy – wydawała się głębsza i czystsza. Czuł w sobie niewyczerpaną siłę, która pozwoli mu chronić Toby'ego przed złem. Spokojnie wyczarował w wyobraźni wizję Toby'ego jako studenta, jako młodego mężczyzny. Może się uda – może jakoś się uda utrzymać z nim znajomość, strzec go, pomagać mu. Michał poczuł głęboką potrzebę związania, utrzymania przyjaźni z Tobym; bo właściwie dlaczego taka przyjaźń nie miałaby się okazać owocna dla nich obu; i żywił niczym nie zmącone zaufanie do swojej własnej skrupulatnej rozważliwości. A więc ten moment szczęścia nie będzie czymś dziwnym i odosobnionym, tylko raczej czymś, co wskaże drogę ku długotrwałej i głębokiej odpowiedzialności, ku zadaniu. Chwila podobna do tej nie powtórzy się nigdy. Ale cząstka jej słodczy przetrwa, o czym Toby nigdy nie będzie wiedział, w pokornych usługach oddawanych anonimowo w przyszłości. Tak wielka była jego miłość i życzliwość dla tego młodego stworzenia obok. To niemożliwe, żeby zamiarem Boga było całkowite zatamowanie źródła takiej miłości. Musi, musi istnieć jakiś sposób przetworzenia jej w siłę dobra. Michał nie uważał w tej chwili, że będzie to trudne zadanie.

Zorientował się ku swemu głębokiemu rozczarowaniu, że dojeżdżają do Imber. Jechał nie zwracając uwagi na drogę. Zaczął się zastanawiać, jak bardzo jest jeszcze pijany. Bogu dzięki, że nie było wypadku. Wyprowadził wóz gładko na główną drogę i po kilku minutach zobaczył z prawej wysoki mur posiadłości. Żałował, że są już na miejscu. Toby nadal był pogrążony w głębokim śnie. Przykro go było budzić. Furgonetka zwolniła. Wiedziony jakimś instynktem Michał nie doprowadził jej pod samą bramę. Zatrzymał się w odległości około stu jardów przed nią i zgasił światła. Wyłączył silnik. Zapadła przerażająca cisza.

Toby poruszył się. Potem przewalił się na swój fotel i otworzył oczy. Natychmiast oprzytomniał.

– Mój Boże, spałem? – zawołał. – Strasznie mi przykro!

– Nie przejmuj się – uspokoił go Michał. – Taki sen dobrze robi. Jesteśmy w domu.

Toby aż krzyknął ze zdziwienia. Przeciągnął się, ziewnął. I powiedział z zapalem:

– Wie pan, moglibyśmy zrobić teraz tę próbę ze światłami. Nie ma pan nic przeciwko temu? Proszę zapalić reflektory, a ja będę szedł w pana stronę z oczami otwartymi.

Michał posłusznie włączył światła, a tymczasem Toby wyskoczył z samochodu. Widział, jak chłopiec biegnie drogą, oddalając się niemal poza zasięg reflektorów. Potem zawrócił i zaczął iść powoli, wpatrzony nieruchomo w to miejsce, gdzie Michał siedział za oślepiającym blaskiem.

Jego jasno oświetlona postać zbliżała się miarowym krokiem, ciemne oczy, szeroko otwarte i dziwnie przypominające oczy lunatyka, były nieruchome i wyraźnie widoczne. Nie jarzyły się ani nie świeciły. Szedł pełnym wdziękiem, płynnym krokiem, bardzo smukły, z białymi rękawami koszuli rozprostowującymi mu się na rękach. Jego powrót trwał strasznie długo.

Gdy podszedł do samochodu, wsunął głowę przez okno po stronie Michała. Michał objął go ramieniem i pocałował.

Zdarzyło się to tak szybko, że już w następnej chwili Michał wcale nie był pewien, czy zdarzyło się naprawdę, czy też był to jeszcze jeden wytwór jego wyobraźni. Ale Toby stał sztywno wyprostowany, tam gdzie się cofnął wyrwawszy się Michałowi, z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy.

Michał powiedział głosem nagle przytłumionym i urywanym:

– Przepraszam. To było niedopatrzenie. – Uwaga była idiotyczna, wcale nie to zamierzał powiedzieć, nie tego słowa chciał użyć. Chwilę trwało milczenie. Potem Michał odezwał się po raz drugi: – Przepraszam cię, Toby. Przejdź na drugą stronę i wsiadaj. Podwiozę cię do bramy. To jeszcze spory kawałek.

Toby obszedł samochód od strony maski, z twarzą odwróconą. Kiedy położył rękę na klamce, ktoś wyszedł na drogę, inna postać wyraźnie widoczna wkroczyła powoli w snop światła. Był to Nick. Zobaczywszy go Michał, posłuszny instynktownemu pragnieniu, żeby się ukryć, zgasił reflektory. Postać Nicka zamajaczyła tuż obok w mroku. Toby stał wciąż na drodze.

– Hej, wy tam – powiedział Nick. – Myślałem, że już nigdy nie przyjedziecie. Co to za pomysł, stawać taki kawał od bramy?

– Omyliłem się – wyjaśnił Michał. – Może zaprowadzisz Toby’ego do domu. Muszę już jechać. Cześć, Toby. – Zapalił światła, ruszył z szarpnięciem i odjechał drogą, a potem skręcił w bramę, która była na szczęście otwarta. On i Toby znajdowali się za reflektorami; ale mimo to Nick mógł coś zobaczyć. Gdy podjeżdżał pod dom, pogrążony teraz w zupełnych ciemnościach, ta myśl dręczyła go najboleśniej.

ROZDZIAŁ XII

Było to nazajutrz w porze obiadowej. Zgodnie ze zwyczajem posiłek spożywano w milczeniu, gdy tymczasem jeden z członków bractwa czytał na głos. Obiad trwał zwykle dwadzieścia minut i przez ten czas osoba czytająca siedziała przy oddzielnym stoliku, reszta zaś przy długim i wąskim stole refektarzowym, z Michałem na jednym, a panią Markową na drugim końcu. Dzisiaj lektorem była Katarzyna, a książką, z której fragment odczytywała, były *Objawienia* Juliany z Norwich. Katarzyna czytała dobrze, głosem trochę drżącym, z głębokim uczuciem i wyraźnie wzruszona treścią lektury.

– Oto jest owo Wielkie Zadanie nakazane przez naszego Pana od samego początku, strzeżone i przechowywane w Jego błogosławionym sercu, znane tylko Jemu; przez które wszystkie rzeczy uczyni dobrymi. Albowiem podobnie jak Święta Trójca uczyniła wszystkie rzeczy z niczego, tak też uczyni dobrym wszystko to, co nie jest dobre.

I to mi kazało dziwować się wielce i rozmyślać nad naszą wiarą, i tymi słowy wyrażać moje zdziwienie: nasza wiara jest ugruntowana na Słowie Bożym i wiara nam nakazuje, abyśmy uwierzyli, iż Słowo Boże przetrwa we wszystkich rzeczach; i wiara nam powiada, że wiele stworzeń skazanych będzie na potępienie, jak anioły strącone z Nieba za pychę, które są teraz diabłami; i jak ów człowiek na ziemi, który umrze poza Wiarą Świętego Kościoła; przez co mam na myśli ludzi pozostających w pogaństwie; i jak ów człowiek, który przypuszczony został do chrześcijaństwa, ale wiedzie niechrześcijański żywot i przeto umrze nie zaznawszy miłosierdzia; wszyscy oni będą skazani na piekło po wsze czasy, jak nakazuje mi w to wierzyć nasz Święty Kościół. A skoro tak się sprawy mają, mniemałam, iż nie jest możliwe, aby wszystkie rzeczy stały się dobrymi, jak w tym samym czasie rzekł nam Pan.

I na to nie znajdowałam innej odpowiedzi w Słowach naszego Pana, jak tylko tę: co jest niemożliwe dla ciebie, nie jest niemożliwe dla mnie: zachowam Słowo Moje we wszystkich rzeczach i uczynię wszystkie rzeczy dobrymi. W ten sposób, za sprawą Łaski Bożej, zostałam pouczona, że powinnam trwać mocno w wierze, jakem ją przedtem rozumiała, a tym samym, że powinnam wierzyć niezachwianie, iż wszystkie rzeczy staną się dobrymi, jak w tym samym czasie rzekł Pan.

Toby, który prędko uporał się z jedzeniem, siedział krusząc chleb i zatykając okruchami szpary w starym dębowym stole. Nie obracał głowy w obawie, że napotka spojrzenie Michała. Po źle przespanej nocy czuł się zmęczony i apatyczny. Poranna praca go irytowała. Nie słuchał odczytywanego na głos tekstu.

Toby otrzymał, chociaż jeszcze jej nie przetrawił, jedną z najwcześniejszych nauk dorosłego życia: że nigdy nie jesteśmy bezpieczni. W każdej chwili możemy być wyrwani ze stanu bezgrzesznej pogody i bez żadnych faz przejściowych wtrąceni w jego przeciwieństwo – tak wysoko wzbierają wokół nas wody naszej i cudzej niedoskonałości Toby przeszedł w ciągu sekundy, albo takie przynajmniej miał wrażenie, drogę od radości, która zdawała się niezachwiana, do niepokoju, którego prawie nie rozumiał. W ciągu długiej nocy i rano, kiedy zbudził się z niespokojnego snu, nie bardzo umiał powiedzieć, czy stało się coś ważnego, czy też się nie stało; a w każdym razie zadawał sobie to pytanie w tej najbardziej powierzchownej warstwie umysłu. W głębi rozumiał, że stało się coś niezwykłego, chociaż nie potrafiłby jeszcze powiedzieć co.

Idąc z Nickiem do domku dozorczy, gdy Michał tak nagle odjechał, Toby był przeraźliwie

zmieszany, mimo to zdołał jednak rozmawiać spokojnie z Nickiem i odpowiadać z pogodną obojętnością na jego pytania o przebieg wyprawy. Zastanawiał się, czy Nick mógł zobaczyć incydent, i doszedł do wniosku, że nie. Byli obaj z Michałem za rozjarzonymi reflektorami, a nawet gdyby Nick wyszedł z bramy na czas, oślepiłoby go silne światło. Mógł wywnioskować z dziwnego zachowania Michała, że coś jest nie w porządku; ale nie miał żadnego powodu, aby się domyślać czegoś aż tak niesłychanego. Był prawdopodobnie ciekawy; i gdy rozmawiali, zdradzał – Toby to spostrzegł – żywsze zainteresowanie jego osobą i chęć przedłużenia rozmowy. Ale Toby zachował zimną krew, przerwał pogawędkę, chociaż nie za raptownie, i poszedł spać. Gorąco pragnął samotności.

Gdy został sam, usiadł na łóżku i zakrył twarz rękami. Jego pierwszym uczuciem było zdumienie. Niczego chyba na świecie mniej się nie spodziewał. O homoseksualizmie wiedział bardzo niewiele. Szkoła, do której chodził, nie dała mu w tym przedmiocie żadnych doświadczeń ani najmniejszego choćby pojęcia o tych doświadczeniach. Jego koledzy opowiadali sobie nieskomplikowane dowcipy na ten temat, lecz ich ignorancja równała się ignorancji Toby'ego i z tego źródła niewiele się dowiedział. W szkole uczył się łaciny, ale nie uczył się greki i jego wiedza o rozwiązłości starożytnych była bardzo fragmentaryczna. To, co wiedział, pochodziło z popularniejszych gazet i z uwag wypowiedzianych przez jego ojca o „pedałach”. Jeżeli w ogóle zastanawiał się kiedykolwiek nad tymi skłonnościami, był gotów uznać je za dziwne zboczenie czy też chorobę, o tajemniczych i odrażających objawach, którą jest dotknięta niewielka liczba nieszczęśliwych. Wiedział też, i w tym różnił się od swojego ojca, że jest rzeczą bardziej właściwą traktować te osoby jako przedmiot zainteresowania lekarza niż policji. I na tym kończyła się jego znajomość przedmiotu.

Jak wszyscy ludzie niedoświadczeni, Toby miał tendencję do wydawania sądów skrajnych. Chociaż przedtem uważał Michała za wzór cnoty i nawet nie przyszłoby mu do głowy zastanawiać się, czy w życiu tego człowieka są jakieś skazy czy upadki, teraz przypisywał mu homoseksualizm *tout court*, ze wszystkim, co się w nim zawierało nienaturalnego i bezimiennego. Przynajmniej tak zareagował w pierwszej chwili. Spostrzegł, że jego myśli nabierają rozpędu i mkną ku większym zawiłościom. Jego pierwszym uczuciem było zdziwienie. Bardzo prędko zastąpiła je odraza i niepokojący lęk. Nie chciał być dotykany w taki sposób, czuł do tego fizyczny wstręt. Czuł się zagrożony. Może powinien kogoś o tym zawiadomić. Czy tamci wiedzą? Z pewnością nie. Czy powinni wiedzieć? Ale nie jego rzeczą jest ich zawiadamiać. Zresztą wchodziła też w grę sprawa osłonięcia własnej osoby. Był przerażony, że jest typem męczyzny prowokującym takie awanse. Zastanawiał się, czy to dowodzi, że coś jest z nim nie w porządku, że ma jakąś nieuświadomioną skłonność do tych spraw, którą inna podobnie dotknięta osoba potrafi odgadnąć.

I w tym miejscu zaczął sobie robić wyrzuty, że wpada w przesadę. Z pewnością sprawa nie jest aż tak ważna; i czyż on, przejmując się w tak idiotyczny sposób, nie wykazuje naiwności i braku życiowego doświadczenia? Toby bał się panicznie osądzenia o naiwność. Zaczął się rozbierać z postanowieniem, że nie będzie o tym myślał aż do rana. Zgasił światło. Ale sen nie przyszedł. I leżąc tak w ciemności Toby uznał w końcu, że to, co się zdarzyło, miało jednak swoją interesującą stronę. Niewątpliwie była to swojego rodzaju przygoda, chociaż dość abominacyjna. A uczucie, jakiego wtedy doświadczył, chociaż w tym momencie go nie rozpoznał, było uczuciem zadowolenia, że nagle znalazł się na pozycji siły wobec kogoś, kogo tak bezspornie uważał za swojego duchowego zwierzchnika.

Ta myśl przywiodła go z powrotem do rozważań, które miały bardziej ludzki charakter; i tu zaczęły się poważne komplikacje. Próbował sobie naprawdę wyobrazić Michała. Jak to jest, kiedy się jest Michałem? O czym Michał teraz myśli? Czy nie śpi i leży nieszczęśliwy, czy

żałuje, że się to zdarzyło? Co zrobi jutro? Czy powie coś Toby'emu na ten temat? Czy też zignoruje całą sprawę i będzie się zachowywał, jakby nigdy nic? Toby czuł, że nie zniósłby tego. Dochodziła w nim już do głosu silna potrzeba, żeby coś się dopełniło. Po raz pierwszy też był głęboko zainteresowany Michałem. A wywołując w myślach obraz tego najwyraźniej skomplikowanego człowieka uświadomił sobie, że ma do niego nowy stosunek uczuciowy. Michał wzbudził w nim, rzecz osobliwa, uczucia opiekuńcze. I z tą myślą w końcu zasnął.

Nazajutrz rano czuł się po prostu okropnie. Wróciła odraza, ale tym razem, z jakichś niezrozumiałych powodów, kierował ją do siebie. Czuł się tak, jak gdyby poprzedniego wieczoru uczestniczył w jakiejś wyczerpującej orgii. Ale chociaż wspominał wczorajszy incydent z tak samo żywym obrzydzeniem, miał uczucie, że na tę orgię składały się głównie jego własne myśli. A jednak nie chciał zaprzętać umysłu innymi sprawami. Chociaż lubił szczerze pracę w ogrodzie, dzisiaj wydawała mu się uciążliwym marnowaniem czasu, ponieważ odrywała go od rozmyślań o Michale. Najchętniej spędziłby ten ranoek przechadzając się po lesie. A tymczasem musiał prowadzić rozmowę najpierw z Jamesem, później z Patchwayem i wreszcie z panią Markową, której został przydzielony do pomocy i z którą spędził ostatnie godziny przedpołudniowe pakując warzywa do skrzynek i siatek. Michał go unikał.

Wydawało się prawdopodobne, że Michał skorzysta z okazji i odwoła go na bok w czasie obiadu. Ale posiłek minął, a oni nawet na siebie nie spojrzeli. Toby nie chciał, by sobie Michał pomyślał, że mu zależy na rozmowie, ulotnił się więc w czasie krótkiej przerwy poobiedniej do odległego kąta w sadzie, gdzie trzeba było przymocować siatkę do muru; proszono go już kiedyś, żeby się tym zajął w wolnej chwili. Ale gdy tam zaszedł, w żaden sposób nie mógł się zmusić do roboty. Siedział na ścieżce bawiąc się kamykami, póki nie przyszła pora rozpoczęcia normalnych zajęć.

Po południu był znów zajęty nie kończącym się nigdy okopywaniem. Tutaj przynajmniej korzystał z samotności. Było nadal bardzo gorąco i wyteżona praca wkrótce wycisnęła z niego strumienie potu. Pracował dalej zawzięcie, z głową spuszczoną. W oddali słyszał terkot kultywatora mechanicznego, natychmiast rzuconego do akcji pod nadzorem Patchwaya, którego nawrócenie w tym względzie odbyło się błyskawicznie. Płynęły godziny popołudnia i Toby czuł się coraz nieszczęśliwszy, a zamęt w jego myślach przemienił się w końcu w jedną głęboko odczuwaną potrzebę porozmawiania z Michałem.

Przy kolacji miał minę nie bardzo przytomną, potem siedział jakiś czas w pokoju rekreacyjnym na widocznym miejscu i wreszcie zmusił się, żeby pójść do sadu i naprawić siatkę. Tam też około ósmej odszukała go pani Markowa z wiadomością, że Michał chciałby się z nim natychmiast zobaczyć.

* * *

Michał dojrzał do swojego pokoju i natychmiast położył się na podłodze, i przez chwilę było tak, jak gdyby z samego pragnienia, żeby się ukryć, opuściła go cała świadomość własnej osobowości. Wstrząs tego, co się zdarzyło, i intensywność żalu, że się zdarzyło, pozbawiły go uczucia. Myśleć o tym, marzyć o tym, tak – ale zrobić to! I gdy Michał zastanawiał się nad owym małym dystansem między myślą a uczynkiem, ujrzał wąską szczelinę, która w jego oczach rozwierała się i przemieniała w otchłań. Zakrywszy twarz rękami usiłował się modlić; ale zorientował się po chwili, że jest jeszcze bardzo pijany. To jego leżenie krzyżem było czymś bezowocnym i haniebnym. Nie jest nawet zdolny przyznać się w należyty sposób do własnej nikkczemności. Mimo to mamrotał słowa, konwencjonalne i dobrze znane słowa, które w takim celu ułożyli inni ludzie. Nie umiał znaleźć słów czy myśli własnych. Wstał z podłogi.

Podszedł do umywalni i otarł twarz wilgotną myjką. Skóra mu pałała. Musi się wziąć w garść i przemyśleć wszystko logicznie; ale gdy tak stał z ociekającą myjką w ręce, wróciło mu z bólem jeszcze przenikliwszym pragnienie, żeby Nick nie widział – i lęk, że widział. A kiedy usiłował zrozumieć, dlaczego właśnie to jest teraz tak rozpaczliwie ważne, odpowiedź była dziwna. Nie chciał, żeby Nick czuł się zdradzony czy porzucony, ponieważ on, Michał, woli młodszego mężczyznę. Było to jednak, wiedział, uczucie najzupełniej obłąkane, zakładało bowiem, że czas się zatrzymał. To, że nie chciał uchościć w oczach Nicka za człowieka zepsutego i nikczemnego, było czymś najzupełniej właściwym zarówno ze względu na niego, jak i na Nicka. A tymczasem doprowadzało go do rozpaczliwej sprawy – świadomość, że Nick posądzi go o zdradę.

Ta myśl tak go zaskoczyła, że nie wiedział, jak się do niej ustosunkować. Rzucił myjkę do umywalni. Zimna woda spływała mu po karku na plecy. Znowu poczuł ból głowy i niemiłe sensacje w żołądku. Podszedł do łóżka, usiadł i nadludzkim wysiłkiem starał się opanować. Kiedy mu się to częściowo udało, przeraziła go myśl, że przede wszystkim nie zatroszczył się o Toby'ego. Wcześniej doszedł w nim do głosu jakiś instynkt samozachowawczy: strach o siebie, strach, którego nie odważył się jeszcze dotąd zanalizować, a wraz z nim ta obłąkana reakcja na myśl o Nicku. A przecież powinien był zastanowić się nad krzywdą, jaką wyrządził Toby'emu.

Myślenie o Tobym zdawało się początkowo mniej bolesne, by można było spojrzeć na tę sprawę jako na oddzielny problem i przynajmniej starać się go określić. Michał zaczął trzeźwo szacować stan umysłu chłopca. Z tego, co wiedział o nim i o jego przeszłości, mógł bez wątpienia wyciągać wnioski, że Toby nie posiada żadnych homoseksualnych doświadczeń i bardzo małą wiedzę o tym przedmiocie i prawdopodobnie uważa „pedałów” za istoty godne wzgardy, tajemnicze i odrażające. Pocałunek Michała wywarł na nim zapewne niemałe wrażenie; i nawet gdyby Michał uznał, że najrozsądniej jest pominąć incydent milczeniem, Toby'emu trudno byłoby się z tym pogodzić. Będzie żądał wyjaśnień. Będzie się domagał dalszego ciągu. Nie mówić o tym więcej znaczyłoby pozostawić chłopca w stanie przedłużającego się niepokoju i nerwowego napięcia. Tak, coś będzie musiał z tym zrobić.

Zastanawiając się teraz poważnie nad Tobym Michał zaczął po raz pierwszy (i zauważył z goryczą, jak późno się to stało) dopuszczać do siebie myśl, że skrzywdził nie tylko siebie. Wyobraził sobie reakcję Toby'ego: wstrząs, odraza, rozczarowanie, poczucie, że coś zostało nieodwołalnie zniszczone. Toby przyjechał do Imber jako do przystani religijnej, do azylu. Szukał tu natchnienia i przykładu. Było rzeczą mniej ważną, że zniknął tak nagle nimb Michała; całe doświadczenie Imber straciło dla Toby'ego wartość. Zaciekle i nieustępliwie Michał badał implikacje swojego uczynku. Że też coś tak przelotnego i tak błahego może posiadać tak wielką wagę, spowodować tyle zniszczenia! W pewnym sensie Michał wiedział, co się zdarzyło: wypił za dużo i uległ odosobnionemu i nieszkodliwemu impulsowi. Z drugiej strony nie wiedział jeszcze, co się zdarzyło. Nasze uczynki są jak okręty, przyglądamy im się, gdy wypływają na morze, ale nie wiemy, kiedy i z jakim ładunkiem wrócą do portu.

Michał zebrał siły, żeby się przygotować do snu. Modlił się chwilę usiłując ofiarować swoje modlitwy na intencję Toby'ego. Będzie jeszcze dość czasu na samoanalizę. Rozumiał, widząc je niejako kątem oka, że są w nim demony, które jego uczynek spuścił z uwięzi. Obłąkana, dręcząca myśl o Nicku wciąż była obecna. Kiedy wszedł do łóżka i w końcu zaczął tracić świadomość, pomyślał jeszcze, że chociaż zrobił coś bardzo złego Toby'emu, sobie zrobił coś gorszego. Okaze się dopiero w przyszłości, co to jest.

Nazajutrz usiłował zdecydować, co robi. I właśnie wtedy dostrzegł jeszcze jeden aspekt sytuacji: pragnął usilnie zobaczyć się z Tobym i pomówić o tym, co zaszło. Przy śniadaniu obaj siedzieli z oczami spuszczoneymi i zaraz potem Michał uciekł do swojej kancelarii. Pragnienie porozumienia się z Tobym doprowadzało go niemal do szaleństwa. Pamiętał, jak wczoraj w

drodze powrotnej do domu serce tajało mu z czułości dla chłopca, i był pewien, że takie źródło uczucia nie może być całkowicie skażone. Dzisiaj, z większą dozą cynizmu, zastanawia! się, czy nie powinien zrobić tego, co będzie najbezpieczniejsze, i nie zważając na niepokój i udrękę Toby'ego zapomnieć o tej sprawie. Emocjonalna rozmowa, wszystko, co miałyby cechy przeprosin, przedłuży tylko incydent. Michał pragnął też bardzo uspokoić się co do Nicka; ale jednocześnie sama myśl o tym, że miałby pytać Toby'ego o Nicka, wytrącała go z równowagi. Jeżeli będzie rozmawiał z Tobym, musi zachować zimną krew i powściągliwość; ale czy potrafi się na to zdobyć?

Przed obiadem znalazł trochę czasu, żeby pójść do kaplicy Opactwa, i siedział tam chwilę w ciemności i ciszy. Tutaj nie było trudno uwierzyć w bliskość Boga. Czystsze dążenia tak wielu innych wyrąbały niejako ścieżkę, rozpadlinę. Tu w końcu ochłonął jego rozgorączkowany umysł i Michał z całej duszy zapragnął uczynić tylko to, co będzie miłe Bogu, ufając zarazem, że wie, co to jest, i że potrafi to zrobić. Jednocześnie w tym spokojniejszym stanie ducha mógł lepiej ocenić ubóstwo myśli, które nękały go wczoraj wieczorem i dzisiejszego ranka. Jak prędko dał się ponieść panice, jak daleki był od prawdziwej skruchy, jak nieprzygotowany do szukania owej prawdziwej życzliwości w stosunku do Toby'ego którą powinien się kierować. Modlił się teraz o ów najtrudniej osiągalny dar wnikliwości, o trzeźwe uświadomienie sobie, że się zgrzeszyło; a gdy spoglądał przez kratę na ołtarz, czuł się uspokojony, wzmocniony, podniesiony na duchu. Ma zadanie do wykonania i Bóg nie pozwoli, żeby spotkała go klęska. Postanowił koniecznie rozmówić się z Tobym.

Jego pragnienie zobaczenia chłopca było wciąż bardzo żywe. Wychodząc z kaplicy zdecydował, że odłoży spotkanie do dnia następnego. Ta mała abstynencja pomoże mu się lepiej opanować, zresztą w ogóle miał nadzieję, że nazajutrz będzie spokojniejszy. Podczas obiadu nadal unikał spojrzenia Toby'ego i słuchał uważnie słów odczytywanych przez Katarzynę. Wzruszało go jej wyraźne przywiązanie do autorki dzieła i przypomniał sobie, co mu kiedyś Katarzyna mówiła o wpływie, jaki Julianna wywarła na jej decyzję pójścia do klasztoru. I doprawdy, jak wiele dusz ta łagodna mistyczka pocieszyła, jak wielu dodała otuchy swoim prostym zrozumieniem, czym jest rzeczywiście miłość Boga. Michał wziął nauki tekstu do siebie i wyciągnął wniosek, że jego niezliczone wątpliwości, jego niemożność działania w sposób prosty i naturalny, są objawami braku wiary.

Po południu poszedł w odległą kąt ogrodu i jakiś czas był zajęty ciężką pracą fizyczną. Wyrzekł się rozkoszy koparki mechanicznej na rzecz Patchwaya. Zresztą cała jego radość z tej jaskrawo pomalowanej zabawki była zepsuta. Gdy przekopywał ziemię, znowu opadły go różnorakie myśli. Podczas kolacji był nerwowy, niespokojny i nie miał apetytu. Gdy wstali od stołu, poszedł do kancelarii i usiłował napisać projekt apelu o pomoc finansową. Ale umysł miał otepiały. Niedawna zawiła struktura jego myślenia zaczęła się walić. Odkładanie rozmowy wydało mu się teraz czymś absurdalnym i niepotrzebnie dezorientującym Toby'ego. Odczuwał tępe i gwałtowne pragnienie, połączone z mieszaniną bólu i przyjemności, co samo w sobie nie było przyjemne, by mieć to już za sobą. A nade wszystko musiał się uwolnić od tęsknoty, która uniemożliwiała mu wszelkie inne działanie.

Michał postanowił, że nie będzie rozmawiał z Tobym ani w swojej kancelarii, ani w sypialni. Rozważając teraz wszystko dokładnie, skoro postanowił nie czekać dłużej, uznał, że spotkanie powinno mieć charakter rzeczowy, nie intymny. Planował je i zastanawiał się, co powie, nawet z pewnego rodzaju satysfakcją. Przypomniał sobie, że przyrzekł pokazać Toby'emu miejsce, gdzie żerują kozodoje; uznał teraz, że jeśli rozmówi się z chłopcem przy okazji spełnienia tej obietnicy, nada ich spotkaniu pożądany ton zwyczajności. Przekona w ten sposób Toby'ego, że nic się specjalnie nie zmieniło i że nie ma jakiegoś przerażającego braku ciągłości między czasem

sprzed a czasem po przykrym zdarzeniu wczorajszego wieczora. Dowiedział się od Margaret Strafford, że Toby jest w sadzie; a że sama się tam wybierała, obiecała przekazać mu wiadomość.

Michał czekał na niego przy promie na drugim brzegu jeziora. Chciał skrócić tę część drogi, którą mieli odbyć wspólnie. Chciał się też upewnić, czy nie ma gdzieś w pobliżu Nicka. Na szczęście nie zobaczył go ani na łące, ani w lesie. Wracając nad jezioro Michał dostrzegł Toby'ego. Chłopiec biegł od strony domu w dół trawiastego zbocza, wskoczył do łodzi, o mało jej nie zatapiając, przepchał ją na drugi brzeg tak szybko, jak pozwalał na to jej niezdarny ciężar, i zdyszany stanął obok Michała na drewnianym pomoście.

– Cześć, Toby – powiedział Michał spokojnie, obracając się natychmiast i prowadząc go na ścieżkę leśną. – Pokażę ci kozodoje. Pamiętaj, że ci to obiecałem. To niedaleko stąd. Wiesz coś bliższego o kozodojach?

Toby, wpatrzony uparcie w ziemię, potrząsnął głową.

– Lelek kozodój – zaczął wyjaśniać Michał – jest ptakiem przelotnym. Powinien odlecieć bardzo niedługo, a zanim odleci, śpiewa zwykle ze szczególnym zapałem. Jest to ptak naprawdę niezwykle, jak się o tym zaraz przekonasz. Jego łacińska nazwa brzmi *caprimulgus*, kozodój, ponieważ dawniej wierzono, że żywi się kozim mlekiem. Głos kozodoja, który, mam nadzieję, usłyszysz, jest jakby bulgotaniem na dwa tony. Lata tylko o zmroku, a lot ma bardzo dziwaczny, niezwykle szybki, ale nieregularny, przypominający trochę lot nietoperza. Odznacza się jeszcze jedną osobliwą cechą. Kiedy siedzi na gałęzi, często zakłada skrzydła na grzbiet.

Toby się nie odzywał. Weszli dość głęboko w las i chociaż na otwartej przestrzeni było jeszcze jasno, tutaj zapadał już mrok. Osłabione światło zachodzącego słońca nie mogło wdrzeć się między drzewa, które zdawały się wytwarzać własną ciemność. Skręcili w szeroką, trawiastą aleję, wzdłuż której posadzono między dębami i wiązami dużo drzew iglastych. Było tu trochę jaśniej, ale mimo to cieniście i z każdą chwilą gęstniał mrok. Aleja prowadziła do mu.ru Opactwa, widocznego w oddali, muru przewierconego w tym miejscu małą furtką, na której zatrzymały się ostatnie promienie słońca.

Mniej więcej w połowie alei Michał zatrzymał się pod drzewem. Stali w milczeniu, wsłuchani w nieuchwytną dla ucha, a jednak żyjącą i poruszającą się ciszę lasu, który ogarnia ciemność. Stali tak długo, nie patrząc na siebie, ukołysani w końcu do stanu odrętwienia. Nagle tuż obok między drzewami odezwał się, niczym sygnał, głuchy, klekocący dźwięk. Tuż po klekotaniu zabrzmiał cichy, jakby bełkotliwy terkot i znowu klekotanie; i raptem w gęstniejącym mroku alei pokazały się ptaki. Migwały w przelocie między drzewami, wracały, znowu przelatowały w uporczywym, okrężnym tańcu nietoperzy. Nie sposób było dojrzeć, ile ich sfrunęło, ale mogły ich tu być krocie, gdy tak śmigwały i nieruchomiały w ziarnistej ciemności, wśród cichego furkotu długich spiczastych skrzydeł. Głębiej w lesie rozlegało się wciąż głuche klekotanie.

Wkrótce było już prawie za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Ptaki były jeszcze niewyraźnie widoczne, tuż nad głową, jak ogromne liście, trzepocące, lecz nie spadające, ale potem i one zniknęły, pochłonęła je ciemność nadchodzącej nocy. Michał zaczął iść wolno środkiem alei w kierunku domu. Nie obrócił się do Toby'ego, który szedł obok, cicho stawiając stopy w długiej trawie. Wypełniało go teraz uczucie niezwyklego spokoju, który udzielił się też, Michał był pewien, Toby'emu. Mogło się zdawać, że uczestniczyli w jakimś tajemnym wyzwalającym rytuale. Właściwie przykro było psuć nastrój wulgarnymi wyjaśnieniami. Ale w końcu przemówił, wypowiadał słowa, jakby się ich nauczył na pamięć.

– Toby, co do tej wczorajszej sprawy. Zrobiłem coś głupiego i złego... coś, czego, zapewniam cię, nie mam zwyczaju robić. Byłem niewiele mniej zdumiony od ciebie. Nie chcę robić z tego dramatu. Nie mam zamiaru mówić: „Zapomnijmy o tym”, bo to nie jest możliwe. Ale proponuję, żebyśmy się starali ignorować ten incydent, za dużo o nim nie myśleć i nie wyolbrzymiać jego

znaczenia. Zło tego uczynku obciąża tylko mnie, nie ciebie. Chciałem... no cóż, chciałem cię przeprosić i zaproponować, żebyśmy puścili tę sprawę w niepamięć. Wiem, że nie muszę się odwoływać do twojego rozsądku. Ale niepokoiłem się, że może za bardzo cię to trapi. Jest mi nieskończenie przykro, że zostałeś w taki sposób wytrącony z równowagi... mam jednak nadzieję, że zdobędziesz się na wysiłek i nie pozwolisz, żeby ta sprawa zepsuła ci pobyt w Imber.

Zatrzymali się i obrócili do siebie. Nawet tu, pośrodku tej przestronnej alei, zapadła już ciemność i drzewa były prawie niewidoczne, były mroczną obecnością głębszej czerni po obu stronach drogi. Toby miał wzrok utkwiony w ziemi, a potem z wyraźnym wysiłkiem podniósł głowę i spojrzał na Michała. Powiedział cicho:

– Naturalnie, wszystko jest w porządku. Przykro mi. Ale wszystko jest w porządku. Dziękuję, że pan tak ze mną rozmawiał. Ja rozumiem. Nie będę o tej sprawie w ogóle pamiętał.

Gdy Michał patrzył na jego pociemniałą twarz, ogarnęło go nagle dziwaczne uczucie *déjà vu*. Gdzie przeżywał już tę sytuację z jej nieuniknionym zakończeniem? I w momencie gdy przemówił i poruszył się, przypomniał sobie gasnące światło w swoim pokoju w szkole, gdy chłopiec i on siedzieli tak długo bez ruchu, zwróceniu do siebie twarzami.

– Dziękuję ci – powiedział, też bardzo cicho. Żadna siła na świecie nie zdołałaby powstrzymać go w tej chwili od dotknięcia Toby'ego. Sięgnął ręką na oślep i dłoń chłopca, jakby przyciągnięta magnesem, połączyła się z jego dłonią w mocnym uścisku. Stali milcząc w ciemności.

ROZDZIAŁ XIII

Był ranek następnego dnia. Słońce nadal wiernie świeciło, ale przy śniadaniu pewien chłód i pewna szarość powietrza przypominały o porze roku i wzrok szybciej dostrzegał oznaki jesiennego zamierania. Toby Spędził pierwsze godziny poranka w towarzystwie Patchwaya, który koniecznie chciał go nauczyć, jak posługiwać się kultywatorem. Toby okazał tej zabawce zaskakująco małe zainteresowanie i obchodził się z nią niezdarnie. O jedenastej wysłano go jak zwykle do pakowni, ale dowiedział się, że nie ma tu dla niego roboty. Pani Markowa, sama śpiesząca do pałacu, żeby zająć się praniem, kazała mu wrócić na farmę. Toby wyniósł się chyłkiem. Chciał pomyśleć.

Postanowił posiedzieć chwilę w kaplicy Opactwa, przeszedł więc groblą na drugi brzeg, obojętny na to, czy go ktoś wypatrzy. Do kaplicy chodził tylko na msze i gdy ją teraz zobaczył, cichą i pustą, wydała mu się miejscem budzącym grozę. Zasłony były odsunięte i przez kratę widać było ołtarz i mdłe światło przed tabernakulum. Kaplicę gości oświetlały dwa małe okna o zielonkawych szybach i było tu dość ciemno. Kaplica zakonnica, czy też widoczny jej fragment, wydawała się jeszcze ciemniejsza, światło wpływało do niej prawdopodobnie przez późnowiktoriańskie witraże. Było tam przeraźliwie cicho i zarazem jakoś czujnie.

Toby stał chwilę w drzwiach i nasłuchiwał. Powiedziano mu, że między porami nabożeństwa, dniem i nocą, zawsze jest w kaplicy klasztornej modląca się zakonnica. Nic nie usłyszał. Podszedł na palcach do kraty i stanął przed niską poręczą, przy której udzielano komunii, umieszczoną w odległości mniej więcej trzech stóp przed kratą. Było coś niesłychanie dziwnego w takim patrzeniu na ołtarz z boku, bez możliwości zobaczenia nawy przed ołtarzem. Zabrakło mu odwagi, żeby wejść za barierkę; ale, zerkając nerwowo za siebie, podsunął się najdalej, jak mógł, pod lewą ścianę kaplicy i zajrzał przez kratę do środka. Zobaczył niewiele więcej; tylko stopnie ołtarza, jakieś kolorowe kafle podłogi i kawałek przeciwległej ściany. Nawa pozostawała nieubłagana ukryta przed jego wzrokiem.

Wpatrując się w ten głębszy mrok Toby przypomniał sobie nagle ciemność jeziora, w którym odtworzony jest świat w odmiennych barwach; i zapragnął usilnie przejść na drugą stronę kraty. Ta myśl, zaledwie ją sobie uświadomił, zgorszyła go i przestraszyła. Stoi tu i w pewnym sensie nic nie może go powstrzymać od otworzenia małych drzwiczek w kracie i wejścia do kaplicy, gdzie pobylby może chwilę i spojrzął w głąb nawy. Zastanawiał się, co by tam zobaczył. Rzędy za rzędami pustych ławek i samotna zakonnica klęcząca gdzieś z tyłu, przyglądająca mu się posepnie; lub też, i na samą myśl o tym dostał gęsiej skórki, jest tam teraz całe zgromadzenie, w odległości kilku jardów od niego, siedzące w martwym milczeniu. W pewnym sensie nic nie mogło go powstrzymać od przejścia na drugą stronę. W innym sensie była to rzecz absolutnie niemożliwa i Toby nie odważył się nawet przejść przez barierkę.

Wycofał się szybko na koniec kaplicy, pełen wstydu na samą myśl, że ktoś mógłby go przyłapać na podglądaniu. Czuł się rozdrażniony, zdezorientowany i zdenerwowany. Wczoraj był świeżo po doznanych wstrząsach i odczuwał coś w rodzaju zgrozy, a potem tę gorączkową potrzebę porozmawiania z Michałem. Ale przynajmniej wczoraj czuł się niez zaangażowany, był widzem. Dzisiaj czuł się już uwikłany. Zastosowano wobec niego przemoc i potem jakoś dopuszczono go do uczestnictwa; nie był już ofiarą, był współnikiem. Rozumiał, że w pewnym sensie jest niesprawiedliwy wobec Michała. To, co Michał mówił wczoraj, było całkiem rozsądne i spokojne; a po tej bardzo krótkiej rozmowie w alei szli do domu gawędząc z przeczorną

obojętnością o zwykłych sprawach. Ale inna rzecz drążyła umysł Toby'ego – sposób, w jaki Michał chwycił go za rękę, i ta długa chwila, kiedy stali z dłońmi mocno splecionymi. Gdyby się tylko to nie zdarzyło; bo wiedział, że pragnął tego kontaktu nie mniej niż Michał. Nim też owoładnęło wzruszenie. Mimo wypowiedzianych słów przypominało to ęcenę miłosną między kochankami; i gdy teraz Toby wrócił do niej myślą, wydało mu się, że słowa były jedynie kawałkami słomy wyrzucanymi w górę i niszczącymi w gwałtownym żarze tego spotkania. Toby miał uczucie, że został wplątany w coś emocjonalnego i brudnego, a tego nienawidził.

Nie czuł jednak do Michała niechęci. Nawet wstręt fizyczny, jakim napełniła go ta przygoda, zwracał się teraz przeciwko niemu samemu. To, co Michał zrobił, było dla Toby'ego nieprawdopodobną rewelacją. Jego cała koncepcja ludzkiego istnienia stała się w ciągu chwili nieporównanie bardziej zawiła i dalej podlegała zmianom. Toby był już mniej skłonny przylepiać Michałowi etykietkę czy jakoś wyrażnie go określać. Odczuwał raczej palącą ciekawość. Jak to jest, kiedy jest się prawie duchownym, a jednak obcałowuje się chłopców? Zastanawiał się, czy mimo zapewnień Michał robi to często. Może budzą się w nim takie nagłe i nieodparte impulsy. Czy dręczą go wyrzuty sumienia? Nie opuściło też dotąd Toby'ego miłe uczucie, jakie dawała znajomość posepnych tajemnic tak czcigodnej osoby. Bo mimo wstrętu do całej sytuacji Toby czerpał pewną przyjemność z władzy posiadanej nad Michałem; władzy, której nie odróżniał od instynktu opiekuńczego. Zorientował się, że rozmyśla z czułością o słabostkach Michała.

Toby nie miał zwyczaju siedzieć beczynnym i dumać. Był zwykle ruchliwy, praktyczny i beztroski. Z prostotą, która idzie w parze z pewnym rodzajem doskonałego wychowania, nie uważał się za dorosłego. Mężczyźni nigdy mu się nie naprzykrzali, zresztą podobnie jak kobiety. „Zakochanie się” traktował jako coś, co jest zarezerwowane na przyszłość, na tę, jak mu się zdawało, odległą przyszłość, kiedy pozna bliżej przeciwną płęć. Przeżył teraz wstrząs, kiedy zobaczył, jak szybko zmieniła się jego wizja świata. Czuł w tej chwili głębką niechęć do pracy. Miał największą ochotę robić to, co robił teraz, to znaczy siedzieć i myśleć, rozpamiętywać bez końca rzeczy, które zostały powiedziane i zrobione, wciąż od nowa wskrzeszać w wyobraźni bladozłotą głowę i wąską, zatroskaną, jakby sokołą twarz swojego przyjaciela. Zaniepokoił się, czy to przypadkiem nie znaczy, że jest zakochany.

Toby bynajmniej nie twierdził przemądrzale, że wszyscy należymy po trochu do obu płci. Uważał, że kocha się albo mężczyzn, albo kobiety, a ten, kto jest na tyle nieszczęśliwy, że dopuści w sobie do głosu skłonności homoseksualne, nigdy już nie będzie mógł prowadzić normalnego życia. Ta myśl napełniła go podstępny strachem. Michał mu powiedział, że nie powinien wyolbrzymiać znaczenia tego, co się zdarzyło; ale to, co się zdarzyło, zdarzyło się jemu i nadal się dzieje, a on ma nad tym tak małą władzę, jak nad procesem trawienia. Zaczął się zastanawiać, a po wczorajszym wieczorze ta myśl nabrała solidniejszej treści, czy jest homoseksualistą od urodzenia.

Czy pociągają go kobiety? Fakt, że go dotąd nie pociągały, aż do tej chwili ani trochę Toby'ego nie martwił. Teraz go zaniepokoił i Toby chciał natychmiast rozproszyć swoje wątpliwości. Miał jednego brata, sporo od siebie młodszego, ale nie miał sióstr. Prawie nie znał dziewczyn w swoim wieku. Nie było wizerunków, które mógłby wskrzesić w myślach i sprawdzić na nich swoje skłonności. Zastanawiał się jakiś czas nad raczej ogólnikową koncepcją Kobiety. Stanęła mu przed oczami istota kształtna, acz macierzyńska. Nieśmiało zaczął ją rozbierać. I gdy tak patrzył na tę swoją wizję, ukradkiem obserwując własne reakcje, stopniowo zaczął się orientować, że owo gigantyczne wcielenie kobiecości przybiera rysy Dory Greenfield.

Ten obrót sprawy tyleż Toby'ego zdziwił, co ucieszył. Jak dotąd nie był specjalnie świadomy, że mu się Dora podoba, ale teraz, gdy z całą stanowczością badał swoje wnętrze, zachęcając się do deklaracji, które dawniej uważałyby za niestosowne, wydało mu się, że już od pewnego czasu

jest wrażliwy na jej wdzięki. Miała niewątpliwie wspaniałą głowę, której nadawały kształt te jej długie, płaskie kosmyki złotobrazowych włosów, jakby była postacią z jakiegoś włoskiego obrazu; a co do reszty, była ładnie zaokrąglona, można powiedzieć – pulchna. Jego wyobraźnia krążyła jakiś czas wokół obszerniejszego wizerunku Dory, ale przede wszystkim widział jej twarz o pełnych wargach, łagodnych rysach i macierzyńskim, ośmielającym wyrazie oczu. Podczas gdy od chłodniejszego obrazu Katarzyny, mimo całej zawartej w nim słodyczy, myśli Toby'ego uciekały jak od Artemidy, we wspomnieniach gestów i min Dory znajdował otuchę i zachętę.

Tę grę wyobraźni przerwał odgłos jakiegoś poruszenia dolatujący z kaplicy klasztornej. Rozległy się ciche kroki, szelest ciężkich spódnic. Toby podskoczył strwożony. Jest już pewnie pora seksty. Stał wsłuchując się w kroki i sugestywny szelest. Trwało to jakiś czas; a potem zabrzmiał cichnący odgłos, jak gdyby ogromny ptak sadowił się w gnieździe. Zapadła cisza przerwana wreszcie pojedynczym sopranem rozpoczynającym śpiew gregoriański. Toby doznał wstrząsu. Było coś monstrualnego, niemal prowokującego, w tej niewidzialnej i niedostępnej bliskości tak wielu kobiet. Tabu, jakie uczyniono z klauzury, nie mogło już uchodzić za rzecz w samej swojej istocie oczywistą; wydało mu się teraz irytujące, dręczące, podniecające. Zakonnica, która śpiewała, miała bardzo wysoki głos, dość podobny do głosu Katarzyny. Śpiew nadal rozbrzmiewał, aż w końcu ohydna czystość i surowość pieśni wydała się Toby'emu trudna do zniesienia. Obrócił się i wypadł z kaplicy.

Na dworze, w oślepiającym słońcu, poczuł się niewypowiedzianie chory i nieszczęśliwy. I zdał sobie sprawę z niejasnego pragnienia, żeby uczynić coś straszego. Świadomość, że wagaruje zamiast pracować w ogrodzie, niepokoiła go i jednocześnie sprawiała mu przyjemność. Z rozmysłem odwrócił się od grobli i zaczął iść wzdłuż muru Opactwa, w kierunku wciąż jeszcze odległej głównej szosy. Szedł tuż przy murze, przejeżdżając po nim ręką. Był to bardzo wysoki mur, zbudowany z małych, kwadratowych kamieni, granitu i syderytu, o złociście nakrapianej powierzchni. Kamienny kurz osiadał Toby'emu na dłoni jak pyłek kwietny. Chłopiec szedł z głową zwieszoną, wściekły na siebie i na cały świat.

Niebawem po obu stronach muru, oddalającego się teraz od jeziora, pokazały się wysokie drzewa i Toby wszedł w las. Trochę dalej miejsce to wydało mu się znajome. Szeroka aleja wysadzana drzewami iglastymi otwierała się po jego lewej ręce; prowadziła do jeziora, a na jej dalekim krańcu Toby dostrzegł wyłożoną słońcem otwartą przestrzeń niedaleko domku dozorczy. Wróciły żywe wspomnienia wczorajszego wieczoru i nagle ogarnęło Toby'ego osobliwe uczucie, że jest niewierny, a zaraz po tym przyszła świadomość absolutnej obrzydliwości wszystkiego. Gwałt rodzi się z pragnienia ucieczki przed samym sobą. Toby zadarł głowę i spojrział na mim.

Przed kilkoma dniami nie powstałaby mu nawet w głowie myśl o wdrapaniu się na mur Opactwa. Teraz wydało mu się nagle, że skoro wszystko jest tak pogmatwane, każda rzecz jest dozwolona. To uczucie nie było nawet nieprzyjemne. Ogarnęło go gorączkowe podniecenie i nagle zrozumiał, jak bardzo źle się czuł w ciągu ostatniej pół godziny. Cofnął się pod osłonę drzew i rozejrzał. Serce łomotało mu gwałtownie. Przypomniawszy sobie małą furtkę w murze, którą widział na końcu alei; ale furtka na pewno jest zamknięta. Zaczął badać mur wzrokiem. Był to mur bardzo stary, o kamieniach obłuzowanych, pełen nierówności i występów. Wybrał miejsce, gdzie kamienie wybrzuszały się i cofały w szczególnie zachęcający sposób, i rozpoczął wspinaczkę szukając rękami uchwytów w pęknięciach bliżej górnej krawędzi.

Było to trudniejsze, niż sądził. Miękkie kamienie kruszyły się na brzegach i Toby, z podrapanymi przegubami dłoni, musiał opuścić się na ziemię. Był teraz bliski szaleństwa. Pragnienie zobaczenia klauzury chwyciło go z nieprawdopodobną siłą. Znowu doznał niepokojącego uczucia, tym razem w znacznie silniejszym stopniu, że zaraz przejdzie na drugą

stronę zwierciadła. Mur nastęczał odpowiedni stopień trudności. Była to przeszkoda, ale do przezwyciężenia. Toby spróbował po raz drugi.

Tym razem znalazł dobre oparcie na nogi i rozpostarty w połowie muru szukał wyżej solidnego uchwytu dla palców. Znalazł i podciągnął jedną nogę wyżej. Po omacku wysunął ręce nad głowę, łudząc się, że dosięgnie krawędzi. Jego obmacująca mur ręka trafiła na krawędź, wbił palce w miękki pokład mchu i rozchodnika i uczeplił się kamieni.

Druga ręka podjechała do góry za pierwszą, ale jednocześnie w dole zaczęło się osuwać oparcie dla nóg. Uczeplił się łokciem krawędzi i szukał stopami występu na kruchej ścianie. W chwilę później dysząc i wyprostowując ramiona podciągał się dopóty, dopóki, oparty na brzuchu, nie zdołał przełożyć nogi przez krawędź. Siedział okrakiem na szczycie muru.

Zmordowany i tryumfujący Toby zlustrował okolicę. Zobaczył z pewnym zdziwieniem, że aleja wysadzana drzewami iglastymi ciągnie się dalej po tej stronie. Z miejsca, na którym siedział, nie mógł zobaczyć, dokąd prowadzi. Las w obrębie murów wydawał się równie gęsty i nie było widać żadnych budynków, tylko daleko po prawej majaczyła między drzewami wieża normańska. Toby poczuł się rozczarowany. Ostatecznie za murem wszystko wyglądało prawie tak samo jak po tamtej stronie. Przerzucił obie nogi na wewnętrzną stronę muru i siedział rozglądając się dokoła. Może coś się zdarzy, może przejdzie w dole jakaś zakonnica. Ale siedział długą chwilę, a las był wciąż tak samo niedostępny i milczący.

Wspinając się na mur Toby miał zamiar spojrzeć tylko na zabudowania Opactwa, nic więcej. Teraz, kiedy tak siedział, odezwało się w nim pragnienie, łaskoczące i dręczące jak impuls fizyczny, żeby skoczyć w dół na teren klauzury. W chwilę po tym, jak doznał tego pragnienia, wiedział, że jest nieodparte. Może jeszcze odwlec trochę ten moment, ale prędzej czy później będzie musiał skoczyć. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, tak się przejął, że skoczył natychmiast i wylądował z niemałym hałasem i znaczną szkodą dla odzienia w krzakach jeżyn. Podniósł się i stał bez ruchu, dysząc i nasłuchując. Ponieważ nic nie przerywało ciszy, odsunął się ostrożnie od muru i zaczął iść cicho w stronę alei; miał nadzieję, że zobaczy stamtąd budynki Opactwa.

Drżąc trochę i przewidując, że lada chwila rozlegnie się surowy głos żądający od niego wytłumaczenia, Toby wyszedł na otwartą przestrzeń na końcu alei. Aleja była gładka i dobrze utrzymana. Prowadziła jednak nie do zabudowań, lecz do innego, niższego muru, w którym mieściła się furka. Poza tym nic nie było widać. Toby stał chwilę i patrzył. Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby go teraz przyłapano; jego wyobraźnia wahała się między obrazem zakonnic uciekających przed nim z przeraźliwym wrzaskiem a obrazem zakonnic rzucających się na niego jak stado bachantek. Nie umiał powiedzieć, który obraz bardziej go przeraża; czy też raczej, pomyślał zdumiony, że coś takiego przyszło mu do głowy, bardziej go zachwyca. Stopniowo, gdy tak stał w denerwującej ciszy, wzrastała jego trwoga na myśl o tym, co zrobił. Postanowił wracać. Jednakże ta znajdująca się na końcu alei jakby replika muru i furki stwarzała zbyt fascynującą pokusę. Nie mógł oderwać oczu od furki; i po chwili sunął już między drzewami w jej stronę.

Gdy stanął przed nią, obejrzał się. Wysoki mur Opactwa wydawał się już bardzo odległy. Przyszło mu na myśl, że może będzie musiał wracać biegiem. Obrócił się do furki. Mur tu był niższy, ale za wysoki na to, żeby zajrzeć do środka górą. Z lewej i prawej ginął w cieniu drzew; ale za murem nie było ani jednego drzewa. Aleja kończyła się w tym miejscu. Położył rękę na ryglu i nabrał powietrza do płuc. Nacisnął Tygiel i sztabka podniosła się z głośnym zgrzytem. Pchnął drzwi, skrzypiały trochę, i powoli zaczął je otwierać. Hałas go przestraszył, ale pchał dalej drzwi, które otworzyły się ukazując kobierzec krótko przystrzyżonej trawy. Wszedł do środka i zorientował się, że jest na cmentarzu.

Widok był tak niespodziewany, że Toby zeszytniał w drzwiach, z ręką wciąż na klamce.

Znajdował się na zielonym, prostokątnym terenie otoczonym murami, wewnątrz których ciągnęły się równiutko rzędy grobów, każdy ze sterzącym w górę małym białym krzyżem. Rząd dość posępnych czarnych cyprysów wzdłuż spieczonego słońcem muru w głębi nadawał cmentarzowi osobliwie południowy wygląd. Przerazenia Toby'ego nie potrafił już spotęgować widok dwu zakonnice w pobliżu, które najwyraźniej oporządzały groby. Jedna z nich trzymała w ręku sekator. Obok stała kosiarka mechaniczna, ale widocznie nie była w użyciu, bo inaczej Toby by ją słyszał. Toby patrzył na zakonnice, a zakonnice, które słysząc skrzypienie furtki wyprostowały się i przerywając pracę, patrzyły na Toby'ego.

Zakonnica z sekatorem odłożyła narzędzie i powiedziała coś cichym głosem do towarzyszki. A potem ruszyła w stronę Toby'ego zamiatając długim habitem trawę. Zdrętwiały ze wstydu i strachu patrzył na nią, gdy się do niego zbliżała.

Kiedy była już na tyle blisko, że mógł zogniskować na niej oszołomione spojrzenie, zobaczył, że się uśmiecha. Ręka zsunęła mu się z rygla, automatycznie zrobił krok do tyłu, poza teren cmentarza. Wyszła za nim, zamknęła furtkę i w alei stanęli naprzeciwko siebie.

– Dzień dobry – powiedziała zakonnica. – Jesteś chyba Toby. Dobrze zgadłam?

– Tak – odparł Toby zwieszając głowę.

Zaczęli iść wolno między drzewami.

– Domyśliłam się – ciągnęła zakonnica. – Chociaż się nigdy nie widzimy, znamy was wszystkich, jakbyście byli naszymi najserdeczniejszymi przyjaciółmi. – Zakonnica wydawała się najzupełniej swobodna. Toby przeżywał udrękę wstydu i niepokoju.

– Nasz mały cmentarz pewnie cię zdziwił? – spytała zakonnica.

– O tak! – odparł Toby.

– Jest bardzo ładny, prawda? Taki jakiś przytulny, zamknięty. Czasem mi się zdaje, że jest jak dormitorium. Przyjemnie pomyśleć, że się samemu będzie tu kiedyś spało.

– Naprawdę jest piękny – powiedział Toby, bliski rozpaczy.

Przechodzili pod dużym cedrem i Toby zauważył, że z rozłożystych dolnych konarów coś zwisa. Była to huśtawka. Zbliżając się bezwiednie wyciągnął rękę i dotknął sznura.

– Doskonała huśtawka – stwierdziła zakonnica. Jej akcent zdradził do tego czasu, że jest Irlandką. – Może byś spróbował? Starej poczciwej huśtawce dobrze to robi. My same czasem się huśtamy.

Toby zawahał się. Potem, przeraźliwie czerwony na twarzy, usiadł i zmusił się do kilku ruchów do góry i na dół. Zakonnica stała obok uśmiechnięta.

Mamrocąc jakieś słowa Toby zeskoczył z huśtawki. Najchętniej by uciekł, zapadł się pod ziemię. Z twarzą odwróconą szedł obok zakonnicy, która nie przestawała mówić, dopóki nie stanęli przed furtką w murze Opactwa.

Zakonnica otworzyła furtkę.

– Nie była zamknięta! – powiedział Toby ze zdziwieniem.

– Ależ my nigdy nie zamykamy furtek! – wyjaśniła zakonnica. – Mam nadzieję, że wspinaczka na mur dobrze ci zrobiła. Młodzi chłopcy strasznie się lubią wspinać. – Rozpromieniona pchnęła furtkę. Toby przeszedł na drugą stronę muru i przez chwilę patrzyli na siebie stojąc w przejściu. Toby czuł, że powinien przeprosić, i z trudem szukał słów.

– Strasznie mi przykro' – wyjąkał. – Wiem, że nie wolno mi tu było przychodzić.

– Och, tylko się tym nie frasuj – powiedziała zakonnica. – Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale jak byłam w twoim wieku, jakoś nie mogłam w to uwierzyć. Zresztą mamy taki specjalny przepis, który pozwala czasem, wpuszczać dzieci na teren klauzury. – Zamknęła furtkę i Toby miał wrażenie, że po drugiej stronie muru uśmiech błąkał się na jej twarzy jeszcze przez kilka sekund po tym, jak zazgrzytał opuszczany rygiel.

Zapanowała cisza. Nikt nie widział jego wejścia i jego sromotnego wyjścia. Zaczął biec aleją, chcąc jak najprędzej oddalić się od niebezpiecznej i chyba bardziej jeszcze niedostępnej – jak mu się zdawało – klauzury. Czuł się ośmieszony, upokorzony, zawstydzony. Biegł z głową zwieszoną i powtarzał:

– Niech to diabli, diabli, diabli...

Dysząc wypadł na otwartą przestrzeń trawnika obok podjazdu i gdy zaczął przecinać go na ukos, zobaczył wjeżdżającą w bramę furgonetkę. Serce zdążyło mu raz dziko uderzyć, ale już w następnej sekundzie zobaczył, że za kierownicą siedzi Marek Strafford, nie Michał.

Na widok Toby'ego Marek zwolnił i zawołał:

– Podwieźć cię? Jesteśmy już prawie spóźnieni na obiad.

Toby siadł koło Marka i gdy zataczali łuk zbliżając się do domu, usiłował odpowiadać przytomnie na jego uwagi o dokuczliwości nabywców na rynku w Cirencester. Zatrzymali się na żwirze przed stopniami i natychmiast wybiegła do nich zaaferowana pani Markowa. Chciała się upewnić, czy jej mąż załatwił wszystkie sprawunki.

– Nie wie pani przypadkiem, gdzie może być teraz Dora? – spytał ją Toby.

Pani Markowa obróciła do niego okrągłą, błyszczącą, złowróbną twarz.

– To ty nie słyszałeś? – zdziwiła się. – Pani Greenfield opuściła nas. Pojechała z powrotem do Londynu.

ROZDZIAŁ XIV

Dora Greenfield leżała w łóżku. Był to ranek tego samego dnia. Paweł miał z nią stosunek. Teraz poszedł już do swoich rękopisów. Dora uległa jego pieszczotom bez entuzjazmu, a teraz czuła się zmęczona i jakby nierzeczywista. Pora śniadania minęła i nic nie przemawiało za tym, żeby wstać teraz, a nie trochę później. Leżała patrząc w otwarte okno, za którym znowu rozpościerał się obszar pogodnego nieba. Wpatrzona w tę głębię zastanawiała się, czy nazwać ją błękitną, czy szarą. Słońce na pewno świeci i niebo na pewno jest niebieskie, ale ponieważ okna jej pokoju wychodzą na północ i z łóżka nie widać ani jednej plamy słonecznej, nie sposób określić barwę. Otuliła się szczelniej i zapaliła papierosa. Ranek był mimo wszystko chłodny, w powietrzu czuło się jesienną wilgoć.

Odkąd Paweł wygłosił swoje małe przemówienie na cześć Katarzyny, wszystko z nim układało się źle. Nie chodziło o to, że Dora była zazdrosna czy że Paweł zawrócił sobie głowę Katarzyną. Ręcz polegała na tym, że Dora zdołała wtedy oszacować, z druzgocącą dokładnością, która była jej na ogół obca, ile jest zwykłej pogardy w miłości Pawła; i zawsze będzie, pomyślała, miała bowiem niewiele złudzeń co do możliwości dokonania w sobie jakiejś zmiany. Nie przyszło jej na myśl, żeby zadać sobie pytanie, czy Paweł mógłby się zmienić; ani nie przyszło jej na myśl, żeby czegokolwiek po nim oczekiwać. Odczuwała jego pogardę jako coś dla siebie niszczycielskiego, a jego miłość, w konsekwencji, jako niepożądaną. A przecież kochała go w jakiś bojaźliwie okrężny sposób, raczej beznadziejnie i na ponuro, jak można kochać kogoś, z kim się nigdy nie rozmawiało.

Znowu wybuchały między nimi kłótnie. Dora odwiedziła go kilkakrotnie w rozmównicy, oglądała jego foliały; ale nie licząc paru obrazków księgi wydały jej się nieciekawe i Paweł wykrzykiwał z goryczą, że ją nudzi, przez co tym trudniej było jej okazać zainteresowanie. Zostawiała go teraz w ciągu dnia samego i wędrowała po majątku na własną rękę albo wykonywała pod kierunkiem pani Markowej drobne prace w domu. Miała uczucie, że jest obserwowana. Wszyscy, wyobrażała sobie, obserwują ją skrycie, żeby zobaczyć, czy jest pogodna, czy unormowały się już na dobre jej stosunki z mężem. Czuła się tak, jakby inni organizowali jej życie, jakby była uwięziona. Pani Markowa wspomniała już trzy razy, że byłoby dobrze, gdyby porozmawiała z matką Klarą; i za trzecim razem, ze zwykłej inercji, Dora powiedziała, że może kiedyś odbędzie taką rozmowę. Dzisiaj na pewno pani Markowa będzie ją usiłowała zmusić do ustalenia dokładnego terminu. Dora zgasiła ostrożnie papierosa na pudełku zapalek i wstała z łóżka.

W drodze do okna przejrzała się w wysokim lustrze. Miała na sobie niebieską nylonową pidżamę; tę, która zginęła wraz z walizką. Patrzyła na siebie bardzo poważnie, zastanawiając się, czy naprawdę zeszczuplała i czy ograniczenie alkoholu poprawiło jej cerę. Ale nie mogła wzbudzić w sobie zainteresowania dla tego, co widziała, ani naprawdę w to uwierzyć. Nie mogła nawet we właściwy sposób ześrodkować spojrzenia na otępiełej twarzy tego swojego wizerunku. Podeszła do okna i wyjrzała. Słońce świeciło, jezioro było gładkie i pełne refleksów, wieża normańska ukazywała jej jedną płaszczyznę złocistą i jedną niknącą w cieniu. Dora doświadczała dziwnego uczucia, że wszystko to istnieje w jej głowie. Nie sposób wtargnąć w ten krajobraz, bo jest urojony.

Zaskoczona tym doznaniem zaczęła się ubierać, usiłowała myśleć o czymś rzeczowym. Ale oszałamiające poczucie nierealności trwało nadal. Wydawało się, że jej świadomość pożarła to,

co ją otacza. Wszystko było teraz subiektywne. Nawet, przypomniała sobie, Paweł tego ranka był subiektywny. Jego miłość była daleka jak coś, co ona sobie tylko wyobrażała, jak półsenna fantazja – wcale nie jak zbliżenie z żywym, autentycznym człowiekiem. Zaczęła się zastanawiać, czy nie jest chora. Może powinna pożyczyć termometr od Marka Strafforda, poprosić o jakieś lekarstwo z apteczki. Wróciła do okna i nagle przyszło jej na myśl, żeby spróbować wtargnąć jakoś w ten nieruchomy, ospały krajobraz, pomyślała, że mogłaby cisnąć coś z całej siły przez okno, co wpadłoby do jeziora z pluskiem i zmaćło refleksy na wodzie. Otworzyła szerzej okno i rozejrzała się za jakimś przedmiotem. Pudełko zapalek było za lekkie. Sięgnęła po szminkę i wzięwszy rozmach wyrzuciła ją za okno. Zniknęła, prawdopodobnie nie doleciała do jeziora i upadła gdzieś w wysoką trawę. Dora była bliska łez.

I właśnie wtedy zapragnęła pojechać do Londynu. Od przyjazdu do Imber ani razu nie brała poważnie pod uwagę możliwości ucieczki. Ale teraz, gdy napad solipsystycznej melancholii pogłębił jeszcze jej beznadziejność, poczuła nagle potrzebę działania; i wydało jej się, że może działać tylko w jeden sposób: wsiąść w pociąg i pojechać do Londynu. Na tę myśl krew uderzyła Dorze do głowy. Czuła, jak pałają jej policzki, jak bije serce, jak znowu staje się rzeczywista. Włożyła żakiet i sprawdziła zawartość torebki. Miała mnóstwo pieniędzy. Nic jej nie może zatrzymać, jest wolna. Usiadła na łóżku.

Czy powinna jechać? Paweł strasznie się zdenerwuje. Ale prawdę mówiąc, jej stosunki z Pawłem były ostatnio tak złe, że już nie mogły być gorsze, a co więcej, pomyślała mgliście, taki wstrząs dobrze mu zrobi. Gdzieś głębiej w świadomości tkwiło pragnienie, żeby go ukarać. Przez ostatnie dwa dni był dla niej konsekwentnie antypatyczny. Odczuwała potrzebę dowiedzenia mu, że wciąż potrafi być niezależna. Nie jest jego niewolnicą. Tak, pojedzie; był to pomysł, zwłaszcza odkąd nabrał dla niej realniejszych kształtów, naprawdę cudowny. Naturalnie nie pojedzie na długo, może nawet wróci przed nocą. Ani myśli robić z tego dramatu. Wróci wesoło, niedbale, prawie zaraz. Nie musi planować z góry. Ale jakie to będzie dla niej ożywcze – i jaki policzek dla Imber! Zapakowała małą torbę i dyskretnie wyruszyła piechotą na dworzec. W pokoju zostawiła kartkę: „Pojechałam do Londynu.”

Naturalnie Dora nie zadała sobie fatygi, żeby sprawdzić godziny odjazdu pociągów. Miała jednak szczęście, bo gdy trochę zdyszana wchodziła na dworzec, wpadł pośpieszny do Londynu. Wysiadając na dworcu Paddington przekonała się ze zdumieniem, że nie ma jeszcze dwunastej. Stała chwilę wśród tłumu, który ją okrężał, zachwycona tym tłokiem i poszturchiwaniem, wrzawą głosów i łoskotem pociągów, zapachem oliwy, pary i brudu, harmidrem i życzliwą, dobroczynną anonimowością Londynu. Już czuła się bardziej sobą. Poszła do budki telefonicznej i połączyła się z Sally. Sally uczyła teraz w szkole podstawowej i bywała w domu o różnych porach. Ale nikt nie odebrał telefonu. Dora była jednocześnie zmartwiona i zadowolona, bo mogła teraz z czystym sumieniem zatelefonować do Noela.

Noel był w domu. Jego głos w słuchawce brzmiał radośnie, ekstatycznie. Musi przyjść na lunch, musi przyjść do niego natychmiast, ma w domu mnóstwo cudownych rzeczy do jedzenia, nie ma po południu pracy, nic nie mogłoby go bardziej ucieszyć. Uszczęśliwiona Dora wskoczyła do taksówki. Bardzo niedługo zajechała pod dom Noela; była to ogromna, wczesnowiktoriańska kamienica czynszowa o kremowej fasadzie i olbrzymim portyku, stojąca w ocienionej drzewami ślepej uliczce w pobliżu Brompton Road. Noel mieszkał na najwyższym piętrze.

Przywitanie było entuzjastyczne. Dora wpadła w drzwi. Rzuciła się Noelowi w ramiona. Poderwał ją z podłogi, okręcił dokoła, rzucił na kanapę i skakał koło niej jak ogromny pies. Śmiali się i mówili jednocześnie, na całe gardło. Odczuwana radość zdumiała Dorę.

– Ojej! – zawołała. – Ten dziki hałas naprawdę dobrze mi robi!

– Nic dziwnego – powiedział Noel. – Po tym koszmarnym klasztorze. Niech ci się przyjrę.

Tak, bledsza, szczuplejsza. Dziecino, tak się cieszę, że przyjechałaś! – Schwycił ją za rękę, zmusił do wstania i pocałował hałaśliwie.

Dora zadarła głowę i spojrzała na niego. Dotknęła jego brzydkiej twarzy o nieregularnych rysach, pociągnęła go za wiotkie, bezbarwne włosy, uściśnęła jego ogromne, przyjazne dłonie. Boże, jak ten człowiek cudownie działa na nerwy!

– Daj mi coś do picia – zażądała.

Mieszkanie Noela było urządzone nowocześnie. Szary dywan przykrywał podłogę od ściany do ściany. Na pomalowanych na biało półkach stały książki z zakresu ekonomii i książki podróżnicze. Trzy ściany były żółte, czwarta wyklejona białą-czarną tapetą, sprawiającą wrażenie lasku bambusowego. Wszystko błyszczało i było bardzo czyste. W jednym rogu stał elektryczny gramofon w obudowie z jasnego orzecha, na nim piętrzył się wysoko stos błyszczących longplayów. Ogromny tapczan był przykryty walijską narzutą w geometryczny wzór i upiękuszony niezliczoną ilością poduszek w rozmaitych tonach zieleni. Krzesła były z wygiętych, elastycznych rur stalowych, nieprawdopodobnie wygodne. Słyszac grzechot kostek lodu i wciągając w nozdrza zapach cytryny, którą Noel krajał ostrym nożem, Dora rozpostarła ramiona. Przy Noelu czuła, że nie jest rzeczą skandaliczną być dalej młodym.

– Pójdę się wykąpać – oznajmiła.

– Zrób to, dziecino – powiedział Noel. – Przyniosę ci twoją szklaneczkę do łazienki. Przepuszczam, że sybarycka praktyka kąpielii jest w klasztorze wzbroniona.

Grzejnik do wody w łazience był włączany w Imber dwa razy tygodniowo i pani Markowa przypinała do tablicy listę kąpiących się, według kolejności zgłoszeń. Dora, którą kąpiel interesowała jedynie jako luksus, nie jako konieczność, nie korzystała ze swoich praw. Teraz, w różowo-białej łazience Noela, puszczała do wanny parującą wodę, wsypywała wonne sole, grzebała w szafce szukając ciepłego i puszystego ręcznika. Kiedy Noel wszedł niosąc jej cocktail, była już w wodzie.

– A teraz musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć – zażądał siadając na brzegu wanny. – Było ci tam strasznie?

– Właściwie nie jest tak źle – odparła. – Przyjechałam tylko na jeden dzień. Uważałam, że jest mi potrzebna zmiana. Oni wszyscy są naprawdę mili. Nie widziałam dotąd żadnych zakonnice... prócz jednej, która mieszka poza klauzurą. Ale mam tam okropne uczucie, że mnie obserwują i organizują mi życie.

– A jak się miewa kochany Pawełek?

– Dziękuję, doskonale. Och, był dla mnie okropny przez ostatnie dwa dni, ale myślę, że to moja wina.

– No i masz! – zawołał Noel. – Dlaczego wszystko ma być twoją winą? Czasem możesz być winna, ale nie zawsze. Całe nieszczęście z Pawłem, to że jest zazdrosny o twoje siły twórcze. Ponieważ sam nie potrafi nic stworzyć, postanowił, że tobie też nie pozwoli.

– Nie bądź niemądry – obruszyła się Dora. – Nie mam żadnych sił twórczych. A Paweł jest człowiekiem wyjątkowo twórczym. Mógłbyś mi potrzytać szklanekę i podać mydło?

– Wiesz, dajmy spokój Pawłowi – powiedział Noel. – Ale co do tych twoich maniaków religijnych. Pilnuj się, żeby cię nie wrobili w nieczyste sumienie. Tacy ludzie lubią mieć uczucie, że są grzeszni, lubią żyć w atmosferze napięcia emocjonalnego i samoponiżenia. Jesteś dla nich nie lada gratką. Skruszona żona i tak dalej. Ale im się nie poddawaj. Nie zapominaj, kochanie, że to, w co oni wierzą, po prostu nie jest prawdziwe.

– Pijesz z mojej szklanki! – wrzasnęła Dora. – Tak, chyba nie jest prawdziwe. Ale swoją drogą w tych ludziach jest coś uczciwego.

– Mogą być mili – przyznał Noel – ale są w głębokim błędzie. Nic dobrego w końcu nie

wynika z nieprawdziwych wierzeń. Nie ma Boga i nie ma sądu prócz tego, który każde z nas wydaje we własnym imieniu; a jaki jest ten sąd, to już nasza osobista sprawa. Naturalnie czasem musimy ingerować, żeby powstrzymać ludzi od robienia tego, co nam się nie podoba. Ale na miłość boską, nie wtrącajmy się do ich duszy. Nie mogą ścierpieć zadowolonych z siebie bydlaków, którzy łązą i osądzają innych, i każą im się wstydzić. Jeżeli chcą się tarzać w poczuciu własnej niegodziwości, ich sprawa. Ale kiedy zaczynają się wtrącać do swoich bliźnich, należy ich powstrzymać siłą!

– Strasznie się tym podniecasz – powiedziała Dora. – Podaj mi ręcznik.

– Tak, denerwuje mnie to – przyznał Noel. – Nie zazięb się, dziecino. Zrobię ci jeszcze jeden cocktail i nastawię nową płytę. Po prostu wścieka mnie myśl, że ci ludzie każą ci się uważać za nieszczęsną grzesznicę, chociaż wina wcale nie jest tak zupełnie twoja. A na samą myśl o Pawle grającym rolę skrzywdzonego i cnotliwego małżonka chce mi się rzygać. Ciekawe, czy ta dziura ma jakąś wartość w sensie dziennikarskim. Takie stuknięte organizacje to dobry materiał do reportażu. Mam przyjechać i rzucić na nich okiem?

– Och, nie! – zawołała Dora zgorszona. – W żadnym wypadku ci nie wolno! Niedługo sprowadzają nowy dzwon, to znaczy Opactwo, ogromny dzwon na wieżę, i zdaje się, że wtedy dadzą notatkę do prasy. Ale poza tym nic się nie dzieje i strasznie by się zdenerwowali, jakby ktoś przyjechał i próbował ich opisać. Noel, oni są naprawdę mili.

– Jeżeli tak uważasz... – powiedział Noel. – A teraz posłuchaj, aniołku.

Ubierając się Dora słyszała równomierne, wyczekujące dudnienie bębna. I nagle w ten głęboki, rytmiczny odgłos wplotły się jakby niezamierzone, protestujące krzyki klarnetu i trąbki. Dudnienie, jeszcze natarczywsze, ukryło się w coraz bardziej złożonym, złocistym, nostalgicznym zgiełku. Muzyka nabierała rozmachu – szaleńcza, porywająca. Dora wyszła skwapliwie z łazienki i przyłączyła się do Noela, który krokiem pantery przemierzał już pokój. Zaczęli tańczyć, najpierw bardzo wolno, poważnie, trzymając się spojrzeniem. Nieznaczące ruchy głowy, dłoni, biodra wyrażały ich zjednoczenie z rytmem. Nagle stopy zaczęły się poruszać szybciej, kreśliły zawyły wzór na dywanie, gdy jednocześnie Noel, w rytm bębna, usuwał ze środka pokoju krzesła i stoły. Potem wyciągnął rękę do Dory, szarpnął ją do siebie, znowu odepchnął, obracał ją i okręcał, aż w końcu stała się kalejdoskopem fruwających spódnic, migających ud i złotobrazowych włosów opadających na twarz.

Płyta się skończyła i upadli wyczerpani na podłogę, śmiejąc się z tryumfem po rytualnej powadze tańca. Kiedy ich śmiech umilkł, spojrzeli na siebie, wciąż spleceni w uścisku, siedząc na podłodze i trzymając się za ręce.

– Walcz! – powiedział Noel. – Nie zapomnij, walcz! A teraz, moje najdroższe na świecie stworzenie, muszę cię zostawić i pójść po jedyną rzecz, jakiej tu nie mamy, po butelkę wina. Zaraz wracam. Wiesz, że sklep jest tuż za rogiem. Czeka, napełnię ci szklanekę. A żeby ci się nie nudziło, wyjmij tymczasem wszystko z lodówki.

Pocałował Dorę i śpiewając zbiegł ze schodów. Gdy wyszedł, Dora siedziała chwilę na podłodze, popijała swój trunek i rozkoszowała się uczuciem zwykłego fizycznego istnienia, które dał jej taniec. Potem wstała, poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Wyglądało na to, że czeka ją wyborny posiłek. Wyjęła kilka gatunków salami, nadziewane oliwki, pasztet, pomidory, marynowany ogórek, rozmaite gatunki sera, kiść bananów i duży, cienki plaster czerwonej wołowiny. Dora, która lubiła, żeby posiłki rozciągały jej się w długi szereg maleńkich dań, obejrzała te produkty z zadowoleniem. Położyła wszystko na stole i umieściła dokoła czosnek, pieprze, oliwę, ocet, musztardę, sól morską oraz wszelkie przybory, jakimi, wiedziała o tym, Noel lubił posługiwać się przy gotowaniu. Gdy Noel preparował swoje proste i smaczkowe posiłki, on był zawsze kuchmistrem, a ona jego pełnym uwielbienia pomocnikiem. Pomyślała,

że jest jej bardzo wesoło.

W saloniku zaczął dzwonić telefon. Prawie o tym nie myśląc Dora weszła do pokoju i podniosła słuchawkę. Miała usta pełne ciasteczek cocktailowych i nie mogła się natychmiast odezwać, więc osoba telefonująca przemówiła pierwsza. Głos Pawła powiedział:

– Czy to Brompton 8379?

Dora zdrętwiała. Przełknęła ciasteczkę i odsunęła od siebie słuchawkę patrząc na nią, jakby była małym dzikim zwierzątkiem. Zapadła cisza.

Potem znowu odezwał się głos Pawła:

– Halo, czy mógłbym mówić z panem Spensem?

Dora słyszała z daleka jego głos. Ostrożnie przyłożyła słuchawkę z powrotem do ucha.

– Tu mówi Paweł Greenfield. Czy jest tam moja żona?

Dora знаła ten ton Pawła, oziębły, drżący ze zdenerwowania i gniewu. Prawie nie śmiała oddychać, żeby Paweł nie usłyszał. Wydało jej się, że musi wiedzieć, że to ona jest na drugim końcu drutu. Nie mogła się zdobyć na położenie słuchawki na widełki. Może jeśli będzie ją trzymała, Paweł pomyśli, że nie dostał połączenia.

I nagle Paweł powiedział:

– Dora.

Na dźwięk swojego imienia Dora zamknęła oczy, a twarz zmarszczyła jej się z bólu. Ale siedziała lodowato nieruchoma i prawie nie oddychała.

– Dora – powtórzył Paweł. – Dora, jesteś tam?

I nagle pośród ciszy, która teraz zapadła, rozległ się w słuchawce inny dźwięk. Przez chwilę Dora nie mogła się zorientować, co to jest. Potem rozpoznała śpiew kosa. Ptak wyrzucił z siebie kilka dźwięków i umilkł. Telefon w Imber był na dole, w hallu obok refektarza. Kos musi być gdzieś bardzo blisko na tarasie. Znowu się odezwał, jego śpiew brzmiał czysto i nieznośnie obco, i dziwnie w ciszy, która trwała, gdy umilkł głos Pawła. Dora rzuciła słuchawkę na stół. Poszła do kuchni. Przyjrzała się jakby ze zdziwieniem jedzeniu zgromadzonemu na stole, półotwartej lodówce, nie dopitej szklance trunku. Wróciła i położyła słuchawkę na widełki.

Weszła znów do kuchni. Plaster wołowiny rozprostowywał się w trakcie rozmrażania, leżał teraz surowy i ociekający, oblepiony skrwawionym papierem. Czosnek, oliwki, oliwa wydały się nagle Dorze posępnymi przyborami uwodzicielskimi. Tutaj też, pomyślała, moje życie jest organizowane. Wróciło poczucie nierzeczywistości; więc ostatecznie nie ma spotkań, nie ma działania. Stała chwilę, bardzo nieszczęśliwa, niezdecydowana. Nie miała już ochoty zostać, jeść obiadu z Noelem. Chciała uciec od telefonu. Wzięła żakiet i torebkę, nabazgrała kilka słów do Noela i zaczęła schodzić powoli ze schodów. Wiedziała, że Noel nie będzie miał pretensji. To było u niego takie cudowne, tak go odróżniało od Pawła; nie zwracał nigdy uwagi na drobiazgi – można było przyjść do niego na obiad i nagle zdecydować, że się nie zostanie.

Tuż przed rogiem ulicy Dora przywołała taksówkę. Gdy taksówkarz zawracał, żeby podjechać do krawężnika, zobaczyła Noela, biegł w jej stronę z butelką w ręce. Był przy niej, gdy taksówka się zatrzymała.

– ‘Co ci znowu strzeliło do głowy? – spytał Noel.

– Dzwonił Paweł – odparła Dora.

– Mój Boże! I co mu powiedziałaś?’

– Nic nie powiedziałam. Odłożyłam słuchawkę.

– Jedzie tutaj?

– Nie, telefonował ze wsi. Słyszał było śpiew ptaka. Nie odezwałam się, więc nic nie wie.

– A co z naszym lunchem? – spytał Noel.

– Nie mam już ochoty na jedzenie – odparła Dora. – Nie gniewaj się.

- Myślałem, że potrafisz walczyć – powiedział Noel.
- Nie potrafię walczyć – stwierdziła Dora. – Zresztą nigdy nie umiałam odróżnić zła od dobra. Ale to nieważne. Przykro mi, że tak uciekam. Nasz taniec naprawdę zrobił mi przyjemność.
- Mnie też – powiedział Noel. – No dobrze, zmykaj. Ale nie zapomnij, że to, w co wierzą ci ludzie, nie jest prawdziwe.
- Nie zapomnę. – Dora odwróciła się do taksówkarza i powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy: – Galeria Narodowa.
- Noel zawołał za odjeżdżającą taksówką.
- Pamiętaj! Boga nie ma!

* * *

Dora nie miała właściwie zamiaru zwiedzać Galerii Narodowej, ale gdy tam zajechała, weszła do środka. Mogła równie dobrze tu jak gdziekolwiek indziej zdecydować, co zrobi. Nie miała już ochoty na obiad. Zastanawiała się, czyby nie połączyć się jeszcze raz z Sally; ale nie miała już ochoty na zobaczenie się z Sally. Weszła na piętro i zagłębiła się w wiecznej wiośnie klimatyzowanych sal.

Dora była w Galerii Narodowej chyba tysiąc razy i malowidła wydawały jej się niemal tak znajome jak własna twarz. Przechodząc teraz ich szpalerem, jak przez ukochany las, czuła spływający na nią spokój. Szła jakiś czas bez celu, przyglądała się ze współczuciem nieszczęsnym zwiedzającym uzbrojonym w przewodniki i wytrzeszczającym oczy na arcydzieła. Dora nie musiała wytrzeszczać oczu. Patrzyła na obrazy, jak można w końcu patrzeć, kiedy zna się już wielkie dzieło naprawdę dobrze, zwracając się ku niemu z godnością, której ono używało. Czuła, że te obrazy naprawdę do niej należą, i pomyślała ze smutkiem, że są chyba jej jedyną własnością. Zaczerpnąwszy pociechy z obecności czegoś, co na nią reagowało i było jej przyjazne, Dora na pół świadomie skierowała kroki do rozmaitych swoich świętości, którym dawniej tak często oddawała cześć: do rozległych, jasnych obszarów malowideł włoskich, przestronniejszych i bardziej południowych niż autentyczne Południe, do aniołów Botticellego, promiennych jak ptaki, szczęśliwych jak bogowie, pozwijanych jak wicie pnącej rośliny, do wspaniałej cielesnej obecności Zuzanny Fourment, do tragicznej obecności Margarety Trip, do uroczystego świata wczesnoporannych barw Piero della Franceski, do zamkniętego, złoczonego świata Crivellego. Dora zatrzymała się w końcu przed obrazem Gainsborougha, portretem jego dwóch córeczek. Dzieci kroczą przez las trzymając się za ręce, a ich szatki migocą, ich ciemne oczy patrzą poważnie, ich blade twarzyczki, jak nabrzmiałe pąki, są podobne i zarazem niepodobne.

Dorę zawsze wzruszały obrazy. Dzisiaj też ją wzruszyły, ale inaczej. Dziwiła się, z uczuciem jakby wdzięczności, że nadal są tu wszystkie, i serce przepełniła jej miłość do obrazów, do ich znaczenia, ich cudownej szczodroblewości, wspaniałości. Przyszło jej na myśl, że tu w końcu jest coś rzeczywistego, coś doskonałego. Kto to powiedział, że doskonałość i rzeczywistość istnieją obok siebie? Było tu coś, czego jej świadomość nie mogła tak nikczemnie połączyć i czego nie mogła pozbawić wartości jako cząstki jej rojeń. Nawet Paweł, pomyślała, istnieje teraz tylko jako ktoś, o kim śniła; czy może jako niejasne zewnętrzne niebezpieczeństwo, z którym nigdy naprawdę się nie zetknęła i którego nie rozumiała. Ale obrazy były czymś rzeczywistym, co istniało poza nią, co przemawiało do niej dobrotliwie, a jednak władczy tonem; czymś wyniosłym i dobrym, czego obecność rozpraszała posępny, odrętwiały solipsyzm jej poprzedniego nastroju. Kiedy świat wydawał jej się subiektywny, wydawał jej się równocześnie nieciekawym i bez wartości. Ale teraz mimo wszystko było na nim coś więcej.

Te myśli, niezbyt jasno sformułowane, snuły się Dorze po głowie. Nigdy dotąd nie myślała w taki sposób o obrazach; ani też nie wyciągnęła teraz wyraźnego morału.

A jednak czuła, że było to objawienie. Patrzała na promieniejący, mroczny, tkliwy, pełen siły obraz Gainsborougha i chwyciło ją nagle pragnienie, żeby ukłęknać przed nim, objąć go, zapłakać.

Dora rozejrzała się z niepokojem, przestraszona, że ktoś mógł zauważyć jej uniesienie. Chociaż nie padła plackiem, na jej twarzy musiała się malować ekstaza i rzeczywiście czuła napływające do oczu łzy. Zobaczyła, że jest sama w tej sali; i uśmiech wypłynął jej na twarz, mogła teraz spokojniej radować się swoją mądrością. Spojrzała po raz ostatni na obraz, wciąż się uśmiechając, jak można się uśmiechać w świątyni, kiedy wiemy, że jesteśmy darzeni względami, wyróżniani, kochani. Potem odwróciła się i wyszła z budynku.

Dora śpieszyła się teraz, bardzo chciała zjeść obiad. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest już pora podwieczorku. Zastanawiała się przedtem, co ma robić; ale teraz, chociaż wcale o tym nie myślała, wszystko stało się oczywiste. Musi natychmiast wrócić do Imber. Jej prawdziwe życie jest w Imber, prawdziwe problemy; a ponieważ gdzieś istnieje jakieś dobro, może w końcu uda jej się rozwikłać te problemy. Zachodzi tu jakiś związek. Niejasno czuła, chociaż jeszcze tego nie rozumiała, że musi się trzymać tej myśli: zachodzi tu jakiś związek. Kupiła kanapkę i taksówką wróciła na dworzec Paddington.

ROZDZIAŁ XV

Gdy Dora dotarła w końcu do Imber, czuła się znacznie bardziej uległa. Sapała pociąg natychmiast, ale bardzo powolny. Znowu była strasznie głodna. Bała się gniewu Pawła. Usiłowała nadal wierzyć, że spotkało ją coś dobrego; ale teraz odnosiła wrażenie, że ta dobra rzecz mimo wszystko nie łączy się w żaden sposób z jej obecnymi kłopotami. Ot, miała trochę frajdy i teraz się to skończyło. W każdym razie Dora była zmęczona i niezdolną do myślenia, i czuła się zniechęcona, przestraszona, rozżalona. Pojechała wiejską taksówką do Imber, ale wysiadła na podjeździe; nie pozwoliła się zawieźć pod sam dom, wołała, żeby bractwo dowiedziało się o jej powrocie w sposób dyskretny. Bała się też, że jeśli nie porozmawia najpierw z Pawłem na osobności, Paweł zrobi jej awanturę przy ludziach. Zobaczyła z daleka światła pałacu, wydały jej się wrogie i potępiające.

Było już dobrze po dziesiątej. Przebywając ostatni odcinek podjazdu i starając się iść po żwirze możliwie najciszej, Dora zobaczyła, że w hallu i pokoju rekreacyjnym pali się światło. Nie widziała okien pokoju, który zajmowała z Pawłem, bo wychodziły na odnogę jeziora. Pałac wznosił się nad nią mroczny, zakrywał gwiazdy; i nagle usłyszała muzykę. Bardzo wyraźnie w łagodnym i cichym powietrzu tej ciepłej nocy przypłynęły do niej ostre dźwięki fortepianu. Dora słuchała zdziwiona. Przecież w Imber nie ma fortepianu. Nagle pomyślała – ależ naturalnie, płyta, recital Bacha. Miał się odbyć dzisiaj wieczorem i wszyscy członkowie bractwa siedzą w pokoju rekreacyjnym i słuchają. Ciekawe, czy Paweł jest z nimi. Opierając się przeczornie o balustradę, żeby ciszej stawiać kroki, Dora weszła schodami na balkon.

Światła padające z hallu i przez nowoczesne drzwi balkonowe pokoju rekreacyjnego tworzyły rozjarzoną plamę na szczycie schodów. Dora widziała wyraźnie kamienne płyty balkonu. Muzyka była teraz bardzo głośna i na pewno nikt nie usłyszał jej kroków. Dora stała kilka chwil, przeczornie poza słupem światła. I przysłuchiwała się muzyce. Tak, to Bach. Dora nie lubiła muzyki, wszelkiej muzyki, w której nie mogła uczestniczyć śpiewem i tańcem. Paweł zrezygnował z prowadzania jej na koncerty, bo nie potrafiła utrzymać spokojnie nóg. Przysłuchiwała się teraz z niesmakiem twardym układom dźwięków, które szarpały jej uczucia nie zaspokajając ich i które w arogancki sposób żądały, żeby się w nie wsłuchiwać. Dora nie myślała się w nie wsłuchiwać.

Obeszła ostrożnie plamę światła, cały czas pozostając w mroku, dopóki nie stanęła w miejscu, skąd mogła zajrzeć do pokoju rekreacyjnego. Ulała, że tamci w środku jej nie zobaczą, bo uniemożliwi im to ostry kontrast między światłem a ciemnością. Przekonała się, co było dla niej wstrząsem, że widzi wszystko doskonale i że przesuwając się może ogarnąć wzrokiem cały pokój. Muzyka jak wodospad tworzyła potężną barierę i Dorze wydało się dziwne, że widzi tak wiele osób i z tak bliska. Byli to jednak ludzie zaczarowani i miała uczucie, że może im się przyglądać, jak czarnoksiężnik przygląda się swoim ofiarom.

Członkowie bractwa usadowili się półkolem w niewygodnych fotelach z drewnianymi oparciami, wszyscy prócz pani Markowej, która siedziała na podłodze po turecku, starannie obetkawszy nogi spódnicą. Opierała się plecami o nogę fotela, na którym siedział jej mąż. Marek Strafford, z ręką znieruchomiałą w trakcie głaskania brody, patrzył w kąt, w którym stał gramofon, i wyglądał jak ktoś, kto w żywych obrazach gra Mojżesza Michała Anioła. Tuż obok siedziała Katarzyna, ręce trzymała złożone, pocierała leciutko jedną dłonią o drugą. Głowę miała pochyloną, oczy zamysłone, było coś sennego w ociężałej przestrzeni między jej rzęsami a

wysokim łukiem brwi. Nieporządne kosmyki włosów zatknęła niedbale za uszy. Dora zastanawiała się, czy Katarzyna naprawdę słucha muzyki. Toby był w środku pokoju, naprzeciwko okna, siedział skulony, w pełnej wdzięku pozie, z jedną nogą podwiniętą pod siebie, drugą przerzuconą przez oparcie, z ręką zwisającą. Miał minę roztargnioną i jakby strapioną. Obok niego siedział pochylany Michał, z łokciami na kolanach, z twarzą w dłoniach, wyblakłe złote włosy sterczały mu między palcami. Siedzący przy nim James miał głowę odrzuconą do tyłu, chłonął muzykę z bezwstydnym, niemal roześmianym zadowoleniem. W kącie był Paweł, siedział sztywno i z tą swoją jakby wojskową miną, którą nadawały mu czasem wąsy, a która tak nie pasowała do reszty jego osobowości. Było w nim napięcie, koncentracja, jak gdyby lada moment miał rzucić warkliwie jakiś rozkaz.

Dora zmartwiła się, że Paweł słucha koncertu. Przy odrobinie szczęścia łatwiej znalazłaby do niego dostęp, gdyby siedział osowił na górze; jak powinien, pomyślała z urazą, skoro tajemnica zniknięcia jego żony nie została jeszcze wyświetlona. Dora przyglądała mu się chwilę, pełna obaw, a potem znowu zaczęła badać wzrokiem całą grupę. Widząc ich tak wszystkich razem, poczuła się usunięta poza nawias i jednocześnie agresywna i przypomniała sobie upomnienia Noela. Była w tych ludziach jakaś pewność siebie i błogie samozadowolenie – duchowa klasa rządząca! I nagle Dora zapragnęła stać się tak ogromna i groźna jak goryl, wyrwać cienkie drzwi z zawiasów i utopić odrażającą muzykę w dzikim wrzasku żadnego krwi zwierzęcia.

Tak już długo ich obserwowała, że czuła się niewidzialna. Zrobiła niewielki ruch, żeby odejść, i w tym momencie spostrzegła, że Toby patrzy przez okno prosto na nią. Przez chwilę nie była pewna, czy ją widzi, więc stała bez ruchu. Potem jakaś zmiana w wyrazie jego twarzy, oczy rozszerzające się i akomodujące do widzenia, nieznaczne napięcie w całym ciele przekonały ją, że została zauważona. Dora czekała, zastanawiała się, co Toby robi. Ku jej zdziwieniu nie zrobił nic. Siedział chwilę i patrzył na nią skupiony; a potem spuścił oczy. Dora wycofała się ostrożnie w mrok. Poza Tobym nikt w pokoju niczego nie zauważył.

Stała w dalekim kącie balkonu przygnębiona, wylękniona; nie wiedziała, co robić. Pomyślała, że powinna chyba pójść na górę do pokoju i czekać tam na Pawła; ale perspektywa takiego ponurego czuwania była naprawdę deprymująca i Dora nie potrafiła się zmusić do wejścia na schody. Zeszła znów na taras i powędrowała ścieżką ku grobli. Wschodzący księżyc dostatecznie oświetlał jej drogę. Widać było mroczniejszą na tle nieba sylwetkę drzew Opactwa i wieży, jak wieczorem pierwszego dnia po jej przyjeździe do Imber. Dotarła do jeziora, którego wody połyskiwały mrocznie; nie dotknął ich jeszcze blask księżyca.

Obróciwszy się i spojrzawszy na dom Dora zobaczyła z przestachem ciemną postać idącą ku niej po ścieżce. Była pewna, że to Paweł, i jej dawny, głęboko zakorzeniony lęk przed nim przydał grozy nocnemu krajobrazowi. Miała ochotę uciec; ale stała nieruchomo, z ręką przy piersi, jakby przygotowana do przyjęcia ciosu. Postać zbliżała się, szła cicho po trawiastej ścieżce. Gdy była już całkiem blisko, Dora zobaczyła, że to Toby.

– Och, Toby – zawołała z ulgą. – Jak się masz. Wyszedłeś z koncertu.

– Tak – powiedział Toby. Był zdyszany. – Wyszedłem w przerwie przed ostatnią częścią.

– Podoba ci się ta muzyka? – spytała Dora.

– Właściwie nie bardzo – wyjaśnił Toby. – I tak miałem wyjść. A potem zobaczyłem cię przez okno.

– Powiedziałeś im, że wróciłam?

– Nie, wolałem się nie odzywać w przerwie. Po prostu wyszedłem. Oni są załatwieni jeszcze na dobre trzy kwadranse – dodał.

– No cóż – powiedziała Dora. – Piękny wieczór.

– Pospacerujmy trochę – zaproponował Toby.

Był wyraźnie zadowolony, że ją widzi. Bogu dzięki, że przynajmniej ktoś był! Szli ścieżką nad samym jeziorem, naprzeciwko muru Opactwa. Księżyc, który wypłynął już wyżej, rozpostarł złoty wachlarz na powierzchni wody. Dora spojrzała na Toby'ego i zobaczyła, że on patrzy na nią. Było jej z nim przyjemnie. Czuła łączącą ich naturalną więź, która przekonała ją o trwałej sile jej nienaruszonej młodości. Oto ktoś, kto nie chciał odgradzać jej od świata czy sądzić. Natomiast tamci, pomyślała posepnie, Paweł na swój sposób i członkowie bractwa na swój, chcieliby ją zmusić do grania ich roli. Kilka godzin temu czuła się wolna i wróciła do Imber z własnej nieprzymuszonej woli, zdobywając się na rzeczywiste działanie. Ale oni zrobią z tego wymuszony na winowajczyni powrót zbiegłego więźnia. Zastanawiając się nad nieuchronnością, której istoty nie rozumiała, ich wyższości nad sobą i rozumiejąc, że nigdy nie zdoła się z nimi zrównać, Dora zaczęła żałować decyzji powrotu.

Szli wymieniając od czasu do czasu jakąś uwagę na temat księżycowego blasku, dopóki ścieżka nie wpadła w las. Zagłębili się w tunelu pociemniałego listowia, oświetlonym tu i ówdzie błyskami wyłoczonej wody. Toby kroczył naprzód śmiało, a Dora szła za nim myśląc, jak nieskrępowane jest milczenie w jego towarzystwie. Postanowiła poczekać trzy kwadranse, na jakie według Toby'ego tamci „są załatwieni”, a nawet trochę dłużej, żeby towarzystwo zdążyło się rozejść do pokojów; wtedy będzie pewna, że zastanie Pawła na górze samego.

– No i jesteście! – powiedział Toby.

– Gdzie jesteście? – spytała Dora. Podeszła do niego. Drzewa były tu cofnięte od brzegu i blask księżyca ukazywał wyraźnie otwartą trawiastą przestrzeń i kamienne nabrzeże schodzące pochyło do wody.

– Znam to miejsce – wyjaśnił Toby. – Kąpałem się tu kilka razy. Poza mną nikt tutaj nie przychodzi.

– Ładnie tu – przyznała Dora. Usiadła na kamieniach górnej krawędzi nabrzeża. Jezioro było na oko zupełnie nieruchome, a jednak w ciszy, która zapadła, wydobywały się z niego dziwne, jakby płynne dźwięki. Po drugiej stronie, trochę w lewo, ciągnął się mur Opactwa z górującymi nad nim blankami drzew. Ale naprzeciwko był tylko ciemny las, przedłużenie po drugiej stronie wody tego lasu, który rozpościerał się za ich plecami. Dorze zdawało się, że oświetlony blaskiem księżyca krąg, nad którym siedzi, jest jakiś straszny, zamieszkały. Rozległ się głos sowy. Spojrzała na Toby'ego. Cieszyła się, że nie jest tu sama.

Toby stał tuż obok, na szczycie nabrzeża, i patrzył na nią. Dora zapomniała, co chciała powiedzieć. Ciemność, cisza, ta bliskość sprawiły nagle, że stała się fizycznie świadoma jego obecności. Miała uczucie, że ciała ich obojga są połączone przewodem elektrycznym. Była ciekawa, czy on w tym momencie odczuwa to samo. Przypomniała sobie, jak kiedyś widziała go nagiego, i uśmiechnęła się. Toby zobaczył w blasku księżyca jej uśmiech i też się uśmiechnął.

– Powiedz mi coś, Toby – poprosiła Dora.

Toby, trochę zdziwiony, zeszedł w dół nabrzeża i przykucnął obok. Czuli w nozdrzach chłodny, roślinnoznęły zapach wody.

– Co mam powiedzieć? – spytał.

– Och, nic specjalnego – odparła. – Cokolwiek.

Toby usiadł na kamieniach. Milczał chwilę.

– Powiem ci coś bardzo dziwnego – zaczął.

– Mów – zażądała.

– Tam na dnie w wodzie jest ogromny dzwon.

– Co? – zawołała Dora. Poderwała się zdumiona, prawie go nie rozumiejąc.

– Tak, dzwon – powtórzył Toby, zadowolony z wrażenia, jakie wywarły jego słowa. –

Dziwne, co? Znalazłem go, jak pływałem pod wodą. Za pierwszym razem miałem wątpliwości, ale wróciłem, żeby go zbadać. Jestem pewien, że to dzwon.

– Widziałeś go, dotykałeś?

– Dotykałem, obmacałem rękami. Leży tylko do połowy zagrzebany w szlamie. Tam jest za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Czy ma na wierzchu rzeźby? – spytała Dora.

– Rzeźby? – zastanowił się Toby. – Och, ma jakieś wypukłości i wgłębienia, ale to może być nie wiadomo co. Dlaczego pytasz?

– Mój Boże! – powiedziała Dora. Wstała. Przytknęła dłoń do ust.

Toby też się podniósł. Był teraz trochę przestraszony.

– Dlaczego... co się stało?

– Mówiłeś komu? – spytała Dora.

– Nie. Właściwie nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że zachowam to w tajemnicy, dopóki go jeszcze raz nie obejrzę.

– Słuchaj – powiedziała Dora – nic nikomu nie mów. Niech to będzie nasz sekret, dobrze? – Dora, która nie wątpiła w prawdziwość tego, co jej Toby powiedział, ani w tożsamość dzwonu, wpadła w trochę niepokojące uniesienie osoby obdarzonej nagle wielką władzą, ale nie wiedzącej jeszcze, jak tej władzy użyć. Chwycała się tego swojego odkrycia, jak mały Arab chwyta w ręce zwój papirusu. Nie wiedziała jeszcze, co to jest, ale już postanowiła sprzedać tę rzecz drogo.

– Zgoda – powiedział Toby dość zadowolony. – Nie pisnę ani słowa. To bardzo dziwna historia, prawda? Właściwie nie wiem, dlaczego się tym bardziej nie przejąłem. Początkowo nie byłem pewien, a potem... potem miałem różne inne sprawy na głowie. Zresztą mogę się mylić. Ale ty się tym jakoś bardzo przejęłaś.

– Jestem pewna, że się nie mylisz – oznajmiła Dora. I opowiedziała mu zasłyszaną od Pawła legendę, która tak bardzo poruszyła jej wyobraźnię, o grzesznej zakonnicy i kłótwie biskupa.

Gdy skończyła, Toby był równie poruszony jak ona.

– Ale taka historia nie może być prawdziwa – powiedział.

– Masz rację – przyznała Dora – ale Paweł twierdzi, że w tych starych legendach jest zawsze jakieś ziarno prawdy. Przypuszczalnie dzwon dostał się w jakiś sposób do jeziora, no i dotąd tam leży. – Wskazała na gładką powierzchnię wody. – Jeżeli to jest ten średniowieczny dzwon, takie odkrycie może być szalenie ważne dla sztuki, historii i tak dalej. Moglibyśmy go wyciągnąć?

– My... to znaczy ty i ja? – spytał zdumiony Toby. – W żaden sposób. Jest ogromny, waży Bóg wie ile. Zresztą jest zagrzebany w szlamie.

– Mówiłeś, że tylko do połowy – przypomniała mu Dora. – Będziesz studiował inżynierię. Nie moglibyśmy go wyciągnąć za pomocą bloku czy czegoś takiego?

– Moglibyśmy zmontować blok – powiedział Toby – ale nie mamy napędu. Zresztą może dałoby się użyć traktora... Ale co chcesz zrobić?

– Jeszcze nie wiem – oznajmiła Dora. Obejmowała twarz rękami, oczy miała błyszczące. – Zdziwić wszystkich. Zrobić cud. James powiedział, że era cudów jeszcze się nie skończyła.

Toby patrzył na nią z powątpiewaniem.

– Jeżeli to jest takie ważne, to czy nie powinniśmy zawiadomić tamtych?

– Dowiedzą się we właściwym czasie – oznajmiła Dora. – Przecież nie zrobilibyśmy nic złego. Pomyśl, jaka by to była cudowna niespodzianka. Powiedzmy... och, bo ja wiem... powiedzmy, że udałoby nam się jakoś podłożyć ten stary dzwon na miejsce nowego, jak go tu przysłał w przyszłym tygodniu. Mają go zasłonić i potem dokonać uroczystego odsłonięcia przed bramą Opactwa. Pomyśl, co by to była za sensacja, gdyby znaleźli pod zasłoną ten

średniowieczny dzwoni Słuchaj, to byłoby wspaniałe, jak prawdziwy cud, do takich miejsc ludzie potem odbywają pielgrzymki.

– Ale byłoby to zwykłe nabieranie – powiedział Toby. – A poza tym dzwon może być połamany i uszkodzony. Zresztą to jest za trudne.

– Nic nie jest za trudne – zapewniła go Dora. – Mam uczucie, że los nam to jakoś przeznaczył. Strasznie bym chciała trochę wszystkich rozruszać. Mieliby nieprawdopodobną niespodziankę... a potem tak by się wszyscy cieszyli, że mają ten dzwon... uważaliby, że to jest nieoczekiwany prezent. Nie myślisz?

– Czy to nie byłoby trochę... w złym guście? – spytał Toby.

– Jak coś jest tak fantastyczne i tak cudowne, nie może być w złym guście – zapewniła go Dora. – W ostatecznym rezultacie taka rzecz podniesie ‘ wszystkich na duchu. Mnie na pewno podniesie! No jak, trzymamy sztamę?

Toby zaczął się śmiać. Powiedział:

– Pomysł jest zupełnie nieprawdopodobny. Ale i tak nam się to nie uda.

– Z pomocą inżyniera mogę zrobić wszystko – oznajmiła Dora. I gdy tak stała w blasku księżyca, spoglądając na nieruchome jezioro, naprawdę miała uczucie, że samą siłą woli potrafi wydobyć wielki dzwon z dna. Mimo wszystko, i na swój sposób, będzie walczyła. W tym świątobliwym zgromadzeniu zagra rolę czarownicy.

ROZDZIAŁ XVI

– Najważniejszym warunkiem zanego życia – powiedział Michał – jest stworzyć sobie jakąś koncepcją własnych możliwości. Trzeba znać siebie dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, co wybrać. Trzeba zastanowić się głęboko, jak najlepiej użyć sił, które posiadamy.

Była to niedziela i na Michała przypadła kolej wygłoszenia nauki. Chociaż sama myśl o przemawianiu z pulpitu napawała go wstrętem, z zawziętością zmusił się do działania; uważał, że powinien możliwie jak najwierniej trzymać się ustalonego trybu życia. Mówił płynnie, bo przemyślał z góry to, co chciał powiedzieć, i nie wahał się teraz ani nie zaglądał do notatek. Uważał, że rola, w jakiej występuje, jest bezdennie śmieszna, ale nie brakowało mu słów. Stał na podium spoglądając na swoją małą kongregację. Był to widok dobrze mu znany. Ojciec Bob siedział swoim zwyczajem w pierwszym rzędzie, z rękami założonymi; jego błyszczące, wyłupiaste oczy wpatrywały się w Michała uważnie, niemal go pożerały. Marek Stratford miał oczy zagadkowo zmrużone, siedział w drugim rzędzie obok Katarzyny i swojej żony. Piotr Topglass zajął miejsce w trzecim rzędzie, był zajęty czyszczeniem okularów jedwabną chusteczką. Od czasu do czasu przyglądał im się i niezadowolony znowu zabierał się do roboty. Kazania Michała przyprawiały go zawsze o zdenerwowanie. Obok siedział Patchway, który przychodził zwykle, żeby posłuchać Michała; zdjął na tę okazję kapelusz ukazując łysinę, która, choć tak rzadko odkrywana, zdołała się jednak opalić. Pawła i Dory nie było, poszli na spacer zirytowani i wyraźnie skłóceni. Toby usiadł na samym końcu, zakrył twarz rękami i głowę miał tak nisko pochyloną, że Michał dostrzegał kryzkę włosów nad jego karkiem.

Michał wiedział już teraz, kiedy ta spóźniona wiedza nie mogła mu dać żadnego pożytku, że popełnił błąd spotykając się z Tobym. Spotkanie, uścisk dłoni miały w sobie intensywność, a co więcej, czar, których Michał nie przewidział – lub może wolał nie przewidywać – a które wraz z wcześniejszym incydentem urosły do rozmiarów czegoś, co miało wagę i znaczenie opowieści. Był rozwój wypadków, było oczekiwanie. Michał wiedział, że należało przeprowadzić rozmowę z Tobym inaczej, ale wiedział też, że ponieważ jest sobą, nigdy nie umiałby się na to zdobyć, a skoro tak, powinien był napisać do Toby'ego albo raczej nie powinien był w ogóle nic robić, niechby sobie chłopak myślał o nim jak najgorzej. Potrafił już teraz ocenić, jak bardzo to spotkanie było potrzebne jemu, Michałowi, aby naprawić w jakiś sposób wyobrażenie Toby'ego o nim, brutalnie zmaćcone przez tamten incydent.

¿Nieszczęście polegało na tym, co Michał teraz rozumiał, że odważył się na działanie, do którego prawo miałyby człowiek lepszy niż on; a jednak, zgodnie z surowym paradoksem, człowiek lepszy nie znalazłby się w sytuacji, która wymagałaby takiego działania. Można było poprowadzić rozmowę z Tobym w sposób nieemocjonalny, który położyłby ostatecznie kres tej historii; tylko dla Michała nie było to możliwe. Przypomniawszy sobie, jak się modlił i jak uczynił z tej sprawy niemal probierz swojej wiary. To prawda, że człowiek wielkiej wiary mógł działać z całą śmiałością; i że uszłoby mu to bezkarnie, tylko że Michał nie był takim człowiekiem. Błąd polegał na tym, że nie ocenił dokładnie swoich możliwości, swojego poziomu duchowego; i z tych właśnie refleksji nad tą sprawą Michał zaczerpnął, nie bez pewnej goryczy, temat do swojego kazania. Trzeba spełniać skromniejsze uczynki, z którymi możemy sobie poradzić, którym możemy podołać; a nie wznioślejsze, które partaczymy.

Michał rozumiał, że przecenianie ważności tego, co się dzieje, samo w sobie jest niebezpieczne. Wzdychał do odrobiny chłopskiego zdrowego rozsądku, który by mu pozwolił

spojrzeć na własny postępek jako na pożałowania godny, ale tym razem przynajmniej bez katastrofalnych następstw. Czuł, co dowodziło może małoduszności, że powiernik z charakterem, nawet cyniczny, mógłby mu pomóc osłabić władzę, jaką miała nad nim ta sytuacja, gdyby mu ją ukazał w zwyczajniejszych, mniej dramatycznych proporcjach. Ale nie miał powiernika; i był bezustannie, boleśnie świadomy jednej konsekwencji swego postępku: zburzył ispokój ducha Toby'ego. Chłopiec zmienił się, nie był już szczerym, pogodnym, ciężko pracującym młodzieńcem, lecz pełną niepokoju, skrytą, wykrętną istotą. Zmiana w zachowaniu Toby'ego tak była dla Michała widoczna, że nie mógł pojąć, dlaczego tamci jej nie zauważają.

Zburzył też własny spokój ducha. Dręczyło go niezdrowe podniecenie. Pracował zawzięcie, ale pracował źle. Spostrzegł teraz, że budzi się co rano z uczuciem ciekawości i oczekiwania. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie obserwować bezustannie Toby'ego. Natomiast Toby unikał Michała, choć najwyraźniej był wciąż świadomy jego obecności. Michał domyślał się z ogólnych przesłanek, a poza tym czytał to w zachowaniu Toby'ego, że nastąpiła już reakcja. Rozmawiając z chłopcem w alei kozodojów wiedział, że jego wzruszenie znalazło oddźwięk; sama pamięć o tym dotąd go roztkliwiała. Świadomość, że uczucia Toby'ego gasną, że chłopiec może rozmyślnie znieczulić swoje serce, że z niesmakiem wspomina swój odruch uczucia, doprowadzała Michała niemal do szaleństwa. Pragnął rozmawiać z Tobym, wypytywać go, jeszcze raz tłumaczyć; i nie mógł się wyzbyć nadziei, że prędzej czy później Toby sam narzuci mu takie spotkanie. Pragnął wydobyć z tego chaosu odrobinę tkwiącego w nim dobra, skryzalizować swoją niewinną życzliwość w stosunku do Toby'ego, życzliwość chłopca do siebie. Ale wiedział, i wiedział to ponad wszelką wątpliwość, że na tym świecie taka rzecz nie jest możliwa. Na tym świecie on i Toby prawie na pewno nie będą przyjaciółmi; i nieczułość serca jest chyba rzeczywiście najlepszym wyjściem. Modlił się bezustannie za chłopca, ale jego modlitwy niepostrzeżenie zmieniały się w rojenia. Dręczyły go niejasno uświadamiane fizyczne żądze i wspomnienie ciała Toby'ego, gdy ciepłe i rozprężone leżało na nim w półciężarówce; a jego sny nawiedzała dwuznaczna i nieuchwytna postać, która niekiedy była Tobym, a niekiedy Nickiem.

Myśl – jeżeli dopuszczał ją do swojej świadomości – że Nick i Toby mieszkają razem w domku dozorczy, dodatkowo powiększała niepokój Michała. Zadawał sobie wciąż i wciąż od nowa daremne pytanie, czy Nick mógł go widzieć, gdy całował Toby'ego. Za każdym razem dochodził do wniosku, że było to niemożliwe, ale potem znowu o tym myślał. Tak gęsty obłok rozpaczy otaczał tę sprawę, że Michał nie miał pewności, czego właściwie żałuje: uszczerbku własnej reputacji czy ewentualnej krzywdy wyrządzonej Nickowi, czy też, w sposób znacznie bardziej prymitywny, straty uczucia Nicka; nie miał przecież żadnych podstaw do przypuszczeń, że posiada wciąż to uczucie, i nie miał prawa nadal go żądać.

Jedynym rezultatem tego niepokoju była niemożność, jeszcze wyraźniejsza niż dotąd, „zrobienia czegokolwiek” w sprawie Nicka, chociaż Michał nadal nosił się z zamiarem porozmawiania z Katarzyną. Kiedy jego wyobraźnia, z całą swoją przeklętą wizualną ruchliwością, malowała przypuszczalne sceny w domku dozorczy, Michał padł ofiarą dwukierunkowej zazdrości, która powstrzymywała go od rozważenia na nowo dawnego projektu, tak słusznego z wielu względów, by przenieść Nicka albo Toby'ego, lub obu, do pałacu. Uważał, że jego motywy byłyby zbyt oczywiste, przynajmniej dla tych, na których mu w tej chwili najbardziej zależało; nie potrafił się też zdobyć na działanie w oparciu o takie motywy, mimo że stały za nimi inne słuszne racje. Jego jedyną pociechą było, że Toby opuści Imber za dwa tygodnie; a Nick wyjedzie prawdopodobnie niedługo po przeniesieniu się Katarzyny do Opactwa. A więc chodziło tylko o to, żeby wytrwać. Później, z boską pomocą, zaprowadzi znów ład w swoich myślach i wróci do zadań i planów, których w żadnym przypadku nie może zmienić to

koszmarne interludium.

– Ratuje nas zawsze to, co jest pozytywne – wygłaszał Michał swoje kazanie. – Czyż możemy wątpić, iż Bóg żąda od nas, abyśmy poznali samych siebie? Przypomnijmy sobie przypowieść o talentach. W każdym z nas są różne talenty, różne skłonności, z których wiele możemy spożytkować na zło lub na dobro. Musimy starać się poznać nasze możliwości i użyć całą energię, jaką naprawdę posiadamy, na spełnianie woli Bożej. Jako istoty obdarzone duszą, w całej naszej niedoskonałości, a także w widokach na doskonałość, różnimy się głęboko jedni od drugich. Może upłynąć dużo czasu, zanim zdołamy zrozumieć, jak bardzo się od siebie różnimy; a niektóre różnice mogą się nigdy nie ujawnić. Każde z nas ma swój własny sposób pojmowania Boga. Na pewno zrozumiecie, co mam na myśli, kiedy powiem, że znajdujemy Boga w niektórych miejscach; w odniesieniu do Boga mamy pewnego rodzaju zmysł kierunku, świadomość, że tu oto znajduje się ta rzecz najbardziej rzeczywista, najlepsza, najprawdziwsza. To poczucie realności i ważności towarzyszy pewnym doświadczeniom w naszym życiu – a dla różnych ludzi te doświadczenia mogą być różne. Bóg przemawia do nas różnorodnymi językami. Musimy przysłuchiwać się im uważnie.

Pamiętacie zapewne, że w zeszłym tygodniu James mówił nam o niewinności. Chciałbym dodać jeszcze coś do tego, co on tak znakomicie wyraził. Powiedziano nam, abyśmy byli nie tylko łagodni jako gołębnice, lecz także mądrzy jako węzowie. Potrzebna nam jest cała nasza siła, aby żyć w niewinności lub aby po upadku móc do niej wrócić – a jeśli chcemy użyć naszej siły, musimy wiedzieć, gdzie się ona znajduje. Nie możemy na przykład spełniać uczynku tylko dlatego, że w sensie abstrakcyjnym wydaje się nam dobrym uczynkiem, jeśli w rzeczywistości jest tak sprzeczny z naszym instynktownym rozumieniem rzeczywistości duchowej, że nie możemy doprowadzić go do końca, to znaczy, nie możemy go naprawdę spełnić. Każde z nas postrzega pewien rodzaj i pewien stopień rzeczywistości, dzięki czemu potrafimy żyć jako istoty obdarzone duszą; a posługując się tym, co już wiemy, i korzystając z tego, możemy mieć nadzieję powiększenia naszej wiedzy. Samopoznanie pouczy nas, abyśmy raczej unikali okazji do pokusy, niż polegali na nagiej sile, która pozwoli nam się jej oprzeć. Nie powinniśmy rościć sobie prawa do uczynków, które przynależą osobom o doskonalszej niż nasza zdolności widzenia duchowego. Taka próba może zrodzić klęskę i przekonamy się, że uczynek, któryśmy spełnili, nie jest mimo wszystko owym szlachetnym uczynkiem z naszych intencji, tylko czymś wręcz przeciwnym.

Posłuchę się tu, znowu korzystając z przykładu Jamesa, obrazem dzwonu. Dzwon podlega prawu ciężenia. Ten sam ruch wahadłowy, który go pcha w dół, musi go wybić do góry. My też powinniśmy poznać mechanizm naszej energii duchowej i zbadać, gdzie się znajdują kryjówki naszej siły. To miałem na myśli, kiedy stwierdziłem, że ratuje nas zawsze rzecz pozytywna. Posługując się naszą siłą musimy działać od wewnątrz na zewnątrz, musimy dzięki zrozumieniu i precyzyjnemu wykorzystaniu energii, jaką posiadamy, zdobywać więcej. Oto jest mądrość węża. Oto jest walka, zapewne miła Bogu, aby w sposób pełniejszy i głębszy stać się tym, czym jesteśmy; aby drobiazgowo badając i uświęcając każdy zakątek naszej duszy powołać do życia tę jedną i doskonałą istotę, którą tworząc nas Bóg powierzył naszej opiece.

Michał wrócił na swoje miejsce z oczami szklistymi, czując się jak lunatyk w niepokojącej ciszy, która zapadła po jego słowach. Ukląkł wraz z innymi i modlił się o spokój ducha; w takich momentach tylko na to mógł się zdobyć. Mozolnie śledził petycje wznoszone do nieba przez ojca Boba Joyce; a gdy nabożeństwo dobiegło końca, uciekł z Długiej Sali i znalazł chwilowe schronienie w swoim gabinecie. Zastanawiał się, jak bardzo było to oczywiste, że treść jego kazania stanowiła dokładne przeciwieństwo tego, co powiedział James w zeszłym tygodniu. To mu nasunęło myśl, że w ciągu tych ostatnich dramatycznych dni prawie się nie zastanawiał nad

tym, że złamał regułę. Przypomniały mu się słowa Jamesa: sodomia nie jest odrażająca, jest zakazana. Michał wiedział, że jedyne interesujące go pytania, to dlaczego i w jakim sensie jest odrażająca. W rzeczy samej nie uważał, żeby była tylko zakazana. Bóg stworzył mężczyzn i kobiety z tymi skłonnościami, którym pozwolił się tak głęboko zakorzenieć, że w niektórych przypadkach stanowią sam rdzeń osobowości. Michał uważał, że nie jest jego sprawą, czy w jakichś innych i być może lepszych społeczeństwach stosunki homoseksualne będą kiedyś moralnie dozwolone. Miał właściwie pewność, że na jakimkolwiek świecie by żył, uważałby je z rozmaitych względów za godne potępienia. Wcale jednak nie przekonywało go, że może – jak to uczynił James – odepchnąć od siebie całe to zagadnienie. Było ono skomplikowane. A jeśli idzie o niego – Bóg tak go stworzył i nie wydawało mu się, że Bóg stworzył go potworem.

Było skomplikowane; było interesujące, a w tym kryła się cała trudność. Rozumiał, że w tej sprawie, jak w wielu innych, robi zawsze to, co James nazywa rzeczą drugą pod względem doskonałości; to, co towarzyszy badaniu własnego ja i ocenianiu konsekwencji raczej niż surowemu stosowaniu się do reguł. I rzeczywiście jego dzisiejsza nauka pochwaliła działanie drugie pod względem doskonałości. Ale niebezpieczeństwo tu się kryjące było właśnie tym niebezpieczeństwem, na które James zwrócił uwagę: jeżeli odstępujemy od prostego rozumienia pewnych określonych przykazań, możemy poddać się podniecającej atmosferze dramatu duchowego – dla samego dramatu.

Michał spojrział na zegarek. Przypomniał sobie, że jest przed obiadem umówiony z Katarzyną, bo w końcu zdobył się na to spotkanie. Najwyższy czas, żeby ją odszukać. Wiedział, że musi jej powiedzieć coś na temat Nicka, poprosić, aby mu poradziła, w jaki sposób ma wciągnąć jej brata w życie społeczności. Nie cieszyła go perspektywa rozmowy na ten temat czy w ogóle spotkania z Katarzyną, ale była to przynajmniej zwykła i najoczywściej rozsądna rzecz do zrobienia. A może Katarzyna będzie się domagała, pomyślał z nadzieją, żeby przeniósł Nicka do pałacu? Zeszedł na dół, rozejrzał się po hallu, wsunął głowę do pokoju rekreacyjnego.

Nigdzie ani śladu Katarzyny. Nie było jej też na balkonie ani na tarasie. Zawołał do Marka Strafforda, który opalał się na stopniach:

– Nie widziałeś Katarzyny?

– Jest na podwórzu obok stajen, ze swoim czarującym bratem bliźniakiem – odparł Marek. – Brat Nick zdecydował się w końcu naprawić ciężarówkę. *Deo gratias.*

Michałowi nie podobała się ta informacja. Miał przez moment ochotę odłożyć spotkanie, ale natychmiast postanowił, że tego nie robi. Może Katarzyna czeka, żeby ją, jeśli tak można powiedzieć, uwolnił od brata; a skoro zdecydował się w końcu, i to z takim trudem, na rozmowę o Nicku, nie powinien decyzji odkładać. Zresztą robi mu się lżej na sercu, kiedy przeprowadzi tę rozmowę, bo przynajmniej będzie mógł sobie powiedzieć, że – co prawda w jakimś żałośnie małym stopniu – „zrobił coś” dla Nicka. Poszedł w kierunku stajni.

Duża brama z podjazdu była zamknięta. Michał zauważył posepnie i zresztą nie po raz pierwszy, że powinno się ją pomalować i że jeden słupek jest spróchniały. Wszedł do środka przez małą furtkę w ogrodzeniu. Podwórze, jeden z pomniejszych tryumfów Williama Kenta, było otoczone z trzech stron wolno stojącymi przegrodami zwieńczonymi pierwszym piętrem, w którym poniżej żąbkowanego gzymsu przeplatały się okna okrągłe z oknami kwadratowymi. Sprawiało to trochę wrażenie małego dziedzińca pałacowego. Naprzeciwko bramy wyrastała z dachu krytego kamienną dachówką smukła wieża zegarowa. Zegar nie chodził. Część budynku po prawej zniszczył kiedyś pożar i płachty blachy falistej, wkład dziadka Michała, nadal zasłaniały ziejące pustką dziury w niższym piętrze. Podwórze opadało wyraźnym stokiem do jeziora, a od podjazdu oddzielał je wysoki mur. Teraz, pośród tego upalnego dnia, było ciasne, duszne, pełne pyłu, oślepiało słońcem. Michałowi przywiodło na myśl arenę.

Półtoratonowa ciężarówka stała na środku, tuż za cieniem rzucanym przez mur, maską w kierunku jeziora. Maską była podniesiona, a spod ciężarówki widać było parę sterczących nóg. Obok siedziała na ziemi, nie zwracając uwagi na kurz, Katarzyna Fawley. Spódnice miała podciągniętą i wystawiała na słońce swoje długie, skrzyżowane w kostkach nogi. Michał zdziwił się widząc ją w tej pozycji, a zdziwił się jeszcze bardziej, że na jego widok nie wstała, a przynajmniej nie zasłoniła nóg spódnicą. Podniosła tylko głowę i spojrzała na niego bez uśmiechu. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Michałowi przyszło na myśl, że Katarzyna go po prostu nie lubi.

Nick wysunął się spod ciężarówki, jego nogi zniknęły z jednej strony, a głowa ukazała się z drugiej. Leżał na wznak, do połowy widoczny, z głową w kurzu. Wywrócił oczy do góry patrząc na Michała, który ze swojego miejsca widział jego twarz odwróconą. Uśmiechał się chyba, ale jego twarz wyglądała tak dziwnie, że nie można było mieć pewności.

– Sam wielki wódz – powiedział Nick.

– Jak się masz – przywitał go Michał. – Ładnie z twojej strony, że naprawiasz ciężarówkę. Będzie teraz chodziła?

– Bzdura – rzucił Nick. – Nie jest ładnie z mojej strony, że naprawiam ciężarówkę. Jest paskudnie z mojej strony, że nie zrobiłem tego wcześniej. Dlaczego nie mówisz tego, co myślisz? Pompka benzynowa była zatkana. Teraz powinno być w porządku. – Leżał dalej na ziemi, oczy w jego dziwacznej twarzy brodatego demona wpatrywały się w Michała.

Michałowi, który wciąż był świadomy spojrzenia Katarzyny, słowa więzły w gardle.

– Szukałem tylko twojej siostry – powiedział w końcu.

– Rozmawiałem tylko z moją siostrą – powiedział Nick. – Mówiliśmy o naszym dzieciństwie. Bo, wiesz, dzieciństwo spędziliśmy razem.

– Ach – wymamrotał Michał głupkowato. Jakś nie umiał sobie poradzić z nimi dwojgiem naraz; przyszło mu na myśl, że jest to jedna z nielicznych okazji, kiedy widzi ich razem.

– Wiem, że gawędzenie i wspomnianie to grzech – ciągnął Nick – ale musisz nam wybaczyć, ponieważ jest to nasza ostatnia szansa. Prawda, siostrzyczko?

Katarzyna milczała.

– No to już mnie nie ma – wymamrotał Michał. – Mogę porozmawiać z Katarzyną któregoś innego dnia.

– Wszystko skończy się dobrze i wszystko skończy się dobrze, i wszelkiego rodzaju cholerne rzeczy na tym cholernym świecie skończą się dobrze – powiedział Nick. – Mam rację, siostrzyczko?

Michał zorientował się, że Nick jest podпиты. Odwrócił się, żeby odejść.

– Czekaj – rzucił Nick. – Zawsze „już cię nie ma”, zupełnie jak z tym przeklętym mlekiem, zanim dotrze do mnie do domku dozorczy. Jeżeli chcesz, żeby wszelkiego rodzaju rzeczy skończyły się dobrze, możesz mi oddać małą przysługę. Zgodna?

– Naturalnie – powiedział Michał. – Co mam zrobić?

– Siądź za kierownicą, wrzuć bieg na luz i spuść z ręcznego hamulca.

Michał szedł już instynktownie do ciężarówki, ale się zatrzymał.

– Nick – powiedział – nie bądź głupcem, to nie jest zabawne. I wychodź stamtąd. Wiesz doskonale, że sama pochyłość stwarza dostateczne niebezpieczeństwo. Powinieneś być ustawić ciężarówkę w poprzek.

Nick wysunął się powoli spod ciężarówki, wstał i otrzepując się wyszczerzył zęby w uśmiechu. Widząc go teraz w kombinezonie i przy pracy, Michał spostrzegł, o ile jest szczuplejszy i wyraźnie sprawniejszy niż zaraz po przyjeździe; a także przystojniejszy, ruchliwszy. Zorientował się również, że te słowa były pierwszymi prawdziwymi słowami, jakie

skierował do Nicka od dnia jego przyjazdu. Nick, który wyraźnie na nie polował, miał minę zadowoloną.

Michał chciał wymamrotać jakieś usprawiedliwienie i odejść, gdy znowu zaskrzypiała drewniana furtka prowadząca z podjazdu. Obejrzeni się wszyscy. Był to Toby. Stał mrużąc oczy i patrząc na otoczony murem widok; Katarzyna siedząca z gołymi nogami, Michał i Nick tuż obok siebie i o krok od ciężarówki. Toby zawahał się, miał minę osoby przerywającej poufną rozmowę, ale ponieważ ucieczka była wręcz niemożliwa, wszedł do środka i zamknął furtkę. Michała uderzyła natychmiast myśl, że Toby go szukał. Miał uczucie, że się czerwieni.

– No i proszę, przyszedł mój pomocnik – powiedział Nick. – Mogłeś się czegoś nauczyć. Ale już jest po wszystkim. – Odwróciwszy się od Toby’ego spojrział na Katarzynę. – Siostrzyczko, mogłabyś uruchomić silnik?

Ku zdziwieniu Michała, który nigdy nie kojarzył jej w myślach z jakimikolwiek mechanicznymi urządzeniami, Katarzyna podniosła się, strząsnęła spódnicę i wsiadła do szoferki. Patrzył na nią z uczuciem, po raz pierwszy uświadomionym, że gra jakąś rolę. Nacisnęła starter. Pochylony nad silnikiem Nick sprawdzał rezultaty swojej pracy. Wydawał się zadowolony. Zamknął maskę i chwilę stał i uśmiechał się do Michała. Potem usiłując przekrzywić warkot silnika zawołał:

– Weźmiemy ją chyba na małą przejażdżkę i sprawdzimy, czy wszystko w porządku. Katarzyna będzie prowadziła. Chodź, Toby.

Toby, który stał wyraźnie zażenowany tuż przy furtce, zbliżył się ze zdziwioną miną.

– Chodź, prędzej – powiedział Nick otwierając drzwi szoferki – jedziesz z nami.

Toby wsiadł.

– A ty, Michał? – spytał Nick. – Byłoby trochę ciasno, ale ostatecznie ktoś mógłby usiąść komuś na kolanach.

Michał potrząsnął głową.

– W takim razie może zechcesz otworzyć bramę? – Nick siedział w środku między Katarzyną i Tobym, z rękami rozpostartymi na oparciach siedzeń w taki sposób, że obejmował ich oboje.

Jak we śnie Michał podszedł do ogromnej drewnianej bramy i otworzył ją na oścież. Katarzyna gładko wcisnęła sprzęgło, ciężarówka przejechała obok niego w kłębach kurzu i zniknęła na podjeździe. W kilka minut później, gdy Michał wciąż stał roztrzęsiony i nieszczęśliwy na pustym podwórzu, ukazała się po drugiej stronie jeziora. Mknąc z łoskotem w kierunku domku dozorczy wypadła na główną drogę i Michał stracił ją z oczu.

ROZDZIAŁ XVII

Toby wstał z łóżka i sięgnął po buty. Nie zdjął ubrania i w obawie, że zaśpi, nie spał ani chwili. Umówił się z Dorą na drugą trzydzieści. Minęła właśnie druga. Otworzył drzwi i stał nasłuchując. Drzwi pokoju Nicka były otwarte, ale ze środka dobywało się chrapanie. Zeszedł cicho po schodach i dotarł do drzwi wyjściowych. Jakieś poruszenie za nim przstraszyło go, ale był to tylko Murphy, który przydreptał na dół. Pies potarł nos o nogawkę jego spodni i spojrzał na chłopca pytająco. Toby poklepał go trochę jak winowajca i wymknął się na dwór sam, stanowczym ruchem zamykając drzwi. Podczas tej ekspedycji nie można było ufać nawet Murphy'emu.

Dziś w nocy Toby i Dora mieli podjąć próbę wydobywania dzwonu. Plan ten, od dnia swojego najwyraźniej obłąkanego poczęcia, skonkretyzował się i skomplikował; a Toby, traktujący go w pierwszej chwili jako mrzonkę, stał się jego bardzo rzeczowym i entuzjastycznym wykonawcą. Początkowo nie bardzo rozumiał, dlaczego Dorze zależy na czymś tak znikłym. Dalej nie rozumiał, ale teraz chodziło mu już tylko o to, żeby zrobić przyjemność Dorze; i żeby przezwyciężyć pewne techniczne trudności, które zafascynowały jego mechanicznie nastawiony umysł.

Któregoś dnia po pierwszej rozmowie z Dorą na temat dzwonu poszedł na następną samotną wyprawę pływacką. Nurkował wiele razy badając szczegółowo kształt i położenie zatopionego przedmiotu. Był już teraz głęboko przekonany, w czym utwierdziła go pewność Dory i własne odkrycia, że jest to ten dzwon. Miał do rozwiązania dwa nieprawdopodobnie trudne problemy. Pierwszy, to jak wyciągnąć dzwon z wody, a drugi, jak podstawić na miejsce nowego stary dzwon, na czym miał polegać cud Dory; oba te zadania należało wykonać w tajemnicy i mając za pomocnika jedynie Dorę. Była to trudna sprawa.

Dora, która nie miała widocznie pojęcia, jak duży i jak ciężki jest dzwon, uważała to za rzecz najzupełniej możliwą i polegała na fachowości Toby'ego z beztrąską doprowadzającą go do rozpaczy i jednocześnie wzruszającą. Zaraził się jej ufnością, chociaż wiedział, że jest oparta na ignorancji; zaraziła go też jej dziwaczna wizja, zaczerpnięty z wyobraźni groteskowy obraz powrotu do życia średniowiecznego dzwonu. Mogło się zdawać, że jest to dla niej działanie magiczne o przeogromnej wprost ważności, coś w rodzaju rytuału i wyzwolenia; a chociaż nie było to działanie, które by Toby rozumiał ani na które w normalnych okolicznościach miałby ochotę, był jednak gotów zarazić się jej entuzjazmem i ten jeden raz zagrać rolę ucznia czarnoksiężnika.

Jednakże to uczeń musiał obmyślić szczegóły czarów. Przedyskutował rozmaite plany z Dorą, ale jej ignorancja w sprawach dynamiki była wstrząsająca. Po odrzuceniu propozycji użycia koni pociągowych ujawnił się fakt, że jedyną dostępną im siłą napędową, która ewentualnie mogłaby załatwić sprawę, jest traktor. Ale nawet w tym przypadku, co Toby usiłował wbić Dorze do głowy, może się okazać, że nie zdołają wydobyć dzwonu. Sam już tylko muł w jego wnętrzu może podwoić wagę; nie wiadomo zresztą, czy dolna krawędź nie zaryła się na dobre w gęstszych pokładach szlamu na dnie jeziora. Toby próbował podczas ostatniej ekspedycji podwodnej wygarnąć muł ze środka dzwonu, ale udało mu się to tylko częściowo. Fatalnie, że Dora nie umie ani pływać, ani prowadzić traktora, bo w ten sposób nie będzie komu zająć się dzwonem pod wodą, kiedy zaczną się go wyciągać do góry.

– Niestety jestem zupełnie do niczego – oznajmiła Dora, gdy odbywali w lesie ostatnią naradę;

siedziała obejmując rękami kolana i podnosząc na niego ogromne oczy, w których lśnił uległy podziw. Wydała się Toby'emu absolutnie czarująca.

Oficjalny plan przewidywał, co następuje: nowy dzwon miał przybyć do Imber w czwartek przed południem. Postanowiono umieścić go na jednym z żelaznych wózków, używanych niekiedy do transportu drzewa z lasu, i ustroić białymi draperiami i kwiatami. Obleczonego w takie szaty miał go pobłogosławić i ochrzcić biskup zaraz po swoim przyjeździe w czwartek wieczorem, w czasie skromnego nabożeństwa, w którym mieli uczestniczyć tylko członkowie społeczności. Dzwon miał spędzić noc z czwartku na piątek na podwórzu obok stajen. W piątek rano, tuż przed siódmą, bo o tej godzinie wpuszczano zwykle postulanki do Opactwa, dzwon miał stać się ośrodkiem małego festynu wiejskiego, którego szczegóły zostały z serdeczną dbałością opracowane przez panią Markową. W czasie ceremonii uczcić mieli dzwon tańcem wiejskim członkowie miejscowego grona tancerzy ludowych, odegrać miał mu serenadę szkolny zespół grający na starodawnych fletach, a śpiewać w uroczystej procesji przez groblę miał chór z miejscowego kościoła, który od pewnego czasu ćwiczył na cześć dzwonu ambitne utwory, w tym jeden skomponowany specjalnie na tę okazję przez kapelmistrza. Procesja, której kształt i porządek nie zostały jeszcze ustalone, miała się składać z wykonawców, członków bractwa i tych przedstawicieli okolicznej ludności, którzy zechcą przybyć; a ponieważ ciekawość w miasteczku rozgorzała dość niespodzianie, należało oczekiwać, że mimo wczesnej pory przybędzie sporo osób. Opactwo rozewrze swoje wielkie wrota, gdy procesja podejdzie bliżej, a gdy jej uczestnicy rozejdą się na obie strony wzdłuż tamtego brzegu jeziora, dzwon zostanie odsłonięty wśród ostatnich akordów pieśni. Postoi tam kilka chwil, aby zebrani mogli mu się przypatrzeć, po czym wwiozą go do Opactwa odpowiednio dobrani robotnicy, którzy za specjalną dyspensą wejdą do klauzury, aby zawiesić dzwon na wieży. Zamknięcie się bramy za dzwonem zakończy tę część uroczystości, w której będzie uczestniczył świat zewnętrzny.

A oto jak się przedstawiał plan Dory i Toby'ego. W nocy z wtorku na środę spróbują wydobyć stary dzwon z wody. Użyją w tym celu traktora, który Toby niekiedy teraz prowadził, otrzymawszy na to szczęśliwym trafem pozwolenie. Rozpoczęło się już zaorywanie pastwisk i od początku tygodnia Toby pracował tam wraz z Patchwayem. Patchway kończył zwykle wieczorną pracę z bezwstydną punktualnością, toteż Toby, którym o tej godzinie nikt się nie interesował, zamiast odstawić traktor, będzie mógł spokojnie zajechać nim do lasu w pobliże starej stodoły. Usunął już gałęzie i większe przeszkody ze ścieżki prowadzącej przez stodołę do jeziora, dzięki czemu podjedzie prawie nad sam brzeg wody. Tam traktor poczeka na Dorę i Toby'ego, którzy po północy spotkają się na nabrzeżu.

Traktor był wyposażony w kołowrót i mocną stalową linę z hakiem na końcu, używaną do podnoszenia kłoców drzewnych. Toby miał nadzieję, że umocowawszy linę do wielkiego pierścienia stanowiącego część czapy dzwonu zdoła najpierw podnieść dzwon za pomocą kołowrotu, a potem przeholuje go po ziemi aż do stodoły. Z ostrożności wrzucił na dno tuż pod nabrzeżem trochę kamieni i żwiru, aby się przypadkiem dzwon nie zaczepił o dolną krawędź nabrzeża tkwiącą w pierwszej warstwie szlamu. Niebezpieczeństwo tej fazy operacji, pomijając niespodzianki ze strony dzwonu, polegało na tym, że ktoś mógł usłyszeć łoskot traktora; Toby sądził jednak, że hałas nie będzie w pałacu uchwytny dla ucha, zwłaszcza przy wiejącym już od jakiegoś czasu południowo-zachodnim wietrze; a jeśli nawet zostanie usłyszany, nie będzie rozpoznany. Można by go z łatwością wziąć za daleki odgłos samochodu czy samolotu.

Następne stadium było niemniej skomplikowane. Duży żelazny wózek, na którym postanowiono umieścić nowy dzwon, miał na szczęście brata bliźniaka. W gruncie rzeczy ten właśnie brat bliźniak umożliwił zrealizowanie planu. Z chwilą gdy dzwon znajdzie się w stodole, będzie można przerzucić stalową linę przez jedną z potężnych belek i za pomocą kołowrotu

podciągnąć dzwon w powietrze. Z tej pozycji opuści się go na drugi wózek i starannie umocuje. Potem w czwartek w nocy będzie można bez trudu przeciągnąć wózek po betonowej drodze biegnącej tuż pod lasem i opadającej lekko w stronę pałacu. Droga prowadziła prosto przez gospodarstwo ogrodnicze na podwórze przy stajniach, gdzie trzymano zapas drzewa; i gdzie spędzi noc nowy dzwon, przystrojony już na swą jutrzejszą podróż.

Tam dzwony będą mogły się przebrać. Kwiaty i inne ozdoby ukryją wszelkie drobne różnice, jakie bystre oko mogłoby wypatrzeć między dwoma bliźniaczymi wózkami. Gdyby dzwony bardzo się od siebie różniły wielkością, byłby to dodatkowy ogromny kłopot; ale Toby wywiedziało się chytrze o rozmiary nowego dzwonu, zmierzył najlepiej jak mógł stary dzwon i był teraz pewien, że są mniej więcej tej samej wielkości. Następnie nowy dzwon, już rozebrany ze swoich szat, zostanie przewieziony do jednej z pustych przegród stajennych, do których nikt nie zaglądał, i na tym skończy się operacja. Najniebezpieczniejsza, chociaż nie najtrudniejsza, będzie jej ostatnia faza; ponieważ jednak podwórze stajenne znajdowało się w pewnym oddaleniu od domu i żaden z członków bractwa nie miał sypialni po stronie bliższej podwórza, należało przypuszczać, że nikt niczego nie usłyszy.

Był jeszcze jeden kłopot. W pakowni posługiwano się codziennie drugim wózkiem, tym, który miał przewieźć stary dzwon. Pani Markowa używała go jako stołu, układała na nim swój towar, a potem przysuwała go do tyłu furgonetki, skąd było łatwiej ładować. Gdyby Toby zabrał wózek w środę w nocy, w czwartek rano zauważono by jego brak. Wobec tego należało go zabrać w czwartek w nocy. Jednakże na czwartkową noc pozostawi się do wykonania w stodole tylko minimum czynności. We wtorek podniesie się dzwon na linie przerzuconej przez belkę do punktu, który Toby wymierzył, odrobinę powyżej poziomu platformy wózka. Następnie wejdzie do akcji druga lina, znaleziona przez Toby'ego w składziku; przy wiąże się ją jednym końcem do dzwonu, przetrzuci przez belkę, drugi zaś koniec umocuje się w rozwidleniu pobliskiego drzewa przy pomocy drąga żelaznego przesuniętego przez pierścień na tym końcu liny. Wtedy Toby wyciągnie pierwszą linę, umocowaną do traktora, a dzwon mimo to będzie wisiał. Traktor wróci na pole wczesnym rankiem we czwartek. Dzwon będzie wisiał cały czwartek w stodole, Dora zebrała już sporo gałęzi i pędów, którymi się go zamaskuje; istniało jednak bardzo małe prawdopodobieństwo, żeby ktokolwiek odkrył go tam w ciągu tego dnia. We czwartek w nocy przytoczą wózek i wsuną pod dzwon. Jeżeli wzięte przez Toby'ego pomiary, z uwzględnieniem obwieszenia liny, okażą się dokładne, nie będzie odstępów między krawędzią dzwonu a powierzchnią wózka; jeżeli jego pomiary okażą się niedokładne, będzie można podłożyć pod wózek kamienie i podsypać ziemi albo obniżyć go wykopując rowki w klepisku stodoły. Wtedy wyciągnie się linę i dzwon spocznie na wózku. Dzięki temu pomysłowemu urządzeniu nie trzeba będzie posługiwać się traktorem drugiej nocy.

Techniczne zagadnienia związane z planem wprawiły Toby'ego w ekstazę. Wszystko było tak trudne, a jednak w tak zachwycający sposób możliwe, dumiał więc nad swoim projektem jak nad dziełem sztuki. Był to też hołd dla Dory, a dla niego dowód, że jest zakochany. Od tamtego momentu w kaplicy, kiedy jej obraz tak uszłynie wypełnił ów niczym nie wypełniony kształt kobiecości, ku któremu w celach badawczych chłopiec skierował swoje inklinacje, Toby pozostawał, tak to czuł, w jej władzy, a raczej – jak to określał niemal precyzyjnie – pod jej rozkazami. Fakt, że Dora jest mężatką, bardzo mało go trapił. Nie miał zamiaru składać Dorze jakichś deklaracji czy też gestem lub słowem zdradzić jej stan swego ducha. Ta powściągliwość napawała go dumnym zadowoleniem, czuł się trochę jak średniowieczny rycerz, który cierpi i wzdycha do damy, chociaż jej prawie nie widuje i z pewnością nie będzie jej posiadał. Ta koncepcja Dory jako kobiety nieosiągalnej czyniła tym rozkoszniejszą żywość jej obecności i przyjacielską swobodę, z jaką traktowała go w tym ich dziwnym przedsięwzięciu. Była w

jego oczach obdarzona blaskiem i mocą rozkazywania, a świeżość wzruszeń, które w nim zbudziła, przepełniała go uczuciem niemal odnowionej niewinności.

W dziwnym współistnieniu z tym odkrywaniem samego siebie, które Dora nieświadomie i z codziennymi dodatkami powodowała, był ów niejasny, bezustanny, udręczony niepokój o Michała. Toby unikał Michała, ale obserwował go i nie mógł przestać o nim myśleć; a jego uczucia wahały się między niechęcią i świadomością winy. Było tak, jak gdyby zanurzył się w czymś nieczystym; a jednocześnie dręczyła go świadomość, że rani Michała. Ale jak mógł go nie ranić? Wyobraźnia ukazywała mu mgliście przebieg niesłuchanie ważnej rozmowy, którą odbędzie z Michałem przed wyjazdem z Imber; często napadała go pokusa, żeby pójść i zastukać do drzwi jego kancelarii. Nie bardzo wiedział, co robi po wejściu czy powie, ale trochę z zażenowaniem, a trochę z satysfakcją utwierdzał w sobie pogląd, że Michałowi potrzebne jest jego przebaczenie i – w sposób prostszy – jego dobre słowo. Ogólnie rzecz biorąc Toby miał uczucie, że jest to sprawa nie zakończona.

Szedł ostrożnie ścieżką biegnącą nad jeziorem. Księżyc ich nie zawiódł, był prawie w pełni i świecił wysoko na niebie, a lśniący, rozległy krajobraz drzew i wody wydawał się jakby czujny, pełen znaczenia, jakby świadomy wielkiego czynu, który zostanie tu dokonany. Jezioro, które niebawem miało oddać swój skarb, było pogodne, niemal zapraszające, a powietrze łagodne i ciepłe. Toby przyspieszył kroku, wypatrywał przed sobą postaci Dory, radość i podniecenie prawie pozbawiły go tchu. Mieli spotkać się w stodole. Wiedział, że sto rzeczy może się nie udać, ale pałał ufnością i nadzieją zrobienia Dorze przyjemności – i zwykłym gorączkowym pragnieniem, by dobrać się do dzwonu.

Wyszedł na otwartą przestrzeń przy nabrzeżu i stanął. Cisza po miękkim, szeleszczącym odgłosie jego kroków wydawała się niesamowita. Potem Dora wyszła ze ścieżki prowadzącej do stodoły, zmaterializowała się w blasku księżyca. Wymówił jej imię.

– Bogu dzięki – powiedziała Dora cicho. – W tej stodole naprawdę umierałam ze strachu. Były jakieś takie dziwne hałasy, ciągle mi się zdawało, że ta utopiona zakonnica zaraz się na mnie rzuci.

Nagle jakiś wyraźny dźwięk rozległ się tuż obok w sitowiu i oboje podskoczyli. Był to szorstki, a jednak miły dla ucha trzel, który wzniósł się o kilka tonów, a potem przeszedł w bulgotanie.

– Co to takiego? – spytała Dora.

– Gajówka – wyjaśnił Toby. – Piotr Topglass nazywa ją słowikiem dla ubogich. Nie będzie nam przeszkadzała. A teraz, Dora, szybko do roboty.

– Uważam, że jesteśmy zupełnie pomyleni – oznajmiła Dora. – Dlaczego ten obłąkany pomysł przyszedł nam w ogóle do głowy? Dlaczego mnie zachęcałeś? – mówiła na pół poważnie.

– Wszystko będzie w porządku. – Zdenerwowanie Dory sprawiło, że był spokojny i stanowczy. Umilkł, odetchnął głęboko. Gajówka odezwała się znowu, tym razem trochę dalej. Jezioro było szkliste i nieruchome, trzcina i trawa poruszały się delikatnie w ciepłym powiewie wietrzyka, księżyc po prostu nie mógłby świecić jaśniej. Toby'emu wydało się to fantastyczne, że za chwilę zaryczy traktor, że on wedrze się w jezioro. Odczuwał to, co odczuwa może dowódca armii, który ma rozpocząć atak przez zaskoczenie.

Zrobił kilka kroków i wszedł w las. Traktor stał tam, gdzie go zostawił, tuż obok stodoły po stronie jeziora. Całe szczęście, że stodoła miała po obu stronach ogromne wrota, dzięki czemu można było przejechać przez nią traktorem. Nie odważył się podprowadzić go bliżej krawędzi wody, w obawie że za dnia błyszcząca czerwona chłodnica byłaby widoczna od strony grobli. Rozebrał się błyskawicznie i tylko w spodenkach kąpielowych podszedł do traktora, poświecił latarką i sprawdził linę i kołowrót. Kołowrót nie był ostatnio używany, ale starannie naoliwiony

przez Toby'ego wydawał się teraz w idealnym porządku. Chłopiec odwinął spory kawał liny i okręcił ją luźno wokół bębna. Przez ten czas Dora krążyła gdzieś za nim. Mimo całego przywiązania do niej w takich momentach zazdrościł swojemu średniowiecznemu prototypowi, który przynajmniej nie musiał zajmować się jednocześnie damą swego serca i przygodą. Przez większą część akcji nie będzie miał z Dory żadnego pożytku.

– Stań teraz nad samą wodą – powiedział Toby – i rób, co ci powiem. Dobrze? – Zaczerpnął oddechu. Wydał się sobie wspaniały. Uruchomił traktor.

Potężny ryk zakłócił wyczekującą, skąpaną w księżycowej poświacie ciszę lasu. Toby usłyszał pełen przerażenia okrzyk Dory. Nie tracąc czasu wskoczył na siedzenie traktora, wrzucił bieg na luz i powoli, tyłem, poprowadził olbrzyma nad brzeg wody. Poczł miłość do traktora, radość z jego siły, zaufanie. Zatrzymał go na otwartej przestrzeni tuż obok nabrzeża i zeskoczył na ziemię. Zaciągnął starannie hamulec i zaczął wlec po ziemi dużą kłodę, żeby zablokować koła. Dora pośpieszyła z pomocą. Nie zgasił silnika, uznał, że według wszelkiego prawdopodobieństwa daleki, ciągły odgłos nie zwróci tak na siebie uwagi, jak odgłos przerywany. A potem, trzymając w ręku linę zakończoną mocnym hakiem, zaczął iść w dół nabrzeża.

Woda była zimna i jej przenikliwy dotyk wstrząsnął Tobym, uświadomił mu na chwilę rozmiar jego oczarowania. Stracił na sekundę oddech, ale zanurzał się coraz głębiej, póki nogi nie oderwały się od kamieni i nie zaczął płynąć trzymając w jednej ręce hak. Znał już teraz topografię dna jeziora za nabrzeżem na pamięć. Zdawało mu się, że niemal widzi dzwon. Mając w uszach rytmiczny warkot dał nurka. Lina była ciężka i pomogła mu szybciej zejść na dno, a jego ręka natychmiast odnalazła wylot dzwonu. Ciągnąc hak po dnie i trzymając linę lekko w palcach zaczął obchodzić po omacku dzwon, szukał jego wielkiego pierścienia na drugim końcu. I w trakcie tego uświadomił sobie nagle, co robi. Już chciał otworzyć usta i w momencie panicznego lęku, puszczając linę, która opadła na dno, wypłynął na powierzchnię. Oddychając z trudem, znów świadomy grozy księżycowego blasku na jeziorze i łoskotu silnika, popłynął do brzegu.

Dora stała z nogami w wodzie. Mówiła do niego coś, czego nie zrozumiał, głosem obłąkanym z przejęcia. Nie zwracając na nią uwagi zaczął wyciągać linę z wody. Wynurzała się powoli, cała ubłocona. W końcu hak znowu znalazł się w jego rękach i oddychając miarowo Toby po raz drugi odpłynął od brzegu i zeszedł na dno. Uczepił się rękami krawędzi dzwonu i przyciągnął do niego ciało. Następny ruch – i ręka natrafiła na pierścień, palce wsunęły się w szeroki otwór. Trzymając się dzwonu jedną ręką, drugą sięgnął do haka. Z szaleńczą radością poczuł, że hak wsuwa się w otwór. Wtedy zaczął wychodzić na powierzchnię kierując się ku nabrzeżu i starając się trzymać linę w ręku możliwie najbardziej naprężoną. Wgramolił się na brzeg. Zwis nie był duży, Toby dobrze ocenił odległość. Odsunął Dorę i wskoczył na siodełko traktora. Włączył napęd kołowrotu i trzymał silnik na małych obrotach, wpierw naciągając linę, gotów w każdej chwili zgasić silnik, gdyby się okazało, że dzwon wciąga traktor do jeziora. Lina napięła się i Toby poczuł bezpośrednią siłę ciągnącą między traktorem a dzwonem.

Kołowrót znieruchomiał. Silnik działał, ale bez żadnego skutku. Myśląc błyskawicznie Toby wyłączył napęd kołowrotu, odjechał kawałek od krawędzi jeziora, tak że lina się rozwinęła, i podprowadził traktor z powrotem do leżącej w poprzek kłody, ale ustawił go inaczej. Znowu przerzucił napęd na dźwig i lina się naprężyła. Zaczęła się walka z ciężarem. Chociaż bęben jeszcze się nie obracał, Toby czuł jakieś szalone poruszenie na drugim końcu liny. W tym momencie istniało największe niebezpieczeństwo, że lina się zerwie. Toby zaczął się modlić. Potem zobaczył z niedowierzaniem i obłądną radością, że bardzo powoli bęben zaczyna się obracać. Usłyszał – czy też może odczuł, bo w tym pandemonium nie można się było zorientować – przerażający odgłos szorowania po dnie. Ogromne, błotniste bańki wypływały na

powierzchnię. Obroty były teraz nieprzerwane. Z każdym obrotem silnego kołowrotu traktor przyciągał do siebie dzwon ruchem szarpiącym, lecz ustawicznym. Toby czuł napór ogromnych kół na blokującą je kłodę. Traktor ciągnął, jak gdyby był żywą istotą. Nagle dał się słyszeć zgrzyt; widocznie dzwon dotarł do kupy kamieni tuż pod nabrzeżem. Wstrzymując oddech Toby wpatrywał się w punkt, w którym cienka lina wysrebrzona księżycowym blaskiem dziurawiła powierzchnię falującej wody. Poczł wstrząs, widocznie krawędź dzwonu otarła się w tym momencie o dolną krawędź nabrzeża, i niemal jednocześnie, prędzej niż tego oczekiwał, ukazał się hak. Za hakiem ogromny kształt wyłonił się z jeziora.

Nie dowierając własnym oczom, a jednocześnie stężyły w zacieklej koncentracji, Toby czekał, dopóki dzwon nie znalazł się na nabrzeżu, poza linią wody, podobny do jakiejś przerażającej ryby wyrzuconej na brzeg. Wyłączył napęd kołowrotu, a gdy lina opadła luźno, wiedział już, że dzwon leży bezpiecznie na łagodnej pochyłości. Wtedy zeskoczył na ziemię i zaczął wyciągać kłodę spod kół. Kątem oka zobaczył białawą, ruchomą smugę, była to Dora wciąż usiłująca mu pomagać. Wsiadł z powrotem do ryczącego traktora, przełączył silnik na zwykłą przekładnię i bardzo powoli zaczął wrzucać bieg na luz. Traktor dygotał chwilę, a potem, najpierw z wolna, koła zaczęły się obracać i Toby zobaczył nad głową uciekające gałęzie. Obejrzał się teraz na dzwon. Krawędź przesuwiała się ze zgrzytem po kamieniach, górna część była tuż nad ziemią. Dzwon zeskoczył z nabrzeża i jego krawędź zaryła się w miękkiej ziemi. Zgarniając pod siebie ziemię i kamienie dzwon posuwał się za traktorem w mroczny las. Toby wyczuł nad sobą czarność dachu stodoły, przeprowadził traktor ostrożnie przez klepisko i szerokimi wrotami wyjechał na drugą stronę. Kiedy uznał, że dzwon znajduje się już na środku stodoły, zatrzymał traktor i wyłączył silnik.

Zapadła przerażająca, niemal ogłuszająca cisza. Toby siedział chwilę bez ruchu. Potem wypuścił powoli powietrze z płuc i przetaił dłońmi twarz i czoło. Miał uczucie, że najchętniej wpełzłby do jakiegoś kąta i zasnął. W ciągu ostatnich kilku minut nagromadziło się trochę za dużo przeżyć. Schodząc z traktora przekonał się z niemal obojętnym zdziwieniem, że ciało ma zeszywniałe od tego szalonego napięcia mięśni. Stał na klepisku i pochylony zaczął rozcierać nogi. Zdumiał się, że jest nagi, że ma na sobie tylko spodenki kąpielowe.

– Toby, byłeś cudowny – odezwał się głos Dory tuż obok niego. – Jesteś prawdziwy bohater. Czy nic ci się nie stało? Toby, zwyciężyliśmy!

Toby nie był w nastroju do uniesień. Kichnął i powiedział:

– Tak, tak... Nic mi nie jest. Obejrzyjmy to teraz. Pewnie się okaże, że wyłowiliśmy z wody stare łóżko żelazne czy coś w tym rodzaju. – Potykając się wyminął ciemny kształt na środku klepiska i znalazł latarkę. Puścił snop światła.

Dzwon leżał na boku. Wylot jego czarnej jamy był wciąż oblepiony błotem. Powierzchnia zewnętrzna, obłożona grubą warstwą wodorostów i skorupowatych narośli, była jaskrawozielona. Leżał ziejąc tym swoim otworem, ogromny, a oni patrzyli na niego w milczeniu. Był przybyszem z innego świata.

– Och, to nieprawdopodobne – wyszeptła w końcu Dora. Mówiła cicho, jakby obecność dzwonu napawała ją grozą. Wyciągnęła rękę i dotknęła go ostrożnie. Metal był gruby, szorstki i dziwnie ciepły. Było coś monstrualnego w widoku tej rzeczy porzuconej na środku klepiska.

– Nie miałam pojęcia, że jest taki wielki – powiedziała Dora.

– Ale czy to na pewno ten? – spytał Toby. Gdy patrzył na dzwon, zadziwiła go myśl, że mógł poddać swojej woli przedmiot tak ogromny i bezwładny. Wydawało się też wprost niesamowite, że przedmiot o tak jaskrawej barwie mógł pochodzić z miejsca tak mrocznego. Dotknął dzwonu niemal z pokorą.

– Przysuń latarkę bliżej – poprosiła Dora. – Paweł mówił, że są na nim sceny z życia

Chrystusa.

Pochylili się obcuje nad dzwonem, przesuwali światło tuż nad jego barwną, nierówną powierzchnią. Powyżej krawędzi wydawał się podzielony na coś w rodzaju segmentów. Toby wsunął rękę w krąg światła i zdrapywał zaskorupiałe błoto i algi. Spod spodu coś się zaczęło wyłaniać.

– Mój Boże – wyszeptał. Oczy spojrzały na nich z prostokątnych twarzy, ukazały się przysadziste postacie.

– To jest na pewno to! – powiedziała Dora. – Ale nie poznaję tej sceny. Zeskrobuj dalej. Jakie te postacie są groteskowe! Jest coś innego. Tak, to narodzenie Chrystusa!

Widzisz wołu i osła? A tu ludzie łapią ryby. A ci wszyscy mężczyźni przy stole na pewno jedzą Ostatnią Wieczerzę. A tu jest Ukrzyżowanie!

– I Zmartwychwstanie – dorzucił Toby.

– Jest jakiś napis.

Toby przesunął światło na krawędź dzwonu. Słowa, przedzielone dziwnego kształtu krzyżykami, odcinały się bardzo wyraźnie od zielonego metalu. Toby powiedział:

– To po łacinie.

– Przeczytaj – zażądała Dora.

Toby przeczytał: *Vox ego sum Amoris. Gabriel vocor.* Jestem głosem miłości. Moje imię Gabriel.

– Gabriel! – zawołała Dora. – Tak się właśnie nazywał! Wiem od Pawła! To jest ten dzwon! – Klęcząc tuż obok wylotu dzwonu zadarła głowę i spojrzała na Toby'ego. Toby skierował na nią latarkę. Włosy miała mokre, na policzkach smugi błota. Ciemna strużka spływała w wycięcie jej pośpiesznie zapiętej sukni. Z rękami na krawędzi dzwonu, mrugając oślepiona światłem, uśmiechnęła się do Toby'ego.

– Dora! – powiedział Toby. Upuścił latarkę na klepisko, gdzie nadal rzucała skrócony snop światła. Toby, naguteńki, poczuł nagle wzbierającą w nim cudowną siłę. On sam, i bez niczyjej pomocy, wy dobył dzwon z jeziora. Jest bohaterem, jest królem. Upadł na Dorę, jego obie ręce sięgnęły do jej ramion, jego ciało zważyło się na jej ciało. Usłyszał, jak łapie ustami powietrze, potem rozprężyła się, przyjęła jego ciężar, zarzuciła mu ręce na szyję. Niezdarnie, namiętne, twarde usta Toby'ego odszukały ją w ciemności. W trakcie tej szamotaniny potoczyli się aż do wylotu dzwonu.

A wtedy jego serce poruszyło się w ciemnej metalowej jamie i uderzyło gwałtownie o ścianę; rozległ się przytłumiony łoskot i popłynął nad jeziorem, którego wody znowu były spokojne.

ROZDZIAŁ XVIII

Dziwny, głuchy, przeciągły odgłos obudził Michała Meade'a, odgłos, który zdawał się płynąć od strony jeziora. Michał leżał jakiś czas nieruchomo, wsłuchując się z niepokojem w ciszę, która nastąpiła, a potem wstał i podszedł do otwartego okna. Noc była jasna, księżycowa, księżyc – pełny, wysoko na niebie – rzucał blask niemal złoty na spokojny obszar jeziora. Michał przetarł oczy, zdumiony szybkością swojej reakcji i wciąż niepewny, ozy to sen, czy jawa. Stał chwilę przyglądając się spokojnemu krajobrazowi. Potem zapalił światło i spojrzął na zegarek, który wskazywał dziesięć po trzeciej. Michał był teraz zupełnie przytomny i mocno zaniepokojony. Usiadł na brzegu łóżka i w napięciu wyteżał słuch. Znowu ogarnęło go dziwaczne uczucie, że zagraża jakieś zło. Pociągnął nosem sprawdzając, czy w pokoju rzeczywiście nie rozchodzi się obrzydliwy odór. Przypomniał sobie, że tuż przed obudzeniem śnił o Nicku.

Był zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć. Odgłos, który usłyszał – nie miał teraz wątpliwości, że naprawdę słyszał – wytrącił go z równowagi. Pamiętał mgliście z dzieciństwa historie opowiadane o dziwnych odgłosach wydobywających się z głębi morza i zapowiadających nieszczęście. Ubrał się, postanowił obejść dom i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wyobrażenia nasunęła mu dręczące obrazy pałacu stojącego w płomieniach. Zapalił na korytarzu światło i kręcił się chwilę po domu. Nic się nie działo i chyba nikt poza nim nie wstał. Wyszedł na balkon i rozejrzał się po wspaniałym krajobrazie nocnym. Zobaczył natychmiast, że w domku dozorczy pali się światło. A więc w każdym razie Nick nie śpi. Albo Toby. Zbadał wzrokiem brzegi jeziora w lewo i prawo od domu. Panował tam spokój.

Potem dostrzegł, że coś się rusza, i zobaczył postać na ścieżce prowadzącej z grobli do promu. Widać ją teraz było wyraźnie, postać mężczyzny idącego zdecydowanym krokiem, rzucającą długi cień. Michała przeniknął dreszcz niepokoju i trwogi. Patrzył chwilę, a potem zbiegł ze schodów na taras, zamierzając przeciąć drogę nocnemu wędrowcowi, kimkolwiek był. Na widok zbliżającego się Michała mężczyzna stanął i czekał. Wyteżając wzrok w księżycowej poświacie, prawie biegnąc teraz, Michał poznał z mieszanym uczuciem rozczarowania i ulgi Pawła Greenfielda.

– Och, to ty – powiedział Paweł.

– Co się stało? – spytał Michał.

– Dora zniknęła – wyjaśnił Paweł. – Obudziłem się i zobaczyłem, że jej nie ma. A ponieważ nie wracała, wyszedłem jej poszukać.

– Czy słyszałeś przed chwilą taki jakiś dziwny odgłos? – spytał Michał.

– Tak, przewracałem się właśnie w krzak janowca. Co to było?

– Nie wiem – odparł Michał. – Brzmiało jak dzwon.

– Jak dzwon? – zdziwił się Paweł.

– W domku dozorczy jest światło – powiedział Michał.

– Właśnie tam idę. Pomyślałem, że może jest tam Dora. A jak jej nie ma, będę się chciał dowiedzieć, czy panicz Gashe leży w swoim łóżku. Zauważyłeś, że ci dwoje biegają jak para konspiratorów?

Michał, który to rzeczywiście zauważył, powiedział:

– Nie.

Zaczęli iść w kierunku promu.

– Czy mogę iść z tobą? – spytał Michał. On też bardzo chciał wiedzieć, co się dzieje w domku

dozorcy.

Paweł nie oponował. Przeprawili się łodzią na drugi brzeg i zaczęli iść śpiesznie ścieżką prowadzącą do alei. Światło było teraz wyraźniejsze. Wyszli z blasku księżycy w mrok drzew i poczuli pod stopami twardy żwir podjazdu.

Zbliżywszy się do domku zobaczyli, że drzwi są otwarte. Światło padające przez drzwi i nie zasłonięte okna ukazywało żwir, wysoką trawę, żelazne pręty bramy. Paweł zaczął biec i dopadł drzwi przed Michałem. Władował się do środka nie pukając. Michał pośpieszył za nim, zajrzał mu przez ramię.

Zobaczył widok tchnący spokojem i dobrze znajomy. Gazety jak zawsze wały się po podłodze i po stole. Na kominku płonął ogień, obok leżał wyciągnięty Murphy. Za stołem, na swoim zwykłym miejscu, siedział Nick. Na stole stała butelka whisky i szklanka. Poza nim nie było tu nikogo.

Paweł wydawał się zakłopotany. Powiedział:

– Och, dobry wieczór, Fawley. – Tylko Paweł zwracał się do Nicka po nazwisku. – Chciałem zobaczyć, czy nie ma tu mojej żony.

Nick, który – jak się Michałowi zdawało – okazał na jego widok pewne zdziwienie, uśmiechnął się teraz swoim charakterystycznym krzywym uśmiechem. Tłuste kręcone włosy, brudna rozchełstana koszula, długie nogi wyciągnięte i sterczące spod stołu nadawały mu wygląd jakiegoś drugoplanowego czarnego charakteru z książek Dickensa. Sięgając po butelkę podniósł brwi, może żeby wyrazić trochę protekcyjne zdziwienie (Michał też je często odczuwał) na widok szczerości, z jaką Paweł ujawnia swoje kłopoty małżeńskie.

– Dzień dobry, Greenfield – rzekł Nick. – Nie, nie ma jej. A dlaczego miałyby tu być? Napije się pan?

– Nie, dziękuję – rzucił Paweł z irytacją. – Nie biorę whisky do ust.

– A ty, Michał?

Michał podskoczył na dźwięk swojego imienia i nie od razu zrozumiał, o co Nickowi chodzi. Potrząsnął głową.

– Toby jest na górze? – spytał Paweł.

Wciąż się do niego uśmiechając Nick kazał mu czekać na odpowiedź. W końcu powiedział:

– Nie, jego też nie ma.

– Mogę zajrzeć na górę? – spytał Paweł. Już szedł wielkimi krokami przez pokój.

Michał, który dopiero teraz zrozumiał, w jakim strasznym stanie jest Paweł, został z Nickiem. Spojrzał na niego bez uśmiechu. Sam też był bliski szaleństwa.

Nick znowu się uśmiechnął.

– Jeden z grzechów głównych – powiedział.

– Co?

– Zazdrość.

Kroki Pawła zadudniły na schodach. Wpadł do pokoju.

– Przekonał się pan? – spytał Nick.

Paweł nie odpowiedział, stał z twarzą ściągniętą niepokojem.

– Wie pan, gdzie on jest? – zwrócił się do Nicka.

– Gashe? Nie wiem. Nie jestem jego strażnikiem.

Paweł stał chwilę niezdecydowany, potem odwrócił się, żeby odejść. Przechodząc obok Michała przystanął.

– To było zaskakujące... to, co mówiłeś o dzwonie.

– Dlaczego? – spytał Michał.

– Bo z Imber jest związana legenda. Miałem ci o tym powiedzieć. Dźwięk dzwonu zapowiada

śmierć.

– Czy słyszałeś ten dziwny odgłos nie tak dawno temu? – spytał Michał Nicka.

– Nic nie słyszałem – odparł Nick.

Waląc butami o podłogę Paweł wyszedł za drzwi i oddalił się podjazdem w kierunku domu.

Michał nie ruszał się z miejsca. Był bardzo zmęczony, oszołomiony. Gdyby się tylko Nick nie odzywał, zostałby z nim chętnie i posiedział w milczeniu. Ale były to obłąkane myśli.

– Napijesz się? – spytał Nick.

– Nie, dziękuję – odparł Michał. Było mu bardzo trudno nie patrzeć na Nicka. Poważna mina wydawała się wroga, a uśmiech prowokujący. Uśmiechnął się do niego niepewnie i zaraz odwrócił wzrok.

Nick wstał i zaczął iść w stronę Michała. Michał zeszywniał. Przez moment wydawało mu się, że Nick podejdzie do niego i dotknie go. Ale zatrzymał się o krok, wciąż uśmiechnięty. Michał spojrzał mu prosto w twarz. Chciałby móc zetrzeć z niej ten uśmiech. Coś go nagliło, żeby wyciągnąć ręce i położyć je Nickowi na ramionach. Odgłos, który go wyrwał ze snu, blask księżyca, szaleństwo tej nocy kazały mu nagle uwierzyć, że porozumienie między nimi jest teraz dozwolone. Był całym ciałem świadomy bliskości Nicka, ta świadomość przyprawiała go niemal o drżenie. Może nadeszła chwila, gdy powinien zwalić barierę, którą sam wzniósł między nimi. Nic dobrego z tego nie wynikło. A fakt pozostawał faktem, z czego jasno zdał sobie teraz sprawę, że kocha Nicka – cokolwiek to znaczyło i jakkolwiek posiadało wartość. Z tej miłości może jeszcze wyniknąć coś dobrego.

– Nick – zaczął Michał.

Przemawiając prawie jednocześnie Nick powiedział:

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie jest Toby?

Michał zdrygnął się słysząc to pytanie. Miał nadzieję, że jego twarz pozostała bez wyrazu.

– A gdzie jest? – spytał.

– W lesie, kocha się tam z Dorą – wyjaśnił Nick.

– Skąd wiesz?

– Widziałem ich.

– Nie wierzę ci. – Ale wierzył. Dodał: – Zresztą to nie moja sprawa. – Stwierdzenie idiotyczne, bo jakkolwiek by się na to spojrzało, była to jego sprawa.

Nick zrobił kilka kroków do tyłu i usiadł swobodnie na stole, z twarzą wciąż uśmiechniętą.

Michał odwrócił się i wyszedł zatrząskując za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ XIX

– A co się potem stało? – spytał James Tayper Pace.

Był ranek następnego dnia i Michał z Jamesem zrywali w szklarni pomidory. Pogoda zaczęła się psuć, słońce świeciło, ale silny wiatr, który zerwał się nad ranem, hulał po ogrodzie warzywnym. Wysokie rzędy tyczkowej fasoli chwiały się niebezpiecznie, a Patchway pracował przytrzymując jedną ręką kapelusz. W szklarni było jednak spokojnie, a ciepłe, nasiąknięte zapachem ziemi powietrze i kiście jędrnych, czerwonych owoców stwarzały nastrój niemal tropikalnej ciszy. Dzisiaj porządek zajęć został zmieniony z uwagi na dzwon, którego oczekiwano w Imber w godzinach porannych. Biskup obiecał przyjechać późnym popołudniem i zaraz po nabożeństwie połączonym z ceremonią chrztu miał zjeść z członkami bractwa kolację, którą Margaret Stratford przygotowywała z rozmachem. Po nocy spędzonej w Imber biskup miał rano odprawić bardziej uroczyste nabożeństwo.

– Nic się nie stało – odparł Michał. – Spotkałem Pawła i poszliśmy razem do domku dozorczy. Toby’ego tam nie było. Wyszliśmy i ja wróciłem do łóżka, a on dalej prowadził swoje poszukiwania. Dziś rano powiedział, że jak wrócił do siebie w trzy kwadranse później, zastał już Dorę w pokoju. Oznajmiła mu, że noc była gorąca, więc poszła się przejść nad jezioro.

James wybuchnął swoim grubym, huczącym śmiechem i wyłożył następną skrzynkę gazetami.

– Obawiam się – powiedział – że pani Greenfield jest, jak to potocznie nazywamy, dziwką. Przykro mi, że to mówię, ale trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Z nierobienia tego wynikają same przykrości.

– Więc nic w nocy nie słyszałeś? – spytał Michał.

– Najmniejszego szmeru. Ale jestem ostatnio taki zmęczony, że śpię jak przysłowiowa kłoda. Nie obudziłaby mnie trąba wzywająca na sąd ostateczny. Musieliby przysłać specjalnego posłańca!

Michał milczał. Zręcznie przebierał w gorejących pomidorach, ciepłych od słońca i jędrnie dojrzałych. Skrzynki napępniały się bardzo szybko.

– Naturalnie to wcale nie jest do śmiechu – ciągnął James. – Nie wierzę, żeby wczoraj zaszło coś poważnego. Paweł to straszny panikarz i człowiek chronicznie zazdrosny. Niemniej musimy trzymać oczy otwarte. I szkoda, że sprawy między nim a Dorą zaszły aż tak daleko.

– Aha – przyznał Michał.

– Jestem pewien, że Toby i Dora nie zrobili nic złego, najwyżej uganiali się razem jak para smarkaczy – oznajmił James. – Zresztą ona jest mniej więcej na jego poziomie intelektualnym. Ale z tego rodzaju kobietą nigdy nie można mieć pewności, czy nie będzie jakiegoś gestu, jakiegoś słowa, które mogłoby go wytrącić z równowagi. Ostatecznie on jest inny niż moi chłopcy ze slumsów. Był cieplarnianym dzieckiem. A mnóstwo zależy od tego, jakie będzie pierwsze zetknięcie się chłopca ze sprawami seksu, nie uważasz? Wpływanie ha młodych to poważna rzecz.

– Słusznie – powiedział Michał.

– Wielka szkoda, że wywarliśmy tak mały wpływ na panią G. Żałuję, że nie porozmawiała z matką Klarą. Mogłoby to jej dobrze zrobić. Ta dziewczyna to po prostu jeden wielki uczuciowy bałagan. Myślę, że zrobiliśmy Pawłowi zawód.

– Możliwe – powiedział Michał.

– I wiesz, ponosimy pełną odpowiedzialność za tego chłopca. Ostatecznie przyjechał tutaj

niejako szukając ciuchowego azylu, niejako przygotowując się do studiów w Oksfordzie. Naturalnie mógłby sobie hasać z Dorą jak z dobrym kumplem i nie byłoby w tym nic gorszącego, ale... ale myślę, że ktoś powinien zwrócić uwagę.

– Zwrócić uwagę komu? – spytał Michał.

– Moim zdaniem Dorze – powiedział James. – Próba apelowania do lepszej strony jej natury może się okazać zupełnie daremna. Ta dziewczyna w najlepszym przypadku jest niestety dość tępym narzędziem... a co więcej, przypomina mi tego *jeune homme de Dijon, qui n'avait aucune religion*! Ale nawet jeśli nie dba o ciśnienie swojego męża, powinna okazać odrobinę szacunku dla młodości Toby'ego. Tyle powinna zrozumieć. Michał, a może ty byś jej łagodnie przemówił do rozumu?

– Ja w żadnym wypadku – powiedział Michał.

– Jak myślisz, może Margaret? – spytał James. – Margaret jest taka macierzyńska i Dora chyba ją lubi... Zresztą lepiej, żeby tego rodzaju uwagi wyszły od kobiety. O, właśnie tu idzie!

Michał poderwał głowę. Margaret Stratford biegła w ich stronę betonową ścieżką, jej szeroka spódnica powiewała na wietrze. Michał natychmiast wytłumaczył sobie jej złowieszczy pośpiech i serce zamarło mu w piersi.

Margaret otworzyła drzwi wpuszczając do środka silny podmuch chłodnego powietrza.

– Michał – zawołała szczęśliwa, że mu przekazuje takie polecenie – przeorysza chce się z tobą natychmiast zobaczyć.

– Słowo daję, ty szczęściarzu! – powiedział James. Ich obie rozpromienione, przyjazne twarze patrzyły na niego z zazdrością.

Michał umył ręce pod zlewem w kącie szklarni i wytarł je w chusteczkę.

– Przykro mi, że cię zostawiam samego przy pracy – powiedział do Jamesa. – Musicie mi wybaczyć ten pośpiech.

Wypadł na ścieżkę prowadzącą za domem w kierunku jeziora. Zwyczaj nakazywał biec, kiedy było się wezwanym do przeoryszy. Skręcił w lewo ku grobli i wiatr wionął w niego z całą siłą. Potem spojrzął na drugi brzeg jeziora i zobaczył, że spomiędzy drzew wyłania się ogromna ciężarówka i bardzo powoli zaczyna sunąć nie osłoniętym odcinkiem podjazdu. Przyjechał dzwon. Powinien odczuwać zainteresowanie, podniecenie, zadowolenie. Zauważył obojętnie jego przyjazd i natychmiast o nim zapomniał. Skręcił na groblę. Nie wątpił, że przeorysza wie wszystko o Tobym. Była to myśl irracjonalna. W jaki sposób mogła się dowiedzieć? Ale wiedziała takie zdumiewające rzeczy. Gdy zdyszany zbliżał się do drewnianego odcinka na środku grobli, zwolnił. Jego kroki zadudniły głucho na deskach. Nie spodziewał się tego wezwania. Miał uczucie, że zaraz zostanie na nim dokonany duchowy gwałt; poczuł się nagle zamknięty w sobie, skryty, obojętny, prawie zirytowany.

Przed budynkiem mieszczącym rozmównicę czekała siostra Urszula. Doglądała zawsze audiencji u przeoryszy. Jej szeroka, władcza w wyrazie twarz już z daleka uśmiechała się do Michała z aprobatą. Uważała takie wezwanie za dowód specjalnej łaski. Ostatecznie wszyscy pragnęli audiencji u przeoryszy, ale udzielała ich tylko nielicznym.

– W pierwszej rozmównicy – zawiadomiła go siostra Urszula, gdy mijał ją mamrocąc słowa powitania.

Michał wbiegł na wąski korytarz i zanim otworzył drzwi, stał chwilę usiłując złapać oddech. Obita tiulem rama zasłaniała kratę, w głębi panowała cisza. Zwyczaj nakazywał, żeby osoba wezwana weszła pierwsza do rozmównicy. Michał odsunął ramię, ukazała się krata i tuż za nią druga rama obita tiulem, zasłaniająca rozmównicę już na terenie klauzury. Następnie poprawił kołnierzyk (nie miał krawata), zapiął koszulę, przygładził włosy i całym wysiłkiem woli starał się odzyskać spokój. Nie zdobył się na to, żeby usiąść, stał wpatrzony w ślepy kwadrat tiulu za kratą.

Po minucie czy dwóch, w czasie których czuł niemiłe walenie serca, usłyszał szelest i zobaczył niewyraźny cień na tiulu. Rama została odsunięta i zobaczył przed sobą wysoką postać przeoryszy, a za nią małe pomieszczenie identyczne z tym, w którym się znajdował. Przykląkł, jak było w zwyczaju, i czekał, aż przeorysza usiądzie. Uśmiechając się lekko siadła i gestem ręki przyzwoliła mu zająć miejsce. Michał przysunął krzesło do samej kraty i siadł na brzeżku, bokiem, dzięki czemu ich głowy znajdowały się tuż obok siebie.

– Cieszę się, drogi synu, że cię widzę – powiedziała przeorysza energicznym głosem, jakim rozpoczynała zawsze audyencje. – Mam nadzieję, że nie wybrałam najmniej odpowiedniej dla ciebie chwili. Musisz być dzisiaj bardzo zajęty.

– Chwila jest dla mnie jak najbardziej odpowiednia – zapewnił ją Michał. Uśmiechnął się przez kraty. Zniknęła przynajmniej jego irytacja, wyparło ją głębokie uczucie przywiązania, zmieszane z lękiem i szacunkiem, jakim darzył przeoryszę. Jej promienna, łagodna, władcza i niezwykle inteligentna twarz o długich, delikatnych bruzdach, jak gdyby wyrytych cieniutkim dłutem, refleks o barwie kości słoniowej padający na nią od kornetu, przywodzący na myśl holenderskie malowidła, wszystko to przypominało mu dawno zmarłą matkę.

– Sama bardzo się śpieszę – powiedziała przeorysza. – Ale pomyślałam, że muszę cię zobaczyć. Nie widzieliśmy się od wieków, prawda? A jest kilka drobnych spraw do omówienia. Nie zabiorę ci dużo czasu.

Michał wysłuchał z ulgą tego wstępu. Bał się, że zostanie w jakiś sposób zbesztany; a nie była to chwila, w której pragnąłby intymnej rozmowy z przeoryszą. Czuł, że w obecnym stanie ducha najmniejszy nacisk z jej strony pchnąłby go w grzęzawisko jałowych samooskarżeń. Czerpiąc odwagę z jej rzeczowego tonu powiedział:

– Myślę, że wszystko jest przygotowane wzorowo na dzisiejszy wieczór i na jutro. Margaret Stratford dokonuje cudów.

– Niech ją Bóg błogosławi! – zawołała przeorysza. – Jesteśmy wszystkie tak przejęte, że nie możemy się doczekać jutrzejszego dnia. Biskup przyjeżdża dzisiaj po południu, prawda? Mam nadzieję, że go zobaczę chociaż na moment. Jest taki zajęty. To ładnie z jego strony, że poświęca nam swój cenny czas.

– Oby nas tylko nie wziął za bandę nieudolnych bałaganarzy! – powiedział Michał. – Boję się, że jutrzejsza procesja będzie trochę bezładna, zaimprovizowana. Jest mnóstwo dobrej woli, ale znacznie mniej kunsztu.

– Tym lepiej – ucieszyła się przeorysza. – W młodości widywałam często procesje we Włoszech, ale nawet te najwspanialsze były przeważnie bardzo bezładne. I może dlatego wydawały się spontaniczne i żywe. Jestem pewna, że biskupowi wcale nie zależy na oglądaniu musztry wojskowej. Nie, jestem pewna, że jutrzejszy dzień uda się wspaniale. Chciałam z tobą porozmawiać o czymś innym, o sprawach finansowych.

– Napisaliśmy już projekt apelu – wyjaśnił Michał – i zrobiliśmy listę ewentualnych przyjaciół Imber. Prosiłbym Matkę, aby zechciała rzucić okiem na oba te dokumenty. Jeśli otrzymam teraz na to zgodę, roześlę wezwanie mniej więcej za dwa tygodnie. Możemy je odbić sami na powielaczu.

– Bardzo słusznie – pochwaliła przeorysza. – Myślę, że walcząc o tego rodzaju sprawę nie można rozsyłać drukowanych apelów. Jest to ostatecznie coś bardzo wewnętrznego. Zdarzają się okazje, w których pieniądź przemawia do pieniądza, ale ta do nich nie należy. Zwracamy się tylko do naszych przyjaciół. Chętnie przejrzę te projekty, jeśli mi je przyslesz dzisiaj przez siostrę Urszulę. Prawdopodobnie będziemy mogły dodać kilka nazwisk do waszej listy. Jestem ciekawa, jakiego rodzaju rozgłos uzyska nasz dzwon. Bo to mogłoby pomóc w niektórych kołach, prawda? Nie widzę w tym nic złego, jeśli świat przypomni sobie czasem, naturalnie

bardzo rzadko, o naszym istnieniu.

Michał uśmiechnął się.

– Ja też o tym myślałem – powiedział. – Dlatego nie chcę za bardzo odkładać apelu. Naturalnie nie dopuścimy dziennikarzy. Zresztą żaden nie zdradził chęci przyjazdu. Ale przygotowałem komunikat prasowy dla miejscowych gazet i drugi, trochę krótszy, dla pism krajowych. Omówiłem jego treść z matką Klarą. I poprosiłem Piotra, żeby zrobił trochę fotografii, które będziemy mogli rozesłać z komunikatem.

– Doskonale – powiedziała przeorysza. – Po prostu nie mogę zrozumieć, jak znajdujesz czas na to wszystko. Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz. Wyglądasz dość mizernie.

– Ale czuję się dobrze – odparł Michał. – Zresztą za tydzień czy dwa zwolnimy tempo. Uważam, że tamci pracują dużo ciężiej ode mnie. James i Margaret są zajęci od świtu do nocy.

– Martwię się o twojego młodego przyjaciela w domku dozorca – powiedziała przeorysza.

Michał odetchnął głęboko. A więc jednak o to chodziło. Czuł, jak gorący rumieniec rozplywa mu się po twarzy. Nie patrzył na przeoryszkę, wbił wzrok w żelazny pręt nad jej głową.

– Tak? – spytał.

– Wiem, że to bardzo trudna sprawa – ciągnęła przeorysza – i naturalnie wiem o niej bardzo niewiele, ale mam uczucie, że on nie znalazł tego, po co do Imber przyjechał.

– Może masz słuszość, Matko – powiedział Michał bezbarwnie, czekając na atak wprost.

– Myślę, że winić należy o to przede wszystkim jego, ale jest w wyraźny sposób poza biegiem spraw, a odsunie się od was jeszcze bardziej, kiedy Katarzyna będzie już z nami.

Michał pojął z ulgą, która była jak wstrząs, że przeorysza mówi o Nicku, nie o Tobym. Przeniósł spojrzenie na nią. Jej oczy patrzyły bystro.

– Wiem. Ta sprawa bardzo mnie gnębi. Powinienem był zrobić więcej. Przypilnuję, żeby wreszcie coś zostało zrobione. Naślę na niego kogoś, może Jamesa. Przeniesiemy go do domu i postaramy się, żeby uczestniczył w naszym życiu. Ale, jak mówiłaś, Matko, nie jest to łatwa sprawa. On nie chce pracować. Obawiam się, że przyjechał do Imber na krótki pobyt. Niedługo wróci do Londynu.

– Przyznaję, że Nick Fawley to *mauvais sujet* – powiedziała przeorysza – ale to jest dodatkowy powód, żebyśmy nie szczydzili wysiłków. Bo człowiek jego pokroju nie przyjeżdża do takiego miejsca w poszukiwaniu rozrywki. Naturalnie przyjechał, bo chce być blisko Katarzyny. Ale sporo daje do myślenia już choćby to, że chce być z nią teraz i chce mieszkać w Imber, nie w miasteczku. Nie możemy mieć pewności, czy nie ma jakiegoś ziarna nadziei na poprawę. I pozwól, że ci coś powiem. To nie Jamesa powinno się, jak to określiłaś, „nasłać” na niego, tylko ciebie.

Michał wytrzymał jej spojrzenie, które było bardziej figlarne niż oskarżające.

– Nie umiem z nim postępować – powiedział. – Ale rozpatrzę tę sprawę. – Umacniał się w postanowieniu, że nie będzie szczery z przeoryszką.

Przeorysza badała wzrokiem jego twarz.

– Wyznam ci – powiedziała – że się martwię, chociaż nie bardzo wiem czemu. Martwię się o niego i martwię się o ciebie. Czy jest może coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

Michał przywarł do krzesła. Gdzieś spoza przeoryszy duchowa siła tego miejsca zdawała się wiać w niego z gwałtownością huraganu. Co za ironia, pomyślał, że kiedy pragnął powiedzieć przeoryszy o wszystkim, ona mu nie pozwoliła, a teraz, kiedy ona pragnie to od niego usłyszeć, on nie chce jej powiedzieć. Rzecz w tym, że chciał jej rady, nie jej rozgrzeszenia; a nie mógł prosić o jedno nie udając, że prosi o drugie. Z czego wcale nie wynikało, że przeorysza byłaby tolerancyjna. Ale poczuł niemal obrzydzenie na samą myśl o tym, że miałyby jej ujawnić żalony zamęt swojej duszy. Historię z Nickiem znała prawie na pewno w zarysach; teraz chciała poznać

jego obecny stan ducha, a to w sposób nieunikniony musiałyby ujawnić historię Toby'ego. Wiedział, że gdyby zaczął jej opowiadać o swoim życiu, nie mógłby mówić bez absurdalnego wzruszenia i bez owej szczególnej odmiany litości dla samego siebie, którą przywykł brać mylnie za skruchę. W takim przypadku milczenie jest czystsze, lepsze. Spojrzał w dół i zobaczył leżącą na brzegu kraty, tuż obok, niczym rozmyślna pokusa, jej pokrytą zmarszczkami i białą dłoń, na którą wylewali łyzy ludzie więcej warci od niego. Gdyby jej dotknął, byłby zgubiony. Odwrócił wzrok i powiedział:

– Nie, chyba nie.

Przeorysza wpatrywała się w niego jeszcze chwilę, gdy tymczasem on, nagle jakby skurczony, zmałały, wysuszony, spoglądał w kąt rozmównicy poza jej plecami.

– Wspominamy cię bezustannie w naszych modlitwach – powiedziała. – Ciebie i twojego przyjaciela. Wiem, jak bardzo bolejesz nad tymi, którzy są powierzeni twojej opiece; nad tymi, którym pragniesz pomóc i nie potrafisz, którym nie możesz pomóc. Ufaj Bogu i pamiętaj, że to On w wybrany przez siebie sposób i wybranej przez siebie chwili dokończy dzieła, któreśmy tak nieudolnie rozpoczęli. Często nie osiągamy dla innych tego dobra, które zamierzaliśmy osiągnąć, osiągamy jednak coś, co weźmie początek z naszego wysiłku. Dobro jest nadmiarem. Jeśli wspaniałomyślnie ii szczerze tego pragniemy, podejmujemy dzieło tworzenia, które dla nas samych może być tajemnicą – a ponieważ jest tajemnicą, odczuwamy przed nim lęk. Ale to nie powinno być dla nas hamulcem. Bóg, jeśli zechce, zawsze może nam pokazać wznioślejszą i lepszą drogę; a tylko kochając możemy nauczyć się kochać. Pamiętaj, że wszystkie nasze niepowodzenia są w ostatecznym rezultacie niepowodzeniami w miłości. Nie należy potępiać i odrzucać niedoskonałej miłości, należy ją udoskonalać. Droga musi wieść zawsze naprzód, nigdy wstecz.

Patrząc jej teraz prosto w twarz Michał skinął lekko głową. Po tym, co powiedziała, nie odważył się dobyć głosu. Obróciła rękę dłonią do góry. Ujął ją czując jej chłodny, suchy dotyk.

– Za dużo czasu ci zajęłam, drogie dziecko – powiedziała przeorysza. – Chciałabym cię znowu zobaczyć, jak tylko skończy się to całe zamieszanie. Staraj się nie przeciążać pracą, obiecujesz?

Michał pochylił się nad jej dłonią. Zamykając oczy pocałował ją i przycisnął do policzka. A potem ukazał przeoryszy spokojną twarz. Czuł niejasno, że dzięki temu milczeniu odniósł duchowe zwycięstwo. Czuł, że zasłużył na jej pochwałę. Wstali oboje i gdy Michał znowu składał przed nią ukłon, zasunęła ramę obitą tiulem i odeszła.

Stał chwilę w cichym pomieszczeniu, wpatrzony w pręty kraty i w ślepa zasłonę za nimi. Potem zasunął ramę po swojej stronie. Jak dobrze przeorysza wiedziała, co dzieje się w jego duszy. Ale jej napomnienia uznał bardziej za cud niż za praktyczną radę. Był nazbyt zniszczonym instrumentem, by wykonać tę pracę, jaką wykonać należało. Miłość. Potrząsnął głową. Może tylko ci, którzy wyrzekli się świata, mają prawo używać tego słowa.

ROZDZIAŁ XX

Wiał silny wiatr. Ogromne zwały bulwiastych złotych chmur przemykały szybko po niebie, to zasłaniając, to odsłaniając słońce. Był to jeden z tych dni, które są radosne w marcu, ale męczą we wrześniu. Dora mocowała się z białą wstążką.

Bezsenna noc w połączeniu z niesłuchaniem trudnym, jak jej się teraz zdawało, i niebacznym podjętym przedsięwzięciem wytrąciła Dorę z równowagi. Sposób, w jaki Toby skoczył na nią w stodole (bo tak to określała), wydałby się jej w innych okolicznościach zachwycający. Rozczulało ją wciąż bardzo żywe wspomnienie namiętnych, dziecinnych pocałunków i rozumiała doskonale, że nie jest obojętna na wdzięk tego jędrnego, młodzieńczego ciała i świeżej, niepewnej twarzy. Podniecenie wywołane krótkimi pieszczotami Toby'ego zniknęło pochłonięte przez głębsze emocje związane z dzwonem. Czuli się teraz kapłanką poświęcającą wszystkie swoje myśli obrządkowi, przy którym zwykle stosunki międzyludzkie tracą znaczenie.

Szarpanina w stodole skończyła się raptownie na skutek interwencji dzwonu. Żadne z nich nie umiało określić – ponieważ byli przed chwilą zajęci tym, czym byli zajęci – jak głośny był to dźwięk. Doszli do wniosku, że nie był bardzo głośny, ot, zwykły szmer nie dający się nawet porównywać z pełnym głosem dzwonu. Niemniej nawet szmer z takiego źródła musiał być dość głośny, czekali więc niespokojnie w ciszy, która zapadła, na jakieś hałasy od strony pałacu. Ale ponieważ nic nie było słychać, zabrali się bezzwłocznie do realizacji drugiej części zadania, które zostało wykonane z szybkością i sprawnością bardzo dobrze świadczącą o Tobym. Żałował tylko, o czym zawiadomił Dorę, że ona nie może sobie nawet wyobrazić, jak bardzo trudne było to, co udało im się z takim powodzeniem wykonać. Dzwon wisiał teraz na drugiej linie, kilka stóp nad klepiskiem. Lina była przerzucona przez belkę, wyprowadzona za wrota stodoły i za pomocą drąga żelaznego przesuniętego przez żelazne kółko na jej końcu umocowana w rozwidlonych gałęziach buku. Spiskowcy zakamuflowali wszystko najlepiej, jak się dało, gałązkami i pnączami i mogli już teraz wrócić do łóżek. Gdy szli, razem teraz, betonową drogą w kierunku pałacu, Dora wzięła Toby'ego za rękę. Pod lasem, gdy trzeba się było rozstać, stanęli naprzeciwko siebie w blasku księżyca. Drżąc w niecierpliwym uniesieniu Toby wziął Dorę za ramiona i przesunął ją, dopóki księżyc nie oświetlił jej twarzy. Zdumiony i zachwycony jej przyzwalającą biernością, wpatrywał się w nią chwilę, a potem porwał w ramiona wykręcając jej ciało gwałtownie do pocałunku i o mało nie padając z nią w trawę.

Po tych romantycznych przygodach nadszedł ranek następnego dnia i trochę Dorę otrzeźwił. Paweł, który szukał jej na próżno i w trakcie nocnej wędrówki wbił sobie w dłoń mnóstwo cierni janowca, nie był z niej specjalnie zadowolony, kiedy wróciwszy zastał ją w łóżku; nie był też w dobrym humorze, kiedy zbudzili się rano po krótkim śnie. Znał dostatecznie dobrze gusty swojej żony, aby wiedzieć, że normalnie nie jest skłonna do takiego samotnego obcowania z naturą, zwłaszcza w nocy, toteż bynajmniej nie ukrywał, że jej opowieść o wędrówce w blasku księżyca brzmi dla niego mało przekonująco. Nie zawahał się też wymienić pewnych nazwisk przy formułowaniu odmiennej teorii. Zmaltretowana jeszcze przed śniadaniem Dora zalała się łzami; było jej naprawdę przykro, że sprawiła Pawłowi ból, i czuła się tym razem niewinnie oskarżona, a nie mogła powiedzieć nic na swoje usprawiedliwienie. A co było jeszcze bardziej denerwujące, Paweł uparł się, że spędzi ten ranek w jej towarzystwie; wziął ją na spacer, który był dla nich obojga udawką, i ogólnie rzecz biorąc zachowywał się tak, jakby była jego więźniem. Uniemożliwiało jej to nawiązanie kontaktu z Tobym, z którym w słodkich chwilach

wczorajszego rozstania zapomniała się umówić na dzisiejszą noc. Nie mogła też pójść do dzwonu, który zamierzała w ciągu dnia oczyścić, aby był gotów na swój jutrzejszy dramatyczny występ. W ciągu ranka Dora była tylko dziesięć minut sama, kiedy Marek Strafford wydłubywał Pawłowi cierń z palca. Ale nie odważyła się pójść i szukać Toby'ego w czasie tej krótkiej przerwy; siedziała zgnębiona w pokoju rekreacyjnym, dopóki nie wróci! Paweł, nadal rozwścieczony i pachnący silnie środkiem dezynfekującym.

Obiad upłynął w nastroju ponurym. Wszyscy byli rozdrażnieni. Toby, który najwyraźniej zdawał sobie sprawą z fal powściąganego wściekłości bijącej od męża Dory, miał minę spokojną i unikał spojrzeń. Pani Markowa zamartwiała się o przyjazd biskupa. Michał wyglądał na chorego. Marka Strafforda pogrążyła w melancholii wieść o zapowiedzianej na przyszły tydzień wizycie rewidenta ksiąg. Katarzyna wydawała się bardziej nerwowa niż zwykle, a Patchway był zły, ponieważ wiatr zwałił całą tyczkową fasolę. Tylko James zwracał ku towarzystwu pogodną i wesołą twarz, rozsiewał wokół siebie atmosferę krzepkiej i energicznej ufności, przysłuchiwał się z nabożną uwagą pani Markowej czytającej fragment dzieła Franciszka Salezego i był chyba zupełnie nieświadomy, że wszyscy inni nie są tak beztroscy.

Po obiedzie Paweł dalej strzegł Dory z maniakalną czujnością. Dora była teraz poważnie zaniepokojona sprawą nocnych przygotowań. Zamknawszy się w toalecie napisała do Toby'ego kilka słów, kartkę włożyła do nie zaadresowanej koperty i schowała do kieszeni. „Szkoda, że się z Tobą nie umówiłam. Spotkajmy się koło domku dozorczy o drugiej.” Ufała, że zdoła mu to jakoś przekazać, opierając swoje nadzieje na dobrze znanej słabości Pawła: nie mógł dłużej niż kilka godzin wytrzymać bez swojej pracy. Około trzeciej zauważyła z radością, że jest wyraźnie niespokojny; w pół godziny później oddalił się w! kierunku Opactwa, przekazawszy swoją branke pani Markowej, która zażądała od niej pomocy w przystrajaniu nowego dzwonu.

I właśnie tym były teraz zajęte. Nowy dzwon, umieszczony na wózku, stał na tarasie przed refektarzem. Przez otwarte drzwi refektarza widać było stoły, tym razem nakryte obrusami i zastawione do kolacji, której z uwagi na niepewną pogodę nie można było podać, wbrew początkowemu projektowi pani Markowej, pod gołym niebem. Z pomocą, jak to James nazywał, wioskowego haremu Patchwaya przygotowywało się całkiem interesujące przyjęcie. Tymczasem wszyscy już obejrzeliby dzwon i wyrazili swój podziw. Umieszczony na środku tarasu, lśniący swoim gładkim, wspaniale wypolerowanym brązem jak złoto, gdy padały na niego promienie słońca, wyglądał nieskończenie dziwnie, a jednak biła od niego moc i powaga. Powierzchnię miał nie ozdobioną, tylko trochę powyżej krawędzi biegł pas arabesek i napis, dostarczony przez owego gorliwego miłośnika starożytności, jakim był biskup: *Defunctos ploro, vivos voco, fulmina frango*. Na koronie dzwonu widniał jeszcze jeden napis i Dora na jego widok poczuła się dziwnie: *Gabriel vocor*.

Dzwon był przykryty białą jedwabną szatą, dość ściśle dopasowaną. Uszyła ją pani Markowa z jakichś resztek demobilowego jedwabiu spadochronowego, które trzymała w potężnych rozmiarów worku na skrawki. Materiał był ciężki i lekko błyszczący. Szata miała u dołu bawełnianą frędzlę, teraz rozłożoną kunsztownie na wózku. U samej góry ów biały baldachim, ściągnięty w jednym punkcie, wywijał się na zewnątrz i spływał w dół kaskadą niezliczonych białych wstążeczek, które należało przyczepić, związując je w mnóstwo sutych pętli, i w końcu na dole połączyć w taki sposób, żeby tworzyły ząbkowany ornament. Dzięki temu szata przypominała suknię ślubną czy też sukienkę do pierwszej komunii. Jeśli istotnie uważano dzwon za postulantkę wkraczającą do Opactwa, był on według współczesnych kryteriów zbyt strojnie odziany; tyle że zwyczaj nakazywał postulantkom występować w bieli. Dora, której zdaniem wyrób konfekcyjny Margaret S. trafo odznaczał się afektowaną skromnością modnej koszuli nocnej, zauważyła z ulgą, że szata jest z jednego kawałka i że można ją zdjąć nie naruszając

falbanek i riuszek. Stojący obok dzwonu stół nakryty adamaszkiem zastępował ołtarz. Ciężkie kamienie utrzymywały białą szatę w miejscu. Dzieci wiejskie zebrały duże naręcza białych kwiatów polnych, z których nikt nie miał czasu upleść girland; kwiaty leżały teraz na kupie, przygotowane do wrzucenia w ostatniej chwili na wózek, a tymczasem wiatr oskubywał je z płatków.

Wstążki okazały się bardziej kłopotliwe, niż pani Markowa sądziła. Było to częściowo winą pogody. Pasma atłasu, przymocowane jak dotąd tylko na samej górze, powiewały wesoło, uderzając jedno o drugie z trzaskiem niemal bata, co nadawało dzwonowi wygląd bardziej słupa majowego niż panny młodej. Kobiety stopniowo przyczepiały odporne wstążki do jedwabiu w miejscach, na których pani Markowa postawiła wczoraj ołówkiem maleńkie krzyżyki, ale trzepoczące kokardki, już po przymocowaniu, stawiały tak duży opór wiatrowi, że pośpieszna fastryga, zwłaszcza jeśli była dziełem rąk Dory, szybko się rozpruwała. James zaproponował, żeby przesunąć wózek na podwórze przy stajniach, lepiej osłonięte od wiatru, ale pani Markowa, ogarnięta teraz paniką i spodziewająca się lada moment przyjazdu biskupa, wolała, żeby wózek został tam, gdzie był, na widocznym miejscu pośrodku tarasu.

Dora, której palce ze zdenerwowania były jeszcze bardziej drewniane niż zwykle, manipulowała niezdarnie wstążką. Przekręciła ją niechcący i już raz musiała rozwiązać aż do samej góry. Biały jedwab wstążki stał się szarawy w jej spoconych rękach. List do Toby'ego miała wciąż w kieszeni i przeprosiłaby panią Markową na chwilę, żeby mu go dostarczyć, gdyby tylko zdołała wybać, gdzie jest Toby; ale tego w panującym zamęciu nikt nie wiedział. Chłopiec znikł. Dora miała nadzieję, że zjawi się na chrzest dzwonu; miała również nadzieję, że pochłonięty pracą Paweł się nie zjawi, a w każdym razie, że przyjdzie później. I gdy tak Dora odrywała wciąż wzrok od kokardek wypatrując Toby'ego, a pani Markowa odrywała wciąż wzrok od kokardek wypatrując biskupa, praca posuwała się naprzód dość niemrawo.

Pani Markowa cały czas mówiła do Dory. A chociaż Dora prawie jej nie słuchała, szybko zdołała się zorientować, że jest przedmiotem ataków. Pani Markowa, czy to z własnej inicjatywy, czy też przez kogoś pouczona, postanowiła wygłosić szereg przestróg i po dość określonym wstępie zaczęła mówić z całą szczerością. W innych okolicznościach Dora by się wściekła. Ale teraz ciężka odpowiedzialność, jaką nakładała na nią cudotwórcza rola, dostatecznie ją absorbowowała, a czyste sumienie pozwalało zachować odpowiedni dystans. To prawda, że pozwoliła się Toby'emu całować, te pocałunki były jednak sprawą marginesową w ważniejszym przedsięwzięciu, a zaledwie maskowane oskarżenia, że Dora uganiała się za tym młodym chłopcem, były naprawdę niesprawiedliwe wobec jej zainteresowania wznioślejszymi sprawami. Dotknięta w swojej niewinności Dora słuchała jednym uchem niezdarnych i niby to żartobliwych wywodów pani Markowej, która usiłowała moralizować.

– Nie masz chyba pretensji, że mówię takie rzeczy – ciągnęła pani Markowa. – Ostatecznie nie przyjechaliśmy tutaj na wakacje. Wiem, że nie jesteś przyzwyczajona do tego rodzaju atmosfery. Należy jednak pamiętać, że małe eskapady, które w innym miejscu byłyby zupełnie nieszkodliwe, tutaj mają znaczenie, ponieważ... och, ponieważ my staramy się prowadzić dość specjalne życie, którym rządzą pewne dość specjalne prawa. Stosujemy się do określonych reguł, a gdyby nasi goście się do nich nie stosowali, wyniknąłby z tego chaos. Mam rację, prawda? To jest logiczne. Wiem, że to wszystko brzmi strasznie nudno i poważnie... i jestem pewna, że twoi londyńscy przyjaciele uznaliby nas za bandę napuszonych ponuraków. Ale ludzie starający się żyć zgodnie z ideałami często wydają się śmieszni. Chodzi mi o to, że niedoświadczonego chłopca może łatwo wytrącić z równowagi koleżeńska serdeczność ze strony przedstawicielki płci odmiennej, jeśli nie jest do takich rzeczy przyzwyczajony. Dlatego musimy bardzo uważać, mam rację? Och, powiedz, czy jestem strasznie napuszona?

– Przyjechał biskup! – zawołała Dora, szczęśliwa, że wiadomość, od której pani Markowa ostatecznie dostanie kręćka, położy kres tym przydługim upomnieniom. Samochód wyłonił się spomiędzy drzew alei i jechał teraz podjazdem po tamtej stronie jeziora.

– O Boże, o Boże! – powiedziała pani Markowa, niepewna, czy ma dalej przyszywać wstążki, czy też pobiec i rzucić ostatni raz okiem na refektarz. Wahała się w drzwiach, zdjęła fartuch i wsunęła pod krzesło, a potem wbiegła do hallu, żeby zawołać od schodów na Jamesa, którego nie było chyba na górze.

Dora stała obok dzwonu z rękami na biodrach i obserwowała samochód, który zwolniejszy przeprowiał się przez trzy mostki na końcu jeziora. Samochód wydawał się jakby znajomy, widocznie była to jedna z popularniejszych marek. Za sobą usłyszała najpierw wołania, a potem lament pani Markowej, że w najważniejszym momencie absolutnie wszyscy zniknęli. Dora obserwowała samochód z niezmaconym spokojem. Nie była w najmniejszej mierze odpowiedzialna za powodzenie uroczystości, które miały się niedługo rozpocząć, i prawdę mówiąc odczuwała na myśl o nich mniej więcej to, co musiał odczuwać Elias obserwujący wysiłki proroków Baala.

Samochód zbliżał się teraz do nich przebywając ostatni odcinek podjazdu. Pani Markowa, wciąż pojękująca ze zdenerwowania, wyszła znów na taras. Samochód wjechał na łagodną pochyłość i zatrzymał się w odległości mniej więcej trzydziestu jardów. Ktoś z niego wysiadł. Był to Noel Spens.

Dora spojrzała i opadły jej ręce.

– O mój Boże! – jęknęła.

– A więc to nie biskup! – powiedziała pani Markowa.

– Nie, to mój przyjaciel – wymamrotała Dora. – Dziennikarz. O Boże! – Rzuciła się biegiem na spotkanie Noela.

Noel stał przy samochodzie, z jedną ręką na dachu, i uśmiechał się, jak gdyby wstąpił zabrać Dorę na obiad. Dopadła go, hamując z poślizgiem na żwirze, dzika i rozjuszona niczym mały byk.

– Wynoś się! – rzuciła. – Wynoś się natychmiast! Na miłość boską, wsiądź do samochodu, zanim cię ktoś zobaczy, i wynoś się stąd. Co cię opętało, żeby tu przyjeżdżać? Mówiłam ci, żebyś się nie ważył. Zrzuńniesz wszystko.

– Co za czarujące przywitanie – powiedział Noel. – Nie unosi się, najdroższa. Ani myślę odjeżdżać. Przyjechałem tu na reportaż. Mam zamiar opisać historię z dzwonem. Nie sądzisz, że to zabawny pomysł?

– Nie, nie sądzę – warknęła Dora. – Noel, rusz głową! Paweł jest tutaj. Jak cię zobaczy, pomyśli, że to ja cię zaprosiłam, i zrobi potworną awanturę. Proszę cię, kochanie, odjedź. Jeżeli zostaniesz, narazisz mnie na mnóstwo przykrości.

– Posłuchaj, malutka – rzekł Noel. – Jak wiesz, odnoszę się do ciebie z anielską wyrozumiałością. Kto wie, czy ci nawet nie przyszło do głowy, że staremu wujaszkiowi Noelowi jest obojętne, co robisz. Mogłaś wpaść do niego, jak chciałaś, żeby cię pocieszył, i zaraz czmychnąć, jeżeli ci to było wygodne, a on zawsze czekał na ciebie z dżinem i martini. No, więc nie jest to taki zupełnie nieprawdziwy obraz; ale ostatnio się przekonałem, że ta rola nie odpowiada mi już tak jak dawniej. Zawsze czułem się za ciebie odpowiedzialny; więc może mam też pewne prawa. Jak wiesz, ucieszyłem się, kiedy do mnie wpadłaś kilka dni temu; i byłem zirytowany, kiedy się cichaczem wyniosłaś. Na ogół nie tęsknię za tym, czego nie mam, to nie leży w mojej naturze. Ale tym razem poczułem, że chciałbym cię niedługo znowu zobaczyć... i trochę mnie niepokoił twój dziwny nastrój. Pomyślałem, że kto wie, czy te zakonnice nie próbują cię przekabacić. A poza tym, wyobraź sobie, mój naczelny zna starego biskupa, który

przyjeżdża ochrzcić wasz dzwon; wyniuchał tę sprawę zupełnie niezależnie ode mnie i kazał mi tu przyjechać. Uważałem, że w tych okolicznościach odmowa byłaby lekkomyślnością.

– Do diabła z tym wszystkim! – wybuchnęła Dora. – Chodzi o to, że Paweł jest tutaj. Czy ty tego nie potrafisz zrozumieć? Na miłość boską, uciekaj, zanim cię zobaczy!

– Nasłuchałem się dość o Pawle i mam tego powyżej uszu – oznajmił Noel. – Paweł traktuje cię haniebnie, a ty go nigdy nie kochałaś. Myślę, że szczerza pogawędka z Pawłem to wcale nie taki zły pomysł. Wcale nie jestem pewien, czy mu nie nagadam do słuchu.

– Nie mówisz tego poważnie! – jęknęła Dora, bliska już teraz szaleństwa. – Ty nie wiesz, jaki on jest. Widywałeś go tylko na przyjęciach. Biskup przyjedzie lada chwila, wtedy wszyscy się zejdą i Paweł zrobi scenę... a ja tego nie wytrzymam!

– Jesteś niemożliwa dziewczyna – powiedział Noel. – Łasisz się do Pawła, aż ci to w końcu wyłazi bokiem, i wtedy uciekasz, a potem oblatuje cię strach i znowu zaczynasz się do niego łąsić. Albo musisz paść przed nim na kolana, albo z nim walczyć. Pomijając wszystko inne, twoje obecne postępowanie nie jest w stosunku do Pawła uczciwe. Nie będziesz nigdy wiedziała, czy naprawdę chcesz z nim zostać, dopóki mu się nie przeciwstawisz otwarcie i na równych warunkach, uciekanie sprawy nie załatwi. Moim zdaniem, jak zaczniesz walczyć, zaraz będziesz wiedziała, że nie możesz z nim zostać. I w tym punkcie budzi się moje zainteresowanie. Jesteś niesolidna, niechlujna, bez wykształcenia i pod każdym względem nieznośna, ale mimo wszystko chciałbym cię znowu u siebie zobaczyć.

– Ojejku, chyba się we mnie nie zakochałeś? – zawołała Dora ze zgrozą.

– Nie używam tej terminologii – oznajmił Noel – więc poprzestańmy na stwierdzeniu, że mi ciebie brak. Nie jest to już, moja dziewczyno – co z oczu, to z serca.

– O Boże! – jęknęła Dora. – Słuchaj, Noel, teraz naprawdę nie mam na to czasu. Strasznie mi przykro, naprawdę mi pochlebiasz i tak dalej, i wiem, że mówisz poważnie, i później wszystko ci wytłumaczę, ale chodzi o to, że mam teraz pewien plan, coś, co nie ma nic wspólnego z Pawłem, i jeżeli wybuchnie o ciebie awantura, wszystko przepadnie... więc bądź anioł i odjedź! Naprawdę wszystko ci dokładnie opowiem, tylko to jest strasznie skomplikowane. Odjedź, Noel, zanim się coś stanie.

– Przykro mi, Dora – powiedział Noel. – Ale tym razem wujaszek Noel robi to, na co on ma ochotę, a nie to, czego ty sobie życzysz. Gdzie mam odstawić samochód? Bo chyba powinienem zrobić miejsce dla Rolls Royce'a biskupa.

– Teraz ty mnie terroryzujesz! – zawołała Dora prawie z płaczem.

– Nie, doprawdy – zgorszył się Noel. – Nazywasz to terroryzowaniem, ponieważ chcę przeprowadzić swój plan zamiast twojego. Wiesz, prawie solidaryzuję się z Pawłem. Wjadę chyba na tamto podwórze. – Wsiadł do samochodu, zapuścił silnik i zawróciwszy wjechał w otwartą bramę podwórza przed stajniami.

Dora zrozpaczona odprowadzała go wzrokiem. Widziała po jego zachowaniu, że jest zdecydowany zostać. Dalsze prośby nie miały sensu. A skoro tak, musi podjąć jakieś kroki i zapobiec eksplozji. Paweł będzie się z nią na pewno kłócił przez całą noc. Ale najpilniejsze zadanie to nie dopuścić do publicznej awantury. Jej własne obrządki miały być przecież punktem szczytowym jutrzejszej ceremonii, a choć pewien chaos i trudności w przygotowaniach specjalnie by jej nie zirytowały, nie chciała, żeby się plan zupełnie zawalił; a poza tym przerażała ją myśl, że ohyda gniewu Pawła miałyby być wystawiona na widok publiczny. Zawróciła i zaczęła iść po żwirze. Spojrzała na dzwon i na panią Markową, dalej przymocowaną wstążki, z których już tylko dwie czy trzy furkotały jak chorągwie. Umysł Dory, dostrojony dzięki krótkiej praktyce do wymogów sztuki dowodzenia, funkcjonował sprawnie. Nic nie zyska tracąc czas na dalsze kłótnie z Noelem. Należy inaczej wykorzystać tych kilka chwil, jakie jej pozostały. Ale

jak?

Pierwszą myślą Dory było pobiec prosto do Pawła i powiedzieć mu o Noelu, zanim sam się dowie w jakiś inny sposób. Może zdoła zawiadomić go o tym oględnie, uspokoić go, wyjaśnić. Pobiegła przez taras, mijając panią Markową, która spojrzała na nią pytająco i zaczęła coś mówić. Ale nim dotarła do schodków, zobaczyła w wyobraźni oczekującą ją scenę i zmieniła zamiar. Z chwilą gdy Paweł się dowie, że Noel jest tutaj, będzie głuchy na wszelkie jej dalsze wyjaśnienia. Nieprzytomny z wściekłości i zazdrości wyminie ją pędem i ruszy do ataku. Nie zdoła nad nim zapanować. Kto by zdołał? Wróciła pędem, jeszcze raz mijając panią Markową, która jeszcze raz spojrzała na nią pytająco i zaczęła coś mówić, i wbiegła schodami na balkon. W tym momencie Noel wyłonił się z podwórza przed stajniami i zaczął ją gonić po schodach wołając:

– Dora, może moglibyśmy się gdzieś później spotkać?

Dora nie zwróciła na niego uwagi, przebiegła przez hall i wypadła na korytarz. Postanowiła rozmówić się z Michałem. Może Michał zdoła wytłumaczyć Pawłowi, że dla dobra bractwa nie wolno w tym właśnie dniu robić publicznych awantur.

Dora nie była nigdy w kancelarii Michała, wiedziała jednak, który to pokój. Gdy znalazła drzwi, zastukała i bez dalszych ceregieli wpadła do środka. Jej wejście było tak nagłe, że zdążyła dostrzec fragment poprzedniej sceny, zanim jej uczestnicy mogli się zorientować, że dobiegła końca. Michał siedział na krześle mocno pochylony do przodu, z łokciami na kolanach, z rękami wyciągniętymi. Toby siedział na podłodze tuż przed nim, z jedną nogą podkurczoną, drugą zgiętą w kolanie. Jedną ręką obejmował tę zgiętą nogę, drugą wykonywał właśnie jakiś gest w kierunku Michała. Gdy Dora weszła, zerwali się obaj.

– Och, Toby – powiedziała Dora – to tutaj jesteś. Michał, okropnie mi przykro, że ci przeszkadzam, ale stało się coś okropnego.

Michał miał przestraszoną minę.

– Co? – spytał.

– Przyjechał ktoś, kogo znam, dziennikarz, żeby napisać o dzwonie. Ale jak się Paweł dowie, że on tu jest, zdemoluje Imber. Musisz do niego pójść i powiedzieć mu, żeby tego nie robił. – Było to chyba trafne przedstawienie sprawy.

Michał wyraźnie się uspokoił. Spojrzał na Toby'ego. Toby wymamrotał:

– To ja już chyba pójdę.

Dora zaczęła coś do niego mówić, wyszedł jednak z pokoju nie patrząc na nią. Michał chciał za nim pobiec, ale od drzwi zawrócił z miną zmieszaną, prawie błędną. Dora była stanowcza. Zaczęła nabierać umiejętności dowodzenia. Spytała Michała:

– Zrozumiałeś?

– Tak... nie – powiedział Michał. – Ten człowiek... ten reporter jest tutaj i myślisz, że Paweł zrobi ci scenę zazdrości? Nie możesz go namówić, żeby odjechał?

– Nie chce – powiedziała Dora. – I nie warto, żebyś go do tego namawiał. Chodzi mi o coś innego. Żebyś nie pozwolił Pawłowi zrobić awantury. Idę prosto do Pawła i powiem mu o tym. – Odwróciła się i wypadła z pokoju. Słyszała za sobą kroki Michała. Zbiegli głośno z nie przykrytych chodnikiem schodów i przez hall wypadli na taras.

Na tarasie Noel rozmawiał z panią Markową. Umilkli i wybałuszyli oczy na Michała i Dorę.

– Wszyscy tutaj strasznie się dzisiaj śpieszą – powiedział Noel.

Pani Markowa zawołała:

– Och, Michał, nie odchodź, lada chwila przyjedzie biskup.

Michał, który był już na trawniku, wrócił, żeby uspokoić panią Markową. Dora biegła dalej w kierunku grobli. Kiedy prawie bez tchu dotarła do połowy grobli, zobaczyła Pawła, który

wychodził z drzwi budynku mieszczącego rozmównice. Zaczęła machać do niego szaleńczo. Zbliżając się do końca grobli dostrzegła czarnego Rolls Royce'a; jechał bardzo wolno aleją od strony bramy.

Dora rzuciła się do Pawła, który na widok jej gwałtownych gestów przyśpieszył kroku. Widziała z daleka jego zmarszczone brwi.

– Noel przyjechał! – zawołała.

– Kto? – spytał Paweł.

– Noel Spens – powiedziała Dora. – Wiesz.

Paweł był spokojny i napięty.

– Mówisz, że przyjechał Noel Spens. Wrzeszczysz do mnie z daleka, jakby to była dobra wiadomość. Przyjechał zobaczyć się z tobą?

– Przyjechał opisać chrzest dzwonu – wyjaśniła Dora. – Paweł, kochanie, nie wściekaj się.

– Przyjechał zobaczyć się z tobą – powtórzył Paweł, – Zaprosiłaś go?

– Skąd! – wrzasnęła Dora. – Czy ty myślisz, że ja jestem obłąkana? Przyjechał zrobić wywiad z ludźmi dla swojej gazety.

– Doskonale, ja też zrobię z nim wywiad – powiedział Paweł. – Zrobię z nim wywiad, jakiego prędko nie zapomni! – Wyszedł na groblę i zaczął iść szybkim krokiem.

Dora dreptała za nim nie przestając mówić i usiłując przytrzymać go za ramię. Grobla była nie dość szeroka dla dwojga sprzeczkających się osób. W oddali widać było Rolls Royce'a przejeżdżającego przez mostki po tamtej stronie jeziora. Paweł biegł teraz.

Na końcu grobli Dora, którą Paweł pozostawił w tyle, zdobyła się na wysiłek i dogoniła go. I w tym momencie spostrzegła Michała, zbiegał z trawiastego zbocza kierując się w ich stronę. Dora uczepliła się z całej siły ręki Pawła i usiłowała go zatrzymać wołając:

– Paweł, to nie moja wina, nie chciałam, żeby przyjeżdżał! Nie psuj tym ludziom wszystkiego swoją złością!

Paweł odwrócił się do niej. Oderwał jej rękę od swojej drugą ręką i powiedział spokojnie, ale obnażając zęby:

– Czasem cię nienawidzę. – A potem pchnął ją tak mocno, że zatoczyła się do tyłu i upadła w wysoką trawę.

Paweł biegł dalej. Michał zastąpił mu drogę rozpościerając ramiona jak ktoś, kto usiłuje uniemożliwić zwierzęciu ucieczkę z pastwiska. Dora wstała z trawy, odnalazła pantofel, który jej spadł, i znowu biegiem ruszyła w stronę tarasu. Samochód biskupa zajeżdżał właśnie przed dom. Minęła Michała i Pawła, którzy spotkali się teraz i stanęli w miejscu. Dorze zdawało się, że obaj mówią jednocześnie. Nie sądziła, żeby im była potrzebna jej pomoc.

Rolls Royce wtoczył się na taras z dostojną łaskawością bardzo dużego samochodu jadącego bardzo powoli. Zatrzymał się u stóp schodów, całkiem blisko dzwonu. Pani Markowa, która ostatecznie została sama na placu boju, wybiegła mu na spotkanie. James wypadł w chwilę później na balkon i zaczął zbiegać ze schodów potykając się o własne nogi. Noel wyszedł leniwym krokiem z refektarza, jadł trzymaną w ręku bułkę. Przybiegła zdyszana Dora, ale poczuła nagle takie klucie w boku, że musiała zgiąć się we dwoje.

Biskup, który prowadził sam, wysiadł z samochodu z niespieszną i uprzejmą swobodą ważnej osobistości, która wie, że gdziekolwiek i kiedykolwiek przyjedzie, staje się natychmiast ośrodkiem zainteresowania. Był wysokim, postawnym mężczyzną o kręconych włosach, w okularach bez oprawy, ubranym w gładką czarną sutannę z fioletowym plastronem. Jego duża, mięsista twarz obróciła się do nich powoli, promieniejąc życzliwością. Wyjął z samochodu laskę i lekko na niej wsparty wymienił uścisk dłoni z panią Markową, Jamesem i Noelem, a potem z Dorą, której wyraźnie nie chciał pominąć, chociaż trzymała się niepewnie z tyłu za tamtymi.

Dora przypuszczała, że wziął ją za jedną ze służących.

– No więc jestem! – powiedział biskup. – Mam nadzieję, że się nie spóźniłem? Mój czarujący szofer mnie porzucił... młoda dama, śpieszę dodać, pełniąc jednocześnie funkcje mojej sekretarki. Obowiązki macierzyńskie wezwały ją do wznioślejszych zadań. Ma na głowie troje dzieci – troje beze mnie! Wobec tego szarpiąc nerwy własne i innych automobilistów na drodze przyjechałem sam do Imber!

– Za co jesteśmy nieskończenie wdzięczni – powiedział James. – Wiemy, jak bardzo wasza ekscelencja jest zajęty. Twoja, panie, obecność na naszej małej ceremonii tyle dla nas znaczy.

– Och, to wszystko wydaje mi się ogromnie interesujące – oznajmił biskup. – Czy to jest eksponat nr 1? – Wskazał laską na biały kopiec ustrojony wstążkami.

– Tak – odparła pani Markowa czerwieniąc się z przejęcia. – Pomyśleliśmy sobie, że troszkę go przystroimy.

– Bardzo ładnie – pochwalił biskup. – Mam przyjemność z panią Strafford? I z panem Meade? – dodał zwracając się do Jamesa. – Bardzo wiele słyszałem o panu od przeoryszy.

– Ależ nie – zawołał James. – Nazywam się James Tayper Pace.

– A, to pan jest człowiekiem, którego brak tak boleśnie daje się zauważyć w Stepney! – powiedział biskup. – Byłem tam parę tygodni temu na otwarciu nowego ośrodka młodzieżowego i słyszałem pańskie imię wzywane kilkakrotnie nadaremno. A raczej nie nadaremno. Jakie to niemądre określenie! Wymieniano pańskie nazwisko owocnie i z niemal nabożnym entuzjazmem.

Teraz z kolei James się zaczerwienił.

– Powinniśmy się byli przedstawić. Obawiam się, że jesteśmy bardzo nieudolnym komitetem powitalnym. To jest istotnie pani Stratford. To jest pani Greenfield. Michał Meade idzie właśnie przez trawnik z doktorem Greenfieldem. I przykro mi, ale nie znam tego pana.

– Noel Spens z redakcji „Daily Record” – pośpieszył Noel z informacją. – Niestety należę do gatunku ludzi zwanych reporterami.

– Ależ wspaniale! – ucieszył się biskup. – Miałem nadzieję, że zjawi się któryś z panów dziennikarzy. Mówił pan... z „Daily Record”? Proszę mi wybaczyć, ale taki ze mnie głuchy mamut, praktycznie nie słyszę na to ucho. Mógłbym spytać, czy nasłał pana na mnie mój stary kumpel Holroyd? Bo to chyba on wydaje teraz tę waszą czcigodną szmatę?

– Tak jest – odparł Noel. – Pan Holroyd dowiedział się o tej malowniczej ceremonii i przysłał mnie tutaj. Prosił, żebym przekazał waszej ekscelencji pozdrowienia.

– To wspaniały człowiek, reprezentuje najlepsze tradycje brytyjskiego dziennikarstwa – stwierdził biskup. – Zawsze uważałem, że Kościół postępuje niemądrze unikając rozgłosu. Przeciwnie, potrzeba nam więcej reklamy, naturalnie odpowiedniej reklamy. Pozwolę sobie powiedzieć, właśnie takiej. Słucham? Nie, dziękuję, wolałbym teraz nic nie jeść. Jeśli można, chętnie wypiję filiżankę dobrej angielskiej herbaty. Cenię ją szczególnie od czasu mojej podróży do Stanów. Może potem moglibyśmy rozpocząć nasze nabożeństwo, jeśli już się wszyscy zebrali. A na końcu ucztowanie. Widzę, że stoły uginają się od przysmaków.

Michał i Paweł znowu przystanęli, tuż pod stopniami prowadzącymi na taras, nadal pogrążeni w rozmowie. Zaczęli się oddalać w kierunku grobli. Pani Markowa przyglądała im się z rozpaczą, Dora z posępnym niepokojem. Biskup otrzymał filiżankę herbaty. Noel gawędził z nim uprzejmie o członkach klubu Ateneum, ich wspólnych znajomych. James stał obok uśmiechnięty i trochę onieśmielony. Ojciec Bob Joyce, niosący z pozbawionym godności pośpiechem coś, co później „okazało się kropielnicą, postawił naczynie na stole i zaaferowany kręcił się koło dzwonu machając do wielkiego człowieka z poufałością jednego z wybrańców, który postanowił mniej ważnym ludziom dać szansę uczestnictwa. Pani Markowa zniknęła co chwila w refektarzu, ale

jednocześnie zerkała na Michała i podtrzymywała ożywioną rozmowę z ojcem Bobem. Nadszedł Piotr Topglass niosąc swój aparat i przyłączył się do rozmowy z biskupem, którego, jak się okazało, znał już dawniej. Dora stała w ponurej pozie i skubała jedną z wstążeczek na dzwonie. Jej nerwowo szarpiące palce zerwały fastrygę i wstążka powiewała teraz na wciąż silnym wietrze. Z podwórza przed stajniami wyłonił się Toby z twarzą nachmurzoną; pani Markowa natychmiast go porwała i przedstawiła biskupowi. James poprosił panią Markową o filiżankę herbaty, ale powiedziała mu szeptem., że nie mogą teraz brudzić filiżanek, ponieważ jest ich akurat tyle ile osób, a po nabożeństwie nie będzie czasu na zmywanie. Przyszedł Patchway i uskarżał się Jamesowi na gołębie, dopóki pani Markowa nie przywołała go do porządku i nie kazała mu zdjąć kapelusza. Katarzyna pokazała się na schodach prowadzących z balkonu. Ubrała się w jedną ze swoich londyńskich sukien i w całej jej powierzchowności widać było pewną dbałość o wygląd. Włosy upięła starannie, w mocno ściśnięty kok wysoko na tyle głowy, a opadające zwykle na czoło kosmyki były przycięte. Jej twarz wydawała się nienormalnie długa i blada, a uśmiech, gdy ją przedstawiano biskupowi, był czarujący, ale natychmiast zniknął. Odeszła i stała oparta o balustradę – pogrążona w zadumie, jak gdyby nieobecna.

– No cóż, drodzy przyjaciele – powiedział biskup – czas chyba rozpocząć naszą małą ceremonię chrztu. O ile wiem, zatwierdziliście proponowany przeze mnie porządek nabożeństwa. Na moje szczęście nie uznaliście, że jestem zbyt archaiczny i papistowski! Zresztą na zakończenie mażemy chyba odśpiewać psalm sto pięćdziesiąty. Proponuję, żebyśmy opuścili kolektę... Nie mam jakoś zaufania do tego nieba i boję się, że nas lada chwila obsypie gradem... więc lepiej nie zwlekajmy. A ponieważ moja nieszczęsna kongregacja będzie musiała uklęknąć, radzę, żebyśmy zeszli ze żwiru na trawnik. Niestety mój konował, jak mawialiśmy w wojsku, zabronił mi klękać. Czy mogę wiedzieć, kto wystąpi w roli rodziców chrzestnych dzwonu?

– Michał i Katarzyna – wyjaśniła pani Markowa. – Proszę mi wybaczyć, zaraz sprowadzę Michała. – Zbiegła z tarasu schodkami na trawnik.

Michał i Paweł, wciąż pogrążeni w rozmowie, znowu szli teraz od strony grobli. Dora obserwowała ich niespokojnie. Starła się nie patrzeć na Noela, który usiłował pochwycić jej spojrzenie. Zeszli wszyscy ze schodków i rozstawili się na łagodnym stoku schodzącym w dół do przystani.

Pani Markowa wracała z Michałem i Pawłem. Dora ulokowała się na końcu gromadki, jak najdalej od Noela. Michał został przedstawiony biskupowi i przeproszał go teraz za spóźnienie. Ktoś wypchnął Katarzynę naprzód. Pani Markowa przymocowywała pośpiesznie do dzwonu dwie bardzo długie dodatkowe wstążki. Potem zbiegła ze schodów i stanęła obok Dory. Paweł podszedł do Dory, spojrzał jej groźnie w twarz, z rysami wykrzywionymi hamowaną furią, a potem stanął obok niej i patrzył prosto przed siebie. Gromadka ustawiła się w dwóch szeroko rozwleczonych rzędach, a Michał i Katarzyna stali samotnie na przedzie, jak para nowożeńców. Biskup wspiął się na taras. Ujął w jedną dłoń dwie długie wstążki przymocowane do dzwonu. W drugiej ręce trzymał nie znany Dorze przedmiot, który umoczył w naczyniu ze święconą wodą. Na sygnał dany przez ojca Boba głosy Jamesa, Katarzyny i Stratfordów zaintonowały pieśń. *Asperges me, Domine, hyssopo et mundabor. Lavabis me et super nivem dealabor.*

Biskup zaczął kropić dzwon święconą wodą, znacząc jego szatę długimi, ciemnymi smugami.

Dora spostrzegła ze zgrozą, że Noel zmienił miejsce i zdołał się jakoś ustawić po jej drugiej stronie. Nie śmiała spojrzeć na Pawła. Patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem, świadoma dzwonu wysoko nad nimi na tarasie; jego przypominająca namiot szata trzepotała głośno w podmuchu wiatru. Słońce błysnęło i zgasło jak sygnał świetlny, a wiatr targnął sutanną biskupa ukazując pod spodem parę eleganckich czarnych spodni. Pieśń umilkła i biskup pochylił się i zwrócił do Michała i Katarzyny.

– Jakie imię pragniecie nadać temu dzwonowi? – spytał.

Po krótkim milczeniu Katarzyna odpowiedziała cienkim, nerwowym głosem:

– Gabriel.

Biskup zeszedł dwa stopnie w dół i podał jeden koniec wstążki Michałowi, drugi Katarzynie. A potem przemówił, nadal zwracając się do nich:

– Pamiętajmy, że Chrystus nakazuje nam czasem zapomnieć o ziemskich troskach, byśmy siadłszy u Jego stóp poznali wznioślejsze rzeczy. Niechaj ten znak będzie poświęcony i oczyszczony w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. – Biskup wspiął się z powrotem na taras i obrócił do gromadki wiernych. – Imię tego dzwonu jest Gabriel. A teraz módlmy się. – Wszyscy klękli na trawie.

Paweł wyciągnął rękę i ujął dłoń Dory. Trzymał ją mocno, władczo, ścisnął bez czułości. Dora jakiś czas znosiła ten uścisk cierpliwie. Potem wydał jej się odrażający. Usiłowała spokojnie uwolnić rękę. Paweł nie puszczał. Zaczęła ciągnąć z większą siłą. Wzmocnił uścisk i wykręcił jej dłoń w przegubie. Dora zaczęła dygotać. Chwycił ją napad nerwowego śmiechu. Zacisnęła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Głos biskupa brzęczał monotennie. Łzy powściąganej, na pół histerycznej wesołości pociekły jej z oczu. Wsunęła drugą rękę do kieszeni i wyciągnęła chusteczkę.

Wraz z chusteczką wyfrunęła na trawę nie zaadresowana koperta z liścikiem do Toby'ego. Dora zobaczyła ją, zdrętwiała z przerażenia, ale śmiała się dalej. Wypuściła chusteczkę, natychmiast porwał ją wiatr. Paweł, patrzący ponuro przed siebie, dalej wykręcał jej rękę, ale nie zauważył koperty. Dora przykryła ją rozpostartą wolną ręką spódnice i halkę. Przesuwając dłoń zaczęła szukać listu, żeby go wsadzić z powrotem do kieszeni. Jej palce, zaplątane w zwoje halki, napotkały inną rękę. Była to ręka Noela. Noel pierwszy odnalazł kopertę. Przez moment, z twarzą spokojnie zwróconą do biskupa, przyciskał ją do boku. Potem wsunął do kieszeni.

Paweł dalej patrzył prosto przed siebie, nieświadomy niczego. Wszyscy inni zdawali się mieć oczy zamknięte. Biskupowi głos nie drgnął, gdy spoglądając dobrotliwie na klęczących zauważył gierkę z listem. Widywał dziwniejsze rzeczy. Dora poprawiła spódnice i przytknęła dłoń do ust. Zaczęło padać.

ROZDZIAŁ XXI

Toby był w strasznym stanie. Jego myśli i uczucia zmieniały się z chwili na chwilę w niewytłumaczony sposób; przed dziesięcioma dniami czegoś takiego nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić. Żałował głęboko, że dał się wciągnąć w obłąkany plan Dory. Wydawał mu się on teraz oszukańczy, głupi, w strasznie złym guście i najprawdopodobniej skazany na jakieś groteskowe niepowodzenie. Gdyby wiedział jak, chętnie by się z niego wycofał. Nie pozostał też bez wpływu widoczny gniew Pawła i lekko Zgorszone miny, z jakimi – czuł to – przyglądali mu się inni członkowie bractwa. Nie przypuszczał, kiedy będąc w potrzebie szukał owej szczególnej pomocy u Dory, że skrzywdzi kogokolwiek albo że ktokolwiek będzie się tym interesować; teraz w końcu zrozumiał, że jego postępowanie pociąga pewne implikacje, których nie chciał podtrzymywać. Z drugiej Strony doprowadzała go do rozpaczmyśli, że miałby zrobić coś takiego, co zniszczyłoby rozkoszną, subtelną, dwuznaczną więź łączącą go teraz z Dorą; i czuł się okropnie, kiedy pomyślał, że mógłby jej sprawić zawód. Gorąco pragnął ją zobaczyć, a jednak ów zamęt w myślach kazał mu Dory unikać.

Tymczasem jego uczucia do Michała uległy nagłemu zwrotowi. Podstępny strach przed własnymi skłonnościami, który pchnął myśli Toby'ego ku Dorze, nie zniknął wprawdzie, ale osłabł. Właściwie to, co zaszło między nim a Dorą, trochę go uspokoiło. A nawet więcej, bo czysta radość, że z takim powodzeniem całował Dorę, jak ziarnko pociechy tkwiła w jego rozpaczmyśli. A to pozwoliło jego myślom krążyć swobodniej wokół Michała jako jednostki i uznać łączący ich stosunek – mimo całej dziwaczności – za coś autentycznego, interesującego i nawet cennego. Zaczął współczuć Michałowi i próbował odgadnąć, w jakim jest nastroju. Zaczął się też martwić, co Michał o nim myśli i jak dalece historia z Dorą, której zasięg pod wieloma względami przekroczył oczekiwania Toby'ego, pogrąży go w oczach Michała. Sytuacja wydała mu się nagle nie do wytrzymania.

Toby był z natury chłopcem prawdomównym, a wychowano go w przekonaniu, że powiedzenie prawdy jest najlepszym wyjściem z każdej paskudnej sytuacji, w jaką się człowiek wpakuje. Ale powiedzenie prawdy w tym przypadku mogło się okazać bardzo trudną sprawą. Jaką prawdę miał powiedzieć i komu? Zaczął rozważać możliwość pójścia do Michała i opowiedzenia mu całej historii starego dzwonu. Wykonanie pierwszej części planu było podniecające; sama myśl o zrealizowaniu drugiej części była nie do zniesienia. Toby po prostu nie mógł sobie wyobrazić siebie pomagającego Dorze w zamianie dzwonów; i wobec tego czuł tchórzliwie, że jest zwolniony od jakichkolwiek prób w tym kierunku. Jednakże było rzeczą nie do pomyślenia, żeby bez zgody Dory zaniechać planu, zdradzić ją, która tak ufnie i bez reszty na nim polegała. Nie miał też nikogo, komu mógłby się zwierzyć nie popełniając jednocześnie zdrady. Raz nawet pomyślał, żeby powiedzieć o wszystkim Nickowi, ale nie ufał Nickowi, a nie było nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić. Niewątpliwie, mówił sobie, powinien iść do Dory i powiedzieć jej, że się wycofuje. Nie oczyści go to z winy, ale będzie przynajmniej proste i uczciwsze w stosunku do niej. Choć jednak kilkakrotnie w ciągu dnia decydował się na ten krok, nie poszedł do Dory. Poszedł zamiast tego do Michała.

Z chwilą gdy zaczął iść w kierunku pokoju Michała, ogarnęło go uczucie, że wkroczył w pole magnetyczne. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie biec. Stanął przed drzwiami i wciąż nie wiedział, co powie. Zastukał. Michał był sam w pokoju.

Michał wstał mówiąc cicho:

– Och, Toby! – Ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że widok chłopca go ucieszył. Ale zaprzętnięty może własnymi sprawami nie spytał, co go tu sprowadza; Toby’ego też nic nie nagliło do natychmiastowej rozmowy, skoro w sposób najoczywistszy przebywanie z Michałem stanowiło wystarczający cel. Poczł nagle, że wzdycha i uśmiecha się z ulgą. Michał usiadł i przyglądał mu się przez chwilę bardzo poważnie, jak gdyby usiłował nauczyć się na pamięć rysów jego twarzy. I nagle Toby, pchnięty siłą, która zdawała się kierować jego ruchami, usiadł u stóp Michała i ujął go za rękę. W tym momencie otworzyły się drzwi i wpadła Dora.

Toby czmychnął do ogrodu i siedział tam aż do rozpoczęcia nabożeństwa, na które przyszedł z rozpaczą w sercu, wciąż niezdecydowany, wstrząśnięty. Po nabożeństwie znowu zniknął, ominął z daleka refektarz, gdzie odbywało się zebranie towarzyskie, i uciekł do lasu. Zaczął padać drobny deszcz i przemoczył go do suchej nitki. Toby jednak nie zwracał na to uwagi. Postanowił odwiedzić stary dzwon, ale się rozmyślił; żałował z całego serca, że w ogóle odnalazł tę abominacyjną rzecz. Wędrował tak blisko godzinę, wpatrując się od czasu do czasu w jezioro, którego szara powierzchnia była podziurawiona kroplami deszczu. Potem zawrócił i zaczął iść w stronę domku dozorczy. Przebierze się, odszuka Dorę i powie jej, że musi zrezygnować z przeprowadzenia planu.

Ociekający wodą i nieszczęśliwy Toby przywłócił się pod drzwi domku. Na dworze robiło się już ciemno i nie oświetlony pokój był mroczny i ponury. Toby wszedł do środka roztrzając nogami gazety. Potknął się o leżącego na podłodze Murphy’ego i był w połowie drogi przez pokój, gdy zobaczył Nicka, który siedział w swojej zwykłej pozie za stołem. Wymamrotał jakieś słowa powitania i otwierał już drzwi, gdy Nick powiedział wyraźnym głosem.

– Poczekaj, Toby, chcę z tobą pomówić.

Toby zatrzymał się i stanął naprzeciwko Nicka, po drugiej stronie stołu, zaskoczony nagłą nutą w jego głosie. Spostrzegły że jak zwykle butelka whisky dotrzymuje Nickowi towarzystwa. Pokój był przesiąknięty zapachem alkoholu, zmieszany z chłodną wilgocią powietrza na dworze. Kominek wygasł.

– Muszę z tobą odbyć długą i poważną rozmowę. – Nick wydawał się pijany, ale bardzo stanowczy.

– Nie mam teraz czasu – powiedział Toby.

– O, drogi chłopcze, możesz mi poświęcić pół godzinki. Zresztą będziesz musiał, czy masz ochotę, czy nie. – Nick podniósł się zza stołu.

– Przykro mi, Nick, ale muszę się z kimś zobaczyć. – Toby rozumiał, że może minąć dużo czasu, zanim zdoła zagadać Nicka, więc przezornie zaczął się wycofywać do wyjścia. Zmieni ubranie później.

Z szybkością, która była dla Toby’ego zaskoczeniem, Nick dopadł drzwi i zatarasował je sobą. Jednocześnie zapalił światło. Patrzył na Toby’ego ze swoim szerokim, nieruchomym uśmiechem. Stali teraz naprzeciwko siebie.

Toby zmarszczył brwi, nie osłonięta żarówka oślepiła go. Powiedział:

– Słuchaj, Nick, nie bądź niemądry. Muszę teraz iść do pałacu. Porozmawiamy później.

– Później będzie za późno, moje biedne, zbałamucone dziecię – oznajmił Nick. – Pamiętasz, mówiłem, że wygłoszę ci kiedyś kazanie, którego tamci nie chcieli słuchać?

No więc teraz przyszła odpowiednia chwila i wstąpił we mnie duch. Zajmij miejsce w ławkach!

– Puść mnie! – rzucił Toby.

– Daj spokój, chłopcze. Powinniśmy unikać przemocy i gniewnych słów. Szukajcie Pana, póki znaleźć Go można. Tylko dlatego ważny jest czas. Siadaj! – Nick pchnął niespodziewanie Toby’ego, chłopiec zatoczył się do tyłu i padł na fotel obok kominka. Wtedy Nick sięgnął po

butelkę, a drugą ręką pchnął stół i z łoskotem zatarasował nim drzwi. Siadł na stole, podciągnął nogi. Przeżegnał się.

– Nick, to nie jest zabawne – wybuchnął Toby. – Nie chcę się z tobą mocować, ale wychodzę stąd!

– Nie radzę ci się ze mną mocować, bo mógłbym ci jeszcze zrobić krzywdę. A ponieważ się śpieszysz, opuścimy hymny i modlitwy i przejdziemy prosto do kazania. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Drodzy moi, wszyscy należymy do rasy upadłej, wszyscy co do jednego jesteśmy grzesznikami. Przeminięły dni raj, dni naszej niewinności, kiedyśmy się wszyscy kochali nawzajem i byli szczęśliwi. Teraz wszyscy jesteśmy sobie wrogami i spoczywa na nas piętno Kaina, a wraz z grzechem pierworodnym przybywa smutek i nienawiść, i wstyd. Czym moglibyśmy rozświetlić otaczający nas mrok? Czym ulżyć naszej boleści? Ach, czekajcie, jest jedna pociecha i ratunek, samo Słowo Boże, jutrznia na wysokościach. Czeka nas wznioślejszy los i wznioślejsze radości niż radości znane naszemu pradawnemu tatusiowi, gdy niewinny leżał pod drzewem jabłoni. Już nadchodzi, nadchodzi i uczyni nas wszystkich bogami. Mówię, o ukochani, o radościach skruchy, o rozkoszy spowiedzi, o przednich uciechach wicia się i czołgania w pyle. *O felix culpa!* Bo gdybyśmy byli bez grzechu, odebrana by nam była najważniejsza radość. I spójrzcie, w jak cudowny sposób przeobrażona być może nasza boleść i nasz wstyd! Jak słodka zatem nasza wina, jak dobroczynne nasze wykroczenia, skoro mogą przynieść męczarnie tak dojmującej radości. Porwijmy w objęcia nasz grzech, o ukochani, i łączmy się z nim ległszy na ziemi. Postarajmy się więc przewyciężyć wstyd i obracając smutek w radość obwieścmy nasze haniebne uczynki, klękniemy, padnijmy twarzą w kurz i wołajmy, aby nas osądzono – szczęśliwi, skruszeni, odkupieni.

– Nick, bredzisz! – zawołał Toby podnosząc głos, żeby przekrzyczeć Nicka, który mówił coraz głośniejszym i z coraz większym podnieceniem. – Wypuść mnie stąd!

– Zostaniesz, póki nie skończę – zapewnił go Nick. – Dopiero teraz zaczyna się część interesująca. Myślisz może, że ja tak wołam w próżnię? Bynajmniej. To, co mam do powiedzenia, w sposób najbardziej intymny dotyczy wszystkich członków mojej kongregacji, a ponieważ ty jesteś jej jedynym przedstawicielem, nie licząc Murphy’ego, który jest bez grzechu, dotyczy to w sposób najbardziej bezpośredni ciebie. – Upił z butelki. Toby wstał.

– A teraz słuchaj – powiedział Nick, mówiąc szybciej i mierzając w Toby’ego palcem. – Czy ty sobie wyobrażasz, Toby, że ja nie znam wszystkich twoich sztuczek, wszystkich małych gier? Traktujesz mnie, jak gdybym był kawałkiem drewna, myślisz, że nie widzę, co się dzieje pod moim nosem... ale ja uczyniłem cię umiłowanym przedmiotem moich studiów. Ach, drogi chłopcze, uwierz mi, że sownie wynagradzasz moje trudy. Byłeś taki czysty, taki śliczny po przyjeździe, czułeś się taki dobry, należałeś do wspólnoty świętych. Jakaż to była radość, robiło mi się ciepło na duszy od samego patrzenia na to twoje szczęście. Ale potem co się dzieje, co widzimy? Jakże szybko nasze niewiniątko się uczy! Zawrócono mu w głowie, połechtano jego próżność. Znalazł teraz coś przyjemniejszego od wzruszeń religijnych. Flirt pod murami żeńskiego klasztoru – czy można sobie wyobrazić sytuację bardziej podniecającą? Więc najpierw gra rolę kobiety, a potem, żeby się upewnić, że potrafi jedno i drugie, gra rolę mężczyzny!

– Przestań, Nick! Przestań! – wrzasnął Toby. Stał przed nim z pięściami zaciśniętymi, twarzą pałającą.

– Widziałem cię przy tej robocie – ciągnął Nick. – Obserwowałem twoje życie miłosne w lesie, kiedy kusiłeś naszego cnotliwego przywódcę do sodomii, a naszą zachwycającą pokutnicę do wiarołomstwa. Co za wspaniałe osiągnięcie! Taki młody, a taki wszechstronny! – Upił znowu łyk z butelki.

– Puść mnie stąd! – zawołał Toby. Prawie bełkotał z rozpaczy i gniewu, i strachu. – To nie

twoja sprawa!

– Nie moja? – powiedział Nick. – Ostatecznie mamy się sobą nawzajem opiekować. Każdy z nas jest częścią drugiego. Ty nie zadałeś sobie nigdy trudu, żeby roztoczyć nade mną opiekę, ale ja traktowałem moje obowiązki bardziej serio. Mogę równie dobrze jak każdy inny ukazać ci, kim jesteś. Co masz zamiar z tym wszystkim zrobić? To mnie interesuje. A jak tam twój mały figielek z dzwonem? Tak, tak, o dzwonie też wiem, i o cudzie, który masz zamiar sfabrykować do spółki ze swoją miłością płci żeńskiej.

– Milcz! – wrzasnął Toby. Rzucił się do Nicka i zaczął szarpać stół. Nick spuścił nogi, ale dalej siedział uśmiechnięty. Toby nie zdołał odsunąć stołu.

– Nieszczęsne dziecko – powiedział Nick. – Mówiłem ci, że musisz zostać do końca. Ciekaw jestem, czy zdajesz sobie sprawę z krzywdy, jaką wyrządzasz? Na przykład takiemu biednemu Michałowi. Zresztą, jeśli idzie o Michała, jego puchar napełnia się i wkrótce „będzie opływający”, chociaż nie w taki sposób, jaki miał na myśli psalmista. Czy wyobrażasz sobie, że wolno ci tak igrać z człowiekiem religijnym? Wyobrażasz sobie może, że on obsypuje cię pocałunkami, a potem z lekkim sercem przystępuje do komunii? Zabierasz się do niszczenia wiary człowieka, podkopujesz jego życie, gotujesz mu ruinę – ale nawet do tego nie możesz się porządnie przyłożyć i zaczynasz figielki z obrzydliwą dziwką!

– Och, przestań, przestań, przestań! – wrzasnął Toby. Rzucił się na Nicka i chwycił go za ramiona chcąc go ściągnąć ze stołu. Nick błyskawicznie złapał chłopca za szyję, szamocąc się runęli na podłogę. Murphy zaczął skomleć, potem szczekać. Nick był silniejszy.

– Cicho, Murphy, jesteś w kościele! – zawołał Nick. Wykręcił Toby’emu rękę do tyłu, kolano wbił mu w plecy. Drugą ręką pchał głowę chłopca w dół, coraz niżej i niżej.

– Na ziemię, na ziemię, o tak – powiedział mu Nick prosto do ucha. – To jest konfesjonał, ale nie fatyguj się ze spowiedzią, znam wszystko na pamięć. Komu innemu będziesz musiał opowiedzieć swoją historię, komuś, kto jej nie zna. Tak, Toby, czeka cię radość skruchy. A tymczasem łknij sobie tego na pamiątkę naszej znajomości. – Usiłował przewrócić Toby’ego na plecy i sięgnąwszy po butelkę wylał mu trochę whisky na wargi.

Jakby za naciśnięciem jakiegoś guzika Toby zaczął walczyć. Butelka upadła między nimi i potłukła się. Przeturlali się przez pokój wywracając miskę z wodą Murphy’ego i rozgniatając po drodze resztki jego kolacji. Ochlapani wodą, alkoholem i tłuszczem walczyli pośród starych gazet i potłuczonego szkła. Nick nadal był silniejszy.

Toby znieruchomiał. Leżał teraz na plecach i twarz Nicka była nad nim. Odpoczywali w tej pozycji, dysząc ciężko. Nick spojrzał na niego, uśmiechnął się.

– Biedne dziecko – powiedział. – Przykro mi to robić, naprawdę mi przykro. Ale jestem biczem bożym dla niektórych ludzi, bo tak zostałem stworzony. Nie zrozumiałbyś tego. Mam nadzieję, że przynajmniej zrozumiałeś sens mojego kazania. Wstaniesz teraz, uporządkujesz ubranie, a potem, jak dobremu dziecku przystało, pójdziesz się wyspowiadać u jedynego świętego, a właściwie u jedynego człowieka, jakim rozporządzamy, a tym jest James Tayper Pace. Wstawaj!

Nick wstał. Toby podniósł się z trudem, otrzepał ubranie. Spojrzał na Nicka oszołomiony i zgnębiony.

– Chętnie bym ci pogratulował prawdomówności – rzekł Nick – ale chodzi o to, że nie masz wyboru. Jeżeli do jutra nie rozmówisz się z Jamesem i nie powiesz mu wszystkiego, będę się czuł w obowiązku zrobić to za ciebie. A dzięki szczęśliwemu prawu natury jakkolwiek szczerze pragniemy czołgać się i kajać, nigdy nie odmalujemy się w barwach tak czarnych, jak robi to za nas bezstronny i nieprzychylny świadek. Jeszcze jeden z uroków spowiedzi. *Felix culpa, felix Toby!* Teraz idź. I zrozum, że to, co mówię, jest słuszne; niech cię gniew na mnie nie zaślepi.

No, idź już!

Nick odsunął stół i otworzył drzwi. Toby stał chwilę z rękami przy twarzy. Nick pchnął go lekko w plecy. Chłopiec pochylił się do przodu, jak gdyby miał upaść, i runął za drzwi.

ROZDZIAŁ XXII

Padalo wciąż, ale wiatr się uspokoił. Cichy szmer drobnego deszczu zwiększał jeszcze mrok nocy i zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Było kilka minut po trzeciej.

Dora stała sama w stodole, blisko dzwonu. Od czasu do czasu wyciągała rękę i dotykała go, dla towarzystwa i żeby się przekonać, czy dzwon nadal wisi. Trochę wcześniej usiłowała, w świetle latarki Toby'ego, oczyścić dzwon wodą, mydłem i ostrym nożem. Zdołała zeszkrobać sporo błota i żwiru, ale zostało wiele dziwaczych narośli, które wydawały się twarde jak metal. Jednakże przez ostatnie pół godziny Dora czekała beczynn timer. Przyszła tu jeszcze przed drugą, bo z obawy, że ją Paweł zatrzyma, nie kładła się w ogóle spać. Paweł zrozumie niedługo, jak ją źle osądzał. Ukryta w jakimś kącie drzemała trochę w fotelu, a potem wymknęła się na deszcz i poszła do stodoły.

Początkowo była pewna, że Toby przyjdzie. Chociaż nie zdołała się z nim porozumieć w ciągu dnia, będzie wiedział, gdzie i kiedy przyjść; w każdym razie było już uzgodnione, że przyprowadzi do stodoły drugi stalowy wózek.

O wpół do trzeciej Dora uznała, że Toby musiał mieć trudności z wydobyciem wózka z podwórza przed stajniami, i poszła sprawdzić. Ale na podwórzu nie było nikogo, a wózek stał na swoim miejscu, chociaż Dora zauważyła z niepokojem, że w domu pali się światło, jedno w sypialni jej i Pawła, a drugie w pokoju, którego nie umiała zidentyfikować, Jamesa albo Michała. Zostawiła wózek i pobiegła z powrotem do stodoły, tym razem pewna, że zastanie tam Toby'ego. Stodoła była pusta.

Dora włożyła płaszcz od deszczu i chustkę na głowę, ale była już przemoczona do suchej nitki. Stopy w sandałkach miała zziębnięte i zabłocone, a pochlapany wodą dół sukni lepił jej się do kolan i utrudniał ruchy. Stała dygocąc w stodole, przestraszona ciemnością i gęstą zasłoną deszczu, onieśmielona bliskością dzwonu i teraz już prawie pewna, że Toby nie przyjdzie. Zastanawiała się, czy nie pójść po niego do domku dozorczy.

Dora zorientowała się naturalnie, że Noel musiał potraktować jej liścik jako przeznaczony dla siebie; w rzeczy samej treść listu mogła go utwierdzić w tym złudzeniu. Dlatego było prawdopodobne, że Noel zjawi się o drugiej gdzieś w pobliżu domku, i ta myśl powstrzymywała ją dotąd od pójścia na poszukiwania Toby'ego. Ale do tego czasu Noel zmęczył się już chyba czekaniem i poszedł spać. Mogła teraz bezpiecznie pójść do domku dozorczy; w każdym razie wszystko było lepsze od siedzenia w stodole, gdzie ze strachu odchodziła od zmysłów i była przemarznięta do szpiku kości. Dora wyszła na ścieżkę.

Księżyc zniknął za chmurami i na ścieżce było mnóstwo przeszkód, ale Dora poznała już do tego czasu drogę i nie zwracała uwagi na jeżyny i osty czepiające się jej nóg. Czuła ciepło krwi spływającej jej na kostki. Pozostawiwszy za sobą las nie obeszła domu, żeby się dostać na przystań, tylko skręciła w prawo na groblę. Oba światła w domu nadal się paliły; a gdy spojrzała przed siebie ponad wodą, zobaczyła, że w domku dozorczy też jest światło. To ją zaniepokoiło.

Zaczęła biec, najpierw ścieżką pod murami Opactwa, a potem na ukos przez trawnik. Kiedy znalazła się już blisko, zwolniła i omijając żwirowany podjazd szła bardzo ostrożnie stawiając przemoczone stopy na podmokłej ścieżce. Światło padało z pokoju na parterze; w pokoju Toby'ego było ciemno. Szła ostrożnie w kierunku okna; było to okno nowoczesne, podzielone na małe kwadraty, lekko teraz uchylone. Dora usłyszała szmer rozmowy. Przywarła do ziemi i na czworakach podpełzła prawie pod samo okno. Głosy były teraz wyraźne, głosy i brzęk szklanek.

– Naprawdę trudno powiedzieć, czy to ma być kawał – mówił Nick. Sądząc po głosie był pijany. – Z takimi ludźmi nic nigdy nie wiadomo.

– Przykro mi, panie Fawley, ale w dalszym ciągu niewiele rozumiem – powiedział inny głos.

Chociaż Dora była bardzo zmarznięta, zrobiło jej się jeszcze zimniej. Był to głos Noela. Zapominając o ostrożności podniosła głowę do poziomu parapetu. Nick i Noel siedzieli przy stole, na którym stała butelka whisky. Poza nimi nie było nikogo w pokoju. Zdumiona i przerażona Dora osunęła się i usadowiła na poduszce mokrej trawy.

– Widzi pan – ciągnął Noel – jest to w sensie technicznym historia tak doskonała, że byłoby szkoda nie podać jej idealnie ściśle. Zresztą wolę przedstawiać rzeczy w ich właściwym świetle. Tak, panie Fawley, nawet my dziennikarze mamy nasze zasady.

– Powiedziałem panu wszystko, co mogę powiedzieć – oznajmił Nick. – A co do ścisłości... kto i kiedy opisuje zdarzenia naprawdę ściśle? Może pan opublikować garść faktów, nie sugeruję nic ponadto. Możemy tylko zgadywać, co się jutro zdarzy. Obiecuję panu widowisko, to wszystko. Mam nadzieję, że wziął pan aparat?

– Przykro mi, że tak pana nudzę – zaczął Noel powoli, cierpliwym tonem człowieka trzeźwego przemawiającego do pijaka – i domyślam się, że jest pan potwornie zmęczony, ale czy moglibyśmy wrócić do początku? Chętnie sprawdziłbym moje notatki. Mówi pan, że dwoje członków tutejszego bractwa, tożsamość nieujawniona, znalazło stary dzwon, który kiedyś był własnością Opactwa. I te dwie osoby planują coś, co pan nazywa cudem... podstawienie starego dzwonu na miejsce nowego. Ale co oni mają nadzieję dzięki temu osiągnąć? Ostatecznie to jest Anglia, a nie południowe Włochy. Wygląda mi to bardziej na kawał.

– Kto odgadnie, co mają nadzieję osiągnąć? – odparł Nick. – Jestem pewien, że sami nie wiedzą. Może rozgłos?

Mówiłem panu, że Imber zamierza wystąpić z apelem o pomoc finansową. A jeżeli wydaje się to panu obłąkane, nie jest bardziej obłąkane niż wiara, że Jezus Chrystus był Bogiem i umarł dla odkupienia naszych grzechów.

– Nie mogę się z tym zgodzić – zaprotestował Noel. – Wiara ma bardzo selektywny charakter. I uwierzą w to ludzie, którzy skądinąd pozostają w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Ale mniejsza o to, wróćmy do naszej sprawy. Mówi pan, że te zamiary nie zostaną jednak zrealizowane?

– Niestety – powiedział Nick. – Był to plan naprawdę piękny, ale jeden ze współników stchórzył.

– Muszę przyznać, że mnie pan intryguje – rzekł Noel. – Jak pan zapewne odgadł, nie mam sympatii do tego rodzaju ludzi. Nie myślę, żeby ci ludzie byli świadomie nieszczerzy, ale są z natury szarlatanami, wbrew samym sobie. Moim zdaniem w tym pomyłonym bractwie jest pełno najrozmaitszych drobnych animozji i wzajemnych oszustw, nie mam więc nic przeciwko temu, żeby ich opisać, zresztą bez komentarzy. Jeżeli ludzie nie chcą być zwykłymi pożytecznymi członkami społeczeństwa i zamykają się wraz z całym bagażem swoich nerwic w jakimś odosobnionym miejscu, żeby przeżyć coś, co uważają za duchowe doznania... no cóż, jestem pewien, że należy ich tolerować, nie widzę jednak powodu do okazywania im specjalnego szacunku. Ale jak już mówiłem, chcę ich opisać, a nie oczernić. Co mnie jednak ciekawi, tak ściśle między nami, to czym się pan kieruje mówiąc mi to wszystko? Dziękuję, tak. Ale sobie też proszę nalać.

– Bywają takie chwile – odparł Nick – kiedy człowiek chce mówić prawdę, kiedy chce krzyknąć ją na głos, obojętne, ile krzywdy może to wyrządzić. Dla mnie nadeszła taka właśnie chwila. A teraz idę spać. Radzę panu zrobić to samo. Czeka pana męczący i bardzo zabawny dzień.

Noel zaczął coś mówić. Dora zerwała się i pobiegła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła. Deszcz, gwałtowniejszy teraz, głużył odgłos jej kroków na mokrej trawie. Gdy była już prawie przy grobli, obejrzała się. Chyba nikt nie wychodził z domku; ale trudno było cokolwiek zobaczyć i usłyszeć prócz deszczu, więc nie miała pewności. Dysząc przebiegła przez groblę i znalazła się na ścieżce prowadzącej do stodoły. Zwolniła teraz i zaczęła myśleć. Nie było w tym żadnej tajemnicy, jak Noel trafił do domku przy bramie i prosto w szpony Nicka. Jej list go tam zaprowadził. Nietrudno też było się domyślić, skąd Nick wie o dzwonie; poprzedniej nocy narobili z Tobym tyle hałasu, że każdy mógł ich usłyszeć, chociaż oni w swoim radosnym optymizmie uznali, że to mało prawdopodobne. Zresztą Nick sypiał źle i chodził po nocy, o czym powinna była pamiętać. Mógł z łatwością trafić do stodoły i podsłuchać jej rozmowę z Tobym, kiedy przed samym odejściem omawiali szczegóły planu. Albo mógł zobaczyć, jak się Toby wymyka chyłkiem z domu, i pójść za nim z czystej ciekawości. Wszystko to było dość logiczne; i w tej sytuacji przestała ją dziwić wiadomość, że plan się nie uda, ponieważ jeden ze współników stchórzył. Natomiast przeraziła ją myśl, po raz pierwszy uświadomiona, że ten poroniony pomysł zostanie opisany (może fałszywie) i wyrządzi wielką krzywdę bractwu.

Dora wiedziała, że gdyby staranniej rozważyła swój plan, na pewno by zrozumiała, że musi nabrać rozgłosu i że ludziom z zewnątrz musi się wydać śmieszny lub złowrogi. Tylko dla niej posiadał tryumfującą, czarnoksięską wymowę. Rozumiała teraz, że nawet Toby współdziała z nią, żeby jej zrobić przyjemność, a nie dlatego, że mu się plan podobał. Jak świat zewnętrzny może sobie wytłumaczyć taką rzecz? Dora przywykła myśleć o Imber jako o miejscu całkowicie odosobnionym, odciętym, niedostępnym. Imber odseparowało się od świata, ale świat mimo to może się wedrzeć do Imber i szpiegować, szydzić, osądzać.

Dotarła do stodoły. Rozejrzała się, chwilę nasłuchiwała. Cisza, wszystko było tak jak przed jej odejściem. Zapaliła latarkę i puściła snop światła na dzwon. Wisiał ogromny i groźny, nieruchomy od własnego ciężaru. Zgasila latarkę i czekała, zastanawiała się, co robić. Podeszła do dzwonu, który z każdą chwilą bardziej wydawał się jej żywą istotą. Położyła rękę na krawędzi i znowu poczuła szorstką, zaskorupiałą powierzchnię i dziwne ciepło metalu. Przesunęła dłoń wyżej, na pokryte rzeźbami kwadraty, i usiłowała odgadnąć, której sceny dotyka. Toby nie przyjdzie. Czy ma sama doprowadzić plan do końca? Sama nie da rady, a zresztą odeszła już jej ochota. Całe przedsięwzięcie wydawało jej się teraz tak w złym guście, jak wkrótce wyda się czytelnikom brukowej prasy; w najlepszym przypadku śmieszne w jakiś wulgarny sposób, w najgorszym po prostu obrzydliwe. Serce Dory wezbrało skrucą i jednocześnie wściekłością. Dlaczego Noel musiał tu przyjechać? Historia i tak by „przebiegła”, ale obecność Noela sprawi, że będzie przedstawiona fałszywie i ze wszystkimi malowniczymi szczegółami. Dora wiedziała, co Noel potrafi zrobić z najprostszego zdarzenia. Wiedziała też, w jak kpiący i wykrętny sposób skwituje jej prośby o milczenie. A poza tym było jej smutno, chociaż zaledwie zdawała sobie z tego sprawę, że Noel w swojej głupocie wytropił ją tutaj i jest intruzem, przez co chyba już nigdy nie będzie go mogła traktować jako człowieka, do którego można uciec. W Londynie sąd Noela o Imber przyniósł jej ulgę. Tutaj on sam był sądzony.

Ale jej myśli zwracały się przede wszystkim do sprawy dzwonu. Nie miała się już co ludzi, że zdoła utrzymać tę rzecz w tajemnicy. Czy może zrobić coś, dzięki czemu jej relacja wyda się mniej absurda, mniej krzywdząca dla Imber? Nick przedstawił sprawę w taki sposób, jak gdyby projektowany cud był dziełem któregoś z członków bractwa, więc w oczach ludzi sytuacja będzie wyglądała mniej więcej tak: obłąkany pomysł biorący swój początek z jakiegoś rozłamu wśród gromadki wariatów. A przecież to wyłącznie ona ponosi odpowiedzialność. Co zrobić, żeby się to stało dla wszystkich jasne? Czy powinna złożyć oświadczenie prasie? Jak się składa oświadczenie prasie? Zwróciła się do dzwonu o pomoc.

Przytknęła do niego dłoń delikatnie, w geście jakby błagania. Dzwon poruszył się leciutko. Przytrzymała go teraz i stała chwilę z obiema rękami na jego krawędzi. Znowu była pod wrażeniem cudu jego zmartwychwstania i poczuła dla dzwonu cześć, niemal miłość. Gdy pomyślała, jak wyciągnęła go z jeziora i podniosła z powrotem w powietrze, ów właściwy mu żywioł, ogarnęło ją zdumienie, poczuła się nagle niegodna. Jak mógł ten wielki dzwon ścierpieć, żeby go tu przywlokła tak bezceremonialnie i kazała mu rozpocząć nowe życie w stodole? Nie powinna była go dotykać. Tak naprawdę powinna się go była bać. Bała się go. Cofnęła prędko ręce.

Wokół niej deszcz dalej szeleścił, bardzo cicho, tworząc sztuczną ciszę jeszcze głębszą niż cisza prawdziwa. Klepisko pod jej nogami było lepkie od wody nadal ściekającej z jej odzienia. Dora stała napięta, zasłuchana. Przyniosła ucho do dzwonu, jakby się spodziewała, że usłyszy jego szmer, podobny do szemrania muszli, w której jest zamknięte echo oceanu. Ale choć tak wiele dźwięków było usłyszanych we wnętrzu tego ogromnego metalowego stożka, żaden z nich nie odezwał się choćby najcichszym szmerem. Dzwon milczał. Zafascynowana Dora uklękła i wsunęła rękę do środka. Wnętrze dzwonu było ciemne i w niepokojący sposób przypominało zamieszkaną jaskinię. Bardzo ostrożnie dotknęła dużego serca, które wisiało w skupionym milczeniu. Uczucie strachu nie opuściło jej, więc wycofała się prędko i zapaliła latarkę. Na opadającej pochyło w dół płaszczyźnie brązu ukazały się przysadziste postacie – masywne, proste, piękne, absurdatne, przepełnione czymś, co dla artysty nie było przedmiotem rozmyślań czy tworzywem dla wyobraźni. Te sceny były dla niego bardziej rzeczywiste niż jego własne dzieciństwo, i bliższe. Odtworzył je wiernie. Dorze też były bliskie, gdy oglądała je znowu w świetle latarki.

Obeszła powoli dzwon i zgasiła latarkę. Z trudem trzymała się na nogach, przemarznięta i zeszywniała od wilgoci. Wszystko to jest za trudne, musi wrócić do łóżka. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Nie może tak nikczemnie zostawić sytuacji nie rozwiązanej i nie naprawionej; nie może zostawić dzwonu, żeby w sposób dwuznaczny stał się przedmiotem złośliwych i nieprawdziwych opowieści. Jakby tylko w nim był ratunek, nie mogła od niego odejść, chociaż łyżycy wyczerpania i bezradności spływały ciepłym po jej przemarzniętych policzkach. Tak długo z nim obcowwała, że rzucił na nią swoje czary. Zdawało jej się, że jest jego panią, a on jej zabawką, ale teraz dzwon ją ujarzmił i przeprowadzi swoją wolę.

Dora stała obok dzwonu w ciemności, oddychała z trudem. Przebiegł ją dreszcz zgrozy i podniecenia, przeczucie czynu, jeszcze zanim mogła sobie uświadomić, jaki to będzie czyn. Niejasno przypłynęło do niej wspomnienie czegoś, co zostało przy niej powiedziane: głos oznajmiający prawdę, którego nie wolno zagłuszać. Jeżeli jej samooskarżenie jest konieczne, ma pod ręką doskonały sposób. Ale jej potrzeba sięgała znacznie głębiej. Znowu wyciągnęła rękę do dzwonu.

Pchnęła go lekko i poruszył się. Nie było trudno go poruszyć. Czowała raczej niż słyszała serce kołyszące się w środku, nie dotykające jeszcze boków. Dzwon oscylował leciutko, wciąż prawie nieruchomy. Dora zdjęła płaszcz. Stała chwilę w ciemności czując pod ręką spokojne dygotanie wiszącego przed nią olbrzyma. I nagle zebrawszy wszystkie siły rzuciła się na niego.

Dzwon ustąpił przed nią i o mało nie upadła, a serce uderzyło o bok z łoskotem tak bliskim i przerażającym, że krzyknęła. Oskoczyła, dzwon wrócił. Serce dotknęło drugiej strony, lżej. Łapiąc rytm Dora znowu pchnęła całym ciałem oddalającą się płaszczyznę metalu i znowu oskoczyła. Buchnął potężny łoskot, gdy dzwon, kołysząc się teraz swobodnie, przemówił pełnym głosem. Wrócił, jego zaledwie widoczny kształt był niczym ogromna, poruszająca się bryła ciemności. Dora znowu go dotknęła. Wystarczyło teraz utrzymywać go tylko w ruchu. Ogłuszające dźwięki nadal płynęły, dzwon wyrykiwał głosem milczącym od wieków, że

zwrócono właśnie światu rzecz wielką i wspaniałą. Dzwonienie – wyraźne, przeszywające, zdumiewające – słyhać było w pałacu i w Opactwie, w wiosce i jak później głośla wieść, wzdłuż drogi na wiele, wiele mil w obu kierunkach.

Dora była tak zdumiona, tak niemal unicestwiona zdumieniem i samym hałasem, iż nieporna na wszystko wiedziała jedynie, że musi bić w dzwon. Nie słyzała zbliżających się głołów i stała oszołomiona i półprzytomna, gdy w dwadzieścia minut później mnóstwo osób wpadło do stodoły i otoczyło ją kołem.

ROZDZIAŁ XXIII

Gdy Dora przyszła, pierwsza część uroczystości dobiegała końca i szykowano się już do procesji. Było dwadzieścia minut po siódmej. Deszcz ustał i słońce świeciło poprzez Cienką warstwę chmur, rozsiewając chłodne, blade, złotawe światło. Biała mgła kłębiła się na powierzchni jeziora zakrywając wodę, tylko górna część grobli była nad nią widoczna.

Dora spała. Odprowadzona do domu przez panią Markową, runęła na łóżko i po sekundzie straciła świadomość. Obudziła się koło siódmej i natychmiast przypomniała sobie o procesji. Z daleka dobiegała ją muzyka. Widocznie uroczystości już się rozpoczęły. Pawła nie było w pokoju. Ubrała się pośpiesznie, chociaż nie umiałaby powiedzieć, dlaczego udział w uroczystościach wydawał jej się czymś tak bardzo ważnym. Jej wspomnienia zdarzeń ubiegłej nocy były niejasne i przerażające, jak; wspomnienia pijaka. Pamiętała, że oślepiły ją latarki, że zobaczyła w ich świetle wciąż kołyszący się dzwon. Otoczyło ją mnóstwo osób. Ktoś zarzucił jej na ramiona płaszcz. Zobaczyła między nimi Pawła, ale się do niej nie odezwał, widok dzwonu wprowadził go w uniesienie. Nie wrócił do pokoju, więc przypuszczała, że dotąd jest w stodole. Rozdzielili między siebie nocne czuwanie.

Dora miała dało zeszywniałe i była przeraźliwie głodna, głęboko nieszczęśliwa w jakiś otepiały, bezsilny sposób. W powietrzu wisiło nieszczęście. Ubrała się w najcieplejsze rzeczy i wyszła na podest schodów, skąd mogła przez okno wychodzące na front domu obejrzeć całą uroczystość. Czekał tu na nią zdumiewający widok. Przed domem zebrało się kilkaset osób, stali w zupełnym milczeniu. Wypełnili taras, tłoczyli się na schodach i balkonie, stali w kilku szeregach wzdłuż ścieżki prowadzącej na groblę. Ich milczenie było milczeniem wyczekującym, jakie zapada zwykle, gdy w trakcie uroczystości milkną na chwilę śpiewy czy przemówienia. Stali cisi we wczesnym poranku, nadając całej scenie ów dramatyczny charakter, który jest zawsze obecny, gdy duży tłum zbierze się uroczystość pod gołym niebem. Wszyscy patrzyli na dzwon.

Biskup w szatach pontyfikalnych, z mitrą i pastorałem, zwracał się twarzą do dzwonu, który spoczywał na swoim dawnym miejscu na tarasie. Za plecami biskupa gromadka małych dziewczynek ściskających flety usiłowała ustąpić drogi gromadce małych chłopców w komzach, których ojciec Bob Joyce wypychał do przodu. Biskup stał cierpliwie, jak dobrotliwy człowiek, którego ktoś nagle zatrzyma, nie oglądając się, gdy z tyłu za nim trwały ciche zmagania. Okazało się później, że nie wiedział nic o zdarzeniach tej nocy. Spał ze zdrowym uchem przyciśniętym do poduszki i nie słyszał dzwonienia; nikt też nie odważył się tak wcześnie rano opowiedzieć mu historii tak nieprawdopodobnej.

Tymczasem mali chłopcy zdołali odepchnąć na bok małe dziewczynki, które stały w rozsypce na krawędzi tłumu, rzucając niespokojne spojrzenia na nauczyciela. Ale sytuacja tancerzy ludowych była jeszcze mniej godna pozazdroszczenia. Wysunęli się naprzód idąc tuż za chórem, głęboko przekonani, że nadeszła ich chwila. Stojąc w pełnym składzie – z konikiem na kiju, błaznem w cylindrze i skrzypkami – uzbrojeni w kijki i chustki, z dzwoneczkami i kokardkami przywiązanymi do nóg, przyciągali spojrzenia i byli onieśmieleni, nie wyzwoliła ich jeszcze i nie napełniła uczuciem tryumfu muzyka i taniec. Powiedziano im, że mają rozpocząć tańce, zanim procesja ruszy, a następnie, wciąż tańcząc, odprowadzą ją aż do grobli. Ale nikt nie przewidział, że zbiorą się takie tłumy, i było już teraz widoczne, że na tarasie nie ma miejsca dla tancerzy i że nie da się opróżnić ani kawałka wolnej przestrzeni – chyba że ktoś poprosi kilka starszych pań,

przypartych do balustrady, by się na nią wspięły i zeskoczyły na trawnik. Błazen wysunął się przed małych chłopców z chóru i spytał o coś ojca Boba. Ojciec Bob uśmiechnął się i skinął głową, a wtedy skrzypek, i tak bliski już szaleństwa, bo przekonany, że wszyscy na niego czekają, natychmiast zaczął grać *Marsza mnichów*. Niektórzy tancerze usiłowali tańczyć, inni wołali na nich: „Stać! Stać!” Ojciec Bob zmarszczył brwi potrząsając głową i skrzypce umilkły. Błazen przepchał się do ostatnich szeregów i wydał jakieś polecenia swoim tancerzom, najwyraźniej zniechęcające. Ojciec Bob dotknął ramienia biskupa i biskup, z wyrazem jeszcze głębszej cierpliwości, przemówił.

Dora nie słyszała słów. Przerażona, że ją coś ominie, zbiegła ze schodów i wyszła na balkon, na którym aż było czarno od widzów. Przepchała się do stopni i znalazła miejsce, z którego było widać taras. Biskup umilkł i dzwon bardzo powoli ruszył. Dwaj robotnicy ciągnęli wózek od przodu, a dwaj kierowali nim od tyłu, ci sami którzy przywieźli dzwon i którzy za specjalnym pozwoleniem mieli przekroczyć mury Opactwa i zawiesić go na wieży. Z namaszczeniem ciągnęli sznury, które pani Markowa w ostatnim momencie pobieliała wapnem. Dzwon toczył się przez taras w kierunku stoku schodzącego w dół ku grobli. Tuż za dzwonem szedł Michał z Katarzyną, dalej biskup, a za biskupem chór. Następnie, materializując się tu i ówdzie wśród tłumu, szli członkowie bractwa, wszyscy, jak Dora zauważyła, o twarzach nieprawdopodobnie wymizerowanych. Za nimi ciągnęli rozgoryczeni tancerze, szli, a nie tańczyli, pobrzękując dzwoneczkami i wlokąc za sobą białe chusteczki. Dalej dreptały małe flecistki z nauczycielem. Za nimi maszerowały skautki, a za skautkami skauci. Procesję zamykało z poczucia obowiązku kilku pomniejszych dygnitarzy wiejskiego kościoła oraz ci spośród wiązów, którzy więcej sobie cenili przywilej uczestniczenia w procesji od podniety jej oglądania. Procesja ruszyła i teraz ludzie wspinali się na balustradę lub wdzierali na stąpnie, żeby fotografować, przy czym wpadali na tych, którzy zbiegali ze stopni; inni zeskakiwali z tarasu, żeby zająć dobre miejsce na stoku albo nad brzegiem jeziora, skąd mogli obejrzeć następną fazę uroczystości.

Dora została na swoim miejscu. Miała stąd dość dobry widok, zwłaszcza odkąd balkon opustoszał. Spojrzała w dół na zatłoczony taras i zobaczyła Noel a, stał na kamiennym łwie u stóp schodów i robił zdjęcie. Gdy skończył, zeskoczył i zaczął biec wzdłuż procesji. Skautki, które ustawiły się w kolumnę blisko bramy od podwórza przed stajniami, ruszyły właśnie naprzód z energią przynoszącą zaszczyt niemal militarnemu charakterowi ich organizacji i w tym momencie trudno było odróżnić procesję od otaczającego ją tłumu. Noel spojrzał do góry i zobaczył Dorę. Rozpromienił się, puścił aparat, który chwiał mu się rytmicznie na szyi, i zaczął bić brawo. Dora wybałuszyła oczy na tę pantomimę. I nagle zrozumiała, że Noel ma na myśli ubiegłą noc. Widocznie był w stodole; i taka jest jego reakcja. Dora uśmiechnęła się słabo i machnęła do niego ręką. Noel wskazywał na jezioro. Ani myślał tracić szansy zrobienia jeszcze jednej fotografii. Dora potrząsnęła głową i Noel zaczął się przedzierać przez tłum. Widziała go, ramionami i głową górującego nad tłumem, jak wyprzedza kolumnę skautek i dogania czoła procesji. Słońce zaczęło się przebijać przez swój biały welon i długie, rozbiegane cienie pokazały się na trawniku. Chór zaintonował pieśń. Na drugim końcu grobli Dora zobaczyła otwierającą się z wolna ogromną bramę Opactwa.

Była sama na balkonie. Większość widzów tłoczyła się nad brzegiem jeziora, po obu stronach grobli. Sunący bardzo powoli i gładko dzwon wtaczał się na nieznaczną pochyłość ku grobli i był teraz lepiej widoczny. Słońce wyłociło jego białą szatę i białe szaty biskupa. Wiatr, nie tak teraz porywisty, targał ałasowymi wstążkami i czochrał kwiaty, którymi wózek był obrzucony. Biskup kroczył sztywno, z głową lekko pochyloną, wspierając się na pastorałe. Białe komże chłopców powiewały na wietrze, gdy w poczuciu własnej ważności podnosili wysoko partytury. Dzwon był już na grobli, toczył się wolniej po trochę nierównych kamieniach. Procesja posuwała się za nim.

Nieruchoma mgła okrywała jezioro, wciąż sięgająca grobli, więc procesja, rozciągnięta długim sznurem nad wodą, zdawała się sunąć w powietrzu. Pochylona nad balustradą Dora wyteżyła wzrok.

Chór wybuchnął pieśnią. Ambitniejsze utwory zostały przeznaczone na punkt szczytowy ceremonii u wrót Opactwa. A tymczasem lokalne sentymenty zlekcewałyły życzenie ojca Boba. Chłopcy śpiewali:

*Wznieście z wolna dzwon na wieży,
Niech dzień wita dźwięcznym głosem,
Posłannictwo swe niech szerzy
Między ziemią a niebiosy.
Jak na jutrznię ptasich tonów
Chór na Bożą cześć się wznosi,
Tak szlachetnym dźwiękiem dzwonów
Chwałę Pana niechaj głosi.
A gdy przyćmi cień wieczoru
Wieżę, nawy, kielich mszalny,
Niech się zmiesza dzwon nieszporów
Z dnia uśmiechem pożegnalnym.*

Pieśń płynęła dalej. Tancerze, idąc ostrożnie parami, weszli z brzegu na groblę, a za nimi dreptały małe dziewczynki, bardzo chyba przemarznięte w białych jedwabnych sukienkach. Dzwon posuwał się wolno i dotarł już prawie do połowy grobli, gdzie wmontowany był drewniany pomost upamiętniający dzielne zakonnice z szesnastego wieku. Dora spojrzała na tłum. Noel gdzieś zniknął. Wypatrzyła Patchwaya, który odmówił udziału w procesji i stał biernie za plecami tłumu, skąd na pewno nic nie widział. I nagle zaczęło się coś dziać. Dora przeniosła czym prędzej wzrok na czoło procesji. Szybkie westchnienie uleciało w powietrze. Pieśń zachybotwała. Dzwon znieruchomiał na deskach pośrodku grobli i robotnicy jakby się z nim mocowali. Biskup dał chłopcom z chóru znak, żeby się cofnęli.

Procesja znieruchomiała. Pieśń umilkła nierówno; i nagle pośród cichego szmeru zabrzmiało głośnie, skrzypienie. Dzwon przechylił się lekko na jedną stronę. Z tłumu buchnął podniecony gwar. Potem, bardzo wolno, drewniane podpory ugięły się, drewniany pomost przechylił się, przechylił się wózek, dzwon zawisł na chwilę pod nieprawdopodobnym kątem i runął na bok do jeziora ciągnąc za sobą wózek.

Wszystko to zdarzyło się tak szybko, że Dora nie mogła uwierzyć własnym oczom. Procesja nadal stała rozciągnięta długim sznurem na grobli. W środku grobli ziała jama, na jej drugim brzegu tkwili dwaj odcięci od reszty robotnicy. Niewidoczna woda kipiała i bulgotała. Dzwon zniknął. Z ust tłumu wyrwał się okrzyk, który był ni to lamentem, ni to wivatem. Tym, którzy przyszli obejrzyć widowisko, dobrze się to opłacało.

Dora zbiegła ze schodów i dalej w dół stoku nad brzeg jeziora. Ojciec Bob przynaglał procesję do zejścia z grobli, a tymczasem od strony brzegu dziesiątki osób usiłowały wedrzeć się na groblę. Ktoś, Dora nie wiedziała kto, wpadł do wody. Rozległy się krzyki, jeden z małych śpiewaków płakał głośnie. Biskup, dobrze widoczny w promieniach słońca, stał wciąż nad miejscem, gdzie zniknął dzwon, i patrząc w wodę rozmawiał z robotnikami. Mgła przerzedziła się trochę, widać było teraz jezioro spienione pod drewnianymi filarami i na powierzchni krąg białych kwiatów. Nad wodą ani śladu dzwonu czy wózka. Kilka osób wyminęło biskupa i przeskoczyło na drugą stronę wyrwy, żeby stamtąd oglądać widowisko. Brama Opactwa

zamykała się dyskretnie.

Dora była już blisko jeziora, na prawo od grobli. To, co się zdarzyło, przeniknęło ją zgrozą zmieszaną z podnieceniem. Czuła się trochę tak, jak gdyby była odpowiedzialna za ten nowy dramat, a trochę tak, jak gdyby jego ogrom przez samo porównanie czynił jej wybryk bardziej wybaczalnym. Przystanęła na krawędzi tłumu, rozglądała się za jakimś lepszym miejscem. I nagle ktoś pchnął ją brutalnie i wyminął. Dora oświadczyła później, że gdyby nie ów szturchaniec, nie zwróciłaby na nic uwagi i nie zaczęłaby się zastanawiać. Obróciła głowę i zobaczyła, że źle wychowaną osobą jest Katarzyna. Wyminawszy Dorę Katarzyna wyszła na otwartą przestrzeń i oddaliła się ścieżką biegnącą nad jeziorem w kierunku lasu. Dora przeniosła spojrzenie z powrotem na groblę. A potem obróciła się i zamyślona odprowadzała wzrokiem Katarzynę, która szła szybko i była już w sporej odległości. Nikt nie zauważył jej odejścia.

Mówiąc najogólniej, takie rozpychanie się było u Katarzyny czymś niezwykłym; podobnie jak niezwykły był wyraz jej twarzy. Naturalnie musiała być zdenerwowana, ale wyglądała dziwnie, a jej rozpacz wydawała się nadmierna. Dora zawahała się. Otaczali ją ludzie, ale nie zauważyła wśród nich nikogo znajomego. Po chwili zawróciła, przeszła przez trawnik na ścieżkę i podążyła za Katarzyną starając się nie tracić jej z oczu. Katarzyna przyśpieszyła kroku i weszła w las. Dora zaczęła biec. Katarzyna wyglądała naprawdę bardzo dziwnie. Swoją drogą to nie moja sprawa, pomyślała Dora. Ale była zaniepokojona i chciała się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

W lesie zaczęła ją doganiać. Na ścieżce leżało mnóstwo gałęzi i patyków strąconych przez wiatr. Katarzyna szła potykając się, nagle upadła ciężko i zanim zdążyła wstać, Dora była prawie przy niej. Zawołała:

– Katarzyno, poczekaj na mnie. Nic ci się nie stało?

Katarzyna miała na sobie staromodną suknię do tenisa, teraz całą brudną po upadku. Otrzepała się i zaczęła iść wolniej, nie zwracając uwagi na Dorę. Chyba płakała. Dora nie mieściła się na wąskiej ścieżce obok niej, więc szła z tyłu chwytając ją za ramię i pytając, czy nic jej się nie stało.

Po chwili Katarzyna odepchnęła Dorę, przystanęła i na pół się do niej obróciwszy powiedziała:

– Chcę być sama. – Jej twarz miała wyraz dziwnie nieruchomy.

– Tak mi przykro – wyjąkała Dora, wciąż niepewna, czy zostać, czy odejść.

– Widzisz – zaczęła Katarzyna – to wszystko stało się przeze mnie. Nie wiedziałaś? To był znak. – Znowu ruszyła przed siebie.

Na widok jej twarzy Dora pomyślała: Katarzyna jest obłąkana. To podejrzenie przyszło jej do głowy jeszcze wtedy, kiedy została tak brutalnie odepchnięta, ale wydawało się zbyt fantastyczne. Katarzyna była zupełnie normalna poprzedniego dnia. Przecież ludzie nie wariują w jednej chwili. Dora, nie posiadając żadnych doświadczeń z ludźmi obłąkanymi, stała zmroźona strachem i zgrozą, gdy tymczasem biała postać Katarzyny zniknęła na ścieżce.

Kiedy zamknęły się za nią drzewa, Dora instynktownie chciała pobiec do pałacu i sprowadzić pomoc. Pomyślała jednak, że ważniejsze jest pójść za Katarzyną i namówić ją, żeby wróciła. W takim stanie może zawędrować w głąb lasu, gdzie ją będzie trudno znaleźć. Ponadto Dorą kierował lęk, że się ośmieszy i narobi nowych kłopotów. Może się mimo wszystko mylić co do Katarzyny, a taki fałszywy alarm, w momencie kiedy wszyscy mają dość innych zmartwień, byłby co najmniej irytujący. Przyśpieszyła kroku i po chwili biała suknia Katarzyny znowu mignęła jej na ścieżce.

I wtedy Dora pomyślała, że niedługo znajdą się w pobliżu stodoły i że może jest tam jeszcze Paweł. To jej dodało otuchy, zaczęła biec znowu wołając na Katarzynę. Katarzyna nie reagowała

i Dora, zrównawszy się z nią po raz drugi, usłyszała, że mamroce coś do siebie. Patrząc na zaczerwioną, błędną twarz Dora nie wątpiła już, że jej pierwsze wrażenie było słuszne. Uczepiła się sukni Katarzyny i jednocześnie zaczęła przywoływać Pawła. Wyszły na otwartą przestrzeń koło nabrzeża – Katarzyna szła coraz szybciej, Dora ją trzymała i wrzeszczała. Ale w stodole panowało milczenie. Widocznie Paweł już wyszedł; jak się później okazało, wrócił betonową ścieżką do pałacu, żeby zatelefonować do jednego ze swoich kolegów w Londynie. Dora i Katarzyna były same nad jeziorem.

Dora przestała krzyczeć i powiedziała do Katarzyny:

– Chodź, wrócimy do pałacu, proszę cię!

Katarzyna nie oglądając się odepchnęła Dorę i rzuciła wyraźnym głosem:

– Na miłość boską, zostaw mnie, chcę być sama!

Dora, nie tylko przestraszona, ale trochę już rozzłoszczona, powiedziała:

– Słuchaj, zachowujesz się głupio. Wracaj ze mną.

Obróciwszy do niej twarz Katarzyna wyszczerzyła nagle zęby w uśmiechu przypominającym cierpki, nieruchomy uśmiech jej brata.

– Bóg wyciągnął karzącą rękę – oznajmiła. – Biała suknia nie ukryje niegodziwego serca. Brama nigdy się przede mną nie otworzy. Żegnaj!

Zostawiły za sobą nabrzeże i były teraz w miejscu, gdzie ścieżka biegła tuż nad brzegiem jeziora, porośłym z tej strony wysokimi trzcinami. Między brzegiem a głęboką wodą ciągnął się pas błota i wodorostów. Katarzyna odwróciła się od Dory i zaczęła schodzić do jeziora.

Weszła prosto w gęstwinę sitowia, a poruszała się tak szybko, że Dora stała chwilę wpatrzona w miejsce, w którym tamta zniknęła. Gdzieś za sitowiem dało się słyszeć głośnie chlupotanie. Dora wrzasnęła i weszła do jeziora. Bez namysłu zaczęła się przedzierać przez sitowie i znowu wrzasnęła czując, jak zapada się pod nią dno. Ugrzęzła w szlamie prawie po kolana. Katarzyna zdołała zrobić jeszcze kilka kroków. Niemal z uporem, jak bojaźliwa osoba zażywająca kąpieli, zanurzyła ciało w kleistej masie wodorostów i błota, usiłując wydostać się na głębszą wodę. Leżała na boku, jedno ramię w białej sukni sterczało dziwnie czyste nad powierzchnią wody.

Dora zawołała: „Katarzyna!” i znowu zaczęła wrzeszczeć. Ale kto ją usłyszy? Wszyscy są tak daleko, tacy zajęci. Wyciągnęła rękę usiłując pochwycić Katarzynę, ale straciła równowagę i runęła w głębszą wodę. Woda chlusnęła jej w twarz. Starając się rozpaczliwie trzymać głowę wysoko czuła, jak oślizłe wodorosty oplątują jej nogi. Szaleńczym wysiłkiem zdołała podciągnąć nogi pod siebie i usiadła w szlamie, mając teraz wodę prawie do szyi. Tuż przed nią Katarzyna rozbryzgiwała wodę. Zanurzyła się głęboko i chyba zaplątała w wodorosty, widać było długie, zielone pasma owinięte dokoła jej młocącego powietrze ramienia. Dora pochyliła się i zdołała schwycić Katarzynę za rękę. Raz po raz wykrzykiwała jej imię, a potem natężając siły zaczęła wrzeszczeć głośno, przeraźliwie. Usiłowała przyciągnąć do siebie Katarzynę.

W następnej sekundzie poczuła, że posuwa się naprzód. Wyszarpując rękę z jej dłoni Katarzyna ciągnęła ją na głębiej. Dora puściła ją, ale za późno. Była teraz dość daleko od brzegu. Daremnie przebierała stopami w bezdennej mazi wodnistej szlamy i wodorostów. Wrzeszcząc połykała wodę, jej ręce biły bezładnie powierzchnię jeziora; głowę miała odrzuconą do tyłu, ramiona na pół zaplątane w wodorostach. Coś ciemnego falowało przed nią na powierzchni wody. Włosy Katarzyny. Jak we śnie zobaczyła ramię Katarzyny znikające w czarnej mazi, jej oczy patrzące nieruchomo w górę, jej otwarte usta. Poczowała dławiący strach przed śmiercią. Walczyła rozpaczliwie, łapiąc ustami powietrze, ale wodorosty trzymały ją, zdawały się ciągnąć w dół; woda sięgała teraz jej szyi.

I nagle dobiegło ją dalekie wołanie. Niewyraźnie, patrząc tuż ponad powierzchnią jeziora, zobaczyła ciemną postać stojącą pod murem Opactwa, którego tereny kończyły się odrobinę w

lewo na przeciwległym brzegu. W strasliwej udźce przerażenia Dora znowu zaczęła wołać. Zobaczyła, że ciemna postać zrzuca odzienie. W następnej chwili usłyszała plusk. Nie widziała nic więcej; jej walka dobiegała końca. Woda wlewała się do łapiących powietrze ust, wodorosty unieruchomiły jedną rękę pod powierzchnią jeziora, drepcące stopy zapadały się głębiej w gęstym szlamie. Ostatkiem sił wydobyła z siebie przeciągły krzyk rozpaczony. Otwierał się pod nią czarny tunel, w który powoli wciągała ją jakaś siła.

– Nie szamoc się – powiedział czyjś spokojny głos. – Jak będziesz stała nieruchomo, przestaniesz się zapadać. Oddychaj powoli i równo.

Dora zobaczyła, na równym poziomie z jej twarzą i dziwnie blisko, podskakującą na wodzie głowę, chłopięcą, krótko ostrzyżoną, i piegowatą, świeżą twarz o błękitnych oczach. Widziała ją z niemal obłąkaną wyrazistością i w pierwszej chwili myślała, że to naprawdę jest chłopiec.

Przestała się szamotać i stwierdziła ze zdumieniem, że już się nie zapada. Woda ochlapывwała jej brodę. Usiłowała oddychać przez nos, ale usta same otwierały się i w przerażeniu łapały powietrze. Stojąc chwilę bez ruchu zobaczyła ze zdumieniem dwie głowy unoszące się na powierzchni, okrągłą głowę zakonnicy, która płynęła przez czystsza wodę tuż za wodorostami i ostrożnie zbliżała się do Katarzyny, i głowę Katarzyny, przechyloną teraz na bok, z ustami i jednym policzkiem zanurzonym, oczami szklistymi. Z tą samą dziwną wyrazistością Dora spostrzegła, że twarz zakonnicy jest prawie sucha.

Zakonnica przemawiała do Katarzyny usiłując dosięgnąć jej ramion od tyłu i wyciągnąć ją poza wodorosty. Katarzyna nie walczyła. Była bezwładna i chyba nieprzytomna. Dora nie odrywała od nich oczu. Zakonnica przewróciła Katarzynę na plecy. Teraz broda sterczała jej do góry, włosy unosiły się za nią na wodzie i zakonnica wsunęła w nie białą dłoń, żeby ją mocniej przytrzymać. Małeńka fala ochlapowała Dorze usta i Dora zaczęła znów krzyczeć. Szamotała się od nowa, grzęzła coraz głębiej w szlamie. Woda wlewała się w nią, zabrakło jej tchu.

Czuła, jak ciepła, błotnista mazia dosięga jej policzków. W następnej sekundzie usłyszała gwar głosów i dwie silne ręce chwyciły ją od tyłu pod pachy. Uniesiona trochę nad wodę, wciąż szamocząc się i łapiąc ustami powietrze, zobaczyła tuż nad sobą twarz Marka Strafforda. Ciągnął ją do brzegu, sam po pas zanurzony w szlamie. Tam inne ręce odebrały ją od niego. Leżała bez sił na ziemi, woda ciekła jej z ust. Krzyki nie milkły i gdy w chwilę później usiadła, zobaczyła Jamesa i Marka, jak dość daleko od brzegu, utrzymując z trudem równowagę, podnoszą ciało Katarzyny. Pomocnicy zrobili łańcuch i wyciągnęli ich wszystkich na brzeg. Chyba sześć osób taplało się teraz na błotnistej krawędzi jeziora. Dalej za pasem szlamu i wodorostów widać było podskakującą głowę zakonnicy. Przekazawszy Katarzynę ratownikom wracała na głębszą wodę. Zawołała coś i zaczęła płynąć w kierunku nabrzeża.

Dora osunęła się znów na trawę. Leżała teraz twarzą w dół. Kasłała, wypluwała wodę i pojękiwała z ulgą. Ktoś ją pytał, jak się czuje, ale Dora była jeszcze na innym świecie. Słuchała i nawet nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby odpowiedzieć, tak była pochłonięta zdumieniem, że wciąż żyje. Ktoś pochylił się nad nią i zaczął rytmicznie naciskać jej plecy. Dorze zabulgotało w gardle, usiadła. Poczowała zawrót głowy i zamknęła oczy, ale siedziała podtrzymywana czyjś ramieniem.

– Nic jej nie jest – powiedział Marek Stratford. Zainteresował się teraz Katarzyną, ale ktoś pomyślał już o sztucznym oddychaniu. Dora patrzyła, jak Katarzyna przewraca się na bok z jękiem, odpycha swojego dobroczyńcę i też siada. Spojrzenie miała błędne, biała suknia, przezroczysta teraz, oblepiała jej ciało, długie mokre włosy spływały na piersi. Rozglądała się dokoła.

Groteskowa postać wysunęła się na pierwszy plan. Dora wytrzeszczyła oczy ze zdumieniem: krótkowłosa kobieta, jakby naga do pasa, a od pasa ubrana w czerń. Potem Dora zorientowała się,

że jest to zakonnica w bieliźnie. Zakonnica pochyliła się nad Katarzyną i spytała, jak się czuje, a potem spojrzała na Dorę i uśmiechnęła się do niej. Nie była ani trochę skrępowana i przyjęła płaszcz zaofiarowany jej przez panią Markową z grzecznym skinieniem głowy. Wydawała się zupełnie młoda. Piegowatą twarz miała nadal prawie suchą.

– To jest matka Klara – powiedział Marek Strafford. – Widocznie było wam sądzone się spotkać.

Katarzyna przyklękła teraz i rozglądała się, jakby czegoś szukając. W tym momencie dały się słyszeć nowe głosy i spomiędzy drzew wyszło kilka osób, rzucających pytania i okrzyki zdumienia. Znajdował się wśród nich Michał.

Widok był bez wątpienia niezwykle: większość mężczyzn ubłoconych do pasa, dwie niedosze topielice, matka Klara w płaszczu narzuconym na ramiona. Michał przyglądał się tej scenie z miną człowieka, który miał już dość niespodzianek i uważa, że ta powinna być ostatnia. Ale nie była.

Gdy zbliżył się do środka grupy i zaczął coś mówić, Katarzyna wstała z trudem. Zaczęła iść, groteskowa z tymi swoimi długimi pasmami czarnych włosów, ustami półotwartymi. Wszyscy umilkli. I nagle Katarzyna jęcząc podbiegła do Michała. Zdawało się przez chwilę, że go zaatakuje. A tymczasem zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego całym mokrym ciałem. Z głową zagrzebaną w jego marynarce raz po raz powtarzała imię Michała tonem żarliwej czułości. Ramiona Michała objęły ją automatycznie. Nad jej pochyloną, przytuloną do niego głową widać było jego twarz, osłupiałą ze zdumienia i zgrozy.

ROZDZIAŁ XXIV

Paweł zapłacił taksówkę. Trwało to chwilę czy dwie, zanim dokładnie obliczył odpowiedni napiwek. Weszli na dworzec. Paweł kupił poranne gazety. Przyjechali za wcześnie, jak zwykle. Usiedli obok siebie na ławce, Paweł czytał gazety, Dora wpatrywała się w krajobraz po drugiej stronie torów. Musztardowożółte pole było całe w słońcu, a nad niskim, zielonym, zamkniętym drzewami horyzontem wisiała mgiełka. Dzień był słoneczny, ale chłodny; przykurzone iluzje późnego lata ustępowały miejsca złotym urokom jesieni, bardziej dojmującym i chwytającym za serce swoją ulotnością.

Dora spędziła resztę wczorajszego dnia w łóżku. Wszyscy byli dla niej bardzo mili; to znaczy wszyscy z wyjątkiem Pawła. Ale prawdziwy niepokój budziła Katarzyna. Zaniesiono ją do pałacu; przez cały dzień była w stanie najwyższego podniecenia. Przyjechał lekarz, dał jej środki uspokajające, pokiwał głową, wspomniął o schizofrenii i wymienił nazwę kliniki londyńskiej. Późnym wieczorem, po długich naradach i wahaniach, przygotowano wszystko do jak najszybszego wyjazdu Katarzyny.

Paweł, sam bliski schizofrenii, dzielił swoją energią między studia nad dzwonem a robienie żonie wymówek. Na szczęście dla Dory dzwon zajmował mu znacznie więcej czasu i bardzo wcześnie tego dnia, po długiej rozmowie telefonicznej z kimś w British Museum, Paweł zdecydował się jechać do Londynu pociągiem o dziesiątej rano. Z uwagi na pośpiech nie było czasu na pakowanie i Paweł postanowił, że Dora pojedzie nazajutrz i przywiezie bagaże. Sam wziął większą walizkę napełnioną notatkami. Dorze musi wystarczyć papier i sznurek, w razie potrzeby weźmie z dworca Paddington taksówkę. Dzwon, stary dzwon, też jechał pociągiem do Londynu, gdzie mieli go zbadać specjaliści.

Dora zauważyła kątem oka, że w gazecie jest coś o Imber. Nie chciała tego widzieć. Wpatrywała się w musztardowe pole. Paweł czytał żarłocznie.

Po chwili powiedział:

– Przeczytaj to – i wsunął jej gazetę do ręki.

Dora patrzyła przez moment nic nie widzącymi oczami i w końcu wyjąkała:

– Tak, widzę.

– Nie, przeczytaj jak należy – zażądał. – Nie opuszczaj niczego. – Trzymał przed nią rozłożoną gazetę.

Dora zaczęła czytać. Tytuł notatki brzmiał: „Z dala od zgiełku”, a jej treść była następująca:

„Niewiele było dni talk doniosłych w historii zgromadzeń religijnych, świeckich czy też kościelnych, jak ostatnie dwadzieścia cztery godziny w Imber Court, siedzibie świeckiego bractwa anglikańskiego w ustronnym zakątku hrabstwa Gloucester. Oto wydarzenie numer jeden: dwie osoby bawiące w gościnie u bractwa odnalazły starodawny rzeźbiony dzwon, od wieków spoczywający na dnie sztucznego jeziora, nad którym stoi pałac. Dzwon ów jest jakoby własnością pobliskiego Opactwa Imber, anglikańskiego klasztoru benedyktynek, który to klasztor dziwnym zbiegiem okoliczności miał właśnie zainstalować na wieży nowoczesny dzwon. Jak twierdzi plotka, stary dzwon miał w «cudowny sposób» zastąpić dzwon nowy w czasie oryginalnej ceremonii chrztu pod murami Opactwa. Jednakże cud się nie zdarzył, a osoby niewtajemniczone spotkała zgoła inna niespodzianka (wydarzenie numer dwa), a mianowicie głos dzwonu wzywający je wśród głuchoj nocy na spotkanie w lesie, które przypominało bardziej sabat czarownic niż trzeźwe praktyki Kościoła anglikańskiego.

Czekały wszystkich dalsze niespodzianki. Następnego dnia, piątek, zaczął się bardzo uroczyste i bez udziału czarownic. Pobłogosławiony przez biskupa w mitrze nowy dzwon toczył się wolno po malowniczej grobli prowadzącej przez jezioro Imber do bram klasztoru. Wydarzenie numer trzy nastąpiło z dramatyczną nagłością w połowie grobli. Dzwon zwał się do jeziora i zniknął bez śladu. Przeprowadzone później śledztwo wykazało, że sabotaż, a nie wypadek, kryje się za tą katastrofą. Podejrzenie padło na jednego z braci.

Ale zanim ktokolwiek zdołał się oswoić z tym tajemniczym wypadkiem, nastąpiło wydarzenie (a raczej dramat) numer cztery. Jeden z członków bractwa, w tym przypadku siostra, jako że do bractwa należą przedstawiciele obojga płci, a więc siostra, która miała niebawem przepłynąć się przez groblę i na zawsze zniknąć za murami klasztoru, postradała zmysły i rzuciła się do jeziora. Na szczęście uratowała ją bawiąca tu w gościnie pani Dora Greenfield, z pomocą ziemnowodnej zakonnicy, która urozmaiciła widowisko zrzucając strój zakonny i skacząc do wody w bieliźnie. Nieszczęsna niedoszła samobójczyni znajduje się pod opieką lekarską.

Bractwo osiadłe w Imber, którego celem jest stworzenie warunków, w których osoby świeckie mogą korzystać z dobrodziejstw życia religijnego nie separując się od świata, istnieje niespełna rok. W chwilach wolnych od praktyk religijnych członkowie bractwa prowadzą gospodarstwo ogrodnicze. Jaka jest przyczyna tych ostatnich dramatycznych wydarzeń? Nasz rozmówca, blisko związany ze społecznością Imber, wspominał o rozłamie i o napięciu uczuciowym, ale członkowie bractwa powstrzymali się od komentarzy zapewniając nas, że życie w Imber toczy się spokojnym nurtem.

Bractwo, o którym mowa, jest organizacją autonomiczną, nie podlegającą żadnej określonej władzy kościelnej. Członkowie bractwa nie składają ślubów ubóstwa i czystości. Z czego się ci ludzie utrzymują? Z dobrowolnych składek. Niebawem ma być ogłoszony apel o pomoc finansową, po którym liczba sióstr i braci znacznie się powiększy. Siedzibą bractwa jest uroczy osiemnastowieczny pałac stojący w rozległym parku.”

– No jak, przeczytałaś dokładnie? – spytał Paweł.

– Tak – odparła Dora.

– I jesteś zadowolona ze swojego osiągnięcia?

– Nie bardzo.

– Nie bardzo? To znaczy, że trochę jesteś?

– Wcale nie jestem zadowolona.

– Orientujesz się chyba, że wyrządziłaś tym wspaniałym ludziom niepowetowane szkody?

– Tak.

– Czyj to był pomysł? Gashe’a? Spensa?

– Mój.

– I nadal utrzymujesz, że zatopienie nowego dzwonu nie jest twoją robotą?

– Nadal.

– Naprawdę nie wiem, po co ci zadaję pytania, skoro i tak nie wierzę ani jednemu twojemu słowu.

– Och, Paweł, przestań! – powiedziała Dora. Oczy napełniły jej się powstrzymywanymi dotąd łzami.

– Nie mogę cię zrozumieć – podjął Paweł. – Czasem się zastanawiam, czy nie jesteś chora psychicznie. Może powinnaś pójść w Londynie do psychiatry.

– Nie pójde do psychiatry – oznajmiła Dora.

– Pójdiesz, jeżeli ja tak zdecyduję – stwierdził Paweł.

Spokojne powietrze zawibrowało od dalekiego dudnienia pociągu. Obrócili oboje głowy i spojrzeli na tor.

Daleko ukazał się pociąg. Paweł wstał, podniósł walizkę i zeszedł na brzeg peronu.

Jakiś ruch dał się słyszeć na placyku przed dworcem. Dora obejrzała się i zobaczyła, że zajeżdża Land-Rover. Ze środka wyszli w pośpiechu Marek Strafford, pani Markowa, siostra Urszula, Katarzyna i Toby. Pociąg wpadł z łoskotem na stację.

Paweł był zajęty wyszukiwaniem dla siebie miejsca w pustym przedziale pierwszej klasy – blisko lokomotywy, przy oknie i w kierunku jazdy. Pani Markowa nie zatrzymując się poprowadziła Katarzynę prosto na peron, za nimi szła siostra Urszula, Marek i Toby skierowali się do kasy. Na widok Dory pani Markowa zaczęła pilotować Katarzynę w przeciwnym kierunku. Marek dogonił żonę i wręczył jej bilety. Toby wyszedł z budynku stacyjnego, zobaczył Dorę, odwrócił wzrok, spojrzał na nią, pomachał do niej bez przekonania i wsiadł sam do najbliższego przedziału. Marek i pani Markowa dość długo szukali odpowiedniego przedziału dla Katarzyny. W końcu znaleźli, pani Markowa wepchnęła Katarzynę do środka i sama wsiadła. Zamknęła drzwi, siostra Urszula stała na peronie i uśmiechnięta rozmawiała z nimi przez okno. Marek odszukał Toby'ego i uchyliwszy drzwi przedziału rozmawiał z nim trzymając nogę na stopniu.

Paweł umieścił rzeczy na półce, otworzył okno i wychylił się marszcząc groźnie do Dory.

– Oczekuję cię na Knightsbridge jutro koło trzeciej. Będę w domu.

– Dobrze – powiedziała Dora.

– Zapamiętałaś wszystkie moje wskazówki?

– Tak.

– No to do widzenia – powiedział Paweł. – Nie będę odgrywał komedii z całowaniem cię na pożegnanie.

– Och, Paweł, nie bądź taki podły! – wybuchnęła Dora. Łzy pociekły jej po policzku. – Powiedz mi coś miłego, zanim odjedziesz.

Paweł spojrzał na nią zimno.

– Tak, jest ci teraz źle, więc chcesz, żebym cię pocieszył.

Ale nie było komu mnie pocieszyć, kiedy w marcu wróciłem do domu i przekonałem się, że odeszłaś. Pomyśl o tym. Przestań... nie dotykaj mnie. Nie pociągasz mnie w tej chwili seksualnie. I wcale nie jestem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek będziesz mnie pociągała.

– Proszę wsiadać... drzwi zamykać! – zawołał tragarz, który był kiedyś na londyńskim dworcu Paddington.

Marek zdjął nogę ze stopnia, zamknął drzwi i stał śmiejąc się głośno z jakiejś swojej uwagi.

– Paweł, tak mi przykro – wyjąkała Dora.

– Jak to żałośnie mało! – powiedział Paweł. – Radzę ci, żebyś przemyślała wszystko poważnie, jeżeli naturalnie jesteś do tego zdolna. – Szukał czegoś w portfelu. – Masz tu coś, co da ci może do myślenia. Oddasz mi w Londynie. Noszę to zawsze przy sobie. – Wręczył jej kopertę. Rozległ się gwizd. Pociąg ruszył.

Paweł natychmiast zamknął okno i zniknął. Dora stała patrząc na przesuwane się wagony. Zobaczyła Toby'ego, siedział wciśnięty w kąt swojego przedziału, z twarzą ściągniętą i pełną niepokoju. Dora pomachała do niego, ale udał, że jej nie widzi. Katarzyna i pani Markowa były w jednym z ostatnich wagonów i kiedy mijaly Dorę, pociąg był już rozpedzony. Pani Markowa miała twarz zwróconą do Katarzyny. Katarzyna spojrzała na Dorę, rzuciła jej spod przymkniętych powiek szybkie, badawcze, pozbawione uśmiechu spojrzenie. I zaraz zniknęła.

Dora odwróciła się do wyjścia. Marek i siostra Urszula wchodzili właśnie do poczekalni. Zanim zniknęli w drzwiach, obejrzała się na nią i uśmiechnęli niewyraźnie, wahali się chyba, czy ją zawołać. Wyszli przed stację i Dora usłyszała, jak Marek zapuszcza silnik Land-Rovera. Silnik grał cicho na wolnych obrotach. Pewnie na nią czekali.

Dora usiadła znów na ławce i spojrzała na musztardowe pole, na dalekie blade ścierniska i

ciemną linię drzew. Mgła ustąpiła trochę. Silnik dalej warkotał. Nagle warkot wzmógł się i Dora usłyszała chrobot kół na żwirze, gdy Marek ostro zawrócił wyjeżdżając z placyku. Samochód wyjechał za bramę i oddalił się drogą.

Dora wstała i wyszła ze stacji.

Stacja była tuż za miasteczkiem, po stronie Imber. Prowadziła stąd przez pola droga wiejska między wysokimi, gęstymi żywopłotami, od której w odległości ćwierć mili odgałęziała się wąska ścieżka do Imber. Dorze przyszło na myśl, że może warto przejść przez tory i wstąpić na chwilę do miasteczka. Ale nie miało to sensu, bo bary były jeszcze zamknięte. Zagłębiła się w ciemny tunel żywopłotów. Łoskot pociągu i warkot samochodu umilkły. Krokami jej towarzyszył cichy szmer, prawdopodobnie dnem rowu płynął strumyk. Szła z rękami w kieszeniach.

Natrafiała dłonią na kopertę, którą jej wręczył Paweł. Wyjęła ją bojaźliwie. Z pewnością jest to coś nieprzyjemnego. Rozerwała kopertę.

W środku były dwa krótkie listy, oba napisane przez nią. Pierwszy, datowany w początkowym okresie ich narzeczeństwa, brzmiał następująco:

„Najdroższy, kochany Pawle, wczorajszy wieczór taki był cudowny i tak okropnie ciężko było się z Tobą rozstać. Długo nie spałam, leżałam i tęskniłam do Ciebie. Nie mogę się doczekać wieczoru, więc zostawiam tę kartkę w bibliotece. Każde rozstanie z Tobą to męka, a tak cudownie pomyśleć, że niedługo będziemy wciąż razem. Chcę być z Tobą zawsze, najdroższy, zawsze, zawsze. Twoja kochająca Dora.”

Dora przebiegła wzrokiem tę wypowiedź i przeczytała następny list.

„Paweł, nie mogę już dłużej. Ostatnio było tak strasznie, i strasznie dla Ciebie, wiem. Więc odchodzę – odchodzę od Ciebie. Nie mogę zostać, znasz wszystkie powody. Wiem, że jestem okropna i że to wszystko moja wina, ale nie wytrzymuję już dłużej i nie mogę zostać. Wybacz mi te bezładne bazgroły. Jak będziesz je czytał, już mnie tu nie będzie. Nie próbuj mnie namawiać do powrotu i nie martw się o rzeczy, które zostały. Wzięłam wszystko, co mi potrzeba. Dora.

PiS. Napiszę za jakiś czas, ale nie będę miała nic więcej do powiedzenia.”

Była to kartka, którą Dora zostawiła w mieszkaniu na Knightsbridge w dniu swego odejścia. Wstrząśnięta przeczytała po raz drugi oba listy. Złożyła je i ruszyła przed siebie. Więc Paweł nosił zawsze tę kopertę w portfelu i żądał jej zwrotu, bo chciał nadal nosić. Tym gorzej dla Pawła. Dora podarła listy na drobne strzępki i rozrzuciła je wzdłuż żywopłotu.

ROZDZIAŁ XXV

Od wydarzeń wczorajszego ranka Michał był bezustannie zajęty. Wezwał do Katarzyny lekarza i rozmawiał z nim, kiedy przyszedł, kiedy odchodził i kiedy znowu przyszedł. Wraz z Margaret Strafford spędził jakiś czas przy łóżku Katarzyny. Odbył rozmowę z biskupem i odprowadził go do samochodu z całą godnością, jaka była w tych okolicznościach możliwa. We dwóch z Piotrem zbadali drewnianą część grobli i przekonali się, że dwa filary były podpiłowane tuż pod powierzchnią wody. Porozumiał się telefonicznie z firmą budowlaną, która zgodziła się natychmiast naprawić groblę i wydobyć dzwon z jeziora. Dał wskazówki majstrowi, który zjawiał się z irytującym pośpiechem. Przyjął ze dwadzieścia telefonów od przedstawicieli prasy i rozmawiał z kilku reporterami i fotografami, którzy przyjechali na miejsce. Wpadł na chwilę do Dory. Podjął decyzję co do Katarzyny.

Jeżeli Michał w ogóle myślał o czymkolwiek tego dnia, myślał wyłącznie o Katarzynie. To, co zostało mu ujawnione w scenie nad jeziorem, tak głęboko go zdumiało, że nadal nie był zdolny nawet zastanowić się nad tą sprawą. Wciąż jakby się w nią wpatrywał z otwartymi ustami, przerażony, wstrząśnięty, zdumiony, pełen litości. Zareagował też, wbrew woli, uczuciem obrzydzenia. Przebiegały go dreszcze na myśl o uścisku Katarzyny. Jednocześnie w udręce czynił sobie wyrzuty, że nie odgadł ani nie próbował odgadnąć, co się naprawdę działo w duszy Katarzyny, i że teraz, kiedy część prawdy została ujawniona, tak mało może dla niej zrobić. Usiłował czynić ze swoich myśli o niej nieustającą modlitwę.

To, że Katarzyna go kochała, że go kocha, było pod każdym względem czymś wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy. Michał nie wiedział, jak to sformułować, zwykłe określenia zdawały się tak beznadziejnie nieodpowiednie. Mówił sobie, ale go to nie przekonywało, że nie ma powodu, żeby go Katarzyna nie pokochała, jak mogłaby pokochać kogokolwiek innego; mówił sobie też, że chociaż to uczucie przyszło bardzo nie w porę, jest przywilejem tak być przez kobietę wybranym. Nie wiedział, czy poprawi tym sytuację, czy pogorszy, jeśli uzna, że skoro Katarzyna wydaje się być obłąkana, jej uczucie traci w pewnym sensie ważność.

Obecny stan Katarzyny z pewnością dawał podstawy do poważnych obaw. Przespała część dnia. Resztę czasu spędziła w łóżku płacząc, przemawiając do Michała, nawet kiedy go nie było w pokoju, oskarżając się o rozmaite bliżej nie określone występki i mającąc o dzwonie. Straffordowie zawiadomili Nicka, przyszedł zaraz po tym, jak ją przyniesiono znad jeziora. W pokoju był już doktor i Nick musiał czekać. Później siedział milczący przy łóżku siostry i trzymał ją za rękę, z twarzą otepiałą i zgnębioną, niewiele mając do powiedzenia. Katarzyna czepiała się ręki brata niemal odruchowo, ale jakby go nie dostrzegała, chociaż do niego zwracały się jej nieliczne przytomne uwagi dotyczące otwarcia lub zamknięcia okna czy poprawienia poduszek. Był może za bardzo z nią związany, żeby w takim momencie pomóc jej czy zaszkodzić. Spędził u siostry prawie cały dzień; tylko kiedy spała albo kiedy ktoś inny do niej zaglądał, wychodził i przechadzał się samotnie po ogrodzie w pobliżu domu. Był wyraźnie wstrząśnięty, ale nie odzywał się do nikogo; nikt też nie miał czasu z nim rozmawiać w pośpiesznej krzątaninie tego zdeorganizowanego dnia. Michał mijał się z nim parokrotnie i za pierwszym razem powiedział mu kilka współczujących słów. W samym przemawianiu do Nicka było coś odrażającego; Katarzyna zdawała się leżeć między nimi jak trup. Nick odpowiedział Michałowi skinieniem głowy i poszedł dalej.

Był już późny wieczór, zanim ostatecznie załatwiono sprawę wyjazdu Katarzyny do Londynu.

Pani Markowa miała jej towarzyszyć i zamieszkać u przyjaciół w pobliżu kliniki, gdzie mogłaby ją w razie potrzeby codziennie odwiedzać. Przynęła, że zatelefonuje do Imber, jak tylko będzie miała do przekazania jakieś wiadomości. Kiedy stało się jasne, że wyjazd jest dla Katarzyny naprawdę wskazany, Michał poczuł niewypowiedzianą ulgę. Najbardziej pragnął w tej chwili, żeby Katarzyna wyjechała z Imber i żeby gdzie indziej roztoczono nad nią opiekę. Jej obecność napawała go lękiem i poczuciem winy, niejasnym i zagrażającym, pełnym nie wypowiedzianych jak dotąd oskarżeń.

Michał padł zmordowany na łóżko i przekonał się wkrótce, że inne jeszcze troski spędzają mu sen z powiek. Jutro rano Imber znajdzie się na łamach gazet. Jakkolwiek zostaną przedstawione wydarzenia, Michał nie miał złudzeń, czym się to musi skończyć dla bractwa. Po tylu katastrofach nie będzie można w najbliższej przyszłości wystąpić z apelem o pomoc finansową. Michał wolał się nie zastanawiać, czy całe przedsięwzięcie nie zostało już zaprzepaszczone. Czas pokaże, co zdołają uratować, a on nie wyzbył się jeszcze wszystkich nadziei. Teraz, kiedy zdołał odsunąć trochę od siebie druzgocącą myśl o Katarzynie, tym bardziej pochłonęła go druzgocąca myśl o Nicku.

Piotr Topglass pierwszy zaczął podejrzewać, że runięcie dzwonu do jeziora nie było dziełem przypadku. Najpierw sam przeprowadził badania, a potem zwrócił Michałowi uwagę na sposób, w jaki ktoś manipulował przy drewnianych filarach. Michał i Piotr nie wspomnieli nikomu o swoim odkryciu, jednakże reporterzy sami to jakoś wyniuchali. Michała zdumiała rewelacja Piotra; ale kiedy się przekonał, że istotnie nie jest to przypadek, nie miał najmniejszych wątpliwości, na kogo spada wina. A nawet domyślał się mgliście, z intuicją właściwą dla jego obecnego stanu napięcia, jakimi motywami kierował się Nick. Jeśli Nick chciał powstrzymać siostrę od pójścia za głosem powołania, osiągnął nadspodziewanie dobry rezultat.

Myśl o Nicku, raz go opanowawszy, zaczęła mu drążyć świadomość; i o trzeciej nad ranem Michał o mało nie wstał z łóżka i nie poszedł do domku przy bramie. Postanowił zobaczyć się z Nickiem nazajutrz z samego rana. Z uczuciem ulgi, które gdzieś w głębszej warstwie było niemal radością, Michał zrozumiał, że katastrofy ostatnich dni jak gdyby przerzuciły między nimi pomost. Chwilami zdawało mu się, że takie właśnie było ich przeznaczenie. Aby móc teraz, w tak dramatycznych okolicznościach, zobaczyć się z nim zarówno jako z przestępcą, jak i z człowiekiem, na którego spadło nieszczęście, musi w końcu zwalić dzielącą ich barierę. Modląc się teraz za Nicka Michał znowu doznał owego nieuchwytnego uczucia, że Bóg mieści ich obu w sobie i z jakichś niepojętych względów trzyma w swych rękach splątane nici ich wzajemnej troski o siebie. Michał wiedział już teraz, że musi porozmawiać z Nickiem. W tym krytycznym położeniu musi wystąpić w roli jedyne go przyjaciela Nicka w Imber. Po zdarzeniach tak przerażających żadne zło nie może z tego wyniknąć, w końcu więc ujrzał przed sobą prosty obowiązek przeprowadzenia z Nickiem szczerzej i otwartej rozmowy. Zadał sobie przykre pytanie, czy w rzeczy samej ten obowiązek nie był mu już dawniej wskazany, a tylko on nie umiał go dostrzec; ale pozostawił to pytanie bez odpowiedzi i nagle uspokojony, w poczuciu bezpieczeństwa, naprawdę rad na myśl o jutrzejszej rozmowie, zapadł w błogi sen.

Następny dzień rozpoczął się od pełnego programu trosk i niepokojów. Michał powierzył obowiązek wyekspluowania Katarzyny Stratfordom, wspomaganym przez Jamesa, sam zaś stawiał czoło telefonom, między innymi od biskupa, który czytał gazety poranne i domagał się od Michała napisania listu do „Timesa”, wyjaśniającego pewne nieporozumienia. Dopiero koło jedenastej mógł podnieść głowę znad papierów. Kiedy w końcu uznał, że może uciec, zamknął za sobą drzwi kancelarii i zeszedł schodami na taras. Nick nie chciał pojechać z Katarzyną do Londynu. Zresztą Margaret Stratford nie należała, uważając, że chwilowo Katarzyna nie powinna widywać brata; oznajmił jednak mgliście, że wkrótce za nią podąży. Michał przypuszczał, że

zastanie go w domu, prawdopodobnie w towarzystwie butelki. Nie wyobrażał sobie, żeby mu starczyło energii czy choćby zwykłych umiejętności organizacyjnych potrzebnych do szybkiego wyjazdu z Imber.

Kiedy stanął na tarasie i zobaczył, jak błękitne jest znów niebo i jak ciepłe i barwne słońce, odezwała się w nim nadzieja i ogarnęło go uczucie, że okropności, przez które wszyscy przeszli, jakoś się rozwieją i znikną. Wszystko skończy się jeszcze dobrze. I gdy spłynęła na niego ta nadzieja i świadomość uzdrawiającego działania opatrności, rozpoznał je – bez lęku czy złych przeczuć – jako nierozłącznie związane z jego dawną miłością do Nicka i zwykłą radością, że znowu wyszedł na drogę, która go do niego zaprowadzi.

– Michał, zaczekaj chwilę! odezwał się za nim głos Mańka.

Michał obejrzał się i zobaczył tuż nad sobą Manka stojącego przy balustradzie balkonu.

– James chce się z tobą zobaczyć – powiedział Marek. – Jest u siebie w kancelarii.

Michał zawrócił. Nie miał ochoty widzieć się teraz z Jamesem., ale reagując niemal automatycznie uznał pierwszeństwo żądania Jamesa. Tamto wydało mu się nagle samopobłażaniem, sprawą mimo wszystko osobistą. Wspiął się na stopnie. James go wezwał. Idąc schodami do kancelarii Jamesa Michał pomyślał, że to wezwanie jest czymś niezwykłym. Kiedy James miał do niego jakąś sprawę, biegł go szukać i z daleka wykrzykiwał, z czym przychodzi. Michał stanął przed drzwiami kancelarii Jamesa, zastukał i wszedł do środka.

Pokój był nieduży i prawie pusty. Koślawy, mocno porysowany stół dębowy służył Jamesowi za biurko, za nim stało jedno płócienne krzesło ogrodowe, przed nim drugie. Na podłodze stały skrzynki pełne listów i papierów. Za biurkiem wisiał na ścianie krucyfiks. Podłoga była z nie pomalowanych desek, bez dywanu, a sufit cały poznaczony siateczką pęknięć.

Gdy Michał wszedł, James stał za biurkiem i raz po raz przejeżdżał palcami przez ciemne, kędzierzawe włosy. Michał usiadł naprzeciwko niego, James opadł z powrotem na ogrodowe krzesło, które jęknęło pod nim i wyrzuciło się.

– Z wyjazdem Katarzyny nie było kłopotów? – spytał Michał.

– Nie, żadnych – odparł James. Unikając spojrzenia Michała przekładał papiery na biurku.

– Obciążę się ze mną zobaczyć, prawda? – Michał był pochłonięty swoimi myślami, śpieszył się.

– Tak – powiedział James. Umilkł i przesunął papiery z powrotem na dawne miejsce. – Przykro mi, Michał, to bardzo trudna sprawa.

– O co chodzi? Wydajesz się zdenerwowany. Czy znowu coś się stało?

– Tak i nie... – zaczął James. – Słuchaj, Michał, nie potrafię owijać tej rzeczy w bawełnę, ty też byś sobie tego nie życzył. Tęby powiedział mi wszystko.

Michał spojrział za okno. Znowu ogarnęło go dziwne uczucie *déjà vu*. Gdzie się już to wszystko zdarzyło? W ciszy, która zapadła, świat dokoła niego zarysował się nieznacznie, z pozoru jeszcze nie zmieniony, ale gotowy łąda chwila runąć. Katastrofę nieprędko się dostrzega.

– Co ci powiedział? – spytał Michał.

– Och, wiesz, opowiedział mi, co między wami zaszło. Tak mi przykro, Michał.

Michał spojrział na krucyfiks. Nie miał jeszcze odwagi spojrzeć na Jamesa. Ciche uczucie gniewu, w dziwaczny sposób towarzyszące świadomości ostatecznej klęski, pozwalało mu zachować spokój i jasność umysłu. Powiedział:

– Zaszło bardzo niewiele.

– To kwestia osobistych zapatrywań – oznajmił James.

Gdzieś w jesiennej dali huknął strzał. Michał w oszołomieniu przeniósł się myślą do Patchwaya i gołębi. Ten świat rzeczywisty był teraz bardzo daleko. Zastanawiał się, czy warto podać Jamesowi własną wersję zdarzeń. Uznał, że nie warto. Usprawiedliwianie się i wyjaśnianie

byłoby tu nie na miejscu; zresztą nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Powiedział:

– Słusznie. Dowiedziałeś się o mnie czegoś nowego, prawda?

– Strasznie mi przykro – wyjąkał James. Znowu zaczął przesuwac rzeczy na biurku, a potem przerwał i popatrzył na swoje ręce.

Michał przyjrzał się teraz Jamesowi. Mimo że jego pokój przypominał celę, James nie bardzo się nadawał do roli wielkiego inkwizytora. Niemal każdej innej osobie scena ta dałaby odrobinę satysfakcji, wzbudziłaby w niej zainteresowanie. Z Jamesem było inaczej. Obserwując ból i cierpienie na jego twarzy, nerwowość ruchów, Michał patrzył na siebie przez chwilę oczami Jamesa: ogrom występku i ujawnione w nim odrażające, sprzeczne z naturą skłonności. James miał naturalnie słuszność. Zdarzyło się mnóstwo.

– Kiedy Toby przyszedł do ciebie z tym wyznaniem? – spytał Michał. Starał się uspokoić wzburzenie, myśleć o Tobym zamiast o sobie. Myśleć o swojej ofierze.

– Przedwczoraj wieczorem – odparł James. – Przyszedł do mojego pokoju już po jedenastej. Wąłęsał się po deszczu i był potwornie zdenerwowany. Rozmawialiśmy przez kilka godzin. Powiedział mi też wszystko o dzwonie, o tamtym dzwonie... jak ułożył cały plan z Dorą, jak wyciągnęli dzwon z jeziora. Ale doszliśmy do tego dopiero nad ranem. Tak długo mówiliśmy o tobie.

– Bardzo to ładnie z waszej strony – powiedział Michał. Gniew zaczynał brać w nim górę. – Co powiedziałaś Toby’emu?

– Miałem z nim bardzo poważną rozmowę. – James wbił teraz w Michała nieruchome spojrzenie. Małeńki płomyk wrogości zamigotał między nimi w powietrzu i zgasł. – Uważałem, że zachował się zarówno w stosunku do ciebie, jak i Dory głupio, a nawet w pewnym sensie źle, i powiedziałem mu to. Musiał mieć mocno nieczyste sumienie, skoro zdecydował się na ten drastyczny krok i wyznał wszystko... co według mnie było decyzją rozsądną i godną pochwały. Miałem obowiązek potraktować jego wyznanie z całą powagą, jakiej wymagała ta sprawa. Wszystko inne nie dorastałoby do sytuacji.

– Gdzie jest teraz Toby? – spytał Michał.

– Odesłałam go do domu.

Michał zerwał się z krzesła. Miał ochotę krzyknąć i walić pięścią w stół. Powiedział do Jamesa bardzo spokojnie:

– Ty beznadziejny głupcze. – Podeszedł do okna i stał tam wyglądając. – Kiedy wyjechał?

– Dziś rano – odparł James. – Pojechał pierwszym pociągiem. Zabrał go samochód odwozący Katarzynę na dworzec. Przykro mi, że nie zdążyłem poruszyć z tobą tej kwestii, ale wczoraj tak się piekielnie dużo działo. Musiałem sam podjąć decyzję. Doszedłem do wniosku, że lepiej, żeby się z tobą nie widział. Uważał najwyraźniej, że ta sprawa jest... wiesz, jakaś zabagniona, nieczysta. Mówiąc mi o wszystkim usiłował przynajmniej sam się oczyścić. A ja uważałem, że powinien wyjechać, dopóki czuje, że odzyskał chociaż część niewinności. Gdyby został i rozmawiał z tobą, wpadłby znowu w to samo bagno, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

Michał bębnił palcami w szybę. James miał w pewnym sensie rację. Ale serce krajało mu się na myśl o Tobym, który odprawiony z Imber wyjechał w poczuciu całej swojej niedoskonałości, przytłoczony winą, wprzężony teraz przez namaszczonego Jamesa w mechanizm grzechu i skruchy, z którym prawdopodobnie nie będzie umiał sobie poradzić. Jakie to typowe dla Jamesa, że zrobił rzecz prostą i przyzwoitą, ale dowodzącą jednocześnie piekielnej tępoty. Odsyłając Toby’ego osiągnął tyle tylko, że przeżycie w Imber wryje się chłopcu w pamięć jako coś przerażającego; niemal każde inne zakończenie byłoby lepsze. Myśląc jednak o tym, jak bardzo pragnęłyby zakończyć ten dramat na swój własny sposób, Michał wcale nie był pewien, czy jego metoda zmieniałaby cokolwiek na lepsze.

– Dlaczego jestem beznadziejnym głupcem? – spytał James.

– Nie musiałeś być tak idiotycznie namaszczony – odparł Michał. – To ja jestem wszystkiemu winien. Wysłany przez ciebie do domu Toby czuje się jak przestępca, a cała sprawa urosła w jego oczach do rozmiarów przerażającej katastrofy.

– Właściwie dlaczego nie miałyby ponieść swojej części odpowiedzialności? – zaprotestował James. – Jest dość dorosły.

Spojrzenie Michała powędrowało ponad jeziorem i długą aleją wysadzoną drzewami w kierunku domku dozorczy.

– Ciekawe, dlaczego przyszło mu nagle do głowy, żeby ci o wszystkim powiedzieć?

– Co w tym dziwnego? Był wystarczająco zdenerwowany – odparł James. – Ale bezpośrednio wpłynęło na jego decyzję chyba coś, co mu powiedział Nick Fawley. Nick wiedział o wszystkim, nagadał mu i kazał się przyznać. Moim zdaniem to pierwsza rozsądna rzecz, jaką Nick zrobił od przyjazdu do Imber.

Michał dalej bębnił palcami w szybę. Lekki blask bijący od jeziora raził mu oczy. Poruszył głowę, jak gdyby usiłował pomóc swojemu umysłowi zrozumieć to, co zostało przed chwilą powiedziane. Był zbyt wstrząśnięty, żeby przemówić. A więc „Nick wiedział o wszystkim”. Jego zemsta nie mogła być doskonalsza. Uwiedzenie Toby’ego byłoby czymś prymitywnym. A zatem Nick zmusił chłopca do odegrania dokładnie takiej samej roli, jaką odegrał przed trzynastu laty. Toby naprawdę był jego dublerem. Michał łudził się, że uratuje Nicka. A tymczasem Nick zniszczył go po raz drugi – i to w taki sam sposób.

Michał obrócił się do biurka i spojrzał na Jamesa, który znowu przejeżdżał palcami przez włosy.

– No cóż, to chyba byłoby już wszystko – powiedział. – Przykro mi, że się uniosłem. Czuję się bardzo winny, uwierz mi. Nie ma sensu wchodzić teraz w szczegóły. Naturalnie podam się do dymisji, czy jak to się tam nazywa, i wyjadę z Imber.

James zaczął protestować.

Rozległo się głośnie pukanie i wszedł Marek Stratford. Wydawał się zdenerwowany, spoza brody wyzierała jego blada, wystraszona twarz. Powiedział:

– Przepraszam, że tak włączę do pokoju. Byłem na przystani i słyszałem jakieś dziwne odgłosy dochodzące od strony domku dozorczy. Chyba wycie Murphy’ego, ale bardzo dziwne. Nie wiem, czy się tam coś nie stało.

Michał wyminął Marka i zbiegł ze schodów przeskakując po trzy stopnie. Wypadł na taras i prawie nie dotykając stopami żwiru zaczął biec ścieżką do przystani; z samego dławiącego strachu łąpał ustami powietrze. Za sobą słyszał tupot Marka i Jamesa. Dotarł na przystań sporą chwilę przed nimi, wskoczył do łodzi i sam odbił od brzegu. Przeprowa przez jezioro zdawała się trwać bez końca; a gdy łódź pchana jednym wiosłem chybotwała się i kołysała leniwie i gdy Michał odgarniał wodę oszalałymi ruchami, jego szkliste oczy dojrzały stojące na przystani postacie Marka i Jamesa, rozmigotane jak za szkłem. Dobił do brzegu i wyskoczył, a łódź natychmiast wróciła na jezioro, przeciągana energicznie w kierunku domu.

Biegł potykając się przez trawnik, wciąż z trudem łapiąc powietrze. Domek dozorczy wydawał się gdzieś nieskończenie daleko. Michał słyszał już teraz przerywane wycie Murphy’ego. Brzmiało to przerażająco. Biegł dalej, ale gdy dopadł pierwszych drzew, musiał zwolnić. Oddech wiązał mu w płucach. Pochyliwszy się w udreće niepokoju, o mało nie upadł. Ostatnie sto jardów przeszedł krokiem prawie wolnym.

Zbliżał się teraz do domku. Drzwi były otwarte. Zawołał Nicka po imieniu. Nie było odpowiedzi. Zatrzymał się tuż przed drzwiami. W drzwiach coś leżało. Spojrzał uważniej i zobaczył, że jest to wyciągnięta ręka. Przekroczył próg.

Nick się zastrzelił. Strzałem sztucera w głowę. Dla większej pewności włożył lufę do ust. Zamiar bez wątpienia mu się udał. Michał odwrócił twarz i wyszedł przed dom. Murphy, który stał nad ciałem, wyszedł za nim skomląc.

James i Marek biegli aleją. Michał zawołał do nich:

– Nick się zastrzelił.

Marek natychmiast znieruchomiał, usiadł na trawie na brzegu alei, James szedł dalej. Zajrzał do domu i zaraz się cofnął.

– Idź i zatelefonuj na policję – powiedział Michał. – Ja tu zostanę.

James zawrócił w stronę jeziora, Marek wstał i poszedł za nim.

Michał zaczął już wchodzić do środka, ale zabrakło mu odwagi. Stał chwilę patrząc na rękę Nicka. Dobrze znał tę rękę. Cofnął się i usiadł na trawie oparty plecami o nagrzaną ścianę domu. Uważał, że zemsta Nicka nie mogła być doskonalsza. Nie miał racji. Dopiero teraz była doskonała. Gorące łzy zaczęły mu się zbierać pod powiekami, usta zadrżały, otworzyły się.

Murphy stał obok dygocąc i skamląc, wpatrzony w jego twarz. Podszedł bliżej i Michał pogłaskał go delikatnie; krajobraz zniknął mu sprzed oczu.

ROZDZIAŁ XXVI

Upłynęły ponad cztery tygodnie i w Imber nie było już nikogo prócz Michała i Dory. Zbliżał się koniec października. Ogromne płachty wielobarwnych chmur przeciągały bezustannie po niebie i słońce buchało od czasu do czasu na zbitą gęstwinę żółtych i miedzianych drzew. Dni były chłodniejsze i zaczynały się zwykle mgłą, a nad powierzchnią jeziora wisiały bezustannie opary.

James i przeorysza działali szybko. Zapadła decyzja rozwiązania bractwa. James wrócił na londyński East End. Straffordowie postanowili połączyć swój los ze społecznością rękodzielników związaną z pewnym klasztorem w hrabstwie Cumberland. Piotr Topglass uległ namowom i błaganiom Michała i przyłączył się do ekspedycji przyrodników, która wyruszała właśnie na wyspy Faroe. Patchway wrócił lakonicznie do pracy w pobliskim majątku. Michał został, żeby zlikwidować gospodarstwo ogrodnicze, a Dora została z Michałem.

Margaret Strafford przebywała nadal w Londynie z Katarzyną. Katarzyna przechodziła kurację insulinową i była dotąd na środkach uspokajających. Nie powiedziano jej jeszcze o śmierci brata. Margaret Strafford pisała, że chwilowo odwiedziny nie miałyby sensu. Zawiadomi Michała, kiedy nastąpi jakaś poprawa i gdy jego wizyta okaże się pożądana. Tymczasem kuracja Katarzyny dawała takie rezultaty, jakich można było oczekiwać. Lekarze brali nawet pod uwagę możliwość zupełnego powrotu do zdrowia. Przytyła od insuliny.

Dora sprawiała przez jakiś czas takie wrażenie, jakby miała lada chwila wyjechać, a potem oświadczyła z godnością i stanowczością, które były u niej czymś nowym, że zostanie dopóty, dopóki będzie mogła się na coś przydać. Me przejmowała się chyba znaczną, acz malejącą, ilością rozmów międzymiastowych. Początkowo wszyscy byli zbyt zdenerwowani i zajęci, żeby podsunąć jej myśl o wyjeździe; później Dora stała się niezastąpiona. Była wciąż na usługi, załatwiała na rowerze sprawy w miasteczku, w sposób nie narzucający się zmywała, porządkowała, sprzątała dom. Z czasem, kiedy inni stopniowo się rozjechali, pracowała jeszcze więcej. Gdy zostali sami z Michałem, Dora gotowała, robiła zakupy i wykonywała pracę pełnoetatowej sekretarki. Okazało się, że zupełnie nieźle pisze na maszynie, i w końcu prowadziła całą bieżącą korespondencję, posługując się przy układaniu listów rozmaitymi zwrotami podyktowanymi jej przez Michała.

Od blisko dwóch tygodni byli sami. Piotr wyjechał ostatni; i nawet jego wyjazd sprawił Michałowi ulgę. A jeśli idzie o tamtych, stosunki z nimi stały się w nieodwołalny sposób bolesne i pełne przymusu. Marek niezdarnie okazywał mu serdeczność, nie mógł jednak powstrzymać się od ciekawości i protekcjonalnego tonu. Natomiast James wodził za nim spojrzeniem wyrażającym taki smutek i takie współczucie, że Michał był rad, już choćby przez wzgląd na niego, kiedy wyjechał do Londynu. Chociaż ani James, ani Marek nie znali szczegółów historii Michała, ich wyobraźnia zaczęła działać, a on w dniach po śmierci Nicka nie potrafił ukryć przed nimi gwałtownych napadów rozpacz. Rzucane mu dziwne spojrzenia dowodziły, że wyciągnęli własne wnioski, zanim więc wyjechali, ich obecność w Imber stała się dla Michała torturą. Natomiast obecność Dory zupełnie mu nie przeszkadzała. Dora była pomocna, nic nie wiedziała, niczego się nie domyślała i nie wydawała sądów.

Podjąwszy decyzję, że zostanie, Dora zaczęła z energią kreować swoją rolę; ale nawet wtedy zdarzały się drobne eskapady. Początek października przyniósł kilka upalnych dni i Dora oznajmiła, że zamierza wziąć się do nauki pływania. Zanim ktokolwiek zdążył ją przestrzec, żeby

tego nie robiła, ponieważ nikt nie ma czasu jej doglądać, właściwie już pływała. Okazało się, że jest urodzoną pływaczką, nieustraszoną i doskonale utrzymującą się na wodzie. Piotr, a później Michał chodzili czasem sprawdzać jej postępy i udzielali wskazówek, zanim więc skończyły się ciepłe dni, Dora zupełnie biegle opanowała sztukę pływania.

Po wyjeździe Margaret Marek Strafford zajmował się gotowaniem, ale Dora wkrótce wyparła go z kuchni i gorliwością nadrabiała wszelkie niedostatki talentu. Jej wysiłki zostały należycie ocenione, a ona najwyraźniej lubiła tę pracę. Ale okres niezmaconego szczęścia nadszedł dla Dory po wyjeździe tamtych, kiedy zaczęła sprawować w Imber władzę nieograniczoną. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności, jak bezradność Michała w sprawach domowych; powiedziała mu, że to szalona radość gotować dla mężczyzny, który nie uważa, że gotuje lepiej od niej. Utrzymywała dom we względnej czystości, kancelarię we wzorowym porządku i wyszukiwała w ogrodzie, w zapomnianych i nieuprawianych zakątkach, jesienne zdziczałe kwiaty, a potem rozstawiała w hallu i pokoju rekreacyjnym ogromne bukiety wilgotnych od rosy marcinków i wonnych chryzantem, które przywodziły Michałowi na pamięć wspomnienie dzieciństwa i wakacji spędzanych w Imber.

Stopniowo dom pustoszał. Gospodarstwo ogrodnicze zostało sprzedane na pniu farmerowi z sąsiedztwa, który natychmiast zebrał i wywiózł większą część plonów. Po trochu znikwały meble, część wróciła wozem meblowym do osób, które je wypożyczyły, część odjechała do Opactwa na wózku ręcznym pchanym energicznie przez siostrę Urszulę. Robotnicy zreperowali groblę. Wydobyto z jeziora za pomocą dźwigu nowy dzwon i bezceremonialnie wyprawiono go za mur Opactwa. Zawieszony w starej wieży oznajmił swoją obecność czystym głosem, który przyplłynął do Michała i Dory, gdy siedzieli kiedyś rano przy śniadaniu.

Dziwaczny, jakby senny spokój spłynął na Imber. Dni prawie się od siebie nie różniły. Posiłki były podawane o najróżniejszych porach i trwały niekiedy bardzo długo. Kiedy świeciło słońce, Michał i Dora otwierali drzwi i ciężki stół wyjeżdżał na żwir tarasu. Poranki były mgliste, popołudnia wilgotne i łagodne. W ogrodzie pociętym czarnymi bruzdami przeoranej ziemi panowała przytłaczająca cisza. Noce były zimne, niebo czyste i lodowate od zapowiedzi przymrozków. Sowy pohukiwały teraz bliżej domu. Gajówki odleciały. A wracający wieczorem z kaplicy Michał widział na balkonie rozjarzone światło i słyszał ponad wodą muzykę Mozarta; to Dora, z nagle objawionym i nowym entuzjazmem dla muzyki klasycznej, puszczała płyty.

W tym okresie nawiązała się między Michałem i Dorą dziwaczna więź, coś bliżej nie określonego i melancholijnego, w czym Michał znajdował pewną słodycz, pewien spokój. Było to chyba możliwe tylko dlatego, że oboje wiedzieli, jak mało mają czasu. Pośród tylu innych tematów do rozmyślań Michał znalazł chwilę na zastanowienie się nad przyszłością Dory; odczekał trochę i po jakimś czasie poruszył z nią tę kwestię i spytał, czy nie powinna wrócić do Londynu.

Zagadnięta Dora okazała aż nadmierną gotowość do przedyskutowania z nim całej sprawy, wobec czego dyskutowali. Doszła do wniosku, wyjaśniła mu, że jej powrót do Pawła nie miałby sensu, w każdym razie teraz nie miałby sensu. Znowu by uciekła. Paweł będzie ją terroryzował, a ona będzie się wahała między uległością wynikającą ze strachu i buntem podyktowanym przez gniew. Mówiła otwarcie, że to ona głównie ponosi winę i że nie powinna była wychodzić za Pawła. W tym stanie rzeczy uważała, że nie potrafi żyć z Pawłem dopóty, dopóki nie będzie mogła rozmawiać z nim jak równa z równym; nie miała też ochoty polepszać sytuacji przyjmując na siebie pochoptnie i w obecnym stanie ducha rolę matki jego dzieci. Silnie odczuwała potrzebę, a teraz i zdolność, żeby żyć i pracować samodzielnie i stać się tym, czym nigdy nie była, niezależną dorosłą osobą. Przedstawiała Michałowi te swoje poglądy z niepokojem i jakby przepraszająco; najwyraźniej spodziewała się, że jej poradzi, by wróciła do męża.

Starając się skupić myśli na sprawie Dory, Michał nie był bynajmniej skłonny przypominać jej w sposób karcący o obowiązkach żony. Rozumiał doskonale, że jego obecne poglądy są może heretyckie, jego widzenie zniekształcone, a zdolność sądzenia nadwerężona. Ale przemyślał wszystko od nowa i obraz wydawał się nie zmieniony. Kiedy Dora powiedziała mu głosem drżącym ze wzruszenia, że „każdy kontakt z Pawłem jest jak pocałunek śmierci”, Michał ujrzał z posępną jasnością, co oznaczałoby jej powrót. Paweł zasługiwał na współczucie, ale był człowiekiem gwałtownym i despotycznym, i chociaż to prawda, że Dora nie powinna była za niego wychodzić, prawdą było również, że on nie powinien się być żenić z Dorą. Michał ograniczył się do przypomnienia Dorze, że w pewnym sensie nadal kocha Pawła i że jej małżeństwo z nim jest faktem bardzo ważnym. Bardzo też ważne było, że Paweł ją kocha i że jest mu potrzebna. Jakiegokolwiek robi plany na najbliższą przyszłość, nie wolno jej wyzbywać się nadziei, że może kiedyś wróci do Pawła, jeżeli będzie tego nadal pragnął. Uciekanie nic jej nie da, jeśli nie potrafi stworzyć sobie życia godnego i niezależnego; tylko wtedy zdobędzie siłę, która pozwoli jej żyć z Pawłem na równej stopie, pozwoli jej nie odczuwać przed nim strachu.

O tym, jakie mogłoby być to życie, rozmawiali w sposób jak najbardziej rzeczowy. Dora opowiedziała Michałowi na pół z rozbawieniem o swoim mistycznym przeżyciu w Galerii Narodowej. Michał podsunął jej myśl, żeby wróciła do malarstwa; a Dora zgodziła się z nim, dowodząc jednocześnie, co Michał i tak podejrzewał, że ma bardzo mierny talent. Może znajdzie posadę nauczycielki, co pozostawiłoby jej dość czasu na uczęszczanie do jakiejś szkoły artystycznej? Może uda się jej odzyskać stypendium, z którego zrezygnowała wychodząc za Pawła. Wyłonił się też problem, gdzie i jak powinna żyć. Michał poradził, żeby wyjechała z Londynu. Dora początkowo twierdziła, że życie poza Londynem jest niemożliwe, później jednak zrozumiała zalety tego pomysłu, który wydał jej się nawet dość interesujący. Kiedy rozmowy osiągnęły ten etap, nadszedł opatrnościowy list od przyjaciółki Dory, Sally, z wiadomością, że Sally dostała dobrą posadę nauczycielki w Bath, że zdobyła całkiem przyzwoite mieszkanie, więc czy może Dora wie o kimś w Bath, kto pomógłby jej znaleźć odpowiednią współlokatorkę. Stało się natychmiast oczywiste, że Dora musi pojechać do Bath, i Michał poprowadził za nią korespondencyjne starania o stypendium na dokończenie studiów plastycznych w tym mieście. Otrzymała zawiadomienie o przyznaniu bardzo niewielkiej sumki oraz propozycję nauczania w szkole podstawowej. Dorze bardzo to odpowiadało, przeprowadziła więc na zakończenie kilka ekstatycznych rozmów zamiejscowych z Sally.

Zastanawiając się nad tym później Michał był zdumiony sprawnością, z jaką pomógł Dorze zorganizować jej nieszablonową przyszłość, zważywszy, że w gruncie rzeczy tak mało myśli poświęcał tej sprawie. Może całkowite oderwanie od Dory i dziwaczne poczucie wolności wywołane jego obecnym stanem ducha pozwoliły mu działać w sytuacji, w której normalnie wahałby się lub postąpił inaczej. Zadawał sobie pytanie, czy jego rada była słuszna. Może nawet czas tego nie pokaże. Ale miał wrażenie, że poznał już trochę Dorę. Mówiła dużo o sobie i Michał dostrzegał w przytaczanych bez goryczy opowieściach o pozbawionym miłości dzieciństwie pewną zapowiedź tego, czym teraz była. Nikt nie nauczył jej choć trochę cenić samą siebie; nadal uważała się za przybłędę, osobę towarzysko nie do przyjęcia, a to, co stanowiło o jej bezpretensjonalności, czyniło ją zarazem nieodpowiedzialną i niesolidną. Paweł, ze swoimi bezwzględными wymaganiami i unicestwiającymi napadami pogardy i gniewu, był najmnij odpowiednim partnerem, jakiego mogła wybrać. Dora jeszcze nie całkiem straciła nadzieję na powrót do Pawła i Michał życzył jej tego, chociaż doskonale rozumiał, że James miał rację nazywając ją dziwką i że jej kariera przestępczyni bynajmniej się nie skończyła.

Dora sama zaproponowała, że porozmawia teraz z matką Klarą. Widziała się z nią trzy razy i była chyba zadowolona z tych spotkań, chociaż powściągliwie nie wspominała o poruszanych

tematach. Mówiły naturalnie o wspólnej przygodzie na jeziorze, od czasu której nieustraszona ziemnowodna zakonnica zyskała w oczach Dory wielkie uznanie; ale rozmawiały też, jak się Michał domyślał, o przyszłości Dory. Z radością wyciągał stąd wniosek, że Opactwo nie zamierza pokrzyżować jego własnych planów dotyczących przyszłości Dory i nie każe jej natychmiast wrócić do męża. Uważał też, że w przypadku Dory niewiele by dało wpychanie jej siłą w tryby maszyny grzechu i skruchy, tak obcej jej naturze. Może Dora okaże skruczę na swój własny sposób; może na swój własny sposób zostanie zbawiona.

W jakiś czas po tym, jak zostali w Imber sami, Michał zaczął się domyślać, że Dora jest w nim trochę zakochana. Nasunęło mu tę myśl coś w jej spojrzeniach, jej pytania, sposób, w jaki mu usługiwała. Michał był wzruszony, odrobinę zirytowany, ale ani go to nie przestraszyło, ani nie wzbudziło w nim odrazy. Czuł dla niej wdzięczność, ponieważ wiedział, że jest osobą, której nie może wyrządzić krzywdy. W jej miłości była uległość i beznadziejność, rzeczy chyba dla niej nowe. Michał obserwował Dorę niemal z czułością i nie robił nic, żeby zmniejszyć dzielący ich dystans. Słuchał, gdy mówiła o sobie, i spokojnie udaremniał wszelkie jej próby skłonienia go do zwierzeń. W jej ufnym, naiwnym umyśle nie powstał naturalnie nawet cień podejrzenia co do jego homoseksualizmu; a chociaż Michał przypuszczał, że Dora jest jedną z tych kobiet, które mają dla homoseksualistów nie pozbawione ciekawości współczucie, nie zamierzał jej wtajemniczać. Jak się później zorientował, Dora wyobrażała sobie, że jest zakochany w Katarzynie. To było bardziej denerwujące. Michała drażniły i wytrącały z równowagi jej bezustanne podchwytliwe wzmianki o Katarzynie, jej przypuszczenie, że on wzdycha do chwili, gdy Katarzyna wezwie go do siebie. Ale znowu uznał, że lepiej nie rozwiewać tego jej złudzenia. I tak żyli obok siebie. Michał wiedział, że Dora trochę przez niego cierpi, uważał jednak, że jest to dla niej z pewnością nieszkodliwa nowość.

Mimo to wszystko, a może częściowo dlatego, Dora wspaniale w tym okresie rozkwitła. Michał zauważył to zwłaszcza później, kiedy mieli trochę mniej roboty w kancelarii i spotykał ją często w pobliżu jeziora, ze starym pulpitem na nuty z Długiej Sali zamiast sztalug, gdy malowała akwarelę szkice Imber Court, których do wyjazdu musiała wyprodukować najmniej trzy albo cztery tuziny. Zrobiło się chłodniej, ale chociaż dni były pochmurne, często świeciło słońce. Na obrazkach Dory ukazywało się poza srebrzystym frontem pałacu niebo szaroniebieskie w cętki, cytrynowożółte prążkowane, groźnie fioletowe i przejrzyste zielone. W jak cudowny sposób Dora przeżyła, mówił sobie Michał. Pasła się jak żarłok na katastrofach, w Imber, a one zwiększały jej substancję. Dzięki tym wszystkim straszliwym historiom było jej więcej. Michał przyglądał się z trochę pogardliwą zazdrością tej prostej, silnej naturze, dopóki nie przypomniał sobie ostatniego poranka, kiedy miał odwiedzić Nicka – dopóki nie przypomniał sobie, jak on sam rozkwitał pod wpływem nieszczęścia aż do chwili, gdy zadano mu śmiertelną ranę.

Któregoś dnia przyszedł list od Toby'ego. Zainstalował się już na dobre w Oksfordzie. Michał przeczytał list z ulgą. W niezręcznych słowach Toby tłumaczył się ze swojego pośpiesznego wyjazdu i swoich nierozważnych postępów i wyraził nadzieję, że nie spowodowały one jakichś poważniejszych przykrości. Napisał, że dziękuje Michałowi za jego dobroć, że pobyt w Imber dużo dla niego znaczył, że z żalem dowiedział się z gazet o rozwiązaniu bractwa, ale ma nadzieję, że znajdą inne równie dobre miejsce. Ale przede wszystkim z listu wynikało coś, co rozproszyło obawy Michała, a mianowicie, że dla Toby'ego cała sprawa jest ostatecznie zamknięta. Nie było ani śladu udręczonej winy, niespokojnych zadumań, prób odgadnięcia nastroju Michała. Na szczęście pełna wymowa zdarzeń, które rozegrały się w Imber, nie dotarła do świadomości Toby'ego, nie zdradzał też obecnie retrospektywnej ciekawości. Żył w nowym i cudownym świecie, Imber stało się legendą. Napisał Michałowi, że ma wspaniały, stary,

wyłożony boazerią pokój w college'u Corpus Christi. Ozdobił ściany zdjęciami średniowiecznego dzwonu, wyciętymi z „Illustrated London News”. Strasznie zaimponował swojemu kierownikowi studiów, kiedy mu opowiedział, jak znalazł i wydobyl dzwon! Aha, Murphy ma się doskonale, bardzo przywykł do jego rodziców. Już nie tęskni. Prawda, jaki dobry był ten pomysł Piotra, żeby to on zaopiekował się Murphym? Jaka straszna i smutna ta historia z Nickiem, dotąd w to nie może uwierzyć. Jeżeli Michał będzie kiedyś w Oksfordzie, musi wpaść do niego na kieliszek sherry. Michał uśmiechał się czytając list i był bardzo rad. Może odwiedzi kiedyś Toby'ego, może zrobi mu tę przyjemność – by mógł potraktować go z góry i powiedzieć potem swoim przyjaciółom, że to właśnie był ten dziwny gość, o którym im opowiadał – ten, który dobierał się do niego w tej miejscowości, gdzie znalazł na dnie jeziora dzwon.

Wszystkie te myśli o Dorze i Tobym przemykały się tylko po powierzchni świadomości Michała. Głębiej, bezustannie, pochłaniały jego umysł inne sprawy. Ból po śmierci Nicka był bezgraniczny i początkowo Michałowi zdawało się, że nie przeżyje. W ciągu pierwszych dni pocieszała go tylko myśl, że przecież może się zabić. Takie cierpienie nie powinno trwać. Mógł się zajmować sprawami tylko związanymi z Nickiem, mógł mówić, jeśli w ogóle mówił, tylko o Nicku. Przeszukiwał domek dozorczy kilkakrotnie, szukał listu, dziennika – czegoś, co mógłby uznać za przeznaczoną dla siebie wiadomość. Nie mógł uwierzyć, że Nick odszedł bez słowa. Ale nic nie znalazł. Na kominku były zwęglone papiery, może pozostałość po ofercie całopalnej korespondencji Nicka, tak jednak dokładnie strawione przez ogień, że nie do odczytania. Dom nie zdradził Michałowi niczego, gdy z rozpaczą w sercu i oślepiiony łzami, napływającymi mu teraz do oczu bez ostrzeżenia, przetrząsał szuflady i walizki Nicka, kieszenie jego ubrań.

W tym okresie jego miłość do Nicka rozrastała się w sposób niemal demoniczny do wprost nieprawdopodobnych rozmiarów. Chwilami ta miłość wydawała się Michałowi ogromnym, wyrastającym z niego drzewem, miał dziwaczne sny o rakowatych naroślach. Obraz Nicka nie schodził mu sprzed oczu, widział go często jako chłopca, widział go na korcie tenisowym – ruchliwego, szybkiego, silnego, świadomego spojrzeń Michała. I czasem zdawało mu się, że Nick umarł we wczesnej młodości. Wraz z tymi widziadłami przyszła udręka pożądania fizycznego, a później tęsknota – tak wszystko wypełniająca, że zdawała się pochodzić ze wszystkich warstw jego świadomości – by trzymać znów Nicka w objęciach.

Michał kilkakrotnie rozmawiał z przeoryszą. Teraz, kiedy było za późno, powiedział jej wszystko. Ale chwilowo nic nie mogła dla niego uczynić i oboje o tym wiedzieli. Michał czuł się odpowiedzialny za śmierć Nicka, tak odpowiedzialny, jak gdyby go rozmyślnie przejechał ciężarówką. Przeorysza nawet nie próbowała zdjąć z niego tej odpowiedzialności; ani nie mogła mu pomóc ją dźwigać. Odchodził od niej zmiażdżony bólem żalu i skruchy, i szarpiącej serce miłości, która nie miała już jak się wypowiedzieć. Przypomnił sobie teraz, kiedy było za późno, słowa przeoryszy o drodze, która zawsze prowadzi naprzód. Nick potrzebował miłości i Michał powinien był mu ją dać taką, jaką miał do ofiarowania, nie lękając się, że jest niedoskonała. Gdyby miał więcej wiary, zrobiliby to bez zastanawiania się nad ułomnościami własnymi czy Nicka. Michał przypomniał sobie też, że z Tobym postępował śmielej i prawdopodobnie postąpił źle. A jednak żadna poważniejsza krzywda nie spotkała Toby'ego; poza tym nie kochał tak Toby'ego, jak kochał Nicka, nie był za Toby'ego tak odpowiedzialny, jak był za Nicka. Tak wielka miłość musiała zawierać jakieś ziarno dobra, coś, co przynajmniej mogło przywiązać Nicka do tego świata, dać mu promień nadziei. Z rozpaczą Michał zmuszał pamięć do wynajdywania tych wszystkich okoliczności, gdy Nick, od chwili przyjazdu do Imber, zwracał się do niego o pomoc, której on mu za każdym razem odmawiał. Michał kłopotał się tylko o to, żeby nie ubrudzić sobie rąk, żeby nie ryzykować przyszłością, kiedy powinien był otworzyć serce; kiedy powinien był impulsywnie i z przejęciem, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, rozbić

alabastrowy dzban bardzo kosztownej maści.

Czas płynął i Michał starał się też myśleć o Katarzynie, biednej Katarzynie leżącej w narkotycznym śnie, i o czekającym ją strasznym przebudzeniu. Miał dla Katarzyny wiele litości, ale nie mógł oczyścić serca z uczucia odrazy, które myśl o niej nadal w nim budziła. Bał się listu, który wezwie go do niej. Może od początku jej istnienie wydawało mu się czymś skandalicznym. Może była w nim zazdrość już wtedy, kiedy Nick po raz pierwszy mu o niej powiedział. Usiłował sobie przypomnieć. Nagle, pod naporem gwałtownych myśli, zapragnął, żeby Katarzyna umarła zamiast Nicka, i w dziwny sposób zaczął sobie wyobrażać, że to ona zgubiła brata. A jednak współczuł jej i wiedział z jakimś chłodnym smutkiem, że do końca życia będzie się nią zajmował i będzie odpowiedzialny za jej pomyślność. Nick odszedł; a Katarzyna została, żeby jego cierpienie było tym dotkliwsze.

Minęła pierwsza udreka i on żył nadal i myślał. Chociaż najpierw bał się, że będzie cierpiał za dużo, teraz bał się, że cierpi za mało albo nie tak, jak powinien. Nieodparta magnetyczna siła przyciąga serce ludzkie do pociechy; i w końcu nawet smutek staje się pociechą. Michał powtarzał sobie, że nie chce przeżyć, nie chce karmić się śmiercią Nicka. On też chciał umrzeć. Ale śmierć nie jest łatwa, a życie czasem zwycięża udając śmierć. Gorączkowo szukał jakiegoś sposobu myślenia o tym, co się zdarzyło, aż w końcu nie znajdował już ucieczki, nie znajdował ulgi. Nie chciał ani na moment zapomnieć o tym, co się zdarzyło. Mobilizował do myślenia całą swoją inteligencję. Wspominał dusze u Dantego, które rozmyślnie pozostawały w oczyszczającym ogniu. Skrucha: myśleć o grzechu nie przetwarzając tej myśli w pociechę.

Długi czas po śmierci Nicka nie mógł się modlić. Było tak, jakby jego wiara w Boga została za jednym zamachem zdruzgotana albo jakby sobie nagle uświadomił, że nigdy nie wierzył. Dał się pochłonać myślom o Nicku tak bez reszty, tak rozpaczliwie, że nawet myśl o Bogu wydawała się natręctwem, absurdem. Stopniowo zyskał większy dystans, ale nie miało sensu odnawiać wiary. Myślał o religii jako o czymś odległym, czymś, czego nigdy nie zdołał naprawdę przeniknąć. Pamiętał mgliście, że doznawał wzruszeń, uniesień, że miewał nadzieję. Ale prawdziwa wiara w Boga była temu wszystkiemu najzupełniej obca. Zrozumiał to w końcu i z niemal chłodnym spokojem uświadomił sobie tę obcość. Prawidłowość, jaką niegdyś dostrzegał w swoim życiu, istniała tylko w jego romantycznej wyobraźni. Na poziomie człowieka nie było prawidłowości. „Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak górują drogi moje nad waszymi drogami i myśli moje nad myślami waszymi.” I odczuwając z goryczą posępność tych słów oznajmił sobie: Bóg istnieje, ale ja w niego nie wierzę.

Po jakimś czasie spłynęło na niego coś w rodzaju spokoju, jak na ściżone zwierzę, które kuli się długo w kryjówece, póki nie ukołysze go cisza. Milczące dni upływały jak we śnie. Po pracy siedział z Dorą w refektarzu i wypijał niezliczone ilości herbaty, podczas gdy płatki wędnących róż spadały na stół rozsiewając słodki, znużony zapach ziół, a oni mówili o przyszłości Dory. Patrzył na Dorę obracającą się do życia i szczęścia, jak silna roślina obraca się do słońca, wchłaniając wszystko, co leżało na jej drodze. I cały czas myślał o Nicku, aż w końcu było tak, jak gdyby mówił wciąż do niego w myślach, jak gdyby zwracał się do niego z niemilkącą, błagalną, bezsłowną przemową niczym modlitwa.

Powoli zaczęła mu wracać świadomość własnej osobowości. Miażdżące poczucie całkowitej winy ustąpiło miejsca bardziej refleksyjnej, wnikliwej pamięci. Doprawdy, niewiele teraz z niego zostało. Mógł być się nie obawiać, że urośnie, rozkwitnie na nieszczęściu. Był pomniejszony. Rozmyślanie, które usprawiedliwia, które fabrykuje nadzieje, nic nie mogło dla niego uczynić. Zastanawiał się bez przejęcia nad tym, czym jest: jego ogólne pretensje do natury, jego szczególna nieumiejętność dokonywania wyboru. Kiedyś niewątpliwie wszystko to wyda mu się znowu pełne głębokiego znaczenia i znowu będzie próbował dociec prawdy. Kiedyś też spotka

się znowu – i odpowie na nie całym sercem – z owym w nieskończoność sięgającym żądaniem, z jakim jeden człowiek zwraca się do drugiego. Wiedział o tym teoretycznie i zastanawiał się, czy postąpi wtedy lepiej. Ale nie miało to większego znaczenia. Nic nie naprawi przeszłości.

Nie było w nim dojmującej świadomości własnych potrzeb, która skłoniłaby go do błagalnych modłów. Rozglądał się dokoła ze spokojem człowieka zniszczonego. Ale jedno zostało mu z dawnego życia: msza. Minęły pierwsze tygodnie i on znowu szedł groblą, szedł wczesnym rankiem przez białą mgłę, ostrożnie stawiając stopy na ceglach, które zdawały się promieniować światłem ukrytego słońca, szedł na wezwanie dzwonu. Msza pozostała – nie pocieszająca, nie podnosząca na duchu, ale bardzo istotna. Nie dawała mu zapewnienia, że wszystko stanie się dobre, co nie jest dobre. Po prostu istniała jak czysta rzeczywistość, poza kanwą jego myśli. Uczestniczył w niej niemal jako widz i ze zdziwieniem wspominał ów czas, gdy sądził, że któregoś dnia będzie sam odprawiał mszę; i gdy mu się zdawało, że umrze wtedy ze szczęścia. Ten dzień nigdy nie nadejdzie, a te wzruszenia przebrzmiały, umarły. Ale ktokolwiek ją odprawiał, msza istniała, a on istniał obok. Nie wykonywał teraz żadnego gestu, nie wyciągał ręki. Ktoś będzie musiał go odnaleźć i przyprowadzić, inaczej nie ma dla niego ratunku. Może w ogóle nie ma dla niego ratunku. Myślał o tych, przeciwko którym zgrzeszył, i gromadził ich wokół siebie w tym może pozbawionym końca, a może pozbawionym sensu uczestnictwie. I niejako w sąsiedztwie całkowitej niewiary słyszał egotyczny, bezradny krzyk *Dies irae*:

*Quaerens me, sedisti lassus;
Redemisti, Crucem passus;
Tantus labor non sit cassus.*

* * *

Wysiedli z taksówki. Michał zapłacił taksówkarzowi za kurs powrotny i kazał mu zaczekać i odwieźć później Dorę do Imber. Weszli na stację.

Wczoraj rano przyszedł list, na który Michał czekał. Pani Markowa zawiadomiła go, że Katarzyna czuje się znacznie lepiej. Wydawała się właściwie zupełnie normalna, chociaż w tym stadium nie można było mieć pewności. Naturalnie znajdzie ją bardzo zmienioną. Nie pytała jeszcze o brata; chyba będzie lepiej, jeśli to Michał zawiadomi ją o śmierci Nicka. Z tych względów jego przyjazd do Londynu jest pilnie pożądany.

Michał nagle zapragnął jak najprędzej wyjechać. Skończył już swoją pracę w Imber. Nic go tu nie zatrzymywało.

Spędził dzień na pakowaniu i załatwianiu spraw przez telefon i przygotowywał się do wyjazdu nazajutrz wczesnym rano. Dora miała późniejszy pociąg, z jedną tylko przesiadką do Bath. Zawiadomiła Sally telefonicznie, żeby ją oczekiwała późnym wieczorem na dworcu.

Dora, obserwująca z niepokojem nadejście każdego nowego listu od pani Markowej, poznała z przejętej miny Michała, że jest to ten list. Czekala ze smutkiem, ale w poczuciu nieuchronności, na koniec czasu spędzonego z Michałem. Kochała go ze spokojną, niewymagającą beznadziejnością. Po takim ogromie cierpienia i po tylu wstrząsach sama jego niedostępność była pocieszająca. A Dora nie mogła wzbudzić w sobie zazdrości o istotę tak niezwykłą i tak nieszczęśliwą jak Katarzyna.

Nie żałowała swojej decyzji, że nie wróci do Pawła. Z bezgraniczną ulgą i uczuciem, że spada jej z piersi ogromny ciężar, przyjęła pomoc Michała. Wysłała do Pawła kilka długich wyjaśniających listów. Paweł odpowiadał jej gniewnymi tyradami, depeszami, z których każda zawierała ultimatum, i telefonami, które za każdym razem kończyły się nagle, gdy jedno albo

drugie rzuciło słuchawkę na widełki. Może z uwagi na obecność Michała Paweł oszczędził Dorze swojego przyjazdu do Imber. Wyłuszczył jej, w sposób jaśniejszy niż kiedykolwiek dotąd, swoją filozofię. Albo albo. Należy do kobiet, które są stworzone, żeby oscylować między dręczeniem a uleganiem. Ma już dość jej dręczenia. Najwyższy czas, żeby uległa. W gruncie rzeczy tego właśnie pragnie, przekona się zresztą, że w uległości znajdzie prawdziwe szczęście. Niezależność jest chimera. Skończy się na tym, że zostanie uwikłana w nowy romans. I czy to w porządku, że zadaje mu nieustannie, a raczej zadaje im obojgu, te bezsensowne cierpienia – ponieważ wie, że on będzie czekał na nią w nieskończoność? On wie doskonale, że kiedy wbije sobie do głowy nowy kaprys, jest zimna i bezwzględna, apeluje jednak do jej zdrowego rozsądku i do tych resztek pamięci o tym, jak bardzo go kochała. Aha, czy może mu odesłać te dwa listy, które jej zostawił?

Dora była wzruszona, ale bynajmniej nie wstrząśnięta. Rozmyślała długo nad listami Pawła i wreszcie odpisała usiłując niezdarnie udowodnić mu swoje racje. Odpowiedziała też w końcu Noelowi. Noel przeprosił Dorę za przykrość, jaką jej sprawił swoim przyjazdem do Imber. Rozumie już teraz, że było to nierozważne. Jest mu przykro, jeśli jej jest przykro, że prasa tak ośmieszyła Imber. Ale cóż, fakty mówią za siebie. Jego własny reportaż był dość umiarkowany. Było mu też przykro, z tym samym zastrzeżeniem, kiedy usłyszał, że Imber zwija manatki. Ale jednocześnie uważa tę wiadomość za radosną, bo wynika z niej, że Dora przyjedzie niedługo do Londynu – więc kiedy, ach kiedy się zobaczą? Jest mu winna wspólny obiad. Kiedy mówił, że mu jej brak, mówił to poważnie. W tej chwili też mu jej brak.

Dora napisała, że nie przyjedzie do Londynu. Zobaczy się z nim później. Chwilowo chce być sama. Zatekniła nagle za beztronską jego obecności; ale nie odczuwała już gorączkowej potrzeby, żeby uciec w jego świat. Usiłowała oderwać myśli od Pawła, od Noela, nawet od Michała. Nie było to łatwe. Spakowała się i pozbierała obrazy namalowane w ostatnich kilku tygodniach. Położyła się do łóżka bardzo zmęczona. Zobaczyła w wyobraźni, jak widziała co wieczór, Pawła siedzącego w pięknym pokoju na Knightsbridge, przy białym telefonie, pragnącego jej powrotu. Ale ostatnią myślą Dory była myśl o Michale – że jutro się z nim rozstanie, a kiedy go znów zobaczy, będzie już może mężem Katarzyny. Zasnęła wśród płaczu, były to jednak łzy spokojne i niosące ulgę.

Poranek jak zwykle był mglisty. Przeszli przez peron i usiedli na ławce. Mgła po drugiej stronie szyn falowała leniwie i pola za torami były niewidoczne. Powietrze przenikało zimnem i wilgocią.

– Czy masz palto zimowe? – spytał Michał.

– Nie. Właściwie mam, ale w mieszkaniu na Knightsbridge – odparła Dora. – To nieważne. Nigdy mi nie jest zimno.

– Powinnaś kupić sobie palto. Nie możesz chodzić całą zimę w tym płaszczu. Proszę cię, Dora, zgódź się, żebym ci pożyczył trochę pieniędzy. Mam dość.

– Wykluczone! – zaprotestowała Dora. – Mam teraz oprócz stypendium tę pracę w szkole i to mi na wszystko doskonale starczy. Och, Boże, szkoda, że musisz jechać! Ale mgła jest taka, że twój pociąg na pewno się spóźni.

– Wolałbym, żeby się za bardzo nie spóźniał. Margaret będzie czekała na mnie na Paddington.

– Michał westchnął ciężko.

Dora też westchnęła.

– Na pewno zapakowałeś moje obrazki? – Dała mu trzy swoje szkice z Imber.

– Są na samym dnie kufra – odparł Michał. – Naprawdę mi się podobają. Oprawię je w Londynie.

– Nie są tego warte – powiedziała Dora. – Ale strasznie się cieszę, że ci się podobają. Ja

naprawdę nie umiem malować.

Michał nie zaprotestował. Siedzieli chwilę w milczeniu, wpatrując się w mgłę i nasłuchując pociągu. Dzień był chmurny i cichy.

– Nie zapomnij wychodząc oddać kluczy siostrze Urszuli – powiedział Michał.

– Co właściwie stanie się teraz z Imber? – spytała Dora. – Do kogo należy? Śmieszne, ale dotąd nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Miałam wrażenie, że należy do nas.

– Och, należy do mnie – wyjaśnił Michał.

– Do ciebie? – zawołała Dora patrząc na niego ze zdumieniem. I w ciągu sekundy jej ruchliwa wyobraźnia zmieniła Imber Court: ogród barwił się kwiatami, Długa Sala była umeblowana i wyłożona dywanem, dom ogrzany, pełen sprzętów, ludzi, prawdziwy dom rodzinny dla Michała i Katarzyny, i ich dzieci. Była to bolesna wizja.

– Imber Court jest starą siedzibą mojej rodziny – powiedział Michał – chociaż nie mieszkamy tutaj już od wielu lat, nie stać nas. było na to. Opactwo bierze ją w wieczystą dzierżawę.

– Opactwo? – zdziwiła się Dora. Westchnęła cicho, z ulgą. – A co zakonnice z nim zrobią?

– Będą w nim mieszkały. Od dawna brak im było pomieszczeń.

– To znaczy, że wszystko znajdzie się w obrębie klauzury... dom, jezioro, wszystko?

– Tak, chyba tak.

– Jakie to okropne! – wybuchnęła Dora.

Michał roześmiał się.

– No cóż, role się odwróca – powiedział. – W dawnych czasach Opactwo było osobliwością na terenie otaczającym pałac. Teraz pałac będzie osobliwością na terenie otaczającym Opactwo.

Dora potrząsnęła głową. Po prostu nie rozumiała, jak Michał może zrezygnować z mieszkania w Imber – nawet gdyby dach miał na niego runąć. Przyplłynął do nich przez mgłę daleki łoskot pociągu.

– Och, Boże – powiedziała Dora. – Twój pociąg.

Wstali. Pociąg wtoczył się na stację.

Podróżnych było niewiele i Michał znalazł zaraz pusty przedział. Wniósł walizki, a potem otworzył okno, wychylił się i patrzył w dół na Dorę. Wyglądała tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem.

– No, no – powiedział Michał. – Głowa do góry.

– Wiem, że to strasznie głupie, ale tak mi będzie ciebie brak – wyjąkała Dora. – Napiszesz do mnie, prawda, i przyślesz mi adres?

– Naturalnie, że napiszę – odparł Michał. – Będę w Londynie do stycznia, a od stycznia do lata w Norwich. W każdym razie dam ci znać, gdzie jestem. – Wziął na okres wiosenny i letni tymczasową pracę w szkole średniej.

– Bo ja do ciebie napiszę – oznajmiła Dora. – Mogę napisać?

– Naturalnie – powiedział Michał.

– Nie zapomnij pozdrowić ode mnie Katarzyny. Zobaczysz, że będzie prędko zdrowa.

– Nie zapomnę.

Patrzyli na siebie zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć. Dora była świadoma bliskości jego ręki na krawędzi: okna. Strasznie chciała przykryć ją swoją dłonią, ale tego nie zrobiła. Czy odważy się go pocałować, kiedy pociąg ruszy?

– Właściwie nigdy ci nie podziękowałam za Bath – powiedziała. – Nie dałabym sobie bez ciebie rady.

– Naprawdę nie ma za co – zapewnił ją Michał. – Ale jestem zadowolony, że się udało. Pozdrów ode mnie Sally!

– Na pewno pozdrowię! Wiesz, właściwie zaczynam się na to wszystko cieszyć. Nigdy nie

byłam w Zachodnich Hrabstwach. Ciekawa jestem, jak mi tam będzie. Co się tam pije?

Michał wykrzywił twarz.

– Jabłecznik.

– Czy to dobre? – spytała.

– Dobre – odparł Michał – ale bardzo mocne. Na twoim miejscu nie piłbym za dużo.

– Zatelefonuję do Sally, żeby kupiła duży dzbanek – powiedziała Dora – i dziś wieczorem będziemy piły twoje zdrowie jabłecznikiem.

Rozległ się gwizd i pociąg drgnął. Czerwieniąc się gwałtownie Dora stanęła na czubkach palców, łagodnym ruchem przyciągnęła do siebie głowę Michała i pocałowała go w policzek. Wydawał się zdziwiony. A potem pocałował ją w czoło. Pociąg ruszył i w chwilę później Michał zniknął we mgle, wciąż machając do niej ręką.

Dora wyciągnęła chusteczkę i wolnym krokiem wróciła do taksówki. Uroniła kilka łez, czuła słodczy smutku przeszywającego jej serce. W każdym razie z tym pocałunkiem wypadło zupełnie dobrze. Wsiadła do taksówki i powiedziała taksówkarzowi, żeby ją odwiózł tylko do bramy.

Gdy szła aleją wysadzaną drzewami, mgła zaczynała się już rozpraszać i wyrósł przed nią pałac; kolumny i miedziana kopuła były wyraźnie zarysowane i majestatyczne w słońcu, jasna, promieniejąca szarość na tle ciemniejszych, płynących chmur górowała nad nieruchomymi, mglistymi płaszczyznami jeziora. Tylko okna wydawały się Dorze trochę mroczne i puste, jak oczy żywej istoty, która niedługo umrze.

Na przystani zobaczyła, że łódź jest wciąż na tamtym brzegu, niewidoczna we mgle. Ciągnąc linę czuła, jak zbliża się do niej ciężko i leniwie. Wynurzyła się z mgły i uderzyła o pomost. Dora wsiadła i już miała się przeprawić na drugi brzeg. Michał pokazał jej, jak odgarniać wodę jednym wiosłem. Ale nagle uderzyła ją pewna myśl. Na przystani trzymano zawsze zapasowe wiosło. Wzięła je. Wsunęła oba wiosła w dulki i odcepiała cumę, którą łódź była połączona z przeciwległymi brzegami jeziora. Teraz już nikt nie będzie się tędy przeprawiał.

Wsiadła do łódki i poruszała wiosłami. Umiała kiedyś wiosłować. Po kilku nieudanych próbach stwierdziła, że nadal potrafi. Wiosła zanurzyły się i łódź sunęła wolno po wodzie. Uszczęśliwiona Dora odetchnęła swobodnie i siedziała rozkoszując się posuwistym ruchem i ciszą zamglonego jeziora, którą przerywał tylko szmer wody kapiącej z wiosła. Mgła nabrała złotawej barwy. Po chwili rozproszyła się i Dora ujrzała przed sobą pałac i wysokie mury Opactwa, ku którym płynęła łódź. Za pałacem chmury były w bezustannym ruchu, ale w górze niebo oczyściło się i nagle słońce zaczęło ją ogrzewać. Zrzuciła sandały i zanurzyła nogę w wodzie. Głębia pod nią już jej nie przerażała.

Spojrzała na pałac. Nie mogła stłumić uczucia zadowolenia, że Michał nie będzie tu mieszkał z Katarzyną, ani ich dzieci, ani dzieci ich dzieci. Wkrótce posiadłość znajdzie się w obrębie klauzury i nikt jej już nigdy nie zobaczy. To zielone sitowie, ta szklista woda, to nieruchome odbicie kolumny i miedzianej kopuły znikną na zawsze. Właściwie można by powiedzieć – a Dora znajdowała pociechę w tej myśli – że kiedy ona stąd odejdzie, Imber przestanie istnieć. Ale w tej chwili, która była ostatnią chwilą, należało do niej. Przeżyła.

Wyciągnęła nogę z wody i wiosłując powoli płynęła środkiem jeziora. W górze na wieży dzwon zaczął wzywać na nonę. Dora prawie go nie słyszała. Dzwonił już dla niej z innego świata. Dzisiaj wieczorem opowie wszystko Sally.